

Georgette Heyer

Uprowadzona

SŁOWO WSTĘPNE

Uczono mnie, że lektura romansów to ucieczka od życia, czysty eskapizm. A przecież poważniejsze dzieła literatury pięknej także pozwalają nam na oderwanie się od rzeczywistości. Georgette Heyer odkryła przede mną radosny świat nieokiełznanej fantazji i pozwoliła mi poznać bohaterów o bogatej osobowości.

Miałam to szczęście, że moi rodzice uwielbiali czytać. Ojciec służył w marynarce i nade wszystko cenił książki o tematyce marynistycznej. Matka lubiła dobre powieści.

Grahamowie, rodzina mojego ojca, pochodzili ze Sterling w Szkocji. Moja matka była imigrantką z Irlandii. Chociaż jestem pewna, że moi przodkowie nie mogli się pochwalić żadnymi tytułami, jako dziecko wierzyłam, że gdybym urodziła się w Europie, z pewnością byłabym „lady”! Nic więc dziwnego, że zafascynowała mnie Anglia okresu regencji opisana przez Georgette Heyer. Jej powieści, jak każda dobra literatura, sprawiały, że pragnęłam wiedzieć więcej, coraz więcej! Chciałam podróżować, zwiedzać nowe miejsca, poszerzać horyzonty. Zajmowały mnie dzieje rodów panujących, świeżo nabyte wiadomości budziły głód następnych. Rozpoczęłam naukę w college’u także po to, by uczestniczyć w programie wymiany i poznać świat, zobaczyć Anglię.

Było mi dane odwiedzić wiele miejsc. Poznałam historię różnych narodów, zafascynowała mnie historia własnego kraju. A wszystko to zawdzięczam lekturze romansów.

Zmieniają się czasy, a wraz z nimi moda, obyczaje i wartości, lecz ludzkie emocje pozostają niezmiennie. W tamtym czasie nie wiedziałam jeszcze, że zostanę pisarką. Zamierzałam zająć się dramatem szekspirowskim.

Być może także z powodu zainteresowania Szekspirem uważam „Uprowadzoną” za cudowną książkę. Powieść zaczyna się od stoczonej na morzu walki między żaglowcami. Opis jest tak dynamiczny i realistyczny, że wprost słyszymy chrzęst drewna i szcęk metalu, widzimy przerażenie i heroizm ludzi.

Poznajemy wspaniałych bohaterów, podróżujemy z nimi, dzielimy ich nadzieję, rozpacz i radość. Sir Nicholas Beauvallet ma niezaprzeczną siłę i urok, a także liczne słabości, dlatego jest bardzo ludzki. Kiedy po raz pierwszy czytałam tę książkę, marzyłam o tym, by wyłonił się ze stronic i stanął przede mną. Oczywiście towarzyszy

mu na kartach książki godna go bohaterka. Dominica nigdy nie poddaje się bez walki. Nawet kiedy się boi, jest szybka, zadziorna i zdecydowana; to kobieta, która dałaby sobie radę w każdej epoce.

Dla tych, którzy nigdy dotąd nie zetknęli się z twórczością Georgette Heyer, „Urowadzona” z pewnością będzie niezwykle miłą niespodzianką. To doskonała powieść. Przeszłość ożywa w tej książce. Jeśli nawet po jej przeczytaniu nie zamarzą państwo o dalekiej podróży, to z pewnością będziecie chcieli zapoznać się z kolejnymi książkami pisanymi ze zdumiewającą znajomością epoki, mistrzowsko łączących fikcję z rzeczywistością.

Mam nadzieję, że pokochacie twórczość Georgette Heyer, podobnie jak ja. Jest to miłość ponadczasowa, podobnie jak powieści tej autorki.

Heather Graham

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pokład był jednym wielkim pobojobowiskiem. Pomędzy martwymi a umierającymi leżały kawałki strzaskanego drewna, a nad nimi górował złamany maszt ze smętnie zwisającym żaglem. Wszędzie unosił się kurz i zapach prochu. Kula ze świstem przebiła takielunek ponad głowami; kolejna zmieniła morze pod rufą galeonu w fontannę piany. Można było odnieść wrażenie, że statek zachwiał się, zatoczył jak ranny człowiek, po czym niebezpiecznie przechylił się w stronę rufy. Don Juan de Narvaez wydał rozkaz z tylnego pokładu; jego oficer natychmiast zbiegł trapem do śródokręcia.

Zgromadzili się już tam żołnierze w stalowych pancerzach i ozdobionych grawerunkiem hełmach - morionach. Niektórzy mieli halabardy i kopie; inni trzymali długie miecze. Patrzyli na zbliżający się statek, nad którym powiewała flaga z czerwonym krzyżem świętego Jerzego. Byli już pewni, że dojdzie do walki wręcz; nawet cieszyli się na tę myśl, wiedzieli bowiem, że są najlepszymi żołnierzami w chrześcijańskim świecie. Ci zuchwali Anglicy nie mieli żadnych szans. W ciągu minionej godziny angielski statek pozostawał poza polem rażenia hiszpańskich armat, nieustannie jednak bombardując „Santa Marię” z dział o dalekim zasięgu. Żołnierze skupieni na głównym pokładzie nie wiedzieli, jak poważne były uszkodzenia i denerwowała ich przymusowa bezczynność. Teraz angielski statek podpływał bliżej; wiatr wydymał mu żagle i unosił na falach jak ptaka.

Don Juan patrzył, jak kule wystrzelone z dział, stojących przy wysokich burtach galeonu, przelatują nad celem. „Venture” - Don Juan nie miał już wątpliwości, że ma przed sobą ten słynny okręt - nieuchronnie płynął w ich stronę.

„Venture” ustawił się lekkim skosem wzdłuż ich burty, wystrzelił w środkową część galeonu i minął go, nie ponosząc szwanku. Nieznacznie wyprzedziwszy hiszpański żaglowiec, wykonał zwrot w stronę jego dziobu i ostrzelał „Santa Marię” na całej długości.

Na pokładzie wybuchła panika. Don Juan zdawał sobie sprawę z tego, że jego statek jest poważnie uszkodzony. Wymamrotał pod nosem przekleństwo, które stłumiła miękka broda. Wciąż jednak zachowywał trzeźwość umysłu. Wiedział, jak tchnąć ducha walki w swych rozproszonych żołnierzach. „Venture” zbliżał się, wyraźnie zamierzając szczepić się burtą ze znacznie większym galeonem. W tym

należało upatrywać szansy. Los „Santa Marii” był wprawdzie przesądzony, jednak na pokładzie „Venture” znajdował się El Beauvallet, który od dawna grał na nosie całej Hiszpanii. Słynny, nieobliczalny korsarz! Możliwość schwytania go była warta utraty nawet tak wspaniałego statku, jak „Santa Maria”. Nie było chyba hiszpańskiego admirała, który nie marzyłby o zwycięstwie nad tym korsarzem. Don Juan odetchnął głęboko na myśl o niepowtarzalnej szansie, jaką dał mu los. Mógł dostarczyć tak niezwykłego więźnia królowi Filipowi!

Właśnie ta myśl zdecydowała o rozpoczęciu walki tego popołudnia. Don Juan wiedział, że El Beauvallet często pływa po tych wodach. W Santiago spotkał Perinata, który nie dalej jak dwa tygodnie temu wypłynął, by dać nauczkę „Venture”. Perinat wrócił do Santiago w największej szalupie, przegrany, ze zwieszoną głową. Mówił coś bez ładu i składu o czarach, o wcielonym diable, który zanosił się śmiechem. Na twarzy Don Juana pojawił się szydery uśmiezek. Partacz z tego Perinata!

Teraz jednak on sam mógł stać się pośmiewiskiem. Rzucił wszak wyzwanie Beauvalletowi, który słyszał z tego, że nie ucieka przed walką.

Don Juan musiał przyznać, że pragnął także zaimponować damie. Poczuł coś na kształt wyrzutów sumienia. Pod pokładem, w wykładanej boazerią luksusowej kabinie, znajdował się Don Manuel de Rada y Sylva, były gubernator Santiago, ze swoją córką Dominicą. Don Juan świetnie zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie ich naraził. Miał jednak nadzieję, że w przypadku walki wręcz los może się odwrócić.

Uzbrojeni, gotowi do boju żołnierze - artylerzyści czekali na śródkręciu i pokładzie dziobowym. Stali przy działach, brudni, złani potem, gotowi do starcia. Niech no tylko „Venture” podpływie!

Statek był już blisko, niepowstrzymany mimo gradu kul z dział „Santa Marii”. W dymie na pokładzie korsarskiej jednostki widać było mężczyzn, trzymających bosaki i szable, przygotowanych do abordażu, czekających tylko na rozkaz do ataku. Nagle rozległ się potworny huk, buchnęły płomienie i czarny dym z kilkunastu obrotowych dział na pokładzie, wymierzonych w środkową część „Santa Marii”. Atak siał spustoszenie wśród hiszpańskich żołnierzy; w

powietrzu rozległy się krzyki, jęki i przekleństwa. W tym zamieszaniu „Venture” szepił się z wysokim galeonem.

Mężczyźni zaroili się u burty, używając haków, bosaków, toporów i lin do uformowania drabin obłęźniczych. Wskoczyli na pokład „Santa Marii” ze sztyletami w zębach, dzierżąc szable. Wspaniali żołnierze hiszpańscy, zdziękowani ostrzałem, nie byli w stanie ich powstrzymać. Na śliskim pokładzie rozgorzała rozpaczliwa walka.

Don Juan stał u trapu, trzymając broń, wysoki i potężny w napierśniku i fartuchu z pasków blachy. Szukał wzrokiem dowódcy, jednak nie udało mu się go wypatrzeć w tłumie.

Na pokładzie trwała szaleńcza bitwa nad ciałami rannych i zabitych; co jakiś czas rozlegał się huk oddanego z bliska strzału. Panowało istne pandemonium, nie sposób było rozróżnić słowa wśród jęków, przeraźliwych okrzyków i szczęku broni. Z początku trudno było stwierdzić, kto ma przewagę; kłębowisko ludzkich ciał przetaczało się i wirowało na okaleczonej „Santa Marii”.

W pewnej chwili z tłumy wynurzył się mężczyzna z czarną spiczastą bródką. Przystanąwszy na stopniu zejściówki, z czerwoną od krwi szablą w ręku, peleryną owiniętą wokół lewego ramienia, popatrzył na Don Juana, który natychmiast przymierzył się do ciosu, aby posłać rywala w piekielną otchłań.

- Z drogi, perro! - warknął.

Obcy roześmiał się i odpowiedział najczystszy kastylijskim:

- Nie ma mowy, senor.

Don Juan wyteżył wzrok, by przyjrzeć się twarzy z dumnie zadartym podbródkiem.

- W takim razie stawaj i giń, psie - powiedział złowroźnie - bo coś mi się wydaje, że jesteś tym, kogo szukam.

- Szuka mnie cała Hiszpania, senor. Ale kto potrafi zabić Nicka Beauvalleta? Może pan spróbuje?

Jednym susem pokonał stopnie dzielące go od Don Juana i mocnym ciosem omal nie wytrącił mu szabli z ręki, po czym zakręcił peleryną tak, że broń Hiszpana zaplątała się w fałdach tkaniny. Don Juan, wściekły, uwolnił szablę. Ostrza zadzwoniły złowieszczo przy kolejnym starciu. Don Juan był już pewien, że ma przed sobą mistrza w swym fachu. W krótkim, zaciętym starciu został zmuszony do cofnięcia się aż po reling.

Od strony rufy nadbiegał hiszpański porucznik, Cruzada. Beauvallet dostrzegł go; szabla ze świstem strzaskała naramiennik Don Juana de Narvaeza i zmusiła go, by ukląkł, wypuszczając z ręki broń, która uderzyła o deski pokładu. Beauvallet, ciężko dysząc, obrócił się na pięcie, by stawić czoło Cruzadzie.

Na tylnym pokładzie pojawili się już jednak liczni Anglicy, którzy nadciągnęli za dowódcą; ze wszystkich stron dobiegały prośby Hiszpanów o zmiłowanie. Beauvallet powstrzymał cios Cruzady.

- Poddaj się, senor - powiedział. - Będiesz moim więźniem.

- Mogę cię jeszcze zabić! - wydyszał Cruzada.

- Powściągnij ambicję, synu - rzekł Beauvallet. - Ej, Daw, Russet, Curlew! Obezwładnić mi tego młodzieniaszka! Tylko spokojnie, chłopcy, spokojnie!

Cruzada został otoczony; wydał okrzyk rozpacz. Czyjeś mocne ręce chwyciły go z tyłu i odciągnęły. Widząc, że Beauvallet oparł się na swej szabli, Cruzada wyzwał go od tchórzy. Beauvallet tylko się roześmiał.

- Niech ci najpierw wyrośnie broda, gołowąsie, a wtedy będziesz mógł się ze mną zmierzyć. Panie Dangerfield! - Młody porucznik zjawiał się natychmiast. - Miej oko na tego jegomościa - powiedział Beauvallet, skinieniem głowy wskazując Don Juana. Pochylił się, podniósł szablę Narvaeza i zbiegł zejściówką w głąb statku.

Po pewnym czasie Don Juan doszedł do siebie na tyle, by zdać sobie sprawę, że został po - zbawiony broni, a Beauvallet zniknął. Stał na chwiejnych nogach, podtrzymywany przez jasnowłosego Anglika.

- Jest pan moim więźniem, senor - oznajmił Richard Dangerfield łamanym hiszpańskim. - Bitwa została przegrana.

Pot zalewał Don Juanowi oczy; otarł czoło. Zrozumiał, że Anglik mówi prawdę. Hiszpanie składali broń na pokładzie. Natychmiast oprzytomniał, z najwyższym wysiłkiem zmusił się do opanowania, wyprostował się i popatrzył na Anglika wzrokiem, niewyrażającym żadnych emocji.

- Oddaję się w pańskie ręce, senor - powiedział, skłaniając głowę.

Zwycięscy Anglicy rozbiegli się już po statku w poszukiwaniu łupów. Czterej krzepcy mężczyźni, czyniąc niemały zgiełk, pędzili trapem w stronę kajut i nagle stanęli w pół drogi na widok młodej

kobiety opartej o ścianę, z dłońmi rozpostartymi na boazerii. Dama miała mlecznobiałą cerę, pełne różowe wargi i czarne jak heban, błyszczące włosy okryte złocistą siatką. Spod delikatnej linii brwi spoglądały ciemne, ogromne oczy. Miała na sobie suknię z fioletowego kamlotu, przetykaną złotą nicią, ze spódnicą na krynolinie. Wypiętrzona koronkowa kreza z lśniącymi kryształkami okalała urodziwą, wyrazistą twarz, wyrażającą dumę i zdecydowanie. Nad kwadratowym głębokim dekoltem widać było naszyjnik z klejnotem, unoszący się teraz i opadający w rytm przyspieszonego oddechu.

Pierwszy z intruzów zastygł jak skamieniały i dopiero po chwili doszedł do siebie, bacząc, by nie dać się wyprzedzić napierającym z tyłu.

- Dziewka! - Zaniósł się chrapliwym rechotem. - A niech mnie, ale cudo!

Jego kompani stłoczyli się wokół, by podziwiać niecodzienne zjawisko.

Z fotela z wysokim oparciem, stojącego przy stole, uniósł się mężczyzna w starszym wieku. Był osłabiony z powodu zbyt długiego pobytu w klimacie Indii Zachodnich. Musiał mieć gorączkę; można się było tego domyślić po jego niezdrowo błyszczących oczach i wstrząsających nim dreszczach. Miał na sobie długi, okolony futrem płaszcz, ściśle przylegającą do głowy czapkę. Ciężko wspierał się na lasce. Obok niego siedział franciszkanin, w obszernym stroju zakonnym z kapturem. Nie zwracał jednak uwagi na to, co się dzieje, zajęty odmawianiem różańca. Chory mężczyzna chwiejnym krokiem wyszedł przed córkę, zasłaniając ją przed oczami ciekawskich.

- Żądam widzenia z waszym dowódcą! - powiedział po hiszpańsku. - Jestem Don Manuel de Rada y Sylva, były gubernator wyspy Santiago.

Jego słowa najwyraźniej nie miały znaczenia dla angielskich marynarzy. Dwóch weszło do kabiny i odsunęło Don Manuela.

- Nie wtrącaj się, dziadku! - poradził William Hick, ujmując podbródek damy brudną dłonią. - Jaka ładna! Daj mi buzi, słonko!

Rozległ się suchy trzask. William Hick cofnął się, przykładając rękę do policzka.

- O, złośnica!

John Daw chwycił młodą kobietę w pasie i unieruchomił jej rękę.

- Spokojnie, pieścieszko! - Zarechotał i głośno pocałował ją w policzek. - To jest na nią sposób, chłopaki!

Don Manuel, przytrzymywany przez dwóch mężczyzn, krzyknął:

- Puść ją! Chcę się widzieć z waszym dowódcą! Ostatnie słowo ostudziło nieco ich zapał.

- Dobra, zaprowadźmy ich do generała. Tak będzie lepiej.

John Daw odepchnął Hicka, który zaczął bawić się klejnotem ozdabiającym szyję młodej kobiety.

- Spokój! Lepiej nie zadzierać z Szalonym Nickiem. No, panno, idziemy na pokład!

Dama usiłowała stawić opór, jednak została brutalnie pociągnięta ku drzwiom. Nie wiedząc, co napastnicy zamierzają z nią zrobić, walczyła do utraty tchu, próbując się wyrwać. Nie przyniosło to żadnego efektu.

- Co za wiedźma - mruknął Hick, uchylając się przed ciosem, który chciała mu wymierzyć. W końcu wziął ją na ręce i wyniósł na pokład rufowy.

Stali tam już ich towarzysze, których zaskoczył widok zagniewanej damy, lecz zaraz pozwolili sobie na niewybredne żarty. Ledwo młoda kobieta stanęła na własnych nogach, rzuciła się na Hicka jak tygrysica. Ignorując ostrzegawczy krzyk ojca, przyprowadzonego pod strażą na pokład, z całej siły wbiła obcas swego bucika w olbrzymią stopę prześladowcy i przeorała mu paznokciami okoloną brodą twarz. Marynarz chwycił ją tym razem mocniej i zaśmiał się szyderczo, widząc, jak dziewczyna dumnie unosi głowę.

- Gołabeczka, turkaweczka - naśmiewał się John Daw.

Mężczyźni zgromadzili się wokół niej, rzucając wulgarne uwagi i patrząc na nią pożądliwie. Któryś pocałował ją w usta, zmrużył oko i powiedział coś sprośnego. Młoda kobieta skuliła się ze strachu.

Wtem zza otaczającej ją gromady rozległ się tubalny głos.

- Na Boga, co tu się dzieje? Przejście!

Dwaj mężczyźni zostali gwałtownie oderwani od damy czyjaś mocną ręką. Młoda kobieta z lękiem popatrzyła na El Beauvalleta.

Morska bryza rozwiewała jego czarne kędzierzawe włosy. Spod prostych brwi i czarnych rzęs patrzyły na nią bystre, wesołe oczy, niebieskie jak morze w słoneczny dzień.

Śmiech zamarł na ustach marynarzy. Beauvallet wciąż uważnie przyglądał się damie, zabawnie unosząc brwi. Wydawał się zaskoczony; kilka razy, z niedowierzaniem, zamrugał powiekami.

Po chwili przeniósł wzrok na marynarzy i cień rozbawienia natychmiast zniknął z jego twarzy. Ruszył do akcji niezwykle szybko, zbyt szybko dla Hicka, który wciąż trzymał damę za nadgarstek. Zwinięta pięść trafiła go prosto w szczękę; padł jak długi na deski.

- Bęcwały! Matoły! - zawołał Beauvallet i odwrócił się z zamiarem dania nauczki Johnowi Daw.

Ale on oddalał się już szybko, tak że dosięgnął go tylko kopniak w tylną część ciała. Beauvallet zwrócił się do młodej kobiety.

- Stokrotnie przepraszam, seniorita - powiedział, jakby nic wielkiego się nie stało.

Dama zauważyła, że jej wybawca jest przystojny i ma ujmujący uśmiech. Opanowała jednak odruch odwzajemnienia uprzejmości. Nie będzie miła dla angielskiego pirata.

- Proszę uwolnić mojego ojca, senior! - zwróciła się do niego z nutą wyniosłości.

Ton jej głosu wyraźnie rozbawił Beauvalleta; z uznaniem pokiwał głową. Rozejrzawszy się, zobaczył ojca damy w towarzystwie dwóch strażników, którzy natychmiast go puścili i oddalili się w pośpiechu.

Don Manuel był wstrząśnięty i biały jak ściana.

- Żądam widzenia z dowódcą! - wydyszał.

- Jeszcze raz najserdeczniej przepraszam - odpowiedział Beauvallet. - A oto i dowódca, Nicholas Beauvallet, do usług.

Dama wydała cichy okrzyk.

- Wiedziałam! Jesteś El Beauvallet!

- We własnej osobie, seniorita. Padam do nóg.

- A ja - rzekł sucho starszy pan - jestem Don Manuel de Rada y Sylva. Zwraca się pan do mojej córki, Dominiki. Chcę wiedzieć, co ma znaczyć ten akt przemocy.

- Akt przemocy? - zapytał ze zdumieniem Beauvallet. - O czym pan mówi, senior?

Don Manuel poczerwieniał i drżącym palcem wskazał zrujnowany statek.

- Śmie pan o to pytać?

- To ślady walki. Prawdę mówiąc, szlachetny panie, ten statek pierwszy otworzył ogień - odpowiedział uprzejmie - a ja nigdy nie odmawiam pojedynku.

- Gdzie - zapytała Dominica - jest Don Juan de Narvaez?

- Pod strażą, seniorita, do chwili, gdy odpłynie swą szalupą.

- Pokonał go pan! Tym swoim stateczkiem! Beauvallet roześmiał się, słysząc te słowa.

- Tak, tym małym statkiem. - Skłonił się.

- Co będzie z nami? - przerwał don Manuel. Sir Nicholas spowaźniał i przeczesał ręką włosy.

- Trudne pytanie, senior - przyznał. - Co, do diabła, robi pan na pokładzie tego żaglowca?

- Myślę, że to nie pańska sprawa. Ale skoro musi pan wiedzieć, wracam do domu, z Santiago do Hiszpanii.

- Miał pan pecha - powiedział współczująco Beauvallet. - Co napadło tego waszego kapitana, że otworzył do mnie ogień?

- Don Juan spełniał swój obowiązek, senior - odpowiedział wyniośle Don Manuel.

- Niestety, jego obowiązkowość nie została doceniona. - Sir Nicholas się roześmiał. - Co mam z państwem począć? - Dotknął palcem białych jak śnieg zębów, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Oczywiście można popłynąć szalupą na Dominikę. Wyspa leży jakieś trzy mile stąd na północ. Czy chcą państwo tam się udać?

Dominica postąpiła o krok. Ledwie rozwiały się jej najgorsze obawy, odzyskała wigor. Nie zamierzała znosić lekceważącego sposobu bycia tego człowieka! Natarła na Beauvalleta.

- Tylko tyle ma nam pan do powiedzenia? Rozbójnik morski od siedmiu boleści! Nic pana nie obchodzi, że wrócimy do Indii i będziemy czekać następny miesiąc na inny statek? Oczywiście, że nic! Widzi pan, że mój ojciec jest chory, i nic nie robi pan sobie z tego, że naraża go na takie niewygody. Podły rabusiu! Co cię w ogóle obchodzi? Na pewno nic! Jesteś wstrętnym angielskim łupieżcą! - To powiedziawszy, tupnęła.

- Boże! - zdumiał się Beauvallet, nie odrywając wzroku od gniewnej twarzy damy. W jego uśmiechu kryło się rozbawienie zmieszane z podziwem. Dominica straciła resztki opanowania i z wściekłością rzuciła się na Beauvalleta, który natychmiast chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Zajrzał jej w oczy. - Błagam o

wybaczenie, seniorita. Przecież wszystko da się naprawić. - Odwrócił głowę i przywołał porucznika.

- Puść mnie! - krzyknęła Dominica, usiłując wyrwać rękę z jego uścisku. - Puść!

- Gdybym to zrobił, podrapałaby mnie pani - próbował się z nią droczyć Beauvallet.

To było nie do wytrzymania. Wzrok Dominiki powędrował ku rękojeści sztyletu za pasem Beauvalleta. Rzuciła wyzywające spojrzenie swemu prześladowcy i sięgnęła po sztylet.

Sir Nicholas zorientował się w jej zamiarach. Roześmiał się.

- Dzielna dziewczyna! - Puścił jej dłoń, pozwolił jej wyciągnąć sztylet i szeroko rozłożył ramiona.

- Proszę, śmiało!

Cofnęła się, oszołomiona i zbита z tropu, zastanawiając się, co sprawia, że ten człowiek drwi sobie nawet w obliczu własnej śmierci.

- Jeśli mnie dotkniesz, zabiję cię - wycedziła. Postanowił przyjąć wyzwanie, wychodząc jej naprzeciw z uśmiechem na ustach. Cofała się, aż oparła się plecami o reling.

- Do ataku! - zachęcił Beauvallet. - Jestem pewien, że nie brak ci odwagi!

- Córko! - Don Manuel nie krył wzburzenia. - Natychmiast oddaj ten nóż! Rozkazuję ci! Senior, proszę, niech pan będzie łaskaw się cofnąć.

Beauvallet odwrócił się. Sprawiał wrażenie kogoś, kto w ogóle nie myśli o niebezpiecznej broni w rękach Dominiki. Czekał na pojawienie się Dangerfielda, niedbałym gestem wsunął dłonie za pas.

- Wołał mnie pan?

Beauvallet ruchem ręki wskazał Don Manuela i Dominicę.

- Zaprowadź Don Manuela de Rada y Sylwę i jego córkę na pokład „Venture” - powiedział po hiszpańsku.

- Czy to jakiś żart, senior? - zapytał Don Manuel.

- Na miłość boską, dlaczego miałbym żartować?

- Jesteśmy pańskimi więźniami?

- Nie, proszę o to, żeby zechcieli państwo zostać moimi gośćmi, senior. Powiedziałem przecież, że wszystko naprawię.

Dominica nie wytrzymała.

- Pan sobie z nas drwi! Nie weźmie nas pan na pokład swego statku! Nie pójdziemy tam!

Beauvallet wziął się po boki. Uniósł brwi.

- To czego państwo sobie życzą? Dała mi pani do zrozumienia, że jestem podłym psem, opóźniając państwa powrót do Hiszpanii, i nawymyślała mi od najgorszych. Powiedziałem, że naprawię błąd: zamierzam jak najszybciej zabrać państwa do Hiszpanii. Co w takim razie panią niepokoi?

- Zabrać do Hiszpanii - powtórzył Don Manuel, niczego nie rozumiejąc.

- Nie może pan tego zrobić! - zawołała z niedowierzaniem Dominica. - Nie odważy się pan!

- Nie odważę się? Na miłość boską, jestem Nick Beauvallet! - Sir Nicholas nie krył zdumienia. - Czyż nie ośmieliłem się rok temu wpłynąć do Vigo i dokonać tam niemałych spustoszeń? Co może mnie powstrzymać?

Uniosła rękę; ostrze sztyletu zalśniło w słońcu.

- Teraz już wiem, że słusznie jest pan nazywany Szalonym Beauvalletem!

- Myli się pani - odparł ze śmiechem Beauvallet. - Nazywają mnie Szalonym Nicholasem. Może pani mówić tak albo tak, seniorita.

Don Manuel uznał za stosowne się wtrącić.

- Senior, nie rozumiem pana pobudek. Widać było, że nie wie, jak zareagować na propozycję. Wyręczyła go córka, nie pozostawiając wątpliwości, że odpowiedź brzmi: Nie. Została za to obdarzona szybkim spojrzeniem i uśmiechem.

Przez pokład zmierzał w ich stronę Don Juan de Narvaez. Trzeba przyznać, że choć pokonany, potrafił zachować godność. Skłonił się nisko Don Manuelowi, jeszcze niżej Dominice, a Beauvalleta zignorował.

- Senior, szalupa już czeka. Proszę pozwolić, że państwa odprowadzę - zwrócił się hiszpański kapitan do Don Manuela.

- Proszę udać się do szalupy, senior Punctilio - powiedział sir Nicholas. - Don Manuel popłynie ze mną.

- Nie! - krzyknęła wbrew swym pragnieniom Dominica.

- Nie mam ochoty z panem żartować - powiedział lodowatym tonem Don Juan. - To oczywiste, że Don Manuel de Rada popłynie wraz ze mną.

Beauvallet przywołał strażnika.

- Odprowadź Don Juana do łodzi - rozkazał.

- Nie ruszę się stąd bez Don Manuela i jego córki - oznajmił Narvaez, przybierając teatralną pozę.

- Zabrać go - polecił sir Nicholas, nie kryjąc zniecierpliwienia. - Proszę się pospieszyć, senor.

- Don Juan został wyprowadzony. - Seniorita, proszę łaskawie udać się na pokład „Venture”. Diccon, dopilnuj, żeby bagaże państwa zostały tam przeniesione.

Dominica stawiała Beauvalletowi czoło, nie bacząc na konsekwencje.

- Nigdzie nie pójdę! - Zacisnęła dłoń na rękojeści sztyletu. - Niech mnie pan nie próbuje do niczego zmuszać!

- Rzuca mi pani wyzwanie? Zbyt szybko się pani pospieszyła! Mówiłem już, że nigdy nie odmawiam pojedynku. - Skoczył w jej stronę i ze śmiechem uchylił się przed ostrzem sztyletu, po czym chwycił nadgarstek Dominiki, a drugą ręką otoczył ją w pasie. - Będziesz jeszcze błagała mnie o rozejm, moja miła - powiedział, zabrał jej sztylet i włożył do pochwy przy pasie. - Chodź! - ponaglił, chwycił ją mocno, podniósł i ruszył przez pokład.

Dominica się nie opierała. Wiedziała, że nic by nie osiągnęła, a jedynie naraziła na szwank swój honor. Pozwoliła się nieść Beauvalletowi, a nawet jej się to spodobało. W Hiszpanii nie postępowano tak z kobietami. Czowała siłę obejmujących ją męskich ramion. Myślała o niepokojącej bezpośredniości angielskiego kapitana. Uznała go za dziwaka, szaleńca. Mimo to, a może właśnie dlatego chciałyby dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Została zniesiona zejściówką do wnętrza galeonu. Tu mężczyźni zajmowali się łupami - chińskim jedwabiem, belami płótna, sztabkami złota i przyprawami z wysp.

- Rabuś! - powiedziała cicho.

Roześmiał się i podszedł do relingu. Zastanawiała się, jak sobie teraz poradzi z przetransportowaniem jej na swój okręt. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczała.

- Witaj na pokładzie „Venture”, moja miła! - powiedział zuchwale i, trzymając ją w objęciach, opuścił się po linie na pokład.

Tam postawił ją, oniemiałą z wrażenia. Zobaczyła, jak jej ojciec jest ostrożnie przenoszony wzdłuż wysokiej burty galeonu. Don Manuel sprawiał wrażenie oszołomionego, lecz trochę rozbawionego.

- Dopilnuj, żeby dobrze się nimi opiekowano, Diccon - zwrócił się Beauvallet do jasnowłosego młodzieńca i odszedł.

- Chcieliby państwo zejść do kajut, seniorita? - zapytał nieśmiało pan Dangerfield, kłaniając się obojgu. - Kufry zostaną przyniesione lada chwila.

Don Manuel uśmiechnął się krzywo.

- Myślę, że ten człowiek jest albo szalony, albo niezwykły. Coś mi się wydaje, że wkrótce się dowiemy, co w nim drzemie - zwrócił się do córki. Patrzył na nią w zamyśleniu, ściągając brwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dominicę zaprowadzono do schludnej kajuty, która wcześniej służyła zapewne pospiesznie wyeksmitowanemu panu Dangerfieldowi. Została w niej sama, a Dangerfield zaprowadził Don Manuela do innego pomieszczenia. Dominica była już spokojniejsza. Popatrzyła dookoła. Ściany były wyłożone dębową boazerią, w pobliżu iluminatora stał wyściełany fotel, w kajucie znajdował się stół z rzeźbionymi nogami, krzesło, flandryjska skrzynia, szafa i koja.

Usłyszała nieśmiało pukanie do drzwi, po czym do środka wsunął głowę niewysoki mężczyzna o wydatnym nosie, bystrych szarych oczach i zuchwale podkreślonych wąsach. Dominica przyjrzała mu się krytycznie.

- Pozwoli pani, że przyniosę pani kufry, seniorita - powiedział nowo przybyły w doskonałej hiszpańszczyźnie - a także bagaż pani służącej.

- Maria! - zawołała wesoło Dominica. Drzwi otworzyły się szerzej i stanęła w nich pulchna kobieta, która rzuciła się w stronę swej pani, na przemian śmiejąc się i płacząc.

- Gdzie się podziewałaś? - zapytała Dominica.

- Miguel de Vasso zamknął mnie w kajucie, seniorita! Dostał za to potężny cios w głowę! Ale co z panią?

- Jestem bezpieczna - odpowiedziała Dominica - choć nie mam pojęcia, co nas tutaj czeka. Odnoszę wrażenie, że świat stanął na głowie.

W drzwiach znowu pokazał się drobny mężczyzna z imponującymi wąsami.

- Proszę się niczego nie obawiać, seniorita

- powiedział wesoło. - Jest pani na pokładzie „Venture”, a my nie wyrządzamy krzywdy kobietom. Słowo Anglika!

- Kim pan jest? - zapytała Dominica. Mężczyzna dumnie wypiął chuderławą pierś.

- Jestem osobistym służącym sir Nicholasa Beauvalleta. Joshua Dimmock, do usług. Ej, wnieście tu bagaże! - zawołał, a po chwili dwaj młodzieńcy postawili kufry na podłodze. Przystanąwszy, zapatrzyli się na Dominicę, lecz Joshua natychmiast ich odprawił. - Zabierać mi się stąd, barany! - Zamknął za nimi drzwi. - Proszę mi powiedzieć, gdzie mam umieścić bagaże, seniorita.

- Przyłożył palec do nosa, zamyślił się, po czym otworzył szafę. Maria zachichotała na widok znajdujących się w niej ubrań, należących zapewne do poprzedniego lokatora kajuty, pana Dangerfielda. Joshua dał nura do wnętrza. Po chwili wyłonił się z naręczem kaftanów i spodni, które zaraz wyrzucił na korytarz. - Ej, tam! Uprzątnijcie to! - zakomenderował i natychmiast dały się słyszeć szybkie kroki spieszących wykonać polecenie. Joshua dokończył sprzątaną szafy, wydając z niej stojące w szeregu buty, a potem cofnął się o krok, by z dumą przyjrzeć się swemu dziełu. - No! - Po chwili jego wzrok padł na skrzynię; znalazł się przy niej w dwóch susach, uniósł wieko, cmoknął z niezadowoleniem i pochylił się nad nią.

Dominica przysiadła na wyściełanym fotelu i ze zdumieniem przyglądała się poczynaniom Dimmocka. Maria kucnęła obok niej, chwyciła ją za rękę i zaśmiała się cichutko. Z korytarza dobiegł czyjś wzburzony głos.

- Kto je tutaj położył? Na pewno ten paskudny Dimmock! Żeby tak potraktować takie piękne spodnie! Pokaż się tu tylko, wstrętny chudzielcu!

Joshua wyłonił się ze skrzyni ze stertą koszul. Drzwi zostały gwałtownie otwarte; służący pana Dangerfielda zamierzał jak burza wpaść do kajuty, jednak już w progu zderzył się z Joshua, który wręczył mu koszule i wypchnął na korytarz.

- Nie śmiej przeszkadzać, głupcze! Ta kajuta została przydzielona szlachetnie urodzonej damie z rozkazu dowódcy! Cicho, leniu! Zrób tu porządek! Zabieraj stąd te krezy, buty i spodnie! Zaczekaj! Jest tu jeszcze trochę koszul. - Powróciwszy do kabiny, bezradnie rozłożył ręce i wzruszył ramionami. - Proszę się tym nie przejmować, seniorita. To człowiek pana Dangerfielda. Co za głupek! Zaraz zaprowadzimy tu porządek.

- Nie chciałabym, żeby z mojego powodu pan Dangerfield został wyrzucony ze swej kajuty - odezwała się Dominica. - Może znajdzie się dla mnie jakieś inne miejsce?

- Szlachetna damo! Niech ci to nawet przez chwilę nie zaprzęta głowy! - odezwał się Joshua, wyraźnie zaskoczony. - Pan Dangerfield, dobre sobie! Przyznaję, to przyzwoity chłopak, ale jeszcze gołowąs. Taka góra łachów! Ech, ci młodzi mężczyźni! Wszyscy tacy sami! Ma chyba kilkadziesiąt koszul. Nawet sir Nicholas nie ma tylu. - Wyrzucił

pozostałe ubrania pana Dangerfielda z kajuty i zamknął drzwi przed nosem protestującego sługi.

Dominica patrzyła, jak Joshua ustawia jej bagaże.

- Widzę, że ma pan tu wysoką pozycję - powiedziała z odrobiną ironii.

- Dobrze to pani ujęła, seniorita. Jestem służącym sir Nicholasa. Wiem, co w trawie piszczy, i ludzie mnie słuchają. Tak to jest, kiedy jest się na służbie u sławnej osobistości - odpowiedział z dumą Joshua.

- Twoim zdaniem, rzeczywiście jest wielkim człowiekiem?

- Nie ma wspanialszego - zapewnił natychmiast Joshua. - Służę mu od piętnastu lat i nie spotkałem jeszcze nikogo, kto mógłby się z nim równać. A musi pani wiedzieć, że dużo w życiu widziałem. Zwiedziliśmy kawał świata. Taki na przykład sir Francis Drake to też nie byle kto, ale wiele mu brakuje i mamy nad nim przewagę. Na przykład nie może równać się z nami urodzeniem. Raleigh? Phi! Brak mu naszego sprytu; śmiejemy się mu w twarz! Howard? Odpada od razu. No, nic już więcej nie powiem, sama pani się przekona. A ten fanfaron Leicester? Ha! Szkoda słów! Tylko my nigdy nie przegrywamy. Spyta pani dlaczego? To bardzo proste, seniorita: bo my się nie przejmujemy! Sama Jej Wysokość powiedziała: „Do licha!”. A musi pani wiedzieć, że to jej ulubione przekleństwo. „Do licha, sir Nicholasiu! Słowa «Nie przejmuj się» powinny stać się pańskim hasłem!” I nie bez powodu tak powiedziała, milady! Bo nam naprawdę nie zależy. Po prostu podejmujemy wyzwania i bierzemy to, co przyniesie los. To jest sposób działania Beauvalleta!

Maria prychnęła i uniosła zadarty nose. Joshua był jednak daleki od żartów.

- Proszę zapamiętać moje słowa. Mówię za nas obu: my się nie przejmujemy, nam nie zależy.

- To odważny człowiek - powiedziała Dominica, w zamyśleniu. Joshua rozpromienił się.

- Święta prawda, seniorita. Jest jak pantera. Strach nas nie dotyczy. Niech boją się ludzie mniejszego formatu. Otworzę te kufry, jeśli taka jest pani wola.

- Kim on jest? Jest szlachetnie urodzony? - zapytała Dominica.

Joshua popatrzył na nią dumnym wzrokiem i odparł nieco wyniosłym tonem.

- Czy wyglądam na kogoś, kto służyłby człowiekowi niskiego stanu? Na pewno nie! Jesteśmy; bardzo szlachetnie urodzeni. Nie potrzebowaliśmy tytułu szlacheckiego, żeby potwierdzić naszą wartość. Otrzymaliśmy go po powrocie z wyprawy Drake'a dookoła świata. Przyznaję, że to odpowiednie wyróżnienie, ale wcale go nie potrzebowaliśmy. Sir Nicholas dziedziczy tytuł barona, ot co!

- O! - zawołała z uznaniem Dominica.

- To najszczerza prawda. Jest bratem lorda Beauvalleta, a to zacny i mądry człowiek, seniorita, choć brak mu naszego sprytu. Trochę krzywo patrzy na nasze poczynania. - Joshua na chwilę wypadł z roli pełnego podziwu, wiernego sługi.

- Może jest w tym nieco racji. Nie przystoi nam już tak włóczyć się po świecie bez chwili odpoczynku. Nie jesteśmy już tacy młodzi, żeby bezustannie narażać się na ryzyko. Ale co można na to poradzić? Jest w nas jakieś szaleństwo, coś ciągle pcha nas w świat i każe rzucać się w wir niebezpiecznych przygód. - Rozłożył ręce. - Zostawiam panią, seniorita. Ha! Odpływamy! - Spojrzał w iluminator.

- W samą porę; ten wrak tonie. Pójdę teraz dopilnować, żeby szlachetny senior wygodnie się rozgościł. Za pani pozwoleniem!

- Gdzie jest mój ojciec? - zapytała Dominica.

- Niedaleko, seniorita. Może pani zapukać w tę ściankę, a na pewno usłyszysz. A ty - popatrzył surowo na Marię - zajmij się panią.

- Co za bezczelność! - zawołała Maria, lecz za Joshuą Dimmockiem już zamknęły się drzwi.

- Dziwny człowiek - skwitowała Dominica.

- No cóż, jaki pan, taki sługa. - Wyrzała przez bulaj. Fale kłębiły się wokół burt „Venture”. - Nie widzę naszego galeonu. Ten służący powiedział, że tonie. - Odeszła od iluminatora. - A więc

jesteśmy na angielskim statku, zdani na łaskę wroga. Zastanawiam się, co z tego wyniknie. - Nie wydawała się jednak szczególnie przejęta.

- Niech tylko spróbują panią tknąć! - zagroziła Maria, chwytając się pod boki. - Nie zamierzam drugi raz dać się zamknąć w kajucie, seniorita!

- Uspokoiwszy się, przystąpiła do rozpakowywania bagażu. Wyjęła suknię z karmazynowego brokatu i westchnęła ze smutkiem. - I pomyśleć, że chciałam, żeby pani włożyła ją tego wieczoru! - załkała.

Dominica uśmiechnęła się. - Włożę ją - powiedziała. Maria szeroko otworzyła oczy.

- Chce pani ubrać się w najlepszą suknię na statku angielskiego korsarza?! Gdyby był tu Don Juan...

Dominica ze złością machnęła ręką.

- Don Juan! Co za osioł! Dumnie wypinał pierś i kłął się na honor, że pośle ten statek na dno i zawiezie Beauvalleta jako więźnia do Hiszpanii. Nie cierpię nieudaczników! Rozłóż tę suknię. Włożę ją... i rubiny.

- Niech Bóg panią broni! - zawołała z przerażeniem Maria. - Ukryłam pani klejnoty w staniku. Przecież zerwą je pani z szyi!

- Włożę rubiny - powtórzyła Dominica. - Jesteśmy gośćmi El Beauvalleta i ufam, że należycie wywiąże się z roli gospodarza.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi; do kajuty zajrzał Don Manuel.

- Dobrze się czujesz, moje dziecko? - zapytał, rozglądając się.

Dominica uśmiechnęła się do ojca.

- Jak widzisz, jestem cała i zdrowa. A ty? Kiwnął głową i usiadł obok córki.

- Trzeba przyznać, że przyjęli nas całkiem przyzwoicie. Jakiś dziwny człowiek wydaje polecenia moim ludziom. Twierdzi, że jest sługą El Beauvalleta. Nie rozumiem tych angielskich służących i ich praw. Temu człowiekowi usta się nie zamykają. - Okrył kolana płaszczem. - Mamy stanowczo za wiele atrakcji - powiedział tonem skargi, patrząc poważnie na córkę. - Kapitan zaprasza nas na kolację. Nie powinniśmy zapominać, że jesteśmy gośćmi na tym statku.

- To prawda - przyznała bez przekonania Dominica.

- Musimy traktować sir Nicholasa z należyłą uprzejmością - dodał Don Manuel.

- Oczywiście, senor - odpowiedziała córka z jeszcze większym powątpiewaniem.

Godzinę później Joshua ponownie zjawił się u jej drzwi, by oznajmić, że kolacja gotowa. Dominica ruszyła śladem służącego, dumnym krokiem, z rubinami na szyi i wachlarzem w ręku. Czerwień jej sukni i koronkowa kreza podkreślały aksamitną biel skóry.

Nisko sklepiona kajuta była oświetlona dwiema lampami, zwisającymi na łańcuchach z potężnych belek. Na ścianie naprzeciw drzwi widniał herb ze skrzyżowaną bronią i kratą po lewej stronie; u

jego podstawy rozpościerała się wstęga z napisem „Sans Peut”. Pośrodku kajuty znajdował się stół i hiszpańskie krzesła z wysokimi oparciami. Obok jednego z nich stał pan Dangerfield, nienagannie ubrany w watowany kaftan i modne bufiaste spodnie. Na widok Dominiki zaczerwienił się i skłonił, wskazując jej krzesło.

Była dobrze usposobiona; uśmiechnęła się do młodego oficera, natychmiast go tym rozbijając i, zajmwszy miejsce przy stole, niedbale chłodziła się wachlarzem.

Zza drzwi dobiegł ich donośny, wesoły głos. Nietrudno było się domyślić, że nadchodzi sir Nicholas Beauvallet.

Wszedł, prowadząc Don Manuela, najwyraźniej rozbawiony jakimś żartem.

Dominica przyjrzała się Beauvalletowi spod rzęs. Nawet w wysłużonej zbroi, z włosami mokrymi od potu i rękami ubrudzonymi prochem, wydał jej się przystojny. Teraz jednak zmienił się nie do poznania.

Miał na sobie purpurowy wams z nacięciami, ukazującymi podszewkę w innym odcieniu. Wysoka, usztywniona kreza okalała szyję i sięgała bródki, której idealny szpic wyglądał niczym ostrze sztyletu i był kruczoczarny jak włosy na głowie. Beauvallet miał na sobie bufiaste francuskie spodnie i pończochy zwane w Anglii pończochami lorda Leicestera, który słynął ze zgrabnych nóg. Tylko mężczyzna o równie kształtnych nogach mógł ośmielić się paradować w takim stroju. Buty i podwiązki ze srebrzystej koronki były ozdobione rozetkami. Nakrochmalone mankiety otaczały nadgarstki; na palcu miał klejnot, a na szyi łańcuch ze złotą pomarańczą naszpikowaną goździkami dla zapachu.

Natychmiast po wejściu Beauvallet rzucił przelotne spojrzenie siedzącej przy stole Dominice. Skłoniwszy się, ukazał białe zęby w chłopięcym, niepokojąco zaraźliwym uśmiechu.

- Witam, senorita. Czy mój sługa zadbał o pani wygodę? Krzesło dla Don Manuela, Diccon! - Sir Nicholas Beauvallet wydawał się wypełniać sobą całe pomieszczenie.

- Czuję się niezręcznie, że zabrałam panu Dangerfieldowi jego kajutę - powiedziała Dominica, obdarzając Richarda wdzięcznym uśmiechem.

Zacinając się, zapewnił, że to dla niego zaszczyt, a nie kłopot. Dominica, postanowiwszy zignorować siedzącego u szczytu stołu

Beauvalleta, kontynuowała rozmowę z panem Dangerfieldem, usiłując wyrzucić na nim dobre wrażenie. Nie było to trudne, chłopak przyglądał jej się oczami pełnymi szczerego podziwu.

- Proszę o wybaczenie, to nie ja wyrzuciłam pańskie rzeczy na korytarz. Mam nadzieję, że nie rozgniewał się pan tak jak pana służący?

Pan Dangerfield uśmiechnął się.

- Mój służący jest trochę nieokrzesany. Joshua bardzo go denerwuje. Proszę postarać się to zrozumieć, seniorita. Joshua to prawdziwy oryginał. Idę o zakład, że chwalił się przed panią wyczynami sir Nicholasa, opowiadając o wszystkim w liczbie mnogiej.

Dominica nie odezwała się, a pan Dangerfield ciągnął:

- Ma taki zwyczaj, ale, prawdę mówiąc, tylko on jeden z naszej kompanii może zrugać swego pana. Wszystkim dookoła będzie głosił, że El Beauvallet jest pierwszy po Bogu, ale samemu sir Nicholasowi powie, że... - Urwał i z rozbawieniem popatrzył na kapitana.

Sir Nicholas szybko odwrócił głowę. Dominica nie spodziewała się, że przysłuchiwał się rozmowie.

- No cóż, mówi rzeczy, których duma nie pozwala mi powtórzyć - rzekł Beauvallet z uśmiechem, po czym znów zwrócił się w stronę Don Manuela, by podjąć przerwana konwersację.

- Odniosłam wrażenie, że pański sługa nie darzy Joshui zbyt wielką estymą - powiedziała Dominica.

- Owszem, seniorita, ale proszę pamiętać, że Dimmock wyrzucił moje ubrania na korytarz.

- Korytarz nie był znów aż tak brudny - zauważyła Dominica.

- Lepiej, żeby sir Nicholas tego nie słyszał, seniorita - odpowiedział wesoło pan Dangerfield.

Na twarzy dowódcy pojawił się uśmiech, którego z pewnością nie wywołała rozmowa z ojcem. Dominica domyśliła się, że sir Nicholas słyszał tę wymianę zdań.

Podano baraninę w szafranowym sosie, paszteciki i pigwy w syropie. Dominica zajęła się jedzeniem, od czasu do czasu wymieniając uwagi z panem Dangerfieldem.

Don Manuel kilkakrotnie spoglądał na córkę, jednak ona na niego nie patrzyła, wciąż więc toczył rozmowę z sir Nicholasem.

- Ma pan dobrze wyposażony statek - zauważył uprzejmie.

- To moja własność, senior. - Beauvallet uniósł dzban wina. - Mam tu wino z Alicante albo burgunda. Jest też wino reńskie. Proszę wybrać.

- Jest pan bardzo uprzejmy. Proszę o wino z Alicante. - Don Manuel, zauważywszy, że ma przed sobą kielich zdobiony w stylu mauretańskim, delikatnie uniósł brwi, jednak taktownie zrezygnował z komentarza.

- Przygląda się pan kielichom? - zapytał Beauvallet, rezygnując ze zwyczajowych grzeczności.

- Pochodzą z Andaluzji. - Dostrzegając zmieszanie na twarzy rozmówcy, szybko dodał: - Nie, senior, nie zostały zrabowane z hiszpańskiego galeonu. Kupiłem je przed laty w czasie jednej z moich wypraw.

Tym wyjaśnieniem wprowadził Don Manuela w niemalże zakłopotanie. Były gubernator postanowił szybko zmienić temat.

- Zna pan mój kraj?

- Owszem, trochę - przyznał Beauvallet, patrząc na Dominicę. - Czy mogę pani nalać wina, seniorita?

Dominica była tak pochłonięta rozmową z panem Dangerfieldem, że nie usłyszała pytania. Beauvallet obserwował ją przez chwilę z pewnym rozbawieniem, po czym zwrócił się do Don Manuela.

- Myśli pan, że pańska córka przyjmie wino z moich rąk?

- Dominico, pan kapitan zwraca się do ciebie!

- Don Manuel odezwał się do córki ostrym tonem.

Drgnęła.

- Panie? - Popatrzyła w śmiejące się oczy Beauvalleta. - Przepraszam. - Przyjęła podany kielich.

- Czy to z „Santa Marii”? - zapytała niewinnie.

Don Manuel zaczerwienił się i głośno wyraził dezaprobatę, przerażony manierami córki. Beauvallet tylko wzruszył ramionami.

- Wszedłem w ich posiadanie uczciwą drogą, seniorita.

Dominica sprawiała wrażenie zaskoczonej.

Don Manuel, najwyraźniej zaniepokojony faktem, że córka poświęca całą uwagę panu Dangerfieldowi, zwrócił się do niego z jakimś zapytaniem i w końcu udało mu się wyłączyć Dominicę z rozmowy. Niezadowolona z takiego obrotu rzeczy, przygryzła wargę i wpatrzyła się w talerz z marcepanem. Siedzący po jej lewej stronie Beauvallet odchylił się na krześle i zaczął machinalnie obracać w

palcach pomarańczę. Spojrzawszy ukradkiem na kapitana, Dominica zauważyła, że się jej przygląda. Spłonęła rumieńcem i zajęła się deserem.

Sir Nicholas zostawił pomarańczę i wyprostował się. Powoli wyjął sztylet z pochwy u pasa. Rękojeść broni była z kutego złota; cienkie ostrze zaśniło w świetle lampy. Przechyliwszy się, zaprezentował rękojeść Dominice.

- Chciałbym go pani ofiarować w prezencie - powiedział cicho.

Dominica podskoczyła. Usiłowała odepchnąć sztylet.

- Nie chcę go.

- Bardzo proszę.

- Widzę, że lubi pan mnie dręczyć. Nie chcę pana sztyletu.

- Marzyła pani o tym, żeby mnie zabić. Popatrzyła na niego, oburzona. Był podły, a co gorsza, miał uśmiech, na widok którego z pewnością mdlały co wrażliwsze dziewczyny.

- Pan ze mnie drwi. Bardzo proszę przestać, nie będę zwracała uwagi na pańskie szyderstwa.

- Proszę spojrzeć mi w twarz i przekonać się, czy naprawdę z pani żartuję - powiedział i chwycił jej rękę.

Dominica popatrzyła na ojca, który jednak na nią nie spojrzał. Pograżony w rozmowie z panem Dangerfieldem, właśnie rozwodził się na temat Liwiusza.

- Śmiało! - zachęcał jej dręczyciel. - Co, strach panią obleciał?

Dotknięta do żywego, obrzuciła sir Nicholasa wyzywającym spojrzeniem. W odpowiedzi delikatnie ucałował jej dłoń.

- Myślę, że musi mnie pani lepiej poznać - powiedział.

- Nie mam najmniejszego zamiaru.

- Naprawdę? - Mocniej zacisnął dłoń na jej nadgarstku, po czym go puścił. Dominika była zaniepokojona. Ten mężczyzna miał takie błyszczące, intrygujące oczy!

Zamilkli. Don Manuel wciąż był zajęty rozmową; właśnie zasypywał pana Dangerfielda obszernymi cytatami z Horacego.

- Co się stało z Don Juanem, senior? - zapytała Dominica, starając się przerwać krępujące milczenie.

- Myślę, że płynie teraz na wyspę, nazywaną się tak jak pani - odparł, miażdżąc w garści orzechy. Najwyraźniej nie interesowały go problemy kapitana „Santa Marii”.

- A senior Cruzada i reszta załogi?

- Nie odesłałem Don Juana samego - odrzekł Beauvallet, żartobliwie unosząc brwi. - Myślę, że senor Cruzada dzielnie mu towarzyszy.

Dominica sięgnęła po kolejny kawałek marcepanu, odmawiając wypicia likieru. Sprawiała wrażenie zamyślonej.

- Okazał pan litość, mimo że jest pan Anglikiem.

- Na miły Bóg, jak może pani przypuszczać, że mógłbym postąpić inaczej?

- Nie wiem, senor. W Indiach opowiadano różne rzeczy o pana poczynaniach.

- To możliwe. - Wydawał się rozbawiony. - Słyszała pani, że palę na stosie, torturuję i zabijam?

Popatrzyła na niego poważnie.

- Niewątpliwie jest pan odważnym człowiekiem. Niektórzy mówią, że stosuje pan czary.

Odchylił głowę i głośno się roześmiał. Don Manuel przerwał w pół słowa, ku wyraźnej uldze pana Dangerfielda.

- Zajmuję się tylko morskim rzemiosłem, senorita - zapewnił Beauvallet. - Nie noszę talizmanów, ale podobno, kiedy się urodziłem, Wenus i Jowisz znalazły się w koniunkcji. To szczęśliwy znak. Wznoszę toast na cześć planet! - Uniósł kielich i wypił tęgi łyk.

- Astrologia wie dzie na manowce, podobnie jak alchemia - oznajmił z przekonaniem Don Manuel. - A poglądy Paracelsusa uważam za zgubne i szkodliwe, senor, chociaż wiem, że poświęca się im dużo uwagi w Anglii. To bzdury i herezje! Pewien mężczyzna wątpił w to, że jego sąsiad urodził się pod znakiem Strzelca tylko dlatego, że tamten miał rumiane policzki i rudą brodę. Często też spotyka się ludzi, którzy muszą mieć przy sobie kawałek koralu lub szafir... Mają przynosić szczęście. Noszą też inne akcesoria, odpowiednie jedynie dla dzieci lub niewiernych. Słyszymy opowieści o podziale nieba na Domy, z których każdy rządzi czymś tam, i tak dalej. Zwodnicze idee, w które wierzą tylko głupcy! - W ten oto sposób Don Manuel szybko rozprawił się z Paracelsusem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz było bardzo pogodnie. Świeciło słońce, a pomyślny dla żeglarzy silny wiatr wydymał żagle. Don Manuel pozostał w kajucie, wyczerpany przeżyciami poprzedniego dnia. Po zjedzeniu skromnego śniadania, składającego się z chleba maczanego w winie, odesłał córkę. Miał dreszcze i bolała go głowa. Troskliwie zaopiekował się nim jego sługa, Bartolomeo, wspomagany przez Joshuę Dimmocka, który nie szczędził uwag na temat różnych chorób z gorączką. Nie dzieląc poglądów Don Manuela na temat talizmanów, natarczywie zalecał mu noszenie drzazg z szubienicy jako pewnego sposobu na wyleczenie. Wyglądało na to, że stale miał je przy sobie, gdyż zamierzał bezzwłocznie wręczyć je Don Manuelowi, upierając się przy ich magicznych właściwościach. Don Manuel z irytacją odrzucił tę propozycję, zgodził się jednak wypić mocny kordiał, który, jak go zapewniono, pochodził ze spiżarni lady Beauvallet, kobiety doskonale znającej się na leczniczych właściwościach różnych mikstur.

- To doskonały eliksir, sprawdziłem na sobie - tokował Joshua. - Zawiera miętę, arcydziegiel i petunię, jagody jałowca, a także, jak mi wiadomo, tajemnicze antidotum na różne trucizny oraz piołun, który jest najlepszy na wszystkie rodzaje gorączki. To wszystko, senior, jest macerowane w winie, a zajmuje się tym sama lady Beauvallet. Gotowa mikstura zostaje zalakowana w butelce, jak się pan domyśla. Proszę spróbować i przekonać się, jaka jest jego moc!

Don Manuel wypił kordiał i został zapewniony, że niebawem zapomni o chorobie. Jednak potem Joshua długo kręcił głową nad jego przypadkiem i powiedział w tajemnicy sir Nicholasowi, że wziął na pokład „Venture” umierającego człowieka.

- Wiem - uciął Beauvallet. - O ile dobrze rozpoznaję symptomy, biedak ma *cameras de sangre*.

- Też przyszło mi to do głowy, ledwie na niego spojrzałem. Jego sługa, ten chudy ponurak, gada coś o febrze, ale jestem pewien, że to *cameras de sangre*. Nastroszę panu fałdy krezy, o, tak. - Zrobiwszy to, cofnął się o krok, by z uznaniem przyjrzeć się swemu dziełu. Po chwili wycelował w sir Nicholasa pałeczkę do formowania krezy. - Poza tym zapamięta pan moje słowa, to zły znak! Śmierć zwiastuje katastrofę. Nie mówię o takich zgonach, jakie mogą przytrafić się

podczas bitwy. To rozumie się samo przez się. Długa choroba to coś zupełnie innego. Musimy jak najszybciej wysadzić senora na ląd.

- Łotrze, chcesz wysadzić Don Manuela? Ale gdzie?

- Myślę, że najlepszym miejscem byłyby Wyspy Kanaryjskie. Powód jest aż nadto oczywisty: musi umrzeć na ładzie, a przynajmniej na innym statku. Nie mamy obowiązku zajmować się tym człowiekiem. - Błyskawicznie uchylił się przed butem, który został wycelowany prosto w jego głowę.

- Skończony dureń! - zawołał Beauvallet.

- Przestań opowiadać głupstwa! Dowieziemy tego dżentelmena do Hiszpanii. Zapamiętaj to sobie!

Joshua uniósł but i przyklęknął, by pomóc sir Nicholasowi go włożyć.

- Pozwolę sobie zauważyć, że zaciskamy sobie pętlę na szyi - powiedział, w najmniejszym stopniu niezmiuszony.

- Możesz być pewien, że taki będzie twój koniec - odparł wesoło sir Nicholas.

- Jeśli o to chodzi, to przecież nie ja decyduję o tym, że włączymy się po świecie, by niszczyć i plądrować - zareplikował spokojnie Joshua.

- Proszę wepchnąć nogę i bucik będzie leżał jak ulał. O! - Wygładził zgięcie na miękkiej skórze i sięgnął po drugi but. - Proszę mnie dobrze zrozumieć. Ta sprawa mnie nie dotyczy, bo wyczytałem w moim horoskopie, że dokonam żywota we własnym łóżku. Dobrze byłoby zapoznać się z pańskim horoskopem, żebyśmy mogli dowiedzieć się, czego mamy się wystrzegać.

- Strzeż się swego łóżka, zabobonna ciemnoto, i zmykaj stąd! - polecił Beauvallet. - Okropnie mnie dziś denerwujesz. - Wykonał wymowny ruch nogą.

- Niech się dzieje, co chce, jeśli taka jest wola waszej ekscelencji. Nie twierdzą, że nie ma pan prawa tak postąpić. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że to pływanie na pełnym morzu z dziewczuchą na pokładzie... a nawet dwiema...

- Co?! - ryknął Beauvallet, podskakując na krześle.

Szare oczy Joshui zrobiły się raptem okrągłe.

- Oj, przepraszam, z damą. Proszę mi nie mieć za złe tego, co powiem: nic dobrego z tego nie wyniknie. No dobrze, nic już nie mówię. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że to się dzieje wbrew

wszelkim zwyczajom i obyczajom, a ja tylko się obawiam, że może nam się przytrafić coś złego.

Beauvallet zaczął gładzić spiczastą bródkę. Zauważywszy to, Joshua przezornie wycofał się w stronę drzwi.

- Możesz być pewien, że za chwilę spotka cię nieszczęście, przyjacielu - oznajmił sir Nicholas, zrywając się na nogi. - Za przyczyną czubka mego buta!

- Skoro jest pan w takim humorze, już mnie tu nie ma - zapewnił Joshua i szybko wyszedł.

Beauvallet udał się na pokład, by dopatrzeć inwentaryzowania towarów z „Santa Marii”.

Tak więc, gdy Dominica zapragnęła zaczerpnąć świeżego powietrza, przed jej oczami roztoczył się widok, który przyprawił ją o dreszcz zgrozy. Marynarze liczyli bele tkanin i kładli sztabki złota na prymitywną wagę. Pan Dangerfield stał przy beczce, na której umieszczono kałamarz, i starannie zapisywał na kartce cyfry wykrzykiwane przez krzepkiego, mocno owłosionego mężczyznę, oznaczające wagę i liczbę zrabowanych towarów. Tuż obok, oparty o drugą beczkę, stał Beauvallet z ręką na biodrze, machając nogą. Pochłonięty obserwowaniem rozgrywających się przed nim scen, nie zauważył Dominiki na wyższym pokładzie.

Trzeba wiedzieć, że ten wydawałoby się haniebnny proceder, był w gruncie rzeczy legalnym kaperstwem, inspirowanym przez państwo, i stanowił rodzaj partyzanckiej wojny z Filipem II, królem Hiszpanii, który sam prowokował do podobnych działań. Anglicy nienawidzili Hiszpanów i mieli po temu wiele powodów. Wystarczyło wspomnieć, co przydarzyło się wyprawie dowodzonej przez sir Johna Hawkinsa pod San Juan de Ulla, gdyż był to przykład niewybaczalnej hiszpańskiej zdrady. Pamiętano też o wielkiej bezwzględności w utrzymywaniu hiszpańskiego panowania w Niderlandach - na samą myśl o tym burzyła się krew - i o poczynaniach hiszpańskiej świętej inkwizycji, która podle rozprawiała się z wieloma dzielnymi żeglarzami złapanymi na angielskich statkach. Jeśli ktoś miał ochotę szukać dalszych powodów, należało wziąć pod uwagę choćby stosunek Hiszpanów do tubylców w Indiach. Do tego wszystkiego dochodziła niezwykła pycha Hiszpanii, która uważała się za władczynię całego Starego i Nowego Świata. Elżbieta, z łaski Boga królowa Anglii, musiała ukrócić tę nieposkromioną butę. Pomagali jej

w tym tacy dzielni mężowie, jak Drake, bezpośredni, jowialny żeglarz, i jego przyjaciel Beauvallet, Frobisher i Gilbert, Davis i Hawkinsowie - ojciec, synowie i wnuk. Śmiało wypuszczali się oni na hiszpańskie wody i dotkliwie nękali króla Filipa. Działali w przekonaniu, że jeden Anglik jest wart kilkunastu Hiszpanów, a rozwój wydarzeń pokazał, że ich poglądy były usprawiedliwione.

Nicholas Beauvallet, młodszy syn, spędził burzliwą młodość na podróżach po Europie, jak przystało na młodzieńca jego stanu. Opuścił Anglię jako chłopak obdarzony tak wielką skłonnością do brawury, że jego ojciec i starszy brat bali się, iż może napytać sobie biedy. Powrócił jako dojrzały, doświadczony mężczyzna, jednak skłonność do ryzyka wcale go nie opuściła. Jego brat, który przejął po ojcu obowiązki głowy domu, z ubolewaniem wymyślał Nicholasowi od awanturników, napominał, lecz w gruncie rzeczy wątpił, czy kiedykolwiek coś się zmieni. Nicholas nie zamierzał spełniać oczekiwań rodziny. Musiał stale szukać nowych przygód. Wyruszył na morze; narozrabiał trochę w Nowym Świecie, a potem towarzyszył Drake'owi w jego słynnej podróży dookoła globu. To właśnie w towarzystwie tego znamienitego żeglarza minął Cieśninę Magellana, wziął udział w splądrowaniu Valparaiso, dotarł do odległych wysp Palau, do Mindanao i, opływając niebezpieczny Przylądek Dobrej Nadziei, powrócił, ogorzały od słońca i wiatru, muskularny i niewyobrażalnie bogaty.

Bez wątplenia było to godne uznania, jednak Gerard Beauvallet, mężczyzna mocno stojący na ziemi, uznał, że czas już skończyć z takim trybem życia. Nicholas otrzymał tytuł szlachecki; powinien teraz się ustatkować, znaleźć odpowiednią kandydatkę na żonę i splodzić dziedziców, których zabrakło w związku Gerarda z lady Beauvallet. Tymczasem niepoprawny Nicholas po bardzo krótkim pobycie na lądzie znów wypłynął w morze, tym razem na własnym statku. Nie udało się z niego zrobić szanowanego właściciela ziemskiego, o czym tak marzył jego brat; Nicholas wydawał się zainteresowany jedynie poznawaniem świata, co zresztą przynosiło mu sławę i sukcesy. Jeśli był tylko jeden, niepowtarzalny Drake, to tak samo istniał tylko jeden Beauvallet. Hiszpanie łączyli te dwa nazwiska, jednak to Beauvallet był dla nich wcielonym diabłem. Drake dokonywał rzeczy niemożliwych w jedyny możliwy sposób; tymczasem, zdaniem Hiszpanów, El Beauvallet czynił to samo w

sposób, zdawałoby się, niemożliwy do wykonania, nic więc dziwnego, że bali się go jak ognia. Jeśli zaś chodzi o jego ludzi, uwielbiali go, podziwiali jego geniusz i darzyli bezgranicznym zaufaniem. Uważali go za szaleńca, jednak to szaleństwo przynosiło im niemałe zyski, dawno już więc przestali podejrzliwie odnosić się do czegokolwiek, co przyszło mu do głowy. Można było mieć pewność, że podążą za nim tam, gdzie ich poprowadzi, gdyż doświadczenie mówiło im, że ich dowódca nie dopuści do klęski. Pierwszy oficer, Patrick Howe, brodaty żeglarz, często unosił palec i mówił: „Zrozumcie, że wygrywacie, ponieważ nasz Nick nie może przegrać. Bezbłędnie wyczuwa okazję i drwi sobie z niebezpieczeństw. Pytacie, czy jest szalony? Owszem, można go tak nazwać”.

Prawda wyglądała tak, że sir Nicholas błyskawicznie angażował się w jakieś z pozoru niedorzeczne, śmiałe przedsięwzięcie i odnosił zwycięstwo, zanim inni zdążyli rozdziawić usta, zdumieni jego zuchwałością.

Tak też było ze schwytaniem Dominiki. A wszystko to przychodziło mu z niesłychaną łatwością. Oj, odważny i niezwykły był z niego człowiek!

Dominica rozmyślała, przyglądając się Beauvalletowi, który nie miał pojęcia o jej obecności na pokładzie; nie spojrzął nawet na miejsce, w którym stała. W pewnej chwili roześmiała się pogardliwie, rzucając w przestrzeń:

- Złodziej liczy skradzione towary!

Beauvallet szybko uniósł głowę. Słońce raziło go w oczy; zasłonił je ręką.

- Widzę, że dama jest pełna pogardy! Życzę miłego dnia!

- Dzień na statku takim jak ten nie może być miły - odpowiedziała prowokująco.

- A czego pani brakuje? - zapytał sir Nicholas, opuszczając stanowisko przy beczie. - Co jest nie tak z tym okrętem?

Zmierzał w kierunku Dominiki, co, prawdę mówiąc, ją cieszyło, nie chciała jednak, by się tego domyślił.

- Proszę zostać na dole i pilnować swoich łupów, senor.

Wszedł po trapie na tylny pokład, przewiesił nogę przez reling i przysiadł na barierce jak psotny chłopak.

- Co się pani nie podoba? - powtórzył. - W korytarzu jest za dużo kurzu?

Prychnęła.

- Nie podoba mi się to, że znajduję się na statku korsarskim, a pan jest moim wrogiem!

- Tak się tylko pani wydaje, moja droga! - odpowiedział wesoło.
- Nie jestem pani wrogiem.

Usiłowała spiorunować go wzrokiem, lecz nie przyniosło to efektu.

- Dobrze wiem, że jest pan zdeklarowanym wrogiem wszystkich Hiszpanów, senor.

- Zamierzam uczynić z pani prawdziwą Angielkę - wyznał z zuchwałą szczerością.

Znieruchomiała, zaczerwieniła się i zacisnęła drobne dłonie.

- Może by tak sięgnąć po sztylet? - ironizował Beauvallet, przyglądając jej się z rozbawieniem.

Określiła się na pięcie i skierowała w stronę rufy. Płonęła oburzeniem, odjęło jej mowę, a mimo to zastanawiała się, czy Beauvallet za nią pójdzie. Okazało się, że nie powinna mieć co do tego żadnych wątpliwości. Kiedy znalazła się poza zasięgiem wzroku zgromadzonych na głównym pokładzie, natychmiast do niej podszedł. Położywszy jej dłonie na ramionach, odwrócił ją twarzą do siebie. Patrzył na nią zawadiacko, lecz kiedy się odezwał, jego głos brzmiał łagodnie.

- Uważa mnie pani za kiepskiego żartownisia, ale tym razem mówię poważnie. Składam pani solenną obietnicę. Uczynię z pani Angielkę jeszcze przed upływem roku. A to jest podpis pod moim zobowiązaniem.

Pochylił się i pocałował Dominicę w usta, zanim zdołała go powstrzymać.

Krzyknęła, nie posiadając się z oburzenia; uniosła ręce, by pomścić zniewagę. Doskonale jednak przewidział jej zamiary i szybko je udaremnił. Chwycił ją za nadgarstki i z uśmiechem spojrzał prosto w jej rzucające gniewne błyski oczy.

- Czy myśli pani, że jestem łajdakiem, czy uważa mnie za biednego szaleńca? - droczył się.

- Nienawidzę pana! - krzyknęła z przekonaniem. - Gardzę panem!

Puścił ją.

- Nienawidzi mnie pani? Dlaczego?

Otarła dłonią wargi, jakby chcąc zetrzeć z nich ślad pocałunku.

- Jak pan może? - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło. - Jak pan śmie mnie dotykać i... całować?! Chce mnie pan upokorzyć! - Pobiegnęła w stronę trapu, by udać się do kajuty.

W kilku susach znalazł się przed nią i zagroził jej drogę.

- Stój, malutka! Nie będę się sprzeczać. Nie zdążyłem powiedzieć, że chcę się z tobą ożenić.

Tupnęła i próbowała go ominąć, lecz jej na to nie pozwolił.

- Nigdy pan się ze mną nie ożeni! - wykrzyknęła. - Jest pan niehonorowy i podły! Trzyma mnie pan niczym więźnia i myśli, że może ze mną robić, co tylko się panu spodoba!

Mocno chwycił ją za ręce powyżej łokci i potrząsnął.

- Nie będziemy rozmawiać o żadnych więźniach i ich strażnikach, Dominico, lecz tylko o mężczyźnie i kobiecie. Co takiego ci zrobiłem?

- Uciekł się pan do przemocy! Ośmielił się pan mnie pocałować i trzyma mnie wbrew mojej woli!

- Błagam o przebaczenie. Przecież mogłaś mnie dźgnąć sztyletem, najdroższa. Masz go w zasięgu ręki. Ta broń daje ci gwarancję zemsty. Co, nie chcesz się mścić? To co mogę zrobić? - Przesunął ręce, schylił się i pocałował jej dłonie. - No dobrze. Zapomnijmy o wszystkim... do czasu, aż znów cię pocałuję - dodał, przyglądając się jej zuchwale.

- Nigdy do tego nie dojdzie, senior.

- A więc panna rzuca rękawicę. Podnoszę ją i odpowiadam hiszpańskim przysłowiem: Vivir para ver.

- Nie może pan poślubić mnie siłą - odparła.

- Nawet pan! Zamyślił się na chwilę.

- To prawda, malutka, byłoby to zbyt proste.

- Zapewniam pana, że wcale nie wyda się to panu proste.

- Dalibóg, czy to kolejne wyzwanie? Cofnęła się o krok.

- Nic podobnego.

- Przecież nie powiedziałem, że chcę uciec się do użycia siły. Spokojnie, zamierzam zabiegać o twoje względy iście po królewsku.

- A gdzie planuje pan uderzyć w konkury? - zapytała pogardliwie. - Pragnę zwrócić pana uwagę, że mieszkam w środkowej części Hiszpanii.

- Możesz być pewna, że tam za tobą pojedę - obiecał i roześmiał się, widząc niedowierzanie, malujące się na jej twarzy.

- Samochwała! Fanfaron! Nie ośmieli się pan!

- Spodziewaj się mnie w Hiszpanii jeszcze przed końcem roku - odpowiedział. - Masz na to moje słowo.

- W Hiszpanii działa święta inkwizycja, senor - przypomniała.

- Owszem, senorita - odpowiedział poważnie, po czym wyjął z kaftana oprawną w skórę książkę.

- Wpadniesz w jej szpony, jeżeli będziesz trzymać przy sobie takie niebezpieczne rzeczy.

Zbladła i nerwowo spłotła ręce na piersiach.

- Gdzie pan to znalazł? - Głos uwiązł jej w gardle.

- W twojej kajucie na „Santa Marii”, moje dziecko. Jeśli takie są twoje prawdziwe poglądy, to im szybciej wydobędę cię z Hiszpanii, tym lepiej.

- Podał jej książkę. - Dobrze ją ukryj albo popłynij ze mną do Anglii.

- Proszę nic o tym nie mówić mojemu ojcu - poprosiła błagalnym tonem.

- Nie ufasz mi? O, niewdzięczna!

- Myślę, że to nie pańska sprawa, senor - powiedziała, odzyskując panowanie nad sobą. - Dziękuję za książkę. A teraz bardzo proszę mnie przepuścić.

- Mam imię, moje dziecko. Proszę, żebyś go używała.

Dygnęła.

- Och, dziękuję, sir Nicholasie Beauvallet - oznajmiła ironicznie i szybko zeszła po trapie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dominica uznała, że zuchwalstwo Beauvalleta powinno zostać należycie ukarane, i postanowiła wziąć to zadanie na siebie. Odpowiednim narzędziem w jej rękach okazał się pan Dangerfield; odszukała go, oczarowała i, ku jego zakłopotaniu, zaczęła otwarcie z nim flirtować. Trzepotała długimi rzesami, była dla niego słodka jak miód, i umiejętnie łechtła młodzieńczą próżność. Beauvalleta traktowała z chłodną uprzejmością, słuchała tego, co miał jej do powiedzenia, skromnie składała dłonie na kolanach i przy pierwszej nadarzającej się okazji odwracała się do pana Dangerfielda. Beauvallet mógł liczyć na jej grzeczne dygnienia i krótkie wymiany zdań na obojętne tematy. Zrobiła wszystko, by stało się powszechnie wiadome, że to pan Dangerfield ma prawo całować jej dłoń, zasługuje na jej uśmiechy i rozmowy z nią. Dangerfield był szczęśliwy i szczerze jej za to wdzięczny, jednak przejawiał trudną do zniesienia skłonność do stawiania jej na piedestale. W innych okolicznościach, być może, by ją to bawiło, jednak teraz nie miała ochoty na odgrywanie roli bogini. Za wszelką cenę chciała pokazać Dangerfieldowi, że mógłby posunąć się odrobinę dalej.

Ta przemyślna strategia jednak zdała się na nic. Kątem oka Dominica z rozczarowaniem dostrzegła, że sir Nicholas jest jedynie szczerze rozbawiony tą całą sytuacją. Przyglądał się tym rozgrywającym się na jego oczach scenkom, uśmiechając się domyślnie. Dominica postanowiła więc podwoić starania.

Pan Dangerfield okazał się okropnym nudziarzem. Łajała się w myślach za to, że tęskni do znacznie ciekawszego towarzystwa jego dowódcy. Przy Beauvallecie mogła liczyć na niespodzianki; w ich grze pojawiał się element ryzyka i przygody. Wychodziła na pokład z Dangerfieldem, stawała u jego boku i zadawała mu niezliczone pytania o statek, po czym udawała, że uważnie przysłuchuje się wyczerpującym odpowiedziom. Jednak przez cały czas wyglądała i nasłuchiwała sir Nicholasa, a gdy dobiegał ją jego tubalny głos albo też widziała go szybko przemierzającego pokład, czuła żywsze bicie serca i obawiała się, że lada chwila spłonie rumieńcem. Czasami wręcz nie potrafiła oprzeć się pokusie spojrzenia w stronę kapitana. Chociaż ze wszystkich sił zmuszała się do opanowania, zerknęła na niego ukradkiem, a wtedy zawsze napotykała jego wzrok i uśmiech.

Trzymając się pod boki, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, drwił z jej poczynąń każdym gestem.

Ponieważ duma nie pozwalała jej przebywać w jego towarzystwie, znajdowała pocieszenie w rozmowach na jego temat. Pan Dangerfield był z tego niezmiernie rad, jednak trudno było mu pogodzić się z faktem, że Dominica ma bardzo złe zdanie na temat mistrza. Był wprawdzie skłonny przyznać, że sir Nicholas bywa zbyt pewny siebie i popędliwy i że te cechy niekoniecznie muszą podobać się damie, lecz gdy Dominica nazbyt lekceważąco wyrażała się o Beauvallecie, młodzieniec zdecydowanie protestował, czego w gruncie rzeczy oczekiwała.

- Nie mieści mi się w głowie, że w Anglii rodzą się tak nieokrzesane osiłki - powiedziała kiedyś w przestrzeń.

- Uważa pani, że sir Nicholas jest właśnie taki? - Dangerfield zasepił się. - Lepiej nie obnosić się z takimi poglądami na pokładzie tego statku, seniorita.

- Wcale się nie boję - odparła Dominica.

- I nie musi pani. Rozmawia pani z porucznikiem sir Nicholasa. Może się okazać, że ci, którzy służą pod jego dowództwem, znają go lepiej.

Szeroko otworzyła oczy.

- Naprawdę aż tak go uwielbiacie, że jesteście ślepi?

Uśmiechnął się.

- Większość ludzi go lubi, seniorita. Jest bardzo... porządnym człowiekiem.

- Jest bardzo chełpliwym człowiekiem - poprawiła, wydymając wargi.

- Zapewniam panią, seniorita, że to nieprawda. Przyznaję, że może tak się wydawać, ale to tylko pozory. Gdyby pani poznała go lepiej...

- Proszę mi oszczędzić takich wizji! Wcale nie chcę poznawać tego despoty.

- Być może jest zbyt bezpośredni jak na wymagania dam; nie bawi się w subtelności.

Uznała, że nadeszła odpowiednia chwila na zadanie pytania, które od dawna chodziło jej po głowie.

- Tak uważają angielskie damy?

- Nie, sędzę, że bardzo go lubią - odparł z uśmiechem pan Dangerfield. - Aż za bardzo jak na jego wymagania.

Uśmiech rozmówcy nie uszedł uwagi Dominiki.

- Domyślałam się, że niezły z niego hulaka. Pan Dangerfield pokręcił głową.

- Lubi dobrą zabawę, ale nie wydaje mi się, żeby chciał poważnie związać się z kobietą.

Dominica zastanawiała się nad tymi słowami, a pan Dangerfield niestrudzenie rozprawiał:

- Nie chciałbym, by pani myślała, że sir Nicholas źle traktuje kobiety. Myślę, że potrafi delikatnie postępować z płcią piękną.

- Delikatnie! - wybuchnęła. - Dziwię się, że takie słowo w ogóle przeszło panu przez usta. Uważam, że to prostak! Chełpliwy i nieokrzesany!

- Nie powinna się go pani obawiać, seniorita - zapewnił ją poważnie Dangerfield. - Ręczę, że nie skrzywdziłby kogoś słabszego od siebie.

Dominica poczuła się dotknięta.

- Miałabym się go bać? Powinien pan wiedzieć, że nie lękam się nikogo! - rzuciła gniewnie.

- Dzielna dziewczyna! - rozległ się głos Beauvalleta. Dominica podskoczyła i odwróciła się w stronę sir Nicholasa, opartego o burtę. Wyciągnął ku niej rękę. - Skoro pani się mnie nie boi, proszę ze mną porozmawiać.

Pan Dangerfield dyskretnie się wycofał. Dominica lekko tupnęła o pokład.

- Nie chcę z panem rozmawiać.

- No chodź! - nalegał, wpatrując się w nią uporczywie.

- Nie na pańską prośbę, sir Nicholasie - odrzekła wyniośle.

- W takim razie na moje pokorne błaganie - powiedział, lecz jego zuchwały wzrok przeczył tym słowom.

- Dziękuję, czuję się doskonale tu, gdzie stoję.

- Góra nie chce przyjść. W takim razie musimy przypomnieć sobie drugą część tego powiedzenia.

- Znalazł się przy Dominice w dwóch krokach. Ona bezwiednie dała krok do tyłu, jakby wyczuwając niebezpieczeństwo. Położył ręce na jej ramionach. - Dlaczego się cofasz, moje dziecko? Myślisz, że naprawdę byłbym w stanie zrobić ci krzywdę?

- Nie... to znaczy, nie wiem i nie chcę wiedzieć.

- To mocne słowa, a przecież czuję, że drżysz. Ty chyba rzeczywiście mnie nie znasz. Mogę tylko obiecać, że wkrótce to się zmieni.

- To boli! Proszę mnie puścić!

Odsunął ją od siebie, nie przestając się jej przyglądać.

- Jak to możliwe?

- Pańskie palce zbyt głęboko wpijają się w moją skórę - odpowiedziała ze złością Dominica.

Uśmiechnął się.

- Wcale cię nie trzymam, a ty dobrze o tym wiesz, najdroższa.

- Proszę mnie puścić!

- Jeśli to zrobię, uciekniesz.

- Nie rozumiem, dlaczego chce pan rozmawiać z kimś, kto... kto pana nienawidzi!

- Wcale mnie nie nienawidzisz.

- Nienawidzę!

- Na Boga, w takim razie dlaczego zawracasz głowę biednemu Dicconowi, żeby zrobić mi na złość?

Tego było już dla Dominiki za wiele. Z całej siły uderzyła Beauvalleta w twarz.

Ledwie to zrobiła, poczuła wyrzuty sumienia. Natychmiast mocno chwycił ją za rękę i przytrzymał je za jej plecami. Uniosła wzrok, przerażona, lecz wciąż nastawiona buntowniczo. Tymczasem on nie przestawał się śmiać.

- Jak sądzisz, jaką powinnaś ponieść karę? - zapytał.

Musiała uciec się do swej najsilniejszej broni: wybuchnęła płaczem. Beauvallet natychmiast ją uwolnił.

- Moja miła - powiedział ze skrucą. - Nie ma powodu do łez! Czyżbym naprawdę był aż takim potworem? Tylko się z tobą droczyłem, maleńka. Popatrz na mnie. Uśmiechnij się. Gotów jestem całować rąbek twojej sukni, tylko nie płacz. - Ukląkł przed nią. Popatrzyła przez łzy na pochyloną głowę. Ten widok ją wzruszył, lecz nagle usłyszała czyjeś kroki na niższym pokładzie. Dotknęła sztywnych włosów Beauvalleta.

- Ktoś idzie! Niech pan wstanie!

Zdażył podnieść się w chwili, gdy u szczytu zejściówki pojawiła się głowa pierwszego oficera. Szybko podszedł do niego, by odwrócić jego uwagę od Dominiki.

Mogła teraz uciec pod pokład. Sir Nicholas rozmawiał z pierwszym oficerem; miała wolną drogę. Tymczasem podeszła do burty, otarła oczy i zapatrzyła się na morze.

Po niedługim czasie usłyszała oddalające się kroki pierwszego oficera. Sir Nicholas podszedł do niej i położył rękę na jej dłoni, opartej o reling.

- Wybacz nieokrzesanemu, zarozumiałemu potworowi - poprosił. Rozbroił ją ton jego głosu.

- Okropnie mnie pan wykorzystuje.

- Ale mnie nie nienawidzisz? Pozostawiła to pytanie bez odpowiedzi.

- Nie potrafię zazdrościć kobiecie, którą wybierze pan na żonę - rzekła wymijająco.

- A dlaczego miałabyś jej zazdrościć? Popatrzyła na niego, zaczerwieniła się i odwróciła głowę.

- Nie wiem, jak angielskie damy z panem wytrzymują.

Popatrzył na nią z rozbawieniem.

- Nie zmuszam ich do tego, żeby ze mną wytrzymały.

Spojrzała mu prosto w twarz.

- Nie uwierzę, że nie jest pan wstrętnym kobieciarzem - powiedziała, zacietrzewiona. - Myślę, że ma pan kobiety za nic.

- Nie mam cię za nic, maleńka. Uśmiechnęła się pogardliwie.

- Jest pan bardzo sprytny. Czy tak właśnie rozmawia pan z angielskimi damami?

- Nie, najdroższa, rozmawiam w ten sposób - odpowiedział i natychmiast pocałował ją w usta.

Dominica gwałtownie zaczerpnęła tchu, odepchnęła sir Nicholasa i zbiegła zejściówką do kajuty. Zastawszy tam służącą, zdała sobie sprawę z tego, że jest zarumieniona i ma zmierzwione włosy. Maria oczywiście wszystko zauważyła, ponadto zaniepokoiło ją gniewne spojrzenie pani. Ujęła się pod boki.

- A to łajdak! - zawołała. - Czy obraził panią, seniorita? Ośmielił się panią tknąć?

Dominica umknęła wzrokiem, w końcu roześmiała się z przymusem.

- Pocałował mnie - wyznała.
- Wyłupię mu oczy! - zawołała Maria, kierując się do drzwi.
- Nie szalej! Zostań tu! - rozkazała Dominica.
- Nie wyjdzie już pani z kajuty beze mnie w roli przyzwoitki, senorita - obiecała Maria.

Dominica tupnęła. - Nie bądź głupia! Przecież chciałam, żeby mnie pocałował!

Maria szeroko otworzyła usta.

- Senorita!

Dominica roześmiała się cichutko.

- Zaklina się, że przyjedzie do Hiszpanii mnie odszukać. Niech no tylko się ośmieli!

- Nawet Anglik nie byłby taki nierozsądny.

- Niestety. - Dominica westchnęła. - Ale gdyby to zrobił... Chyba udzieliło mi się jego szaleństwo! - Uniosła wiszące u pasa maleńkie lusterko i spochmurniała na widok swego odbicia. Szybko wsunęła niesforne kędzierzawe kosmyki pod siatkę i opuściła lusterko. Zaczerwieniła się, widząc, że Maria cały czas uważnie się jej przygląda. Pośpiesznie wyszła, by spotkać się z ojcem.

W kajucie zastała Joshuę Dimmocka, hałaśliwie zachwalającego działanie drzazg z szubienicy, które, jak wierzył, mogły przynajmniej pomóc w utrzymaniu Don Manuela przy życiu do czasu wysadzenia go na ląd.

Don Manuel przyjrzał się córce. W jego oczach malowało się znużenie.

- Czy nie ma tu nikogo, kto uwolniłby mnie od towarzystwa tego osła? - zapytał.

Joshua stał się przymilny.

- Senior, mam je w woreczku. Kupiłem je od świątobliwego męża, doskonale obznajmionego w tej kwestii. Gdyby zechciał pan zawiesić woreczek na szyi, z pewnością pomógłby panu wyzdrowieć.

- Bartolomeo, otwórz te drzwi, a szeroko! - zakomenderował Don Manuel. - A teraz bardzo proszę, żebyś zechciał stąd wyjść!

- Łaskawy panie...

Bartolomeo niespodziewanie odskoczył od otwartych drzwi, gnąc się w ukłonie. Dominica usłyszała głos, który był dla niej jak światło słońca i morski wiatr w gorący dzień.

- Co się tu dzieje?

W progu stanął sir Nicholas. Don Manuel uniósł się na łokciu.

- Senior, przychodzi pan w samą porę. Proszę mnie uwolnić od swego sługi i jego magicznych drzazg z szubienicy.

Beauvallet szybko wszedł do wnętrza, zauważył Joshuę, stojącego przy koi z miną pokrzywdzonego dziecka, chwycił go za kark i wystawił za drzwi, które zamknął kopnięciem. Popatrzył na Don Manuela.

- Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić, senior? Wystarczy mi powiedzieć.

Don Manuel opadł na poduszki i uśmiechnął się krzywo.

- Szybko pan działa, senior.

- Przyszedłem zapytać o pańskie zdrowie. Czy wciąż ma pan ataki febry?

- Od czasu do czasu. - Don Manuel wymownie zmarszczył czoło. Beauvallet odwrócił głowę, by zobaczyć, dlaczego jego rozmówca unika szczerzej rozmowy, i ujrzał stojącą nieruchomo przy stole Dominicę.

Miała wrażenie, że ten wstręciuch jest wszechobecny. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko wycofać się do swojej kajuty. Majestatycznie ruszyła do drzwi. Bartolomeo zamierzał je przed nią otworzyć, jednak sir Nicholas go uprzedził. Dominica wyszła.

- Zostaw nas samych, Bartolomeo - polecił Don Manuel, obserwując Beauvalleta. Ciężko westchnął. Ten przystojny mężczyzna o sprężystym kroku i czujnej postawie był dla chorego ucieleśnieniem życia i zdrowia.

Beauvallet podszedł do koi i usiadł na stołku.

- Chciał pan ze mną rozmawiać, senior?

- Tak. - Don Manuel szczerzej okrył się prześcieradłem. - Sprowadził pan nas na ten statek, ale nic nie mówi o tym, jak go opuścimy.

Beauvallet uniósł brwi.

- Myślałem, że to oczywiste, senior. Wysadzę państwa na ląd na wybrzeżu Hiszpanii.

Don Manuel starał się wyczytać coś z twarzy Beauvalleta, z jego niebieskich oczu i zdecydowanej linii warg pod schludnym wąsikiem. Jeśli nawet dowódca „Venture” miał jakieś tajemnice, doskonale je skrywał pod maską otwartości i szczerości.

- Mam panu wierzyć, senior?

- Klnę się na mój honor. Nie rozumiem, dlaczego ma pan wątpliwości w tej prostej sprawie.

- Uważa pan, że wpłynięcie do hiszpańskiego portu nie nastreczy panu żadnych trudności?

- Prawdę mówiąc, pańscy rodacy nie wiedzą jeszcze, jak można schwytać Nicka Beauvalleta.

- Senor - odezwał się poważnym tonem Don Manuel. - Jest pan wrogiem... bardzo niebezpiecznym wrogiem mojego kraju, jednakże, może mi pan wierzyć, byłoby mi bardzo przykro, gdyby został pan schwytany.

- Tysięczne dzięki. Z pewnością nie będzie pan świadkiem takiej sceny. Urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą.

- Wybaczy pan, ale pański służący sprawił, że mam powyżej uszu wszelkich wróżb i znaków. Ośmielam się jednak zauważyć, że jeśli istotnie chce pan wysadzić nas na ląd w Hiszpanii, naraża pan swe życie na niebezpieczeństwo. Pytam: z jakiego powodu? To przecież czyste szaleństwo. Nie potrafię nazwać tego inaczej.

Beauvallet uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

- Może pan nazwać to stylem Beauvalleta.

- Dziwny z pana człowiek. Przez wiele lat słuchałem niesamowitych opowieści na pański temat i, powiedzmy, że wierzyłem w jedną czwartą z nich. Tymczasem okazuje się, że prawda tkwiła w tych najbardziej niewiarygodnych. - Urwał, spodziewając się wyjaśnień, lecz Beauvallet tylko ponownie się uśmiechnął. - Jeśli rzeczywiście zamierza pan to uczynić, pozostanę pana wiecznym dłużnikiem. Ostrzegam jednak, że może pan działać nawet w najlepszej wierze, a jednak przegrać. Przedsięwzięcie jest bardzo ryzykowne.

- Proszę spać spokojnie, na pewno nie przegram.

- Będę się o to modlił. Nie muszę chyba panu mówić, że moje dni są policzone. Chciałbym dokonać żywota w Hiszpanii.

Beauvallet uniósł dłoń.

- Obiecuję to panu, senor - powiedział uroczyście.

Don Manuel poruszył się niespokojnie.

- Muszę uporządkować sprawy rodzinne. Zostawię córkę samą na świecie. Mam w Hiszpanii siostrę, ale moje dziecko sympatyzuje z luteranami i mam poważne wątpliwości, czy... - Westchnął z rezygnacją.

Beauvallet wstał.

- Senor, proszę mnie posłuchać.

Don Manuel natychmiast zauważył, że jego rozmówca spoważniał.

- Słucham.

- Kiedy wybiorę już cel, dążę do niego prostą drogą. Zapewne pan o tym słyszał. Zamierzam wyjawić panu cel, który przysięgłem sobie osiągnąć. W razie sukcesu czeka mnie wielka nagroda.

Ufam, że nadejdzie taki dzień, Don Manuelu, w którym pańska córka zostanie moją żoną. Don Manuel szeroko otworzył oczy.

- Chce mi pan powiedzieć, że kocha moją córkę? - zapytał surowo.

- Do szaleństwa, senor, tylko tak to można określić.

Don Manuel poważnie się zaniepokoił.

- A ona? Nie, to niemożliwe!

- Jeśli o to chodzi, senor, to nie wiem. Nie jest ze mnie wytrawny znawca kobiecej duszy, ale jestem pewien, że mnie pokocha.

- Proszę niczego przede mną nie ukrywać. Co pan knuje?

- Absolutnie nic. Mówię najszczerzą prawdę. Mógłbym porwać Dominicę do Anglii...

- Nie robi pan tego! - wykrzyknął Don Manuel.

- Nie, nie mam zwyczaju niewolić kobiet, chociaż musi pan przyznać, że byłoby mnie na to stać. - Popatrzył pytająco na Don Manuela.

Don Manuel w milczeniu obserwował, jak Beauvallet bawi się pomarańczą ze złotą.

- Zdaję sobie sprawę, że nasz los jest w pańskich rękach - powiedział spokojnie.

Beauvallet kiwnął głową.

- Nie zamierzam uciekać się do najprostszych rozwiązań, senor. Nie chcę też być porywaczem ani zdrajcą. Zawiozę państwa do Hiszpanii i tam zostawię. Jednak, senor, proszę mnie słuchać uważnie! Zawsze osiągam to, co sobie postanowię, choćby słońce miało zgasnąć, a ziemię zasnuć ciemności! Po pewnym czasie powrócę do Hiszpanii i odszukam pańską córkę, a potem z nią odjadę! - Jego przepelniony emocjami głos wydawał się wypełniać całe pomieszczenie. Przez chwilę Beauvallet patrzył na Don Manuela z dumnie uniesionym podbródkiem. Potem dziki błysk zniknął z jego

oczu tak szybko, jak się pojawił. Sir Nicholas roześmiał się. - Senor, kocham ją tak, jak pan by chciał, bym ją kochał!

Zapadła cisza. Don Manuel odwrócił głowę i nerwowo wygładził prześcieradło.

- Gdyby nie był pan wrogiem i heretykiem, z chęcią oddałbym panu córkę - powiedział. Uśmiechnął się blado, widząc zdumienie na twarzy Beauvalleta. - Jednak jest pan i jednym, i drugim, więc to niemożliwe. Niemożliwe!

- Senor, nie znam tego słowa. Ostrzegłem pana. Proszę podjąć wszystkie środki ostrożności, jakie przyjdą panu do głowy, lecz niezależnie od tego, co pan zrobi, pańska córka będzie moja.

- Sir Nicholasie, jest pan bardzo odważny i to mi się w panu podoba. Nie muszę jednak podejmować żadnych środków ostrożności, gdyż nigdy nie uda się panu przedostać do Hiszpanii.

- Bóg mi świadkiem, senor, że się uda.

- To krzywoprzysięstwo. Jest pan godnym przeciwnikiem na morzu, ale jak chce pan stawić czoło Hiszpanom w Hiszpanii?

- Z pewnością nie zabraknie mi odwagi - stwierdził spokojnie sir Nicholas.

Don Manuel wzruszył ramionami.

- Widzę, że nie ma dla pana rzeczy niemożliwych. Nie wiem, czy to fanfaronada, czy szaleństwo, jak twierdzą niektórzy. Żałuję, że nie jest pan Hiszpanem. Nie mam nic więcej do dodania.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przy pierwszej nadarzającej się sposobności Don Manuel zapytał córkę o jej uczucia do sir Nicholasa, naiwnie ufając, że powie mu prawdę.

- Nie cierpię go - odpowiedziała.

- Obawiam się - rzekł Don Manuel, bacznie przyglądając się Dominice - że on cię lubi... bardzo, a nawet trochę za bardzo.

Dominica domyśliła się, że ojciec próbuje ją wybadać. Zaśmiała się pogardliwie.

- Nieszczęśnik. Jeśli to prawda, jest to dla mnie obraźliwe.

Don Manuel poczuł głęboką satysfakcję, chociaż lubił Beauvalleta i nawet zrobiło mu się go trochę żal, gdy usłyszał wyznanie córki.

- Szkoda, że jest heretykiem. Muszę przyznać, że podoba mi się jego charakter.

- To zarozumialec - prychnęła Dominica.

- Owszem, można tak powiedzieć. Chciałbym jednak zauważyć, że zanim wyruszyliśmy w podróż, traktowałaś go jak bohatera i zawsze chętnie słuchałaś opowieści o jego wyczynach.

- Nie znałam go jeszcze - ucięła. Don Manuel uśmiechnął się.

- Przyznaję, że jest trochę nieokrzesany, i jestem rad, że to dostrzegasz. Proszę jednak, bądź dla niego wyrozumiała, gdyż w pewien sposób jesteśmy jego dłużnikami. Obiecuje, że wysadzi nas na ląd w Hiszpanii. Madre de Dios! Ufam, że rzeczywiście to zrobi, chociaż nie mam pojęcia, jak zamierza tego dokonać.

Skutek tej rozmowy był taki, że Dominica za wszelką cenę postanowiła poznać plany sir Beauvalleta. Wielokrotnie pytała o nie pana Dangerfielda, grając z nim w karty. Twierdził, że o niczym nie ma pojęcia, co zostało przyjęte z niedowierzaniem.

- Coś podobnego! - krzyknęła w pewnej chwili. - Nie wierzę, że nie obdarzył pana zaufaniem! Po prostu nie chce mi pan powiedzieć.

- Klnę się na mój honor, seniorita - zapewnił ją Dangerfield. - Sir Nicholas nie zwierza mi się ze swych zamiarów. Proszę zapytać go wprost, a na pewno wszystko pani wyjawia.

- Wolałabym nie mieć z nim do czynienia - odpowiedziała, powracając do kart.

Wkrótce usłyszała tak oczekiwane odgłosy: szybki chód, donośne słowa i śmiech w korytarzu. Drzwi zostały szeroko otwarte i do

środką wszedł Beauvallet, który wcześniej zdążył jeszcze rzucić przez ramię jakieś uwagi swoim ludziom.

- Witam panią! - zawołał od progu. - Diccon, wzywają cię pilne obowiązki. Podaj mi karty; spróbuję szczęścia.

Dangerfield natychmiast spełnił prośbę, ukłoniwszy się Dominice. Jak zwykle, Beauvallet nie dał jej możliwości wyboru. Przedkładała wprawdzie jego towarzystwo nad rozmowę z Dangerfieldem, jednak dlaczego nie był na tyle uprzejmy, by zapytać ją o pozwolenie?

Usiadł na krześle Dangerfielda. Młody oficer, z ręką na gałce u drzwi, powiedział z uśmiechem:

- Przekona się pan, że senorita Dominica ma szczęście w kartach.

- A ty nie, Diccon. Mogłem się tego spodziewać. Zamierzam jednak stawić jej opór. A teraz zmykaj. - Wyłożył kartę na stół i uśmiechnął się. - To będzie walka na śmierć i życie.

Dominica w milczeniu położyła kartę. Po zaciętej grze szczęście uśmiechnęło się do Beauvalleta. Dominica przygryzła wargę, lecz przyjęła porażkę ze spokojem.

- Wygrał pan. - Patrząc, jak tasuje karty, dodała: - Nie zamierzam rozgrywać z panem drugiej partii.

Sir Nicholas odłożył talie.

- W takim razie porozmawiajmy - zaproponował. - To znacznie ciekawsze. Jak się czuje Don Manuel?

Spochmurniała.

- Myślę, że jest bardzo chory. Dziękuję, że posłał pan do niego swojego medyka.

- Nie musi pani dziękować.

- Ojciec powiedział mi - ciągnęła Dominica - że obiecał pan wysadzić nas na ląd w Hiszpanii. Proszę mi powiedzieć, jak zamierza pan tego dokonać?

- W bardzo prosty sposób - odpowiedział sir Nicholas.

- Jaki? - Nie kryła zniecierpliwienia. - Nie mam ochoty być świadkiem kolejnej bitwy morskiej.

- Zapewniam cię, moja miła, że nic takiego się nie stanie. Myślisz, że Nick Beauvallet naraziłby cię na niebezpieczeństwo tak jak Narvaez? Powinnaś się wstydzić!

- Senor, czyżby był pan aż tak szalony, by wpłynąć do hiszpańskiego portu, mając nadzieję, że nie padnie ani jeden strzał?

- Nic podobnego, moja miła. Gdybym to zrobił, z pewnością rozpełtałoby się piekło. - Założył nogę na nogę i wciągnął w nozdrza zapach ze złotej pomarańczy.

- Widzę, senor, że nie ma pan ochoty mi zaufać - podsumowała. Była naburmuszona.

Wzruszył ramionami.

- Czyż nie udzieliłem odpowiedzi na twoje pytania? Chcesz wiedzieć więcej? W takim razie ładnie mnie poproś, moja nadąsana damo!

Dominica postanowiła złagodzić ton i zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Ma pan prawo ze mnie drwić. Wiem, że jesteśmy panu winni wdzięczność. Mimo wszystko uważam, że mógłby mnie pan traktować z większą uprzejmością.

- Boże! - zawołał zaskoczony. - O co ci chodzi tym razem? - Rozprostował nogi i wyciągnął rękę ku Dominice. - Nie rozmawiajmy w ten sposób, maleńka. Nie jesteś mi nic winna. Uznajmy, że zrobiłem to, na co miałem ochotę, i ogłośmy rozejm!

- Popatrzył na nią z uśmiechem. - Uważasz, że z ciebie drwię? Myślałem, że jest odwrotnie.

- Jestem zdana na pańską łaskę - powiedziała ze smutkiem. - Jeśli ma pan ochotę ze mnie szydzić, proszę się nie krępować.

- Moje dziecko, mam ochotę posadzić cię na kolanach i pocałować.

- Jestem bezbronna - rzekła, nie podnosząc wzroku.

Po chwili zastanowienia wstał i przyklęknął obok niej.

- O co ci chodzi, Dominico? Naprawdę jesteś taka przerażona i uległa? - Zauważywszy figlarny błysk w jej oczach, roześmiał się. - Kłamczucha!

- zganił ją łagodnie. - Gdybym spróbował cię dotknąć, nie uniknąłbym ciosu.

Wargi jej drżały; spojrzała na niego spod rzęs. Ujął jej dłoń i pocałował.

- Co mam ci powiedzieć? - zapytał.

- Gdzie zamierza nas pan wysadzić na brzeg?

- Kilka mil na zachód od Santander, najśłodsza.

Jest tam wioska pełna przemytników; zostaniemy dobrze przyjęci.

- Przemytnczy! - Uniosła wzrok. - Czy jest pan jednym z nich? Mogłam się tego domyślić.

- Proszę mnie oczyścić z tego oskarżenia. Tym zajmował się przez wiele lat mój gruby bosman, który zna wszystkie przemytncze osady w Europie. Podpłyniemy tam bezpiecznie pod osłoną nocy, wysadzimy was na brzeg i oddalimy się przed świtem.

Nastąpiła chwila milczenia. Dominica w zamyśleniu popatrzyła na herb na ścianie.

- A więc tak kończy się nasza przygoda. Sir Nicholas wstał.

- Naprawdę tak myślisz?

- Niezależnie od pana śmiałych słów, senior, naprawdę tak uważam - odparła z powagą. - Mam nadzieję, że kiedy znajdę się w Hiszpanii, odzyskam wolność. Uwolnię się także od pana.

Oparł rękę na biodrze, drugą zaczął skubać brodę. Dominica powinna teraz zachować czujność, lecz nie znała Beauvalleta tak dobrze, jak jego ludzie.

- Pani - powiedział dobitnie - protoplasta mojego rodu miał inne motto niż to tutaj. - Wskazał ręką wstęgę pod herbem. - Istnieje stara kronika, napisana przez Alana, późniejszego hrabiego Montlice, z której dowiadujemy się, że Simon, pierwszy baron Beauvallet, obrał sobie za hasło następujące słowa: „Nie mam, lecz trzymam”.

- I cóż z tego wynika? - zapytała drżącym głosem.

- Nie mam cię jeszcze, ale możesz być pewna, że cię trzymam - odrzekł Beauvallet.

- To szaleństwo. - Zaśmiała się niepewnie.

- Słodkie szaleństwo.

- Nie wierzę, że ośmieli się pan postawić nogę w Hiszpanii.

- Na Boga, naprawdę? A gdybym jednak się ośmielił?

Popatrzyła na swoje splecione dłonie.

- Co ty na to? Jeśli się odważę? Jeśli przyjadę po ciebie do Hiszpanii? Co mi wówczas odpowiesz?

Zarumieniła się, pierś falowała jej w rytm przyspieszonego oddechu.

- Ach, gdyby istniał mężczyzna gotów zaryzykować tak wiele dla miłości!

- Ten mężczyzna stoi przed tobą. Co będziesz skłonna mu ofiarować?

Wstała. Dłoń położyła na sercu.

- Gdyby rzeczywiście odważył się na tak wiele, oddałabym mu... siebie, senor.

- Zapamiętaj tę obietnicę! - ostrzegł. - Będziesz musiała jej dotrzymać jeszcze w tym roku.

Popatrzyła na niego z lękiem.

- Ale jak... Jak...?

- Moja miła - odparł z prostotą - jeszcze nie wiem, ale z pewnością znajdę jakiś sposób.

- Na próżno się pan chełpi! - zawołała. Szybko podeszła do drzwi, ale zatrzymał ją dźwięk jego głosu. Odwróciła się przez ramię.

- Tak, senor?

- Oto dowód moich szczerych intencji - powiedział, zdejmując sygnet z palca. - Zachowaj pierścień Beauvalleta, dopóki Beauvallet po niego nie przyjdzie.

Po chwili wahania przyjęła podarunek.

- Po co to wszystko?

- Choćby po to, żebyś o mnie pamiętała. Dobrze go pilnuj.

Na misternie kutym złotym sygnecie widniał herb Beauvalletów.

- Zachowam go na zawsze - powiedziała - żeby przypominał mi... szaleńca.

Uśmiechnął się.

- Nie będziesz musiała poprzestać na wspomnieniach, najśłodsza. Zdarza się, że nawet szaleńcy dotrzymują obietnic.

- Nie ten, którego mam na myśli - odpowiedziała z westchnieniem i wyszła.

W ciągu następnych dni Dominica żałowała, że Hiszpania jest już tak blisko. Sprzyjała im pogoda, mieli korzystny wiatr. Szybko dopłynęli do Wysp Kanaryjskich; podróż miała się skończyć lada chwila. Dominica stała się uprzejmiejsza dla porywczego adoratora, wciąż jednak zachowywała odpowiedni dystans, nie w pełni mu ufając. Przystała na to, by uczył ją podstaw angielskiego i, wykazując niemałe zdolności, zgrabnie powtarzała słówka, przy których trzeba było seplenić. Przystała kokietować Dangerfielda; miała już mało czasu i wołała wykorzystywać go na przebywanie w towarzystwie Beauvalleta. Gdyby nie obecność ojca, być może nawet chętnie dałaby się porwać do Anglii w charakterze trofeum. Wątpliwości, które miała na początku, rozwiały się; o ile wcześniej trudno jej było uwierzyć w dobrą wolę Beauvalleta, teraz była już pewna, że istotnie zamierza

odwieźć ją do Hiszpanii. Bardzo go za to ceniła, choć perspektywa rozstania napęlała ją smutkiem. Nie wiedziała jednak, co myśleć o dalszych zamiarach Beauvalleta. Nie dopuszczał możliwości, że coś może mu się nie udać; ślepo wierzył we własne siły. Być może jakaś prostoduszna dziewczyna ufałaby mu bezgranicznie, jednak Dominica miała mnóstwo zastrzeżeń. Zapewne sir Nicholas lubił odgrywać rolę rycerza na białym koniu, by zaspokoić męską próżność; obawiała się jednak, że po powrocie do Anglii szybko o niej zapomni.

Musiała przyznać, że nie jest jej obojętny. Charakterystyczny zuchwały uśmiech często pojawiał się w jej marzeniach i snach. Nie miała pojęcia, co tak bardzo spodobało jej się w Beauvallecie. Przecież to awanturniczy łotr, który nie bawi się w dworskie zalecanki ani inne subtelności. Kobiety nie mogły oczekiwać od niego westchnień i zapewnień o tym, że usycha z tęsknoty. Śmiało sięgał po swoje, ścisnął i całował, kiedy przychodziła mu na to ochota, i znów wyruszał w świat. Zapewne beztrósco zawrócił w głowie niejednej kobiecie. Jest zbyt bezpośredni, uznała Dominica, popędliwy, nie zadaje sobie trudu, by doskonalić się w sztuce uwodzenia. Był dla niej jak silny wiatr, przesycony zapachem słonej wody. Nie potrafiła wyobrazić sobie Beauvalleta beczynnego; wciąż się przemieszczał, kipiąc energią, która wydawała się go rozsadzać. Dobrze zapamiętała także jego oczy, wyzywające spojrzenia, rzucane spod na wpół przymkniętych powiek. To okropne, że na ten widok mocniej biło jej serce. Gdy mijał ją na pokładzie, z ręką na biodrze, beztróski, nie mogła oderwać od niego wzroku. Na chwilę zatrzymywał się, by wymienić jakieś uwagi ze swymi ludźmi, a wiatr niósł do niej jego słowa. Potem wyciągał rękę, zdecydowanie potrząsał głową, rozbawiał rozmówców jakimś żartem i szybko zbiegał pod pokład.

Odniosła wrażenie, że wszyscy darzą go szacunkiem, wręcz go podziwiają. Nikt jednak nie ośmielił mu się przeciwstawić. Lubiano go, lecz również się go bano. Po kilku lekcjach angielskiego Dominica potrafiła zrozumieć niektóre uwagi i mogła się domyślić, co marynarze sądzą o swym dowódcy. Uważali go za wielkiego kpiarza. Zastanawiała ją mentalność tych roześmianych Anglików. Hiszpanie nie zachowywali się w ten sposób.

Tymczasem Hiszpania, z całą swoją dworską poprawnością, etykietą, nadętym przepychem, była coraz bliżej. Szalona przygoda na morzu dobiegała końca. Don Manuel, wsparty na poduszkach, mówił

coś na temat przyzwoitek; Dominica tylko wzruszała ramionami i rozmarzonym wzrokiem spoglądała na Beauvalleta. Osobie przyzwyczajonej do wolności, jaką cieszyła się w Nowym Świecie, nie w smak były konwenanse obowiązujące w Starym Kraju. Don Manuel przyznawał ze smutkiem, że dawał córce zbyt wiele swobody. W rezultacie miała niezależne poglądy, była zuchwała i uparta. Widział, jak zachowywała się na pokładzie „Santa Marii”. Kobieta zaskoczona przez korsarzy powinna znieruchomieć z przerażenia, zastygnąć jak posąg męczeństwa. Córa Hiszpanii nie powinna kopać, gryźć i rzucać się na prześladowców, nie mówiąc już o wymachiwaniu sztyletem i obrzucaniu wyzwiskami porywaczy. Don Manuel przeżył wtedy szok, jednak zbyt dobrze znał córkę, by pozwolić sobie na jakiegokolwiek komentarze. Pozostawało mu żywić nadzieję, że jego siostra okaże się doskonałą przyzwoitką i nauczy Dominicę moresu. Niejednokrotnie dawał córce do zrozumienia, że powinna wyjść za mąż i prowadzić stateczne życie, a ona słuchała go z rosnącym lękiem i pośpiesznie opuszczała kajutę, by ochłonąć na pokładzie.

- Och! - zawołała kiedyś. - Czy angielskie damy też są tak strzeżone i skrupowane tysiącem ograniczeń, jak Hiszpanki?

Osiągnęli już szerokości geograficzne, w których panował chłodniejszy klimat i wiał zimny wiatr. Beauvallet zdjął pelerynę i otulił nią Dominicę.

- Nie zamierzam cię ograniczać, najdroższa, ale bądź pewna, że dobrze wiem, jak troszczyć się o swój skarb.

- Czy w Anglii także zatrudnia się okropne przyzwoitki, których zadaniem jest pilnowanie żon? - zapytała.

Pokręcił głową.

- Staramy się im ufać.

- Prawie udało się panu mnie przekonać, sir Nicholasie! - Uniosła brwi, widząc, że zamierza ją przytulić. - Na oczach pańskich ludzi? Powiedziałam: prawie. Wiem, że mój ojciec chce, żebym wyszła za mąż.

- Rozsądny człowiek - pochwalił Beauvallet. - Bóg mi świadkiem, że pragnę dla ciebie tego samego.

- Nawet jeśli rzeczywiście przybędzie pan do Hiszpanii, może się okazać, że będę już mężatką.

W jego oczach pojawił się groźny błysk.

- Naprawdę? - zapytał, wyraźnie domagając się odpowiedzi.

Odwróciła wzrok, uśmiechnęła się i spłonęła rumieńcem.

- N - nie - odparła.

Dzień, gdy na południu ukazały się wybrzeża Hiszpanii, nadszedł stanowczo zbyt szybko. Don Manuel wyszedł na chwilę na pokład, chłostany zimnym wiatrem, i spojrzał w kierunku wskazanym przez Beauvalleta.

- Tam jest Santander, senior. Dziś w nocy wysadzę państwa na ląd.

Dzień szybko dobiegł końca. Zapadł zmierzch. Dominica patrzyła, jak Maria pakuje kufry. Służąca zamierzała umieścić klejnoty w okutej złotem szkatułce, starannie je przedtem przeliczywszy. Nie potrafiła do końca zaufać Anglikom, snuła najrozmaitsze podejrzenia.

Dominica nagle zapragnęła sama schować klejnoty. Postawiła szkatułkę na stole, wyłożyła jej zawartość na stół i długo nad nią rozmyślała z wyrazem smutku i czułości na twarzy. W końcu wybrała złoty pierścionek, za duży na jej drobną dłoń i zbyt masywny dla damy. Owinęła go w chusteczkę i szybko zamknęła szkatułkę, by Maria nie zauważyła zniknięcia jednej sztuki cennej biżuterii.

Otuliła się peleryną i pobiegła na spowity w mroku pokład. W słabym świetle było widać jej bladą twarzyczkę. Statek płynął teraz wolniej, ciemne fale łagodnie uderzały o dębowe burty. Na pokładzie panowała krzątanina; Dominica usłyszała, jak kapitan nakazuje mocno trzymać ster. Beauvallet stał w świetle kołyszącej się lampy, z bosmanem u boku. Bosman trzymał latarnię i wypatrywał czegoś w ciemności. Gdzieś daleko na południu widać było światła; Dominica domyśliła się, że „Venture” dopływa do Hiszpanii.

Podeszła do Beauvalleta i nieśmiało położyła mu dłoń na ramieniu. Szybko się obejrzał i natychmiast nakrył jej dłoń swoją.

- Co, maleńka?

- Przyszłam... chciałam... chcę z panem chwilę porozmawiać.

Odsunął ją i spojrzał na nią pytająco.

- Proszę, mów, słucham.

Wyciągnęła rękę, w której trzymała złoty pierścionek.

- Senior, dał mi pan swój sygnet. Myślę, że nigdy już się nie zobaczymy, więc... chciałabym, żeby przyjął pan ode mnie ten pierścionek na pamiątkę naszego spotkania.

Chwycił dłoń z pierścionkiem i mocno uściskał. Wyprowadził Dominicę z kręgu światła, stanęli naprzeciw siebie w ciemności. Otoczył ją ramionami, a ona znieruchomiała z dłońmi przyciśniętymi do piersi. Przytulił ją mocno i szepnął:

- Najdroższa! Kochanie! To szaleństwo, ale jakie cudowne!

Uniosła głowę, dotknęła jego policzka i nieśmiało go pocałowała. Kręciło jej się w głowie; była pewna, że nigdy nie zapomni mocnego uścisku ramion tego Anglika, tulącego ją do siebie. Jej serce co chwila zmieniałoby rytm, czuła dreszcze. Wyszepiała:

- Querida! Najdroższy! Nie zapomnij mnie całkiem!

- Jak mógłbym zapomnieć? Ależ z ciebie niedowiarek! Chyba czujesz, w jaki sposób cię trzymam. Myślisz, że mógłbym pozwolić ci odejść?

Była oszołomiona, policzki jej pałały.

- Och, puść mnie! - poprosiła, drżąc w jego ramionach. - Jak mogę uwierzyć w to, że uda ci się dokonać czegoś niemożliwego?

- Dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych. Musimy się rozstać, obiecałem ci to, ale nasza rozłąka nie potrwa długo, kochanie, przekonasz się. Wypatruj mnie jeszcze przed końcem tego roku, możesz być pewna, że przybędę.

Obok nich rozległ się czyjś donośny głos.

- Gdzie pan jest? Odpowiedzieli na nasz sygnał. Beauvallet zdążył puścić Dominicę, nim podszedł do nich bosman.

To, co nastąpiło potem, było jak sen. Na ładzie błyskało światło. Dominica zeszła pod pokład, by zobaczyć, że jej bagaże zostały już wyniesione; słyszała też krzątanicę wokół przygotowywanej do spuszczenia na wodę łodzi. Don Manuel siedział gotowy do drogi. Miał na sobie podbitą futrem pelerynę, a mimo to drżał na całym ciele.

- Udało mu się - powiedział z zadowoleniem Don Manuel. - To dzielny człowiek.

Po chwili zjawił się Dangerfield, by pomóc im zejść do szalupy; podał ramię Don Manuelowi, patrząc jednak z żalem na Dominicę. Weszli na pokład, gdzie zastali Beauvalleta przy sznurowej drabinie. W dole czekała już łódź, unosząca się na atramentowej wodzie. Dostrzegli w niej bosmana i jego ludzi, a także bagaże.

Sir Nicholas postąpił krok.

- Don Manuelu, czy ma pan siły, by zejść po drabinie?

- Spróbuję, senor. Bartolomeo, idź przede mną. - Popatrzył na Beauvalleta. - To jest nasze pożegnanie. Proszę pozwolić mi powiedzieć...

- Jeszcze nie teraz, senor. Dopilnuję, żeby bezpiecznie dotarli państwo na brzeg.

- Zamierza pan z nami popłynąć? Nie możemy tego od pana wymagać.

- Proszę się nie niepokoić, poza tym o nic mnie pan nie prosił. Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Beauvallet, podając rękę Don Manuelowi.

Don Manuel nie bez trudu zszedł do łodzi, asekurowany przez Bartolomea. Beauvallet zwrócił się do Dominiki, szeroko otwierając przed nią ramiona.

- Zaufaj mi, kochanie - powiedział.

Bez słowa podeszła do niego i pozwoliła, by wziął ją na ręce. Zręcznie zsunął się z drabiny i postawił Dominicę w łodzi, cały czas ją podtrzymując. Usiadła obok Marii, z tyłu. Beauvallet zszedł po drabinie, minął Dominicę i służącą, dotarł aż do rumpla i po cichu wydał rozkaz swoim ludziom, którzy zanurzyli długie wiosła w falującą wodę. Łódź niemal bezszelestnie ruszyła w stronę lądu.

Rożek księżycyca wyłonił się nagle zza chmur; Dominica rozejrzała się i zobaczyła za sobą Beauvalleta, trzymającego ster. Sir Nicholas, który dotąd patrzył przed siebie, natychmiast odwrócił się i uśmiechnął.

- Tam mogą być żołnierze! Wpadniemy w pułapkę! - zawołała, zdjęta nagłym strachem.

Roześmiał się, ukazując białe zęby pomiędzy czernią wąsów i brody.

- Nie trzeba się bać.

- Ryzykant - powiedziała cicho. - Wolałabym, żebyś z nami nie płynął.

- Jak to sobie wyobrażasz? Miałbym narazić moich ludzi na niebezpieczeństwo, któremu sam nie zamierzam stawić czoła? - zganiał ją.

Popatrzyła na niego; prezentował się imponująco na tle księżycowej poświaty.

- To nie byłoby w twoim stylu - przyznała. - Przepraszam.

Chmury znów zasłoniły księżyc, twarz Beauvalleta stała się cieniem na tle nocnego nieba.

- Mam broń, maleńka. Nie bój się.

- A może raczej: nie przejmuj się? - powiedziała cicho.

Odpowiedzią był wesoły śmiech.

Szybko, stanowczo zbyt szybko, stępka łodzi zazgrzytała o brzeg. Jacyś mężczyźni biegli im na spotkanie; chwycili łódź, przytrzymali ją i zaczęli zadawać szorstkim tonem niezliczone pytania po hiszpańsku. Sir Nicholas wyminął bagaże i wioślarzy i wyskoczył na brzeg. Zaraz po nim zrobił to bosman. Nastąpiła szybka wymiana pytań i odpowiedzi, zabrzmiały jakieś okrzyki. Potem Beauvallet, brodząc w wodzie, podszedł do łodzi i podał rękę Don Manuelowi.

- Wszystko w porządku, senior. Ci mężczyźni przenocują państwa, a rano pański sługa może pojechać do Santander, by wynająć powóz.

Krzepki marynarz wyniósł Don Manuela na suchy ląd; córka znalazła się w ramionach sir Nicholasa. Gdy stanęli na plaży, Beauvallet pochylił się i pocałował Dominicę, a potem przytulił ją jeszcze na chwilę.

- Do zobaczenia! - powiedział, stawiając ją na brzegu. - Zaufaj mi!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

„Venture” został w Plymouth pod opieką pana Culpeppera, a przywiezione łupy bezpiecznie schowano. Okręt trafił do doku, miał zostać przygotowany do ponownego wypłynięcia w morze. Beauvallet spędził trzy dni w Plymouth, porozmawiał z kompanami, wysłuchał nowinek z zagranicy i dopatrywał prac przy statku. Potem najał konia i wraz z Joshua Dimmockiem i pomocnikiem, który z trudem nadażał za nimi z jucznymi zwierzętami, udał się do Alreston w Hampshire, gdzie spodziewał się zastać brata.

Lord Beauvallet posiadał liczne majątki, jednak najczęściej przebywał właśnie w Alreston. Wcześniej mieszkał w ponurej twierdzy w Cambridgeshire, wzniesionej przed niemal dwustu laty przez założyciela rodu, Simona, pierwszego barona Beauvallet. Pochodzący z morganatycznego małżeństwa potomek starego rodu Malvalletów, Simon, wywalczył dla siebie nowe nazwisko i nowy tytuł. Stoczywszy wiele bitew we Francji za króla Henryka V, po zakończeniu wojen wrócił do Cambridgeshire z francuską żoną, pełnoprawną hrabiną, właścicielką ziem i twierdzy w Normandii. O wspaniałych wyczynach pierwszego Beauvalleta mówią panegiryczne kroniki jego bliskiego przyjaciela, Alana, hrabiego Montlice, który ostatnie lata życia poświęcił na spisywanie wspomnień. Te nierówne dzieła, utrzymane w nazbyt poetyckim stylu, mimo wszystko warte są zainteresowania.

Od czasów Żelaznego Barona ród przechodził zmienne koleje losu. Francuskie hrabstwo zostało bardzo wczesnie utracone na rzecz angielskiej linii, jako że Simon, nieustannie drący koty ze swym pierworodnym synem, podarował je drugiemu synowi, Henry'emu, który w ten sposób stał się założycielem obecnej francuskiej linii rodu.

Geoffrey, drugi baron, przeżył Wojnę Dwóch Róż, jednak zostawił baronię zubożoną, bo był nieporadny i miał trudności z podejmowaniem decyzji. Jego potomek, Henry, ożenił się z Margaret, dziedziczką Malvallet, i dzięki temu korzystnemu małżeństwu nastąpiło połączenie dwóch rodzin. Spadkobiercy usiłowali pomnażać rodzinne dobra, jednak czasy były trudne i niełatwo było obrać bezpieczny kurs pośród zmieniających się układów politycznych. Tak więc obecnie, w 1586 roku, mimo, że ród Beauvalletów dzięki starannie planowanym małżeństwom był spokrewniony z wieloma znamienitymi domami i stał się jednym z najzamożniejszych w kraju,

obecny posiadacz tytułu był jedynie baronem, podobnie jak jego poprzednik.

Siódmy baron, Gerard, poważny, uczciwy człowiek, wybudował nowy dom w Alreston. Była to solidna, okazała posiadłość, do budowy której użyto czerwonej cegły i dębiny. Pani domu, krucha i wrażliwa, ciągle narzekała na surowy klimat Cambridgeshire i w swój delikatny sposób nalegała na opuszczenie starego zamczyska pełnego przeciągów oraz wilgotnych, ponurych zakątków. Lord, który odziedziczył surowy charakter wielkiego przodka, lubił tę średniowieczną twierdzę, a stosowanie dębiny do budowy domu uważał za zbytek i brak dobrego smaku. Uchodził za silnego mężczyznę o żelaznej woli, jednak żonie udało się trafić w jego czuły punkt. I tak w znacznie łagodniejszym klimacie Hampshire, na ziemiach stanowiących część posagu babki Gerarda, powstał okazały dom w stylu Tudorów, otoczony ogrodami i stajniami, gospodarstwami i akrami pól, łąk i pastwisk. Widać było, że lord, mimo swej powściągliwości, jest dumny z tak wspaniałego domostwa. Chociaż lekceważąco wyrażał się o modzie na luksus, zadbał o to, by w domu nie zabrakło oznak bogactwa, nie wyłączając pogardzanych dębowych boazerii, a wszystko zostało wyrzeźbione i pomalowane z taką starannością, że sąsiedzi nie kryli podziwu.

Tam właśnie w pewien pogodny wiosenny dzień zawitał Nicholas. Po rocznej nieobecności ze wzruszeniem popatrzył na stróżówkę u wejścia. Brama była otwarta. Ukazywała szeroką aleję, okalającą ją trawniki i wysokie szczyty dachu domostwa. Sir Nicholas zatrzymał konia i krzyknął coś w głąb sklepionej bramy. Stróż, który wyłonił się ze swego domku, rozpromienił się na widok nowo przybyłego, spiesząc na powitanie.

- Kogo ja widzę! Pan Nick! Beauvallet podał mu rękę.

- Co tam, Samson? Jak się miewa mój brat?

- Dobrze, proszę pana, bardzo dobrze, podobnie jak lady Beauvallet - odpowiedział Samson, pochylając się, by ucałować dłoń Nicholasa. - Wrócił pan nareszcie do domu. Bardzo nam tu pana brakowało.

Beauvallet uśmiechnął się.

- Nie, nie, tu wystarczy obecność brata.

- To dobry pan - przyznał Samson. - Jednak nie ma takiego człowieka w majątku Beauvalletów, który nie ucieszyłby się z powrotu sir Nicholasa.

- Ty pochlebco! - żartobliwie złątał go Beauvallet. - A co ja takiego zrobiłem dla tej ziemi?

- Nie o to chodzi. - Samson potrząsnął głową. Miał wyraźną ochotę na kontynuowanie wątku, lecz sir Nicholas roześmiał się i machnął ręką. Wjechał na teren posiadłości.

Od podjazdu na taras i do okazałych drzwi prowadziły szerokie kamienne schody, wzdłuż których stały przyszczyżone cisy w donicach. Nad drzwiami widniał wykuty w kamieniu herb Beauvalletów. Wąskie witrażowe okna w półokrągłych wykuszach po obu stronach drzwi miały obramowania zwieńczone kamiennymi wolutami na ceglanym tle. Dach był czerwony, z wysokimi kominami po obu stronach i okrągłymi oknami pomiędzy licznymi szczytami. Drzwi frontowe stały teraz otworem, by do wnętrza wpadało wiosenne słońce.

Sir Nicholas zgrabnie zeskoczył z konia, rzucił wodze Joshui i wszedł na schody. Złożywszy dłonie w trąbkę, niczym mały chłopak, zawołał:

- Hej, jest tam kto? Nikt nie wyjdzie Nickowi na spotkanie?

W jednej chwili z okien na piętrze wyjrzały służące, dał się słyszeć szept „Wrócił sir Nicholas!”, wygładzano suknie i poprawiano uczesania. Zawsze można było liczyć na to, że sir Nicholas obdarzy najładniejszą służącą całusem, nie zważając na ciche protesty lady Beauvallet.

Korpulentny pan Dawson, wieloletni ochmistrz, był właśnie w spiżarni, gdy usłyszał okrzyki. Wybiegł na korytarz. Za nim spieszyli lokaje i Margery, mała, pomarszczona staruszka w białym czepku, chcąc pierwsza powitać swego wychowanka. Dotarłszy do drzwi, niania przepchnęła się obok Dawsona, bezceremonialnie nurkując pod jego ramieniem.

- Mój pieszczoszek! - zawołała sędziwa niania Margery. - Moje jagniątko! Czy to naprawdę moje maleństwo?

- Naprawdę - zapewnił ze śmiechem sir Nicholas, chwytając ją w ramiona. Jednym tchem wyrzuciła z siebie wszystkie czułe słówka i napomnienia. Co za łobuziak i raptus, żeby tak chwytac starą kobietę! Ależ jest opalony! Byłaby gotowa przysiąc, że urósł, jednak ma

zapadnięte policzki; obawia się, że jest niezdrów. A to nicpoń, tak długo go nie było, a po przyjeździe do domu śmieje się ze swojej biednej niańki. Musiała go poklepać, pogładzić po rękach, sprawdzić grubość jego eleganckiego kaftana z pięknej tkaniny, ozdobionego nacięciami i złotymi frędzlami. A to rozrzutnik! Uważaj, uważaj! Czyżby nie widział, że lord Beauvallet wyszedł mu na powitanie?

Lord zbliżał się majestatycznym krokiem, mając na ramionach płaszcz z kamlotu, okolony srebrzystym futrem, a na szyi złoty łańcuch. Nosił okazałą brodę, niczym duchowny. Był jasnowłosy, w przeciwieństwie do Nicholasa, miał podobne niebieskie oczy, w których jednak próżno by szukać zawadiackiego błysku. Wysoki, o imponującej posturze, istne uosobienie dostojeństwa i powagi.

- Nick! - zwrócił się z uśmiechem do brata. - Żona usłyszała jakieś poruszenie i od razu się domyśliła, że wróciłeś. Jak się masz, chłopcze?

Bracia serdecznie się uściskali.

- Tak jak widzisz, Gerardzie. A ty?

- Nie najgorzej. W lutym dopadła mnie gorączka, ale szczęśliwie minęła.

- Oczywiście musiał pojechać do Cambridgeshire, do tego wilgotnego, niezdrowego zamczyska. Wiedziałam, że nic dobrego nie może z tego wyniknąć, przeczułam ten atak gorączki - wtrąciła lady Beauvallet. - Drogi Nicholasie, witaj w domu.

Nicholas odwrócił się, by powitać bratową, ucałował najpierw jej dłoń, a potem usta. - Czy zastałem cię w dobrym zdrowiu?

- Nick! - Zaczerwieniła się i żartobliwie pogroziła mu palcem. - Jesteś niepoprawny! Niestety, sroga zima, chyba najmroźniejsza, odkąd pamiętam, ogromnie mnie wyczerpała. Na Nowy Rok miałam zlewne poty, a potem, na początku lutego, chwyciła mnie febra. Myślałam, że to już koniec.

- Ale nadeszła wiosna i wraz z nią odzyskujesz siły? - zapytał Nicholas.

Popatrzyła na niego niepewnie.

- Żywię nadzieję, że tak jest, ale jak wiesz, mam słabe zdrowie.

Gerard postanowił przerwać te narzekania.

- Widzę, że przywiozłeś tu tego nicponia - rzekł, ruchem głowy wskazując Joshuę, rozmawiającego z lokajami. - Wyszkoliłeś już go jak należy?

- Nic podobnego, braciszku. Joshua! Ej, łotrze, chodź przywitać się z lordem! - Nicholas objął lady Beauvallet w pasie i zaprowadził ją do domu.

- Chodźmy, Kate. Wieje chłodny wiatr, możesz dostać kolejnego ataku gorączki. Łagodnie zaprotestowała.

- Nick, widzę, że wciąż jesteś zuchwałą. Zapewniam cię, że nie byłby to drugi, a co najmniej siódmy atak. Ledwie trochę się podleczę, zaraz coś się przyplątuje. Chodźmy do sali. Tam jest ciepło. Siądziemy sobie przy kominku i dostaniesz wina albo wybornego piwa. Dawson! Dawson, przynieś... Och, gdzieś sobie poszedł! Zapraszam do wnętrza, Nicholasie, na pewno zmarzłeś w czasie jazdy.

Odsunawszy kotarę, weszli do wielkiej sali. Było to ogromne, wysoko sklepienie pomieszczenie z dębowymi belkami u powały i ścianami ozdobionymi boazerią. Liczne okna umieszczono wysoko ponad głowami. W końcu sali, we wnęce okiennej, znajdowało się podwyższenie ze stołem i ławami. Przy jednej ze ścian zbudowano kominek, w którym płonęły drwa. Nad gzymsem, wspartym na kolumnkach, wisiały tarcze herbowe. Na podłodze leżało sitowie z rozrzuconym na nim rozmarynem; po obu stronach kominka, wzdłuż ściany, stały ławy z oparciami i rzeźbione krzesła.

Lady Beauvallet usiadła przy kominku; jej ogromna krynolina wydawała się zajmować całą ławę, więc sir Nicholas podszedł do drugiej.

- Usiądź, drogi Nicholasie - poprosiła lady Beauvallet. - Dawson nadejdzie lada chwila, na pewno też przyjdzie tu mój mąż.

Sir Nicholas zdjął pelerynę i odrzucił ją na bok tak, że opadła na oparcie jednego z krzesel przy ścianie. Margery, wyglądająca zza kotary, aż się skurczyła na widok takiego potraktowania pięknej szaty. Kate zauważyła wykrzywioną twarz niańki i uśmiechnęła się pogodnie.

- Proszę, wejdź, Margery. Marny dziś radosny dzień. Wszyscy się cieszymy, że sir Nicholas przyjechał do domu.

- To prawda, milady. - Margery dygnęła. - Ale jaki z niego świszczypała! Czy nikt nigdy nie przemówi mu do rozsądku? - Uniosła pelerynę i złożyła ją starannie. - A kapelusz rzucił na podłogę. Ma w nim dwa piórka, elegancik! - Fuknęła z dezaprobatą. - Posłuchaj starej Margery, pieścioszku, i znajdź sobie żonę.

- Po co mi żona? - zapytał sir Nicholas, rozprostowując długie nogi. - Przecież mam Margery, która nieustannie zwraca mi uwagę, i piękną Kate, która ze smutkiem kiwa nade mną głową.

- Och, Nicholasie, wstydz się - powiedziała lady Beauvellet. - Wcale tego nie robię, chociaż często mam na to ochotę. O, jest mój mąż. W samą porę. Twój brat twierdzi, że Margery i ja nieustannie go karcimy.

Lord Beauvellet usiadł obok Nicholasa na ławie.

- Dawson przyniesie ci piwa. Jest pewien, że tego właśnie potrzebujesz. - Uśmiechnął się. - Rzadko się zdarza, żeby w domu wybuchało takie radosne zamieszanie z powodu niewdzięcznego łotra.

Sir Nicholas odchylił głowę i roześmiał się.

- Stara śpiewka. Wiem, że cię denerwuję, Gerardzie.

- Nie o to chodzi. - Lord Beauvellet łagodniej popatrzył na brata.

- Czy tym razem zamierzasz zostać na dłużej?

- Spokojnie, Gerardzie, musisz uzbroić się w cierpliwość - odpowiedział wesoło Nicholas.

Nadszedł Dawson w towarzystwie lokaja, niosącego na tacy piwo.

- Proszę się pokrzepić.

Sir Nicholas sięgnął po kufel.

- Daję słowo, że bardzo często marzyłem o takiej chwili. Milady, twoje zdrowie.

- Och! - Lady Beauvellet westchnęła, ze smutkiem kręcąc głową.

Gerard wziął z tacy drugi kufel.

- Z pewnością ucieszysz się, słysząc wiadomości o lady Stanbury - powiedział. - W zeszły piątek o siódmej wieczorem otrzymałem list od jej męża, w którym donosi mi o narodzinach syna.

- W końcu mają syna?! - wykrzyknął sir Nicholas, duszkiem wypijając resztę piwa. - Sam już nie wiem, ile córek powiła Adela! Dawson, jeszcze jeden kufel, chcę wypić zdrowie mojego siostrzeńca! - Popatrzył na Gerarda. - Jak się miewa moja siostra? Kto będzie chrzestnym?

- Miewa się doskonale. Poproszono mnie, żebym podawał dziecko do chrztu, wraz z moją żoną i kimś jeszcze. Niebawem udamy się z wizytą do Worcester; Adela bardzo cieszy się na to spotkanie. Zapewne jeszcze nie wiesz, że nasz kuzyn Arnold ożenił się z młodszą

córką Groshawka. Mógł lepiej trafić, ale podobno starsza córka okazała się za bardzo przywiązana do matki i Arnold się zniechęcił.

Przez pewien czas rozmawiali na tematy rodzinne, potem lady Beauvallet odeszła, by dopilnować przygotowania pokoju dla Nicholasa. Nick udał się do stajni, chcąc przywitać się ze służbą i zobaczyć nowe konie. Brat chętnie mu towarzyszył.

- Ten koń berberyjski powinien ci się spodobać - powiedział Gerard. - Wypróbuj go. Kupiłem go w dzień świętego Michała, ale obawiam się, że jestem trochę za ciężki. Myślę, że będzie ci odpowiadał charakter tego wierzchowca: to temperamentna, niecierpliwa bestia. - Chwycił Nicholasa za ramię, zmuszając go do zwolnienia kroku. - Spokojnie! Dokąd się tak spieszysz?

- Donikąd. Wciąż masz swoje sokoły?

- Tak. W ubiegły czwartek wybrałem się na polowanie z sąsiadem, z Selbym. Pozwoliłem, by moja piękna sokolica zapolowała na bażanta, który ukrył się w gęstwinie. Co za ptak! Dostałem ją od Stanbury'ego, który gościł tu w wigilię Trzech Króli. Niebawem zobaczysz to cudo. Selby wypatrzył krzyżówkę i gwizdnął na swojego sokoła. Ten dwa razy pikował i nie trafił, udało mu się złapać kaczkę dopiero po długim locie...

Kontynuowali rozmowę na temat sokolnictwa, po czym zaczęli omawiać sprawy związane z zarządzaniem majątkiem. Kiedy powoli wracali do domu, słońce już zachodziło, nadając niebu czerwoną barwę. Dawson powitał ich, zawiadamiając o kolacji. Dowieziono już bagaże, które zostały wniesione do pokoju sir Nicholasa. Wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie. W komnacie zastał Joshuę, który przygotował już wams i bufiaste spodnie z modnymi nacięciami oraz różowe jedwabne pończochy, a także świeżą nakrochmaloną krezę.

Wielkie rzeźbione łoże z baldachimem wspartym na czterech podporach - kariatydach i z falbaniastymi adamaszkowymi kotarami zajmowało dużą część pomieszczenia. U jego stóp znajdowała się łukowato wygięta komoda z orzecha intarsjowanego drewnem wiśniowym, w kącie pokoju stała zbroja, była też druga komoda z miednicą i cynowym dzbanem, na ścianie wisiały malowidła, a przy oknie ustawiono krzesło. Sir Nicholas opadł na nie i rozprostował nogi.

- Zdejmij mi buty, Joshua. Gdzie jest szkatułka, której kazałem ci strzec jak źrenicy oka?

- Jest bezpieczna, zaraz ją przyniosę. - Joshua ukląkł i ściągnął panu ubłocone buty. - W domu wszystko w porządku - powiedział. - Pan Dawson spytał mnie, co zamierza pan teraz robić.

Zauważył pan, jak on przytył od spokojnego, dostatniego życia? No więc spytał mnie: „Czy zamierza pan zostać w Anglii, panie Dimmock?” Uznałem, że to jest wtrącanie się w pańskie sprawy. Niech się pan nie obawia, natychmiast go zbyłem. „Nigdy nie zdradzam planów sir Nicholasa” - odpowiedziałem. Porządnie go zawstydzilem.

- A niech to! - wykrzyknął sir Nicholas, wyraźnie rozbawiony. - Mój drogi Joshuo, udzieliłeś prawdziwie dyplomatycznej odpowiedzi. Ale może zechcesz mi wyjawić, jakie są moje plany?

Joshua wstał z butem w ręku.

- Przecież pan mnie jeszcze nie wtajemniczył - odparł wesolo. - Nie chciałem tego mówić temu tłustemu ochmistrzowi. Nadęty osioł z wielkim bandziochem! Mimo wszystko, mistrzu, a proszę mi wierzyć, że długo nad tym myślałem, uważam, że nie byłoby źle, gdybyśmy zostali w domu.

Sir Nicholas zajął się rozwiązywaniem podwiązek.

- No, no, uważam, że lepiej będzie, jeśli wyjedziemy, jak tylko „Venture” będzie gotowy do wypłynięcia w morze.

Joshua sposepniał.

- Naprawdę?

Sir Nicholas popatrzył na niego uważnie swymi niebieskimi oczami.

- Możesz sobie bezpiecznie zostać w domu. Przecież do niczego cię nie zmuszam. Chcę ci tylko powiedzieć, że tym razem wyruszam na spotkanie prawdziwej, nie byle jakiej przygody.

- W takim razie powinien mnie pan ze sobą zabrać - rzekł poważnie Joshua. - Skoro znowu wyrusza pan w morze, będę panu towarzyszył. - Uniósł wams z łoża i popatrzył z przyganą na sir Nicholasa. - Wcale nie żartuję. Muszę być pod ręką, żeby czuwać nad panem. Nie mówię, że nie wolałbym posiedzieć w domu, ale bez dwóch zdań pojedę tam, gdzie pan. Widać taki już mój los.

- Jesteś jak biblijna Rut - pozwolił sobie na śmiałe porównanie sir Nicholas.

Po pewnym czasie zstępował ze schodów, prezentując się niezwykle wytwornie w kaftanie we francuskim stylu, z haftowanymi rękawami. Długie, kształtne nogi sir Nicholasa wspaniale prezentowały się w jedwabnych różowych pończochach, z rozetkami u podwiązek. Schludna niewielka kreza wdzięcznie okalała twarz. Lord Beauvallet, uznający tylko szerokie krezy, pogardliwie odnosił się do mody, której hołdował brat.

Gerard i jego żona siedzieli w salonie; kolacja została już podana. Sir Nicholas podszedł do stołu i postawił przed bratową niewielką szkatułkę.

- Hiszpania składa hołd twojej urodzie, Kate - rzekł, spoglądając z ukosa na spochmurniałe oblicze Gerarda.

Lady Beauvallet doskonale wiedziała, co może znajdować się w szkatułce, jednak postanowiła trochę się podroczyć.

- Nicholasiu, co mi przywiozłeś? - zapytała, patrząc na niego niebieskimi oczami.

- A, takie tam świecidełko, nic szczególnego. Mam w kufrze chiński jedwab, z którego będziesz mogła uszyć sobie suknię.

Lady Beauvallet otworzyła szkatułkę i aż klasnęła z wrażenia.

- Och, Nick! Rubiny! - Ostrożnie wyjęła ze szkatułki złoty łańcuszek z cennymi klejnotami. Uniosła go i niepewnym wzrokiem popatrzyła na Gerarda. - Popatrz, Nicholas sprawił mi wspaniały prezent.

- Owszem - przyznał ponuro Gerard. - Skradziony Hiszpanom.

Lady Beauvallet z westchnieniem odłożyła łańcuszek.

- W takim razie nie powinnam go nosić?

- Phi! - prychnął Nicholas, sięgnął po łańcuszek i włożył go Kate na szyję. - Mam też różne błyskotki dla królowej. Gwarantuję ci, że będzie je nosiła. Nie zwracaj uwagi na to, co mówi twój mąż.

- Jestem pewna - powiedziała lady Beauvallet, zdobywając się na odwagę - że jeśli Jej Wysokość nie ma wątpliwości, czy powinna nosić tę biżuterię, to ja również nie muszę ich mieć.

- Zrobisz, jak uważasz, pani - powiedział chłodno Gerard.

Kolacja została spożyta w milczeniu, zgodnie z domowym zwyczajem, jednak kiedy ze stołu zniknęła gęś i podano słodczyce, a przed lordem postawiono kieliszek wina z miodem i korzeniami, powrócono do rozmowy. Gerard obmył palce w poślacanej misie

podsunętej przez lokaja w niebieskiej liberii i odezwał się już znacznie łagodniejszym tonem.

- Nick, nic nam nie mówisz o swoich planach. Czy wróciłeś na stałe?

- Przyznaj, braciszku, że czujesz się swobodniej, kiedy przebywam za granicą - zażartował Nicholas, nalewając wina do kieliszka z delikatnego weneckiego szkła.

Gerard pozwolił sobie na uśmiech.

- Wiesz, że to nieprawda. Nie zaprzeczam jednak, że uważam cię za szaleńca.

- Chciałeś powiedzieć: rozrabiakę.

- Niech będzie. - Lord Beauvallet uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Jestem pewna, że Nicholas spowaźniał - wtrąciła lady Beauvallet. - Proszę, nie używajcie mocnych słów. Przecież Nicholas liczy już sobie trzydzieści cztery... czy raczej trzydzieści pięć wiosen...

- Boże, aż tyle? - Nicholas sprawiał wrażenie zaskoczonego. Uniósł kieliszek do światła. Wyraźnie się nad czymś zastanawiał. Lord Beauvallet zauważył, że kąciki ust brata wygięły się nieznacznie w lekkim uśmiechu.

- Czas już skończyć z tym włóczęgiem się po morzach - stwierdził Gerard.

Nicholas posłał mu kpiące spojrzenie i powrócił do wpatrywania się w wino.

Kate wstała.

- Odnoszę wrażenie, że macie sobie wiele do powiedzenia - oznajmiła. - Znajdziecie mnie w galerii.

El Beauvallet otworzył przed nią drzwi. Mijając go, uśmiechnęła się nieznacznie.

- Mam nadzieję, że posłuchasz mojego męża, Nick. Bardzo byśmy chcieli, żebyś został w Anglii.

Uniósł jej dłoń do warg, nie odzywając się jednak ani słowem. Gdy wyszła, zamknął za nią drzwi.

Lord Beauvallet odsunął krzesło od stołu, rozsiadł się wygodniej i nalał sobie kolejny kieliszek wina.

- Siadaj, Nick! Niech no poznam twoje zamiary. - Zaniepokoił się, ponownie widząc uśmieszek, błakający się na wargach brata. Czuł, że Nick planuje nowe szaleństwa.

Sir Nicholas usiadł, niedbale przerzucając nogę przez oparcie fotela i zaczął obracać kieliszek w palcach.

Lord Beauvallet dopił wino.

- Moja żona ma rację. Trzydzieści pięć lat na karku, a ty wciąż włączysz się po świecie. Pytam po co, Nick?

Beauvallet wzruszył ramionami.

- Po to, żeby przywozić Kate rubiny - odparł kpiąco.

- Właśnie to mi się nie podoba. Nie będę tego przed tobą krył. Może takie życie pasuje do ludzi pokroju Hawkinsa czy Drake'a, ale przypominam ci, Nick, że jesteś tuż po mnie w kolejności dziedziczenia. Cieszę się, że odbyłeś podróż po Europie, chociaż Bóg jeden wie, czy na tym skorzystałeś.

- Braciszku - zaprotestował sir Nicholas - nie zapominaj, że nauczyłem się atakować czubkiem broni od samego wielkiego Carranzy w Toledo! Jestem w tym świetny, musisz to przyznać.

Lord Beauvallet popatrzył na brata udręczonym wzrokiem.

- Ot, i cała twoja ambicja! Rapiery to diabelski wynalazek. Tradycyjny miecz i tarcza jakoś wystarczały naszym przodkom.

- Ale nam nie wystarczają - rzekł Beauvallet. - Mimo to uważam, że pokonałbym cię w takiej tradycyjnej walce, Gerardzie. Nie zapomniałem jeszcze, jak się włada mieczem, ale rapier jest bardziej finezyjny. - Wykonał pozorowane pchnięcie w powietrzu. - Uważasz, że moje podróże nic mi nie dały? Czyż nie nauczyłem się wiele od Carranzy, a potem od Marozza, którego odnalazłem w Wenecji? Owszem, był już stary, ale wciąż potrafił nauczyć mnie wielu sztuczek. Niestety, nie znasz włoskiego! Powinieneś przeczytać jego „Opera Nova”. Wyjaśnia tam, jak stosuje się falso i dritto filo. Uważasz, że to nic ważnego? Pokaż mi kogoś, kto potrafi pokonać mnie rapierem albo sztyletem.

Lord Beauvallet pozostawał nieprzejednany.

- Uważasz te cudzoziemskie sztuczki za cenną zdobycz? Czym jeszcze możesz się pochwalić po tylu latach spędzonych za granicą?

- Mieczem toledańskim - odparł Nicholas, wcale niezrażony. - Został zahartowany w wodach Tagu i wryto na nim nazwisko Andrei Ferrary wśród ośmiu koron. Poza tym mam jeszcze drugi wspaniały miecz, wykonany przez Sahagoma. Jeszcze ci mało? No to przypomnij sobie włoską zbroję, którą sam nie pogardziłeś. Poza tym

znam naszych kuzynów we Francji, doskonale władam francuskim, hiszpańskim i włoskim, a zdaje się, że ty nie potrafisz...

- Wystarcza mi angielszczyzna moich ojców - odpowiedział ponuro Gerard.

- Jesteś pozbawiony ambicji, Gerardzie - stwierdził z ubolewaniem Beauvallet.

- Nie mam duszy włóczęgi - odparł cierpko lord Beauvallet. - Czy ty się nigdy nie wyszumisz? Zostawmy objazd Europy, mogę nawet pominąć milczeniem tę twoją szaloną podróż z Drake'em...

- Stokrotne dzięki! - Oczy Nicholasa roziskrzyły się złością.

- Przyznaję, że warto było zadać sobie ten trud - rzekł pojednawczo lord Beauvallet. - To nie lada wyczyn i chylę przed tobą czoło.

- Powinieneś raczej podziwiać Drake'a - odrzekł Beauvallet, unosząc kieliszek. - Wypijmy za jego zdrowie. Niech żyje Drake, wielki żeglarz!

Lord Beauvallet bez entuzjazmu wznosił toast.

- Bardzo pięknie, ale nie rozumiem, dlaczego tak przyłgnałeś do sir Francisa.

- Naprawdę nie rozumiesz? - zdziwił się Beauvallet. - No tak, braciszku, ale ty przecież nie opłynąłeś świata w jego towarzystwie, nie nauczyłeś się od niego morskiego rzemiosła, nie przeżyłeś z nim bitwy, płądowania i rozbicia okrętu.

- Chłonałeś jak gąbka jego dziwne pomysły. Podróż dookoła świata! Tak, tak, to rzeczywiście nie lada wyczyn i wszyscy darzą cię za to uznaniem. Przywiozłeś do kraju wiele bogactw, które z naddatkiem zabezpieczyły cię na resztę życia. Już dawno powinieneś skończyć z podróżami. Tymczasem zbudowałeś okręt i znów wyruszyłeś na morze. To szaleństwo! Wybacz, ale nie mogę tego inaczej określić.

Sir Nicholas skłonił głowę, udając, że wyraża skruchę.

- Wybacz, milordzie!

- Siedzisz tutaj rozparty jak w dniu, w którym pierwszy raz włożono ci spodnie - zauważył Gerard z odcieniem wesołości w głosie. - Nick, posłuchaj. Czas wydorośleć. Zgromadziłeś wielką fortunę w sposób, którego nie pochwalam, ale mniejsza o to. Mamy posiadłość w Basing, w każdej chwili możesz tam zamieszkać. Żona nie dała mi potomka i nic nie zapowiada, żeby sytuacja miała się

zmienić. Liczę na ciebie. Co się stanie z naszym rodem, jeśli zostaniesz zabity albo utoniesz? Ożeń się, ustatkuj i przestań rozrabiać!

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość, bracie. Zamierzam się ożenić.

Lord Beauvallet ukrył zaskoczenie.

- W samą porę - powiedział. - Żona ma na oku ładną dziewczynę dla ciebie. Chodzi o lady Alison, córkę lorda Gervais'a z Alfreton, ale dookoła jest wiele innych. Możesz pojechać z nami do Worcestershire i tam poszukać kandydatki na żonę. Nasza siostra zna wiele młodych dam, które powinny przypaść ci do gustu.

Beauvallet uniósł dłoń, a w jego oczach pojawiły się figlarne iskierki.

- Spokojnie, Gerardzie. Zamierzam znaleźć żonę w Hiszpanii.

Lord Beauvallet tak gwałtownie odstawił kieliszek, że omal go nie roztrzaskał. Popatrzył groźnie na brata spod krzaczastych brwi.

- Kolejny szalony pomysł?

- Nic podobnego. Dokonałem już wyboru. Powinieneś się cieszyć, braciszku. Przywiozę ją do kraju jeszcze przed końcem roku.

Lord Beauvallet przygarbił się.

- Wyjaśnij mi tę zagadkę - poprosił cicho. - Mam wrażenie, że żartujesz.

- Nigdy nie mówiłem poważniej. Wznoszę kolejny toast. - Wstał i wysoko uniósł kieliszek. - Za zdrowie Dominiki de Rada y Sylva!

Gerard nawet nie umoczył ust.

- Hiszpańska papistka? - zapytał. - Mam ci wierzyć?

- Nie żadna papistka, lecz kochana heretyczka. - Sir Nicholas opadł na skórzany fotel. Gerard z rozpaczą spojrział w radośnie błyszczące oczy brata, przeraziła go widoczna w nich determinacja. Obawiał się najgorszego i okazało się, że przeczucia go nie myliły. - Wziąłem ją i jej ojca na pokład „Venture” po splądrowaniu „Santa Marii”. Kiedyś ci o tym opowiem. Zgodnie z ich wolą - a dałem im na to moje słowo - wysadziłem ich na ląd na północnym wybrzeżu Hiszpanii. Ale przyrzekłem Dominice, że przyjadę do Hiszpanii i ją odzyskam. Możesz mi wierzyć, bracie, że z pewnością tak się stanie.

Lord Beauvallet znieruchomiał na swym krześle. Miał ściągniętą twarz.

- Nick, jeśli to naprawdę nie jest żart...

- Na miłość boską, po co miałbym żartować?! - zawołał z oburzeniem Beauvallet. - Mówię serio, śmiertelnie poważnie.

- W takim razie naprawdę jesteś szalony - podsumował lord Beauvallet, uderzając dłonią w stół.

- Powinno się ciebie zamknąć! Głupcze, myślisz, że uda ci się w tych czasach bezpiecznie poruszać się po Hiszpanii?

Sir Nicholas uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Owszem, myślę, że wyjadę stamtąd cały i zdrowy.

Lord Beauvallet wstał.

- Nick, co cię opętało? Nie mamy dziś w Hiszpanii ambasadora. Jak sobie tam poradzisz?

- Bez niczyjej pomocy. Zawsze mogłem liczyć na przychyłność niebios, Gerardzie. Założysz się, że przyjadę do domu z narzeczoną w objęciach?

- Przestań już sobie drwić! Popatrz, do czego doprowadziła ta twoja pogoń za niebezpieczeństwem. Posłuchaj mnie. Jeśli pojedziesz do Hiszpanii, nigdy już stamtąd nie wrócisz. Dopadnie cię inkwizycja i nikt cię wtedy nie obroni.

Sir Nicholas strzelił palcami.

- Guzik mnie obchodzi inkwizycja! Gerardzie, mój ostrożny Gerardzie, coś ci poradzę: nie przejmuj się.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gerard udał się do galerii, by opowiedzieć lady Beauvallet o szalonym pomysle brata. Usiadł na krześle wyściełanym połączoną skórą i długo przedstawiał sprawę, nie kryjąc goryczy. Oniemiała ze zdziwienia żona słuchała go z rosnącym zaniepokojeniem. Tymczasem Nicholas przechadzał się po galerii jakby nigdy nic. Oglądał przedmioty nabyte w ostatnim czasie przez brata, nie zwracając uwagi na tocząca się rozmowę.

- Może masz na niego większy wpływ, Kate. Błagam, spróbuj go przekonać - rzekł Gerard. - Mam wrażenie, że on żyje po to, by wpędzić mnie do grobu, ale mimo wszystko wolałbym, żeby żył.

Nicholas na chwilę przerwał oględziny.

- Skąd masz tę majolikę, Gerardzie? - zapytał.

- Przecież Nicholas z pewnością nie zamierza tego zrobić! - zawołała z nadzieją w głosie lady Beauvallet.

- Jeśli zdołasz nakłonić go do tego, że tak ci powie, możesz nazywać mnie swoim dłużnikiem. Oby posłuchał mądrej rady!

Popatrzyła na stojącego w przeciwległym końcu galerii Nicholasa, zajętego podziwianiem majoliki.

- Nicholasie! Powiesz mi, o czym myślisz? Nick odstawił naczynie i podszedł do niej swobodnym krokiem.

- O majolice, Kate, ale Gerard odmawia mi odpowiedzi. A o co ci chodzi?

- Czy ty nie możesz być choć raz poważny? - zapytał ostro Gerard.

Nicholas stał przed nimi, lekko kołysząc się na stopach, z rękami wsuniętymi za pas i uśmiechem na wargach.

- No proszę! Powiedziałem już, co miałem do powiedzenia, ale to ci się nie spodobało. Co chcesz jeszcze wiedzieć?

- Daj sobie spokój z tym swoim specyficznym poczuciem humoru i udziel mi rozsądnej odpowiedzi. Wyjaśnij, że żartowałeś.

- Mówiłem to jak najpoważniej, braciszku, byłem jak najdalszy od żartów.

Gerard zacisnął dłoń na poręczy fotela.

- Chcesz ryzykować dla kaprysu - oznajmił dobitnie. - Masz już na tyle dość życia, jesteś nim tak znudzony, że miła jest ci myśl o śmierci? A może sukces przewrócił ci w głowie i teraz zamierzasz

sobie udowodnić, że potrafisz zwyciężyć także i w tej grze? Nicholas kiwnął głową.

- Przecież to do ciebie niepodobne - zatrwożyła się Kate.

- Ależ to właśnie cały on - orzekł Gerard. - Każdy szalony plan to woda na młyn dla Nicka. Powinienem był przewidzieć, że znowu coś wymyśli. Plan porwania dziewczyny z Hiszpanii, cudzoziemki z wrogiego kraju, przywiezienia jej do Anglii po to, by się ożenić, przekracza już wszelkie granice!

- Naprawdę? - wtrącił szybko Nicholas. - Mylisz się, Gerardzie. Ja tylko biorę przykład z pierwszego barona, który również przywiózł tu cudzoziemkę z wrogiego kraju, by się z nią ożenić.

Gerard z furią popatrzył na brata. Kate poruszyła się niespokojnie.

- Jaka ona jest, Nicholasie? - zapytała pośpiesznie.

- Dobre pytanie! - zawołał Gerard. Nicholas popatrzył na bratową; jego spojrzenie wyraźnie złagodniało.

- Kate, to ogień nie dziewczyna, ma ogromne orzechowe oczy i dwa dołeczki po obu stronach najpiękniejszych ust pod słońcem.

- Ale to przecież Hiszpanka - zdziwiła się bratowa.

- Obiecuję, że wprowadzę tu poprawkę. Najwyraźniej Kate spodobała się ta miłosna historia; westchnęła i uśmiechnęła się. Mąż natychmiast zadbał o to, by sprowadzić ją z powrotem na ziemię.

- Po co pytać, jaka jest? I tak nigdy jej nie zobaczysz. Nie zobaczysz też Nicka, jeśli uda się na tę bezsensowną wyprawę. To pewne.

Nicholas roześmiał się.

- Pewne jest tylko to, Gerardzie, że nigdy się mnie nie pozbędziesz. Wrócę, by być twoim utrapieniem.

- Chłopcze, dobrze wiesz, że nie chcę się ciebie pozbyć. Nie możesz mi pozwolić, żebym choć raz postawił na swoim? Dla dobra naszej rodziny?

Nicholas uniósł dłoń i wskazał pierścień od Dominiki, który nosił na kciuku.

- Oto prezent od mojej damy. Przysięgłem na niego, że ją odnajdę. Czy to wystarczy za odpowiedź?

Brat wykonał gest rozpacz.

- Widzę, że nie da się ciebie przekonać. Kiedy zamierzasz wyjechać?

- Za jakieś trzy miesiące - odpowiedział Nicholas. - „Venture” jest w doku i wymaga remontu. W tym tygodniu muszę pojechać do Londynu, by złożyć wyrazy szacunku królowej. Będzie tam już na mnie czekał młody Dangerfield. Potem zamierzam udać się do Worcestershire, zobaczyć, co u Adeli. Wrócę za miesiąc, nie miej co do tego żadnych wątpliwości.

Dwa dni później wyjechał na koniu berberyjskim ze stajni brata, z Joshua Dimmockiem, który spokojnie podążał za nim. Przebywszy na przelaj wiejskie tereny, dotarli do gościńca.

- Ani chwili spokoju - poskarżył się niebiosom Joshua. - Człowiek ciągle się naraża; może utonąć w morzu albo w bagnie na łądzie, jeden czort.

- Cicho tam! - warknął Beauvallet i zmusił konia do skrętu.

Któregoś dnia późnym wieczorem zobaczyli majaczące w oddali zabudowania Londynu. Dochodziła pora zamykania bram.

- Coś podobnego! - zawołał Joshua, rozzłoszczony nie na żarty. - Nie chcecie wpuścić Beauvalleta? Zobaczycie, jak się wam za to odpłacę, gbury!

- Przestań się awanturować, ośle, przenocujemy „Pod Płaszczem Herolda”.

Wielki, rześcicie oświetlony zajazd chętnie otworzył podwoje przed Beauvalletem. Zatrzymał się tam tylko na jedną noc, by rano przejechać przez London Bridge do gospody „Pod Diabłem” w East Chepe, gdzie spodziewał się spotkać sir Francisa Drake'a.

Właściciel gospody, który dobrze znał Beauvalleta, przyjął go z należnym szacunkiem i natychmiast zaczął przygotowywać pokój. Sir Francis istotnie mieszkał w tym zajeździe, jednak tego dnia wyjechał w nieznanym przez właściciela kierunku. Na kolacji o jedenastej miał się jednak pojawić pan Hawkins... nie, nie John, lecz jego brat, oraz sir William Cavendish i parę innych osób. Tak twierdził właściciel.

- Nakryj i dla mnie, Wadloe - polecił sir Nicholas i wyszedł w poszukiwaniu sir Francisa oraz innych przyjaciół, którzy akurat mogli przebywać w Anglii.

Najczęściej można było zastać sir Francisa przy Paul's Walk, gdzie udawał się w celu wysłuchania najświeższych wiadomości. Sir Nicholas ruszył zatłoczonymi ulicami na zachód, by w samą porę dotrzeć w pobliże ogromnej katedry i wbiec po schodach, pobrząkując ostrogami.

Kupcy i wymieniający pieniądze nie gromadzili się już przy kościele, tak jak czynili to jeszcze dwadzieścia lat temu, jednak Paul's Walk wciąż pozostawała ruchliwym miejscem, w którym spotykali się dworzanie i inni szlachetnie urodzeni. Jeśli chciało się zobaczyć przyjaciela albo usłyszeć najnowsze wiadomości, należało udać się na Paul's Walk. Tu prędzej czy później wpadało się na większość ważnych osób.

Beauvallet zauważył grupkę młodych dworzan, dzielących się plotkami. Rzuciwszy im przelotne spojrzenie, minął ich i rozejrzał się. Patrząc ponad głowami dwóch elegancików, którzy zmierzli go nieprzychylnym spojrzeniem, zauważył krępego, bezceremonialnie zachowującego się mężczyznę z zawadiacką złocistą brodą i szarymi, wąskimi oczami, osadzonymi nieco skośnie w dużej twarzy. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękami opartymi na biodrach, i rozmawiał ze starszym jegomościem w długiej pelerynie. Miał na sobie zielony bufiasty wams i kolczyk w uchu.

Sir Nicholas przepchnął się przez tłum i uniósł dłoń w powitalnym geście. Krępy mężczyzna zauważył to, jego wąskie oczka otworzyły się szerzej; pomachawszy ręką, wyszedł Beauvalletowi na spotkanie.

- Kogo ja widzę, Nick! - zagrzemiał. Mówił niezwykle głośno, przyzwyczajony do przekrzykiwania wiatru i armatnich wystrzałów. - No co, chłopie! - Chwycił dłoń Beauvalleta i poklepał go po ramieniu. - Skąd się tu wzięłeś? A niech mnie, cieszę się, że cię widzę!

Część zgromadzonych odwróciła się w ich stronę. Jakiś mężczyzna przepchnął się do przodu.

- Witaj, Nicholas!

Beauvallet przywitał się z przyjacielem, a także innymi znajomymi, którzy podeszli bliżej. Przez dłuższą chwilę stał z ręką Drake'a na ramieniu, rozmawiał swobodnie i odpowiadał na liczne pytania. Jednak wkrótce Drake wyprowadził go z tłumy i udali się razem do gospody „Pod Diabłem”.

- Co słyhać? - zapytał Drake. - Ostatnio słyshałem o tobie na pełnym morzu.

- Wszystko w porządku - odpowiedział sir Nicholas, po czym zwięźle opowiedział o swych przygodach.

Drake pokiwał głową.

- Żadnych nieszczęść?

- Kilku zginęło. Perinat wypłynął z Santiago, żeby dać mi nauzkę. - Zachichotał, wyciągając rękę, na której lśnił pierścień z rubinem. - Wziąłem to od niego na pamiątkę.

Drake roześmiał się i ścisnął go za ramię.

- Chełpliwy kogut! Co jeszcze?

- Galeon płynący do Vigo, wyładowany jedwabiami, przyprawami i złotem. Dalszy ciąg wiadomości za chwilę. Teraz opowiedz o sobie.

Drake miał wieści z Wirginii, jako że właśnie wrócił z tej niewielkiej kolonii i przywiózł z powrotem osadników. Nie brakowało im tematów. Rozmowa toczyła się tak płynnie, że zwolnili kroku i było już po jedenastej, kiedy dotarli do gospody „Pod Diabłem”. W pokoju na piętrze zgromadziło się już kilkunastu gości, czekających na gospodarza wieczoru.

Drake wszedł do środka, otaczając Beauvalleta ramieniem.

- Wybaczcie mi! - powiedział. - Patrzcie tylko, kogo przyprowadziłem!

Zapanowało poruszenie, padły okrzyki: „Na miły Bóg, Szalony Nicholas!”.

Był tam Martin Frobisher, William Hawkins, mocno zbudowany, w stroju z szorstkiej wełny, młody Richard, jego kuzyn, który stał obok Cavendisha, dworzanina w gronie wilków morskich, John Davys o surowej męskiej urodzie, i kilku innych, w większości znanych sir Nicholasowi.

Wkrótce w izbie zrobiło się gwarno od opowieści, śmiechu i brzęku kufli. Drake siedział jak ojciec u szczytu stołu, mając sir Nicholasa po prawej stronie, a Frobishera po lewej. Frobisher popatrzył na sir Nicholasa, unosząc brwi.

- Słyszałem o twoim powrocie; twoi ludzie spotkali się z moimi u Howarda. Dzielnie sobie poczynaleś! Podobno płynąłeś z kobietami na pokładzie.

Drake popatrzył wymownie na Beauvalleta. Młody Cavendish sprawiał wrażenie niezmiernie zainteresowanego, jednak wstydził się zabrać głos w tak znakomitym gronie.

- To prawda - odparł wesoło sir Nicholas.

- To nietypowe zachowanie jak na żeglarza - zauważył z ironią Frobisher. - Jakaś całkiem nowa sztuczka?

- Jesteś zazdrosny, Martin - uciał Drake, zanosząc się śmiechem.
- Jaki był tego powód, Nick?

- Bardzo prosty - odpowiedział Beauvallet, po czym krótko przedstawił przebieg wypadków na morzu.

Drake zanurzył kawałek chleba w winie. Na chwilę uciekł wzrokiem w bok. Frobisher skwitował ponuro:

- Beauvallet szuka miłosnych przygód na morzu i czyni wielkoduszne gesty. Nie popłynąłbym z tobą nawet za tysiąc funtów.

- Brakłoby ci odwagi, Frobisher? - zapytał z jadowitą ironią sir Nicholas.

- Żebyś wiedział. Na co taka podróż?

- Przywiózł ciekawe łupy - rzekł Drake. - I pierścień od Perinata, na pamiątkę, dobrze mówię, Nick?

- Jestem prostym człowiekiem - burknął Frobisher. - Zbyt prostym na takie zabawy. Ech, Drake i ty! - Pokręcił głową.

Davys niespodziewanie się roześmiał, po czym przystąpił do opowieści o planowanej wyprawie w poszukiwaniu północno - zachodniej drogi, o której istnieniu był przekonany.

- Jesteś szalonym żeglarzem, Nick, ale chętnie zabiorę cię ze sobą, jeśli zechcesz wypuścić się w te strony.

W tym momencie zaczęto sobie rubasznie i złośliwie żartować z entuzjazmu Davysa.

Cavendish, który dotąd z błyszczącymi oczami tylko przysłuchiwał się rozmowom, ośmielając się parę razy wtrącić słówko, pokonał skrepowanie i przystąpił do omawiania własnych planów. Miał trzy statki, nadające się na wyprawę do Indii Zachodnich, i pragnął zasłynąć odwagą jak przedmówcy. Sir Nicholas życzył mu pomyślnych wiatrów i wzniósł toast za powodzenie wyprawy. Zauważył, że młody Richard Hawkins przygląda mu się uważnie. Rzucił jakiś żart w jego stronę; Richard zaczerwienił się i roześmiał.

- Ten dzieciak pływa z tobą, Drake? - zapytał sir Nicholas. - No, no! Pamiętam go jeszcze w powijakach!

- Tak - mruknął Drake. - Wszyscy Hawkinsowie są podobni; to urodzeni żeglarze. Rozmawiałeś ze starym Hopkinsem w Plymouth?

- Owszem. Gadałem z nim długo nad kuflem doskonałego piwa. Myślę, że wielki John wciąż rośnie w potęgę, Richardzie.

- Ojciec mówi o wojnie z Hiszpanią - rzekł Richard. - Twierdzi, że Walsingham chce do tego doprowadzić.

- Wypijmy za ten szczęśliwy dzień! - zaproponował Beauvallet.

Frobisher zaczął wypytywać Beauvalleta o plany. Davys, ożywiony po posileniu się węgorzem, uderzył pięścią w stół i zaczął natarczywie i głośno namawiać Beauvalleta do popłynięcia z nim północno - zachodnią drogą.

Sir Nicholas zbył jego prośby śmiechem, po czym udzielił wymijającej odpowiedzi Frobisherowi. Drake znów odwrócił wzrok.

Jednak niedługo potem, gdy Beauvallet i Drake zasiedli we dwóch przy kominku w pustym pokoju, sir Francis zadał pytanie, które już od dłuższego czasu cisnęło mu się na usta. Przedtem zapalił fajkę, rozprostował dobrze umięśnione nogi i popatrzył na Beauvalleta bystrymi oczami.

- Co ty knujesz, Nick? Przyznaj się! Beauvallet oderwał wzrok od paleniska i spojrzał prosto w oczy Drake'owi.

- Dlaczego ci się wydaje, że coś knuję? Drake wycelował w niego cybuch fajki.

- Trochę cię znam, Nick. Nie powiedziałeś mi wszystkiego, ale Martin się wygadał.

Beauvallet krótko, lecz obrazowo przedstawił sytuację. Drake sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale oczy mu rozblęły.

- No, no, ładnie! - skomentował. - Co zamierzasz teraz zrobić?

- Popłynę po nią do Hiszpanii - oznajmił sir Nicholas tak beztrząsco, jakby wybierał się do Westminster.

Drake wybuchnął gromkim śmiechem.

- Boże! - Natychmiast spoważniał i wychyliwszy się wprzód, mocno chwycił ramię Beauvalleta. - Uważaj, co robisz. Szkoda by było takiego człowieka jak ty.

Spojrzenia niebieskich i szarych oczu się spotkały.

- Myślisz, że tam zginę?

Drake pociągnął bródkę ku górze i chwycił w zęby jej koniec.

- Jesteś tylko człowiekiem. - Potrząsnął ramieniem Nicka. - Urwij w moim imieniu Filipowi ten jego długi nos, Nick, jeśli spotkasz tam Jego Szatańską Mość! Swoją drogą, jestem pewien, że wyjdiesz cało choćby z piekła. Ale jak dostaniesz się do Hiszpanii? Przez ten swój port przemytników?

- Nie. Myślałem o tym, ale to może łatwo się wydać. Muszę zaopatrzyć się w solidne dokumenty. Fatalnie się składa, że nie ma ambasadora w Madrycie.

- Angielskie papiery zdadzą się na nic - orzekł Drake. - I tak oto masz wielki kłopot już na początku. Radzę ci dać spokój temu szaleństwu.

- Za nic w świecie! Spróbuję szczęścia z krewnymi z Francji.

- O, masz tam krewnych?

- Nawet wielu. Szczególnie jeden będzie bardzo zadowolony, mogąc oddać mi przysługę po latach. Markiz Belremy, z którym przed laty przemierzyłem wiele mil na kontynencie. Niejeden raz wpakowaliśmy się w niezłe tarapaty. - Zaśmiał się cicho na wspomnienie minionych chwil. - Mam nadzieję, że uda mu się zdobyć dla mnie francuskie papiery. Jeśli nie... będę musiał znaleźć inny sposób.

- Musisz mieć glejt, panie Szalony. Listy kaperskie tu nie wystarczą. Poza tym coś mi się wydaje, że królowa może mieć względem ciebie inne plany. Nie życzyłaby sobie, żebyś zginął w czasie lekkomyślnie podjętej wyprawy do Hiszpanii.

- Wierz mi, dostanę pozwolenie. Jeśli nie da mi go królowa, to może Walsingham okaże się tak miły...

Drake skrzywił się.

- Owszem, wiemy obaj, że chętnie wysłałby szpiega do Hiszpanii, ale opamiętaj się, Nick, to przecież czyste szaleństwo. Naprawdę aż tak nie zależy ci na życiu?

- Zależy, ale mam piekielne szczęście. Sam tak powiedziałeś, Drake. Gdzie jest teraz dwór?

- W Westminster.

- W takim razie jutro udam się do Westminster - oznajmił sir Nicholas.

Przybył do królewskiej rezydencji następnego dnia przed południem, ubrany w modny wams z ozdobnym galonem; skropiony perfumami z nutą piżma i ze schludnie przystrzyżoną bródką. Miał na sobie pelerynę uszytą według burgundzkiego wykroju, spiętą na jednym ramieniu. Zdobycie pozwolenia na wejście do pałacu nie było zbyt trudne, zwłaszcza dla kogoś takiego jak sir Nicholas Beauvallet, który cieszył się wielkim uznaniem Jej Wysokości. Monarchini miała słabość do tego urodziwego zuchwalca.

Sir Nicholas bez trudu dotarł do długiej galerii, do której został skierowany. Zgromadziły się tam już damy dworu i dworzanie. Królowa odbywała właśnie spotkanie z francuskim ambasadorem, a towarzyszyli jej sir Francis Walsingham i sir James Crofts. Sir Nicholas został o tym powiadomiony przez zastępcę lorda kanclerza, sir Christophera Hattona, który przechadzał się po galerii. Hatton powitał go z chłodną uprzejmością i niechętnie podał mu koniuszki palców. Beauvallet szybko się przywitał, po czym wdał się w rozmowę z eleganckim i poważnym Raleighem, który również czekał na pojawienie się królowej w galerii. Sir Christopher wściekle przewrócił oczami i pospiesznie się oddalił, jakby Raleigh parzył. Sir Nicholas uśmiechnął się szeroko. Zazdrość sir Christophera wydała mu się absurdalna.

Musiał czekać dobre pół godziny, jednak spędził ten czas całkiem przyjemnie w otoczeniu dam. W pewnej chwili jedna z nich zachichotała, zszokowana, biorąc go, nie bez powodu, za zuchwalca.

W przeciwległym końcu zapanowało poruszenie; rozsunięto zasłonę i do galerii wkroczyły cztery osoby. Pierwsza szła królowa, chuda dama średniego wzrostu, mająca buty na bardzo wysokich obcasach. Olbrzymia kreza usiana klejnotami wznosiła się za jej głową. Kędzierzawe rude włosy były wymyślnie przybrane grzebykami, mieniącymi się od szlachetnych kamieni, i najprzeróżniejszymi spinkami. Monarchini miała spódnicę na monstrualnych rozmiarów krynolinie, a rękawy, watomane na ramionach, były bogato zdobione. Trudno było oderwać wzrok od jej stroju z pierwszorzędných gatunków tkanin mieniących się bezcennymi klejnotami. Przyciągała uwagę wszystkich zgromadzonych, jednak efekt byłby ten sam, nawet gdyby miała na sobie barchanową suknię. Twarz monarchini pod grubą warstwą makijażu przypominała maskę, ale oczy płonęły niezwykłym ogniem. Królowa Elżbieta miała ciemne oczy; nieduże, lecz o bardzo przenikliwym spojrzeniu.

Tuż za nią trzymający rękę na zasłonie De Mauvissiere pochylił głowę i z szacunkiem wsłuchał się w słowa rzucone do niego przez ramię. Stojący za nim sir Francis Walsingham składał kartkę papieru, którą po chwili wręczył ponuremu Croftsowi. Sir Francis objął wszystkich swym nieprzeniknionym, smutnym wzrokiem. Na chwilę

zatrzymał spojrzenie na sir Nicholasie, lecz nie okazał żadnych emocji.

De Mauvissiere pochylił się, by ucałować dłoń królowej. Monarchini niecierpliwie postukiwała stopą w podłogę, jej oczy błyszczały złowieszczo. Damy dworu, znające te sygnały, czuły nadchodzącą burzę.

De Mauvissiere wyszedł tyłem, gnąc się w ukłonach; królowa kiwała głową, nie przestając przytupywać. Była wściekła. Rzuciwszy gniewne spojrzenie swym dwóm ministrom, skuliła drobne ramiona.

Walsingham pokiwał zgiętym palcem. Musi odciągnąć uwagę najjaśniejszej pani od problemów wagi państwowej. Ani Hatton, ani Raleigh, których mogła widywać codziennie, nie byliby w stanie jej rozbawić. Jednak do tego celu doskonale nadawał się sir Nicholas Beauvallet, który, jak się okazało, przybył w samą porę.

- Na Boga! - wykrzyknęła królowa Elżbieta. - Wygląda na to, że zaraz będę o coś proszona!

Rozległ się odgłos szybkich kroków; jakiś dżentelmen ukląkł przed nią i ośmielił się spojrzeć w jej twarz, uśmiechając się promiennie.

- Na Boga! - zawołała ponownie królowa, nie kryjąc ukontentowania. - Beauvallet!

Dała mu do ucałowania dłoń, żartobliwie trzepnęła jego rękę wachlarzem i poprosiła, by wstał. Burza przeszła bokiem; udało się wprawić Jej Wysokość w dobry nastrój. Walsingham ukrył uśmiech, sir James Crofts mógł się rozchmurzyć.

- Ha, łajdaku! - zwróciła się do Beauvalleta Jej Wysokość, ukazując żółtawe zęby w szczerym uśmiechu. - A więc znów udało ci się wrócić!

- Wracam zawsze, jak igła do magnesu, Wasza Wysokość - odpowiedział natychmiast sir Nicholas.

Wsparła się na jego ramieniu i postąpiła parę kroków wzdłuż galerii.

- Jakie wieści przywozisz mi od mojego kuzyna z Hiszpanii?

- Niestety, Wasza Wysokość, jestem pewien, że stracił trzy dobre statki: w tym dwa duże galeony.

Popatrzyła na niego z ukosa.

- No, no! Czyim stały się łupem?

- Pewnego łajdaka, Wasza Wysokość. Nazywa się Beauvallet.

Buchnęła śmiechem.

- Jak ja cię kocham, mój wesołku! - Przywołała Walsinghama i przekazała mu wiadomość. - Co z nim począć, sir Francisie? - zapytała. - Poproś mnie o coś, łajdaku, a będziesz to miał. - Czekwała na odpowiedź, nie przeczuwając niczego złego, wiedziała bowiem, że sir Nicholas niczego nie potrzebuje, a przybył tu raczej po to, by zapełnić jej szkatułę.

- Wasza królewska mość, na kolanach błagam o dwie rzeczy.

- Na miłość boską! To brzmi bardzo zuchwale. Wymień je zatem.

- Proszę o to, by wasza królewska mość przyjęła ode mnie z okazji Nowego Roku prezent, który przynoszę trochę poniewczasie... garstkę rubinów. Moja druga prośba dotyczy pozwolenia Waszej Wysokości na podróż do Francji na pewien czas.

Królowa nie była zadowolona z tej prośby. Spochmurniawszy, poprosiła o wyjaśnienia.

- Obiecuję, że dam ci stanowisko na dworze - powiedziała.

Tym razem to Beauvallet zmarszczył czoło.

- Przyszły dworzanin Waszej Wysokości powinien teraz uśmiechnąć się i zapewnić o nieprzemijającym oddaniu. Tymczasem Szalony Nicholas ściąga czarne brwi i prostacko potrząsa głową.

- Na Boga, ależ z ciebie śmiały rycerz! - rzuciła ostro królowa, bardziej jednak rozbawiona niż zagniewana. - O co chodzi?

- Proszę mi pozwolić na krótką podróż - błagał sir Nicholas.

- Mam ochotę natrzeć ci uszu! - odezwała się monarchini.

- Najjaśniejsza pani, racz wybaczyć językowi nie zwykłemu przemawiać gładko. Wolałbym służyć ci swym silnym ramieniem, niż próżnować na twym dworze.

- Dobrze już, dobrze. Zgrabnie powiedziane, nieprawdaż, Walsingham? Nie potrzebuję twojego silnego ramienia we Francji, nie dam ci też żadnych uprawnień. Musisz być ze mną szczery!

- Zauważywszy wesołe iskierki w jego niebieskich oczach, trzepnęła go wachlarzem po ramieniu. - Śmiejesz się? Na Boga, co za łobuz! Chcę wszystko wiedzieć. Mów, Beauvallet, królowa słucha.

- Pani, nie chcę cię oszukiwać. - Beauvallet ukląkł na jedno kolano. - Proszę mi pozwolić wyjechać na trochę do Hiszpanii.

Po tej zaskakującej prośbie zapadła cisza, po czym królowa wybuchnęła głośnym śmiechem, aż stojący w odległym końcu sali

zaczęli zazdrościć Szalonemu Nicholasowi, który tak potrafił rozbawić monarchinię.

- To jakiś żart. Kiepski żart - wykrztusiła królowa, przyglądając się jednak uważnie Beauvalletowi. - Po co chcesz tam się udać?

- Pani, pragnę dotrzymać obietnicy. Proszę spełnić mą unieżoną prośbę.

- Mam ci pozwolić stracić życie? A co mi z tego przyjdzie? Ty to słyszysz, Walsingham? Jak sądzisz, czy ten człowiek jest przy zdrowych zmysłach?

Walsingham gładził bródkę. On również przyglądał się sir Nicholasowi, trudno było jednak powiedzieć, co go tak zainteresowało.

- Sir Nicholas mógłby przywieźć wiadomości z Hiszpanii - powiedział w zamyśleniu.

Królowa popatrzyła na niego ze zniecierpliwieniem.

- Znajdź sobie innych do swoich szpiegowskich zadań! A co będzie, jeśli spełnię twoją prośbę, sir Nicholasie? Co wtedy?

- Pani, wystarczy, że powiesz mi, co mam ci przywieźć z Hiszpanii.

Być może spodobała jej się ta szybka odpowiedź, a może była po prostu ciekawa, co robi Beauvallet.

- W takim razie poproszę o to, co Hiszpania ma najlepszego. Zapamiętaj moje słowa!

Walsingham przemówił swym cichym, spokojnym głosem, zmieniając temat rozmowy. Beauvallet był z siebie bardzo zadowolony. Wprawdzie królowa nie wyraziła jeszcze zgody, jednak sir Francis Walsingham, licząc na udaną misję wywiadowczą, z pewnością zadba o to, by sir Nicholas Beauvallet otrzymał tak bardzo upragnione pozwolenie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dopiero ponad trzy miesiące później sir Nicholas Beauvallet jechał z Paryża na południe, kierując się w stronę hiszpańskiej granicy. Nie mógł od razu opuścić Anglii; musiał obdarować królową i dopilnować swoich spraw. Odwiedził też siostrę w Worcestershire. Adela zatrzymała go na dłużej, spędził u niej bardzo miły miesiąc. Nie zwierzywszy się jej ze swych planów, bezwstydnie flirtował z damami, które zapraszała do domu w nadziei, że nakłoni go do małżeństwa.

Bez trudu otrzymał od Walsinghama pozwolenie na podróż. Spędził z tym powściągliwym człowiekiem ponad godzinę sam na sam i przyznał potem, że w obecności sekretarza stanu poczuł strach. Obaj jednak byli zgodni co do tego, że należy doprowadzić do wojny z Hiszpanią.

W końcu sir Nicholas, zaopatrzony w niemałą kwotę, dotarł do Paryża w towarzystwie Joshui Dimmocka. Miał zamiar odnaleźć dalekiego krewnego, Eustache de Beauvalleta, markiza Belremy. Ten szlachetnie urodzony człowiek, którego Nicholas nie widział od czasu burzliwych dni we Włoszech, kiedy to obaj mieli po dwadzieścia parę lat, przebywał obecnie poza Paryżem. Służący twierdzili, że markiz udał się do Belremy w Normandii, jednak Beauvallet słyszał, iż krewny wyjechał na południe, do przyjaciela. Nie było sensu szukać nieuchwytnego markiza po całej Francji; Beauvallet zaklął siarczyście, niezadowolony ze zwłoki, i postanowił poczekać na powrót krewniaka. Nie złożył wizyty angielskiemu ambasadorowi, nie pojawił się też na dworze Henryka III. Tym razem wołał nie ujawniać swej obecności we Francji, a poza tym nie przepadał za fircykowatym stylem francuskiego dworu. Znalazł sobie inne rozrywki i miło spędzał czas.

Pod koniec miesiąca markiz powrócił do Paryża, a usłyszawszy o wizycie Beauvalleta, zrugął majordomusa za to, że pozwolił drogiemu krewniakowi nocować gdzie indziej. Wysłał powóz po sir Nicholasa.

Beauvallet zatrzymał się w wygodnym mieszkaniu niedaleko Sekwany. Był zadowolony ze swej kwatery, jednak Joshua ciągle na coś narzekał i widział katolickiego mordercę w każdym odwiedzającym ich gościu. Twierdził, że noc świętego Bartłomieja mocno zapadła w pamięć nawet tak prostego Anglika, jak on.

Markiz, szczupły i urodziwy, zaledwie o rok starszy od sir Nicholasa, wpadł do pokoju jak burza i wylewnie wyściskał krewniaka, dodając do gestów stosowne okrzyki i wyrzuty. Upłynęło sporo czasu, nim Beauvallet mógł przystąpić do wyłuszczenia swojej sprawy, jako że markiz miał mnóstwo do powiedzenia, zadawał niezliczone pytania i wspominał dawne szalone czasy. W końcu jednak zapytał Beauvalleta o powód jego wizyty. Kiedy usłyszał, że sir Nicholas potrzebuje francuskiego glejtu na wjazd do Hiszpanii, uniósł ręce w geście rozpaczy i zawołał: „To niemożliwe!”. Po upływie półgodziny rzekł jednak: „No, może... ale to czyste szaleństwo, a poza tym trzeba się uciec do oszustwa. Łobuz z ciebie, że ośmielasz się mnie o to prosić!”. Po tygodniu przyniósł list żelazny, a na pytanie Beauvalleta, jak udało mu się go zdobyć, powiedział tylko: „Ha!”. Dokument pozwalał panu Gastonowi de Beauvallet na podróż za granicę. Sir Nicholas roześmiał się, usłyszawszy, że ów Gaston jest kuzynem markiza.

- Uważaj, przyjacielu! - ostrzegł go markiz. - Nie wpadnij czasem na naszego ambasadora, bo on dobrze zna Gastona i nas wszystkich. Ostrzegam cię, bądź ostrożny! Nie podoba mi się ta twoja podróż do Hiszpanii. W dodatku pod tym nazwiskiem. To szaleństwo. W głowie się nie mieści.

- Basta, basta! - zawołał sir Nicholas, po czym uważnie przyjrzał się dokumentowi.

Teraz, jadąc na południe, myślał o tym, że glejt pozwoli mu bez przeszkód przekroczyć granicę, jednak potem może przyczynić się do zdemaskowania go w Madrycie. W milczeniu zmagął się z niewesołymi rozważaniami. Po pewnym czasie wzruszył ramionami, jakby chciał odegnać troski, i zmusił konia do galopu. Joshua, jadący za nim w spokojniejszym tempie i prowadzący jucznego konia, patrzył, jak pan znika w chmurze pyłu. Pokręcił głową.

- To nasza ostatnia wspólna podróż - orzekł, popędzając konia. - Skaranie boskie z tymi kobietami. Żwawiej, szkapo!

Sir Nicholas nie chciał rozstać się z koniem, którego kupił we Francji. Kara klacz niosła go z taką gracją i elegancją, że Beauvallet mógł delectować się jazdą. Posuwali się na południe etapami, odpoczywając w przydrożnych gospodach, aż w końcu dotarli do samotnego zajazdu, tylko o pół dnia drogi do granicy.

Budynek, znajdujący się w biednej wiosce, był najwyraźniej rzadko zaszczycony obecnością podróżujących. W ostatniej porządkowej gospodzie, którą odwiedzili, mieszkał chory człowiek, co natychmiast wywęszył Joshua. Obawiając się zarazy, nalegał, by jak najszybciej opuścili tamto miejsce. Było wczesne, słoneczne popołudnie, Beauvallet zgodził się więc, by pojechali dalej.

I tak o zmierzchu znaleźli się w tym obskurnym zajeździe, nieco oddalonym od gościńca. Nikt nie wyszedł im na powitanie. Joshua kopnął w drzwi i krzyknął. Ukazał się właściciel, który burknął coś opryskliwie, jednak ujrawszy strojnie ubranego dżentelmena, natychmiast spokorniał i zgiął się w pokłonie aż do ziemi. Zapewnił, że oczywiście ma pokój dla wielmożnego pana, o ile monseigneur zgodzi się zamieszkać w tak skromnych warunkach.

- Zgodzę się - odparł sir Nicholas. - Masz składane łóżko? W takim razie rozstaw je w moim pokoju dla służącego. - Zeskoczył z siodła i przez chwilę pieszczotliwie głaskał klacz. - Ech, moja śliczna! - Kupił ją, idąc za radą markiza. Było to piękne zwierzę z potężnym zadem i aksamitnym pyskiem. - Odprowadź ją, Joshua. - Przeciągnął się i zaklął, bo zeszytywniał w siodle. Gospodarz otworzył drzwi i zaprowadził Beauvalleta do nisko sklepionej sali jadalnej.

Sir Nicholas kazał mu przynieść wino. Wciągnął powietrze w nozdrza.

- Fe!

W sali było brudno, podobnie jak na podwórzu. Podeszedł do okna i otworzył je, by wpuścić trochę świeżego powietrza.

Gospodarz powrócił z winem, popatrzył krzywo na otwarte okno i powiedział coś pod nosem. Sir Nicholas pociągnął tęgi łyk, a gdy do jadalni przyczłapał umorusany Joshua, wyprostował nogi, by służący zdjął mu wysokie buty.

Jedli kolację - skromny posiłek, usposabiający Joshuę do złośliwych uwag - kiedy usłyszeli stukot kopyt konia, prowadzonego po kocich łbach. Po chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł młody mężczyzna, najwyraźniej w podłym humorze.

Był bogato odziany, jednak jego szykowny strój mocno się zakurzył. Popatrzył wrogo na siedzącego przy stole Beauvalleta i przywołał właściciela, którego natychmiast obrzucił stekiem gniewnych słów. Jak się okazało, mężczyzna miał wiele powodów do narzekań. Przede wszystkim złościł go kurz na drodze, który omal go

nie zadusił, poza tym w gospodzie odległej o kilkanaście mil wstecz znajdował się chory człowiek; na domiar złego koń mężczyzny okulał i jak najszybciej należało dostarczyć nowego.

Wypowiedziawszy to żądanie, dżentelmen zdjął pelerynę, zamówił kolację i usiadł na ławie z miną zawiedzionego uczniaka.

Gospodarz nie był w stanie pomóc gościowi w zmianie konia. Dał do zrozumienia, że nie ma koni pod wierzch w swojej stajni, nie potrafił też powiedzieć, czy i gdzie można by je znaleźć w wiosce. Poradził, by monsieur posłał po konia do najbliższego miasteczka, które minął w drodze.

Usłyszawszy to, Francuz zaklął szpetnie, po czym oznajmił, że nie ma ani chwili do stracenia, jako że rano musi przekroczyć granicę. Właściciel gospody tylko wzruszył ramionami, urażony, i odwrócił się z zamiarem odejścia, gdy wtem gość chwycił go za ucho.

- Posłuchaj! Muszę mieć konia, i to szybko! - wykrzyknął.

- Nie trzymam tu koni - powtórzył gospodarz, pocierając ucho. - W stajni są tylko wierzchowce tych dżentelmenów.

W tej właśnie chwili Francuz zdał sobie sprawę z obecności Beauvalleta, zmagającego się z żyłastym kawałkiem kurczaka, i nieznacznie skłonił głowę. Sir Nicholas uniósł brwi i niedbale odwzajemnił gest.

- Dobry wieczór, monsieur. - Młody mężczyzna usiłował ukryć podły humor. - Pewnie słyszał pan, że miałem potwornego pecha.

- O, tak, jestem nawet pewien, że cały dom o tym słyszał - odrzekł sir Nicholas, dolewając sobie wina.

Francuz przygryzł wargę.

- Pilnie potrzebuję konia - obwieścił. - Chciałbym kupić któregoś z pańskich, o ile pan się na to zgodzi.

- Dziękuję bardzo - odparł krótko sir Nicholas. Twarz młodego mężczyzny rozjaśniła się nadzieją.

- Będzie pan tak dobry?

- Niestety. Nie mogę panu pomóc - oznajmił sir Nicholas, nie mając najmniejszego zamiaru rozstawać się z końmi.

Wydawał się zdecydowany. Francuz zaczerwienił się; opanował jednak złość i ponowił prośbę, tym razem chłodniejszym tonem.

Sir Nicholas odchylił się na krześle i wsunął ręce za pas. Popatrzył kpiąco na młodzieńca.

- Mój drogi panie, radzę uzbroić się w cierpliwość - powiedział. -
Może pan z samego rana posłać do miasteczka po konia
odpowiadającego pańskim wymaganiom. Nie rozstaję się z moimi.

- Dadzą mi jakąś chabetę! - prychnął Francuz.

- Ja jestem wręcz pewny, że nie dostałbym tam konia, który by
mi odpowiadał - podsumował sir Nicholas.

Francuz popatrzył na niego z wyraźną niechęcią.

- Wspomniałem, że jestem w pilnej potrzebie. Sir Nicholas
ziewnął.

Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że z ust Francuza
popłynie nowa fala gniewnych narzekań, jednak młodzieniec z
wściekłością się odwrócił.

- Potraktował mnie pan bardzo nieuprzejmie! - rzucił przez
ramię.

- Nie da się ukryć!

Francuz znów się odwrócił, najprawdopodobniej zdławił jakieś
przekleństwo i zmusił się do uśmiechu.

- Nie będę się z panem kłócić - oświadczył.

- Nie przyjdzie to panu łatwo - zauważył sir Nicholas.

Francuz otworzył usta i zaraz je zamknął.

- Proszę mi pozwolić się przysiąść - poprosił, spuszczać z tonu.

- Bardzo proszę, młodzieńcze - odpowiedział sir Nicholas, jednak
w jego oczach pojawiła się czujność.

Francuz jeszcze tylko trochę ponarzekał na pecha, lecz pogodził
się z myślą o tym, że dopiero rano dostanie konia. Żałował, iż w
obecnej sytuacji najprawdopodobniej nie uda mu się przekroczyć
granicy wcześniej niż za dwa dni. Najbliższe miasteczko leżało wiele
mil wstecz... nie chciał jednak dłużej narzekać. Wypił kielich wina za
zdrowie Beauvalleta.

Gdy kończyli kolację, monsieur stał się na powrót niespokojny,
uskarżał się na brak rozrywek, na słabe światło dwóch łojowych
świec, a potem zaproponował partyjkę kości, jakby licząc, że gra
może poprawić jego nastrój.

- Bardzo chętnie - zgodził się Beauvallet i postukał w stół pustym
kielichem, by przyzwać gospodarza. Właściciel zajazdu przyniósł
kości, na stole pojawiło się kolejne wino. Zapowiadał się miły
wieczór.

Kości zagrzechotały w kubku.

- Rzucam! - oznajmił Francuz.

Następny rzut wykonał Beauvallet. Francuz znów potrząsnął kubkiem i wyrzucił większą liczbę oczek niż przeciwnik. Na zatłuszczonym stole pojawiły się monety, przesuwano je z jednej strony na drugą, dolewano wina; mężczyźni siedzieli pochyleni nad blatem, pochłonięci grą.

Wesoły wieczór się przedłużał. Świece dopalały się w lichtarzach, wznoszono kolejne kielichy wina, pieniądze przechodziły z rąk do rąk. W końcu, gdy jedna ze świec zamigotała i zgasła, Beauvallet odsunął krzesło i otarł ręką czoło.

- Dosyć! - powiedział bełkotliwie. - To już po północy? - Wstał niepewnie i rozprostował ręce nad głową, co sprawiło, że się zatoczył. Roześmiał się. - Jestem pijany! - Znów wybuchnął śmiechem i zakołysał się na stopach.

Francuz zerwał się na nogi. Trzymał się na nich dość pewnie, jednak był czerwony na twarzy i miał dziki wzrok. Nie wypił tyle co Beauvallet.

- Ostatni toast! - zawołał, nalewając wina do pustych kielichów. - Za szybką podróż!

- Niech Bóg ma cię w swej opiece - odparł Beauvallet. Wypił duszkiem wino i rzucił kielich za ramię tak, że szkło rozbiło się o ścianę. - Jedna świeca na nas dwóch. - Uniósł świecę, gorący łój skapnął na podłogę. - Idziemy na górę, młodzieńcze. - Stanął u podnóża chwiejnych schodów, trzymając świecę wysoko nad głową. Zamigotało mdłe światło, Francuz zaczął wstępować na schody, opierając się ręką o ścianę.

Na górze zobaczyli palącą się latarnię. Francuz zabrał ją, życzył Beauvalletowi dobrej nocy i wszedł do pokoju. Sir Nicholas, potwornie ziewając, udał się do swojej izby, by zaraz za progiem potknąć się o składane łóżko, na którym smacznie spał Joshua.

- Cholera! - zaklął.

Joshua obudził się, gdy kropla łoju wylądowała mu na nosie. Zerwał się i zaczął trzeć poparzone miejsce.

Beauvallet odstawił świecę. Śmiał się.

- Mój biedny Joshuo!

- Panie, jesteś pijany - stwierdził poważnie służący.

- Nie aż tak bardzo - odrzekł wesoło sir Nicholas, podchodząc do prymitywnie skleconej skrzyni, na której stała miednica i dzban.

Zaczął się myć, rozchlapując wodę. - Pff! - parsknął, wycierając mokre włosy. - Idź spać, głodomorze! O co ci jeszcze chodzi?

- Musi pan zdjąć to ubranie.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedział Beauvallet i zwałił się na łóżko.

Świeca zgasła, za niezastłonym oknem widać było księżyc, który oświetlał twarz sir Nicholasa, nie przeszkadzając mu jednak w śnie. Wkrótce w ciszy rozległo się potężne chrapanie.

Został wyrwany ze snu przez kogoś, kto mocno szarpał go za ramię i syczał coś prosto do ucha. Powróciwszy do rzeczywistości z otchłani snu, instynktownie chwycił napastnika za gardło. Miał szybki refleks.

- Ha, psie!

Joshua zakrzusił się. Rozpaczliwie starał się oderwać palce sir Nicholasa od swojej szyi.

- T - to ja... Joshua! - wydyszał.

Uścisk natychmiast zelżał. Sir Nicholas, już przytomny, usiadł na łóżku.

- Niewiele brakowało, a wyprawiłbym cię na tamten świat, ośle! Co cię napadło, żeby mnie tak szarpać?

- Są ważne powody - odparł Joshua. - Niech pan przestanie się śmiać! Pański Francuz zakradł się do stajni, żeby zabrać klacz.

- Co?! - Beauvallet natychmiast zsunął nogi z łóżka i zaczął szukać butów. - A niech go szlag, tego wymoczka, moczymordę! Skąd wiesz?

Joshua po omacku nie mógł odnaleźć, spodni.

- Obudziłem się, słysząc, że ktoś idzie po schodach. Skrzypnęła jakaś deska. Od razu stałem się czujny. Nie mam zwyczaju zapadać w pijackie odretwienie.

- Zamilcz, marudo! No i co?

- Potem usłyszałem, jak ten ktoś stara się jak najciszej otworzyć drzwi, a za chwilę zobaczyłem, że jakiś gość w pelerynie idzie z latarnią przez podwórze w stronę stajni. Oho, pomyślałem sobie...

- Daj mi rapier - przerwał mu Beauvallet, ruszając do drzwi.

- Zaraz do pana dołączę - szepnął za nim Joshua. - Skaranie boskie z tymi spodniami.

Sir Nicholas szybko zbiegł ze schodów z rapierem w rękę i w kilku susach przemierzył jadalnię, kierując się do drzwi. Podwórze

było skąpane w jasnym świetle księżyca; budynek stajni po prawej stronie rzucał wielki czarny cień. Przez drzwi widać było migoczące światelko latarni. Ze stajni dobiegały stłumione odgłosy krzątania.

Beauvallet potrząsnął głową, jakby chcąc pozbyć się z niej oparów wina, i ruszył przez podwórze.

Francuz pośpiesznie mocował siodło. Klacz miała już założoną uzdę. Latarnia stała na klepisku, obok leżały peleryna i kapelusz Francuza. Był zwrócony plecami do drzwi, podciągał popręgi.

Usłyszawszy jakiś dźwięk, podskoczył, przerażony. W drzwiach stał sir Nicholas z rapierem w dłoni i śmiał się od ucha do ucha.

- Nie wiedziałem, że z ciebie taki niegodziwiec, młodzieńcze! Coś mi się wydaje, że wpadłeś w tarapaty!

Przez chwilę Francuz stał jak oniemiały, z twarzą wykrzywioną gniewem. Beauvallet oparł rapier o ziemię, widząc zakłopotanie młodzika. Niespodziewanie Francuz rzucił się w przód, wyciągnął broń z pochwy i kopnął latarnię, która natychmiast zgasła. Sir Nicholas stał w strudze światła księżyca w otwartych drzwiach, pozostała część stajni była pogrążona w ciemności.

Szybko uniósł rapier i uskoczył, będąc pewny, że ostrze przeciwnika o włos minęło jego ramię. Wykonał szybkie pchnięcie; musiał dosięgnąć celu, gdyż rozległ się zduszony charkot, szczęk broni padającej na klepisko i głucho uderzenie.

Beauvallet zaklął pod nosem i znieruchomiał, oparłszy się o ścianę. Słychać było jednak tylko niespokojne parskanie koni i grzebanie kopytami. Ostrożnie postąpiwszy parę kroków, potknął się o leżącego na ziemi Francuza.

- Czyżbym zabił tego chłopaka? - mruknął, pochylając się nad nieruchomym ciałem.

Przez podwórze pędził Joshua, gotów do ataku. Jak burza wpadł do stajni.

- Co tu się dzieje? Panie? Sir Nicholasie?

- Przestań się drzeć. Pomóż mi z tym tutaj.

- Co, nie żyje? - wydyszał Joshua, starając się przeniknąć wzrokiem ciemność.

- Nie wiem - odparł krótko sir Nicholas. - Weź go za nogi i razem go wyniesiemy. No!

Położyli ciało na brukowanym podwórzu. Beauvallet przyklęknął, rozpiął elegancki wams i próbował wyczuć bicie serca. Mężczyzna został ranny w pierś.

- Psiakrew, nie podejrzewałem się o aż tak doskonałe pchnięcie - rzekł Beauvallet. - Do diabła! Ten młody zdrajca chciał mnie zabić. A co to? - spytał.

Chwycił jedwabny woreczek zawieszony na szyi zabitego.

- Proszę to otworzyć - rzekł Joshua, trzęsąc się na całym ciele. - Może dowiemy się, jak się nazywał.

- A co mi z tego przyjdzie, głupcze? - Mimo wątpliwości sir Nicholas zabrał woreczek i włożył go do kaftana. - To może pokrzyżować nasze plany. Musimy go pochować, Joshuo, jak najszybciej i bezszelestnie.

- O, zła godzino! Niech pan zaczeka! Pamiętam, że w stajni widziałem jakieś narzędzia.

W godzinę później, dokonawszy ponurego obrządku, sir Nicholas, całkiem już trzeźwy, cicho wrócił do zajazdu. Martwił go niepomyślny splot wydarzeń. Któż jednak mógłby przypuszczać, że młodzieniec okaże się zdrajcą? Po powrocie do izby usiadł na łóżku; Joshua zapalił latarnię i postawił na skrzyni.

Beauvallet powoli otarł ostrze i wsunął broń do pochwy, a potem wyjął woreczek zza pazuchy i rozciął jedwab sztyletem. W środku znajdowały się szeleszczące kartki. Pochylił się nad lampą. Przebiegł pierwszą z kart wzrokiem, a potem popatrzył na podpis. Z jego gardła wydarł się cichy okrzyk. Przysunął latarnię. Miał w ręku list od Henri de Guise'a (Henri de Guise, jeden z głównych inicjatorów nocy św. Bartłomieja, organizator i przywódca Ligii Katolickiej, przeciwnik króla Henryka III.) do króla Hiszpanii, Filipa, w większości, niestety, zaszyfrowany.

Joshua, który nie kryjąc zaciekawienia, kręcił się w pobliżu, ośmielił się zadać pytanie:

- Co to jest? Czy jest tam może jego nazwisko?

Beauvallet patrzył na glejt, wypisany wyraźnym pismem.

- Wygląda na to, mój drogi Joshuo - powiedział - że zabiłem potomka rodu de Guise, Gwizjuszów.

- Boże, miej nas w swej opiece! - zawołał Joshua. - Czy te papiery mogą się nam na coś przydać, panie? Może uda nam się wykorzystać je dla naszych celów?

- Ponieważ są to pisma do jego katolickiej mości, mogą nam bardzo pomóc - odpowiedział sir Nicholas, ponownie studiując pierwszy list.

- Trochę znam się na szyfrach, więc... - Uniósł wzrok. - Do łóżka, łajdaku, do łóżka!

Godzinę później Joshua, obudziwszy się przy przekręcaniu się na drugi bok, zobaczył sir Nicholasa pochylonego nad listami, z mokrą ścierką zawiązaną wokół głowy, która miała go prawo boleć. Joshua zamknął oczy i znowu zapadł w sen.

Gdy ponownie się obudził, na dworze było już jasno. Sir Nicholas spał wyciągnięty na łóżku; nigdzie nie było śladu po papierach. Joshua cicho się ubrał i zszedł do jadalni, gdzie zastał skonsternowanego właściciela zajazdu. Gospodarz głośno narzekał na młodego monsieur, który wymknął się w nocy, nie płacąc za pobyt. Joshua doskonale udął umiarkowane zainteresowanie. Zadał pytania, które same cisnęłyby się na usta w takiej sytuacji, wyraził oburzenie z powodu karygodnego zachowania, a myślał o nocnej działalności swojej i swego pana.

Po chwili usłyszał głos sir Nicholasa, wzywający go na górę. Szybko zaniósł swemu panu tacę ze śniadaniem.

Sir Nicholas sprawiał wrażenie doskonale wypoczętego, jakby wcale nie spędził nocy nad łamaniem szyfru. Miał jasne, bystre spojrzenie i jedynie wilgotna ścierka na podłodze świadczyła o nocnym wysiłku intelektualnym.

Joshua postawił tacę i wyjął świeżą koszulę.

- Panie, właściciel bardzo się gorączkuje na temat wie pan czego. Gdzie mógł się podziać ten mężczyzna? Dlaczego się stąd wymknął? Nie ośmieliłem się odpowiedzieć na te pytania, ale myślę, że powinniśmy jak najszybciej przekroczyć granicę.

- Wyruszymy zaraz po śniadaniu. Zobacz, czy drzwi są dobrze zamknięte. A teraz słuchaj, łotrze. - Sir Nicholas wypił łyk wina i urwał kęs żytniego chleba. - Wczoraj w nocy zabiłem kawalera Claude'a de Guise'a, rozumiesz?

- Tak, panie. Powiedziałem przecież, że to może nam się na coś przydać.

- Owszem. Nie rozumiem wszystkiego, co tu jest napisane, a jeden z listów jest opatrzony bardzo solidną pieczęcią, ale to, co mamy, powinno wystarczyć. Pewnie nie we wszystkim się orientujesz, ale wiedz, że podróżuję odtąd jako tajny posłaniec od Gwizjuszy do

króla Filipa. Ależ Walsingham się ucieszy! - Przeciągnął się i sięgnął po koszulę. - To wspaniała przygoda, najwspanialsza z dotychczasowych.

- To może źle się skończyć - ostrzegł Joshua. - Tajni wysłannicy, tfu! Staniemy się tacy tajni, że nikt o nas więcej nie usłyszy!

- Głupie żarty. Od początku wiedzieliśmy, że to szalone przedsięwzięcie. Czyżby obleciał cię strach? Możesz się wycofać, wciąż jest na to czas.

Joshua wypiął pierś.

- Coś podobnego! Będę panu towarzyszył do końca. Poza tym przepowiedziano mi, że umrę we własnym łóżku. Nie mam się czego obawiać.

- Racja! - zawołał sir Nicholas, roześmiał się i dodał: - A w ogóle: Nie przejmuj się!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nietrudno było przekroczyć granicę, dysponując dokumentami kawalera de Guise'a. Z tego, co Beauvallet zdołał wyczytać z niezapieczętowanych listów do Filipa, wynikało, że młody Francuz był kuzynem księcia Henri de Guise'a. Fakt, iż ta wiadomość w ogóle pojawiła się w liście, świadczył zapewne o tym, że młody człowiek nie podróżował wcześniej jako wysłannik do Hiszpanii. Beauvallet nie wątpił, że mistyfikacja mu się uda, zdawał sobie jednak sprawę, że balansuje na ! bardzo cienkiej linii. Wystarczył jeden niefortunny zbieg okoliczności, przebywający w Madrycie Francuz, który znał kawalera, by sir Nicholas był zgubiony. Ta świadomość sprawiła, że pozwalał j sobie na dzikie harce na koniu. W obliczu niebezpieczeństwa życie cieszyło go jak nigdy dotąd. Teraz podrzucił wysoko broń i zręcznie chwycił ją, zanim spadła na ziemię. Słońce zalśniło na całej długości ostrza. Pomiędzy ośmioma koronami wyryte było nazwisko Andrei Ferrary, a pod nim umieszczono stanowiące przestrożę motto: „Tnę nie na żarty”.

- Miecz i mój rozum przeciwko całej Hiszpanii! - nucił Beauvallet. Potem rozmyślał o tej, którą pragnął odszukać, i droga mijiała niepostrzeżenie.

Miał mnóstwo czasu na rozmaite rozważania, jako że podróż do Madrytu zajęła im prawie dwa tygodnie. W końcu zobaczyli przed sobą białe miasto, które przysiadło na wzgórzu nad chłostaną wiatrem rozległą równiną. Rozciągało się na północ w stronę gór Sierra de Guadarrama i południe ku wielkiemu łańcuchowi górskiemu, strzegącemu Toledo.

Joshua nieustannie narzekał na stan dróg, zmagając się z prowadzonym jucznym koniem. Przed laty odbył już z Beauvalletem podróż do Hiszpanii i stwierdził, że drogi nie są lepsze niż wtedy. Trzymał się z tyłu, przyglądając się wszystkiemu krytycznym wzrokiem.

- Same owce! - stękał. - Jest ich tyle, że niedługo zniszczą te ziemie. Co za biedny kraj! Dookoła wszystko w ruinie! Nie ma zbóż ani pól. Wszędzie tylko nagie skały i kurz. I owce... zapomniałem nawet o owcach, co pewnie wyda się panu niemożliwe. I to pan nazywa drogą? Oj, my, Anglicy, moglibyśmy niejednego nauczyć tych Hiszpanów!

- Powściągnij język - skarcił go ostro Beauvallet. - Nie chcę słyszeć żadnej angielszczyzny. Zgadzam się z tobą, że to zaniedbany kraj. Jak goniec może tu szybko dojechać, na przykład do granicy?

- W żaden sposób nie może. Niepodobna dojechać gdziekolwiek tymi drogami, jeśli koń ma przy tym nie okuleć. Cała ta Hiszpania jest daleko za nami. Proszę tylko pomyśleć o swojej pięknej posiadłości i porównać ją z tą ponurą fortecą! - Mówiąc to, miał na myśli posępne zamczysko, które niedawno minęli. Zadrzał. - Oj, nie podoba mi się ten kraj.

Po wspinaczce pasmem Sierra de Gudarrama zjechali na wielką splekaną równinę. Wolno posuwając się naprzód, w oddali zobaczyli Madryt. Dotarli tam wieczorem, gdy zrobiło się chłodno. Joshua trząsał się z zimna i utyskiwał na podły klimat, pełen skrajności. W dzień można było upiec się w słońcu, burczał, za to po zachodzie zrywały się niemal arktyczne wiatry. To wszystko mogło człowieka wpędzić w chorobę.

Beauvallet dobrze znał Madryt; musiał przyznać, że miasto bardzo się rozbudowało od jego poprzedniej bytności. Udali się do gospody „Pod Wschodzącym Słońcem”, znajdującej się o parę kroków od Puerta del Sol. Nie musiał ponownie ostrzegać Joshui. Służący przestał narzekać, gdy po stromych schodkach wdrapywali się do środkowej części miasta. Można było mieć pewność, że od tej pory dzielnie stawi czoło wszelkim przeciwnościom losu. Beauvallet nie obawiał się problemów z tej strony. Joshua swobodnie, choć z obcym akcentem, porozumiewał się w języku francuskim i zupełnie przyzwoicie radził sobie z hiszpańskim. Było mało prawdopodobne, by z braku słów niepostrzeżenie odezwał się w ojczystym języku. Sir Nicholas zamówił osobny pokój w gospodzie i tego wieczoru zjadł tam kolację, obsługiwany przez Joshuę.

- Ponieważ jestem pewien, że francuski ambasador nic nie wie o korespondencji, którą wiozę, mów, że podróżuję dla przyjemności.

- Ale co pan zrobi z tymi papierami? - zapytał Joshua, wyraźnie zaniepokojony.

Kąćki ust sir Nicholasa uniosły się w nieznacznym uśmiechu pod schludnie przystrzyżonymi wąsami.

- To chyba oczywiste, oddam je jego katolickiej mości! Cóż innego mógłbym z nimi zrobić?

- Panie, pójdiesz do jaskini lwa?

- Znam tylko jednego lwa, i na pewno nie ma go w Hiszpanii - odpowiedział Beauvallet. - Jutro rano wybieram się do alkazaru. Przygotuj mi elegancki strój francuskiego kroju. - Wyjął skradzione papiery zza pazuchy i położył je na stole. - I ładnie obszyj mi je w jedwab. - Jego oczy rozbłysły. - Co, wciąż trzęsiesz się ze strachu? Przeżegnaj się i wezwij na pomoc świętych, jak masz to w zwyczaju.

Hiszpański alkazar nie był tak dostępny dla gości, jak pałace królowej Elżbiety. Beauvallet musiał uzbroić się w cierpliwość, odpowiedzieć na mnóstwo pytań, a potem, gdy zabrano mu do sprawdzenia dokumenty niby - Francuza, musiał jeszcze bez końca czekać w wielkiej, ponurej sali.

Usiadł na rzeźbionym krześle z drzewa cyprysowego i rozejrzał się z zainteresowaniem. Otaczały go marmury, bogate tkaniny brokatowe i arrasy, przedstawiające sceny męczeństwa rozmaitych świętych. U stóp szerokich schodów stał posąg z brązu, podłogi były zasłane tureckimi dywanami, które tłumiły odgłos kroków i stanowiły dziwny widok dla Anglika. Istotnie, w alkazarze nie słychać było żadnych dźwięków. Lokaje stali niczym posągi po obu stronach wielkich drzwi. Od czasu do czasu przez salę przemykały w milczeniu pojedyncze osoby: dworzanin odziany w jedwabie i aksamit; skromnie ubrany mężczyzna, którego Beauvallet uznał za sekretarza; dominikanin w osłaniającym twarz kapturze i z rękami ukrytymi w szerokich rękawach habitu; starszy mężczyzna, przyglądający się Beauvalletowi z nieskrywanym zaciekawieniem i wyraźnie śpiesząca się gdzieś kobieta, najprawdopodobniej dama dworu.

Trudno było czuć się swobodnie w tym olbrzymim holu; panująca w nim dziwna cisza mogłaby wyprowadzić z równowagi kogoś o słabszych nerwach. Nie trzeba było spotkać księdza w czarnym habicie, by przywołać na myśl przerażające obrazy.

Jednak sir Nicholasa nie dręczyły niepokojące myśli, a jego puls bił równo jak zwykle. Wiedział, że wystarczy jeden fałszywy krok, by nigdy już nie zobaczył Anglii. W swej szaleńczej zuchwałości nie dopuszczał jednak takiej możliwości, był pewien, że nie popełni błędu. Miesiąc temu w Paryżu, usłyszawszy o wyczynach Beauvalleta, markiz de Belremy powiedział z przerażeniem: „Mon Dieu, quel sangfroid!”. Gdyby markiz mógł teraz zobaczyć swego krewniaka, byłby przerażony stokroć bardziej i powtarzałby potem, że Nicholas okazał zimną krew także w paszczy lwa.

Po półgodzinnym oczekiwaniu nadszedł lokaj w towarzystwie ubranego w długą szatę, gładko ogolonego sekretarza, który uważnie przyjrzał się Beauvalletowi.

- Kawaler de Guise? - zapytał po francusku.

To, co sir Nicholas słyszał o Gwizjuszach, pozwoliło mu przypuszczać, że żaden przedstawiciel tego rodu nie zerwałby się z miejsca na widok zwykłego skryby. Powoli skłonił głowę.

- Ma pan listy dla Jego Wysokości?

Beauvallet ponownie kiwnął głową, przekonany, że robi dobre wrażenie, i myśląc, że królowa Elżbieta ma wokół siebie szlachetniej urodzonych niż ten tutaj. Bezbłędnie potrafił wyczuć parweniusza.

Sekretarz uklonił się i wyciągnął rękę.

- Dostarczę je Jego Wysokości, senior.

Usłyszawszy te słowa, Beauvallet z niedowierzaniem uniósł czarne brwi. Być może takie zachowanie wydało mu się stosowne, niewykluczone, że zawdzięczał je swej odwadze, a może powodowała nim zwykła ciekawość i chciał spotkać się ze słynnym Filipem; w każdym razie powiedział uprzejmie:

- Mam rozkaz, senior, oddać te listy osobiście Jego Wysokości.

Sekretarz znów się skłonił. Na razie wszystko toczy się jak najpomyślniej, pomyślał Beauvallet, przyglądając się sekretarzowi bardzo uważnie, pomimo pozorów swobodnego zachowania.

- Proszę za mną - powiedział sekretarz i poprowadził gościa schodami na piętro.

Szli istnym labiryntem korytarzy, aż dotarli do zasłoniętych kotarą drzwi. Beauvallet wszedł przez nie do urządzonej w surowym stylu komnaty, w której znów musiał czekać.

Na ścianach wisiały arraszy z kolejnymi scenami męczeństwa. Sir Nicholas skrzywił się, rozczarowany gustem jego katolickiej mości. Minęło kolejne pół godziny; król Filip najwyraźniej się nie śpieszył. Sir Nicholas patrzył przez okno na wybrukowany dziedziniec, ziewając od czasu do czasu.

W końcu nadszedł sekretarz.

- Jego Wysokość przyjmie pana - oznajmił, oddając Beauvalletowi dokumenty młodego Francuza. - Pan będzie łaskaw tędy. - Odchylił zasłonę przed Beauvalletem, po czym poprowadził go korytarzem do podwójnych dwuskrzydłowych drzwi, które otworzyły się po tym, jak sekretarz zabębnił w nie palcami. Sir Nicholas

przeszedł do przedpokoju, w którym dwaj mężczyźni pisali coś przy stole, a dwaj inni, strażnicy, stali przy drzwiach. Udał się za sekretarzem przez pokój do łukowato sklepionego przejścia z zasłoną, która natychmiast została odciągnięta przez stojącego obok strażnika. Po chwili sekretarz wszedł do komnaty.

- Kawaler de Guise - zaanonsował, kłaniając się bardzo nisko, po czym wycofał się w stronę ściany.

Sir Nicholas powoli wszedł do wnętrza, na chwilę przystanął przy zasłonie, która miękko zakryła przejście, i jednym spojrzeniem ogarnął niemal pusty, przypominający celę pokój. Nie było w nim nic godnego uwagi. Skrzynia, sekretarzyk, na środku stół, za którym na fotelu z wysokim oparciem, ze stopami wspartymi o wyściełany aksamitem podnózek, siedział blady mężczyzna z rzadkimi żółtawymi lokami przyprószonymi siwizną i żółtą brodą, równie mizerną jak pukle. Miał poważne, sępie oczy, głęboko osadzone i skryte pod opadającymi powiekami.

Sir Nicholas wdzięcznie opadł na kolano, zamiatając podłogę piórami kapelusza. Na Boga, pomyślał, jestem w jego komnacie, a on nawet o tym nie wie.

- Kawaler de Guise - wolno powtórzył Filip. - Witamy, senior.

Nie było jednak niczego zachęcającego w obojętnym tonie głosu, przyćmione oczy nie rozblęły ożywieniem. Byłby jeszcze mniej uprzejmy, gdyby wiedział, że ma przed sobą El Beauvalleta, pomyślał sir Nicholas, wstając.

Filip, siedzący nieruchomo w fotelu, przyglądał się przybyszowi. Nastąpiła pełna napięcia chwila. Sir Nicholas spokojnie poddał się oględzinom; nikt nie mógł się domyślić, że w razie czego gotów jest wyciągnąć miecz.

- Ma pan dla nas listy - powiedział rozwleknie Filip.

Beauvallet wyjął jedwabny woreczek zza pazuchy, podszedł do stołu, znów przyklęknął i podał królowi przesyłkę.

Przy tej czynności król dotknął ręki Beauvalleta; miał zimne, lekko wilgotne palce. Wręczył paczuszkę sekretarzowi i dał znak sir Nicholasowi, by wstał.

- To pańska pierwsza wizyta w Hiszpanii?

- Tak.

Filip pochylił głowę. Sekretarz przeciął warstewkę jedwabiu i rozłożył szeleszczące papiery przed swym panem. Król wolno

studiował treść pierwszej strony. Bezbarwny wyraz jego oczu nie zmienił się przy tym ani na jotę.

- A więc jest pan kuzynem księcia de Guise'a, senior - powiedział w pewnym momencie i odsunął papiery, leżące na błyszczącym blacie stołu. - Zajmiemy się tymi sprawami i damy panu odpowiedź mniej więcej w ciągu tygodnia. - Jego Wysokość najwyraźniej nie lubił się śpieszyć. Przemówił do sekretarza. - Vasquez, każ posłać po Don Diaza de Losę, jeżeli jest w zamku. - Przeniósł wzrok z powrotem na Beauvalleta. - Don Diaz zadba o to, by miło pan spędził czas, senior. Gdzie się pan zatrzymał?

Beauvallet podał nazwę gospody. Filip zastanawiał się przez chwilę.

- Tak, to dobry wybór - pochwalił. - Przecież nie przybył tu pan z oficjalną wizytą.

- Wszystkim mówię, że podróżuję dla przyjemności.

- To dobrze - uciał Filip. - Ufam, że przyjemnie spędzi pan czas. Madryt ma wiele do zaoferowania.

- Obiecałem sobie, że pojedę zobaczyć wielki Escorial - rzekł sir Nicholas, przybierając ton pełen szacunku.

W oczach Filipa pojawiło się coś na kształt ożywienia, a matowy głos przybrał na sile. Zaczął rozprawiać o swoim rozległym pałacu, którego budowa dobiegała końca. Mówił jak ktoś doskonale obeznany w temacie i bez reszty pochłonięty sprawą, którą gotów był uznać za świętą. Nie skończył swej opowieści, gdy do komnaty wrócił Matteo de Vasquez w towarzystwie postawnego mężczyzny w średnim wieku, ubranego niezwykle dostojnie i okazale, w przeciwieństwie do odzianego w czarny strój króla.

Entuzjazm Filipa zgasł. Przedstawił Don Diaza de Losę i powierzył kawalera de Guise'a jego opiece. Beauvallet wyszedł z komnaty za hiszpańskim szlachcicem, skłoniwszy się uprzednio królowi.

Don Diaz, prezentując kastylijską poważną uprzejmość, poprosił, by kawaler zwracał się do niego w każdej potrzebie. Przeprowadził go przez korytarze do galerii, gdzie zgromadziła się grupka dworzan, i przedstawił skrupulatnie wszystkim obecnym, mówiąc, że kawaler de Guise jest szlachcicem z dworu francuskiego i podróżuje, by wzbogacić wiedzę o świecie. W ten sposób Beauvallet został wprowadzony do towarzystwa. Don Diaz domagał się, by gość z

Francji zechciał wziąć udział w przyjęciu, które tego wieczoru odbywało się w jego domu. Beauvallet bez zastanowienia przyjął zaproszenie. Zabawił jeszcze chwilę w galerii, rozmawiając z hiszpańskimi wielmożami, a potem się pożegnał. Don Diaz odprowadził go do holu, gdzie rozstali się, wymieniając liczne uprzejmości.

Niecierpliwie czekający na powrót swego pana Joshua, westchnął z ulgą na jego widok. Sir Nicholas opadł na fotel.

- Boże, co za dwór! - powiedział i zaczął się śmiać. - Co za król! Jak mumia! Gdyby tak ktoś szepnął mu do ucha „El Beauvallet!”, pewnie by się ożywił.

- Uchowaj Boże! - powiedział z przejęciem Joshua. - Wcale mi się to wszystko nie podoba! - Sprawiał wrażenie zaniepokojonego. - Jak długo tu zostaniemy?

- Kto wie? Ależ będę miał opowieści dla Drake'a! Da Bóg, przeżyję, a wtedy Drake usłyszy tę pierwszorzędną historię.

- Dałby Bóg - powiedział ponuro Joshua.

- Pocieszę cię, niegodziwcze. Za trzy tygodnie „Venture” zacznie krążyć koło tego przemysłowego portu, który dobrze znamy, i każdej nocy będzie zbliżać się do brzegu, czekając na mój sygnał.

- Po co to wszystko, skoro zostanie pan złapany? - zapytał cierpko Joshua.

- Możesz być spokojny, że mi się powiedzie. Niestety, sytuacja się komplikuje i czeka mnie wiele pułapek. Jeśli w którąś wpadnę... - Urwał i zamyślił się na dłuższą chwilę. - No tak. Jeśli zostanę zamknięty, Joshuo, natychmiast stąd wyjedź. Poszukaj mało znanej gospody, odpowiadającej naszym potrzebom. Jakoś cię tam znajdę. Jeśli usłyszysz o mojej śmierci albo jeżeli nie pojawię się w ciągu dziesięciu dni, jak najszybciej udaj się do tego portu i po zmroku dawaj sygnały latarnią; wiesz jakie. Mówię to na wszelki wypadek. Mimo wszystko musisz wierzyć w szczęście Beauvalleta. A teraz idź już. Dziś wieczorem wybieram się z wizytą do Don Diaza de Losy. Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdyby udało ci się dowiedzieć czegoś o Don Manuelu.

- Skaranie boskie z tymi kobietami! - orzekł Joshua, na szczęście już po drugiej stronie drzwi.

Dom Don Diaza de Losy był już pełen gości, kiedy Beauvallet zawitał tam tego wieczoru. W jednym z pokoi młodzi mężczyźni grali

w kości, jednak przyjęcie miało dość Uroczysty charakter. Dostojni goście przechadzali się od grupki do grupki; towarzyszyły im damy, zachowujące się znacznie śmieiej niż kobiety z pokolenia ich matek i babek. Służący w liberiach z herbem de Losy roznosili napoje i przekąski na ciężkich srebrnych tacach. Było tam wino w kielichach z weneckiego szkła: Valdepenas z Moreny, czerwone wino z Vinaroz i Benicarlo, oraz Manzanilla, najlżejsze z win typu sherry z San Lucar. Do win podawano słodkie przysmaki i owoce: granaty z Asturii i winogrona z Malagi, nie było jednak innych przekąsek. Anglikowi taki poczęstunek mógł wydać się zbyt skromny, zwłaszcza w zestawieniu z niezwykle bogatym wyposażeniem wnętrza. Domostwo Don Diaza było usłane dywanami, krzesła i fotele wyściełane aksamitem, kandelabry zostały wykonane z kutego srebra, można było podziwiać zegar z Toledo, dookoła pełno było jedwabnych zasłon i arrasów, jednak najwidoczniej Hiszpanie nie mieli zwyczaju urządzania wystawnych przyjęć, tak jak czynili to znacznie bardziej gościnni Anglicy.

Nad wszystkim unosiła się atmosfera wspaniałości i dostojności, jakby każdy był tu świadom swej wysokiej pozycji i znajomości etykiety. Nikt nie podnosił głosu, rozmawiano spokojnie, w sposób wyważony, tak że śmiech Beauvalleta zabrzmiał bardzo dziwnie w tym niemrawym towarzystwie; mężczyźni odwrócili głowy, by zobaczyć, skąd dobiegają te wesołe dźwięki.

W dobry humor wprowadził go mężczyzna z Andaluzji, któremu Don Diaz przedstawił francuskiego kawalera. Południowiec miał wesołe usposobienie w przeciwieństwie do poważnych Kastylijczyków i dumnych Aragończyków i postanowił zabawić swego towarzysza żartami. Rozmawiało im się niezwykle łatwo; w pewnej chwili Don Juan pogratulował Francuzowi doskonałej znajomości hiszpańskiego. Zaciekawilo go, czy senor był już w Hiszpanii, czy też może ma hiszpańskich przyjaciół.

Beauvallet powiedział, że wiele zawdzięcza swemu hiszpańskiemu przyjacielowi, który znał Don Manuela de Rada y Sylwę. Czy dobrze zapamiętał nazwisko?

- O, świętej pamięci gubernator Santiago! - powiedział Don Juan i pokręcił głową.

Beauvallet uważnie przyjrzał się Don Juanowi.

- Miałem nadzieję, że go poznam - rzekł.

- Nie słyszał pan, senor? Don Manuel nie żyje od trzech miesięcy. Dziwna historia!

- Nie żyje - powtórzył Beauvallet. - Jak to się stało?

- Wszystko przez ten fatalny klimat Indii Zachodnich, senor. Zdradziecki, bardzo zdradziecki! Ale to nie wszystko, łączy się z tym niesamowita historia.

- Proszę mi ją opowiedzieć, jeśli łaska. Południowiec rozłożył ręce.

- Czy słyszał pan może we Francji o angielskim korsarzu, El Beauvallecie?

- Oczywiście! Kto o nim nie słyszał? Podobno nazywają go biczem bożym na Hiszpanię. Dobrze się wyraziłem?

- Owszem, senor. Niestety! Podobno ten człowiek ucieka się do czarów. - Don Juan przeżegnał się; Nicholas szybko poszedł za jego przykładem, pochylając głowę, by ukryć rozbawienie. Kiedy ponownie uniósł wzrok, był już śmiertelnie poważny, nie licząc figlarnych iskierek, które zawsze były w jego spojrzeniu. Don Juan, przejęty opowieścią, nie zauważył niczego podejrzanego.

- Splądrował i zatopił statek, którym Don Manuel płynął do kraju, ale... trudno w to uwierzyć... zabrał Don Manuela i jego córkę na pokład swego okrętu.

- Coś podobnego! - Beauvallet uniósł brwi.

- Ale dlaczego?

- A kto to może wiedzieć, senor? Można by przypuszczać, że po prostu miał taki kaprys, bo przecież trudno podejrzewać go o szlachetność. Trzeba przyznać, że miał czelność zawinąć do hiszpańskiego portu i tam wysadzić Don Manuela na brzeg.

- Zdumiewa mnie pan - rzekł sir Nicholas.

- Przypuszczam, że ten słynny rozbójnik porwał jego córkę do Anglii?

- Można by się tego spodziewać, ale znów postąpił zupełnie inaczej. Dona Dominica wróciła cała i zdrowa, tyle że jej ojciec zmarł wkrótce po przybyciu do ojczyzny. Córka jest teraz pod opieką ciotki, Beatrice de Carvalho.

Dziękuję za tę wiadomość, pomyślał sir Nicholas, zapamiętując nazwisko ciotki.

- Opowiada pan niestworzone historie, senior - powiedział. - Żeby ujść cało ze szponów takiego łajdaka jak ten Beauvallet! - Nieznacznie wzruszył ramionami.

Stojący nieopodal mężczyzna odwrócił głowę i przyjrzał się im uważnie. Skłonił się Don Juanowi, a potem jego rozmówcy.

- Wybacz pan, senior, ale wymówił pan przed chwilą pewne nazwisko. Czy ten korsarz w końcu został ujęty?

Don Juan dokonał prezentacji, a na pytanie odpowiedział Beauvallet.

- Nie, senior. Niektórzy mówią, że jest wybrańcem bogów.

- To się okaże - odpowiedział mężczyzna.

- Może miał pan sposobność go widzieć?

- Owszem - przyznał sir Nicholas. - W Paryżu, gdzie czasem bywa.

Don Juan okazał żywe zainteresowanie.

- Naprawdę? Czy rzeczywiście jest tak szalony, jak opowiadają? Ci, którzy mieli z nim do czynienia, mówią, że ma czarne włosy i głośno się śmieje.

- Tak, śmieje się, senior - odrzekł sir Nicholas i bezczelnie zachichotał. - Gotów jestem przysiąc, że gdyby Beauvallet stał w tym pokoju otoczony wrogami, też by się śmiał. Ma taki zwyczaj.

- Trudno w to uwierzyć, senior - powiedział dostojny mężczyzna.

- Zresztą i tak wkrótce przestanie się śmiać. - Odszedł, lekko się skłoniwszy.

W tym momencie pojawił się Don Diaz. Położył rękę na ramieniu Beauvalleta.

- Szukałem pana. Chciałbym pana przedstawić pańskiemu rodakowi, ambasadorowi, monsieur de Lauviniere'owi.

Beuvallet nawet drgnieniem powiek nie zdradził, jak nie na rękę była mu ta uprzejmość. Poczł zbliżające się niebezpieczeństwo. Jak zwykle postanowił wyjść mu naprzeciw z uśmiechem na ustach.

Don Diaz przeprowadził go przez pokój, mówiąc ściszym głosem:

- Lepiej będzie, senior, jeżeli nie będziemy robić tajemnicy z pańskiej wizyty w Madrycie. Monsieur de Lauviniere mógłby wtedy zacząć coś podejrzewać. Nie muszę chyba pana ostrzegać, żeby miał się pan przy nim na baczności. Stoi tam, przy drzwiach.

Francuski ambasador miał siwe włosy, haczykowany nos i głęboko osadzone oczy o świdrującym spojrzeniu. Gdy Don Diaz przedstawił „kawalera”, skłonił się, a potem popatrzył mu uważnie prosto w twarz.

- Jest pan kuzynem księcia de Guise'a? - zapytał. - Nie sądziłem... - Zamyślił się, nie odrywając wzroku od Beauvalleta. - Niestety, słabo znam Gwizjuszów.

Beauvallet pomyślał, że dobrze się składa. Trudno przypuszczać, by jakikolwiek uczestnik tego dworskiego przyjęcia mógł być zaprzyjaźniony z wielką rodziną Gwizjuszów.

- Jestem dalekim kuzynem księcia, monsieur - wyjaśnił sir Nicholas.

- Tak? - De Lauviniere przyjrzał mu się jeszcze uważniej. - Z której gałęzi rodu, monsieur, jeśli wolno mi zapytać?

Nie należało się wahać.

- Z młodszej, monsieur. Księżę jest moim kuzynem drugiego stopnia pokrewieństwa.

- Słyszałem o panu, monsieur - rzekł ambasador. - Myślałem, że jest pan młodszy. Czy zamierza pan zatrzymać się w Madrycie na dłużej?

- Chyba nie. Chciałbym jeszcze odwiedzić Sewillę i Toledo.

- Widzę, że kieruje się pan na południe. Jakaś dama, w towarzystwie męża, podeszła do ambasadora i zajęła go rozmową. Beauvallet wycofał się, wdzięczny losowi za przychyłność. Gdyby jednak zobaczył postscriptum wysłanego nazajutrz rano listu de Lauviniere'a do kraju, z pewnością miałby znacznie gorszy humor.

„Byłbym wdzięczny, gdybyś dowiedział się, ile lat ma kawaler Claude de Guise, kuzyn obecnego księcia. Proszę, zdobądź o nim jak najwięcej wiadomości. Szczególnie interesuje mnie jego sylwetka, wzrost i rysy twarzy. Twój wierny przyjaciel. Henri de Lauviniere”

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnego dnia rano, siedząc w łóżku, sir Nicholas popijał gorącą czekoladę i słuchał opowieści Joshui. Sługa zdobył potrzebne wiadomości, którymi chętnie się teraz dzielił, przygotowując ubranie dla swego pana. Butelka wina wypita z gospodarzem zajazdu „Pod Wschodzącym Słońcem” rozwiązała mu język. Zresztą, czy był ktoś zręczniejszy od Joshui Dimmocka w zdobywaniu informacji?

- Jest pod opieką ciotki. To wiem - rzekł sir Nicholas.

Entuzjazm Joshui wyraźnie przygasł.

- Rzeczywiście, a Don Manuel zmarł trzy miesiące temu. Dama dziedziczy wszystko... absolutnie wszystko!

- To nas nie dotyczy. Nie może przecież przenieść swych ziem do Anglii.

- To prawda, panie, szczerą prawdą. Jest jeszcze coś, o czym, być może, pan nie słyszał. Dużo mówi się o jej rychłym ślubie.

Sir Nicholas ziewnął.

- Wkrótce będzie mówiło się jeszcze więcej.

- Panie, ludzie opowiadają, że poślubi swego kuzyna, jakiegoś Diega de Carvalho.

- No, no! - ożywił się Beauvallet. - Chyba jeszcze za wcześnie na rozmowy o ślubie. To jej kuzyn? O ile się nie mylę, to oznacza, że potrzebna będzie dyspensa.

- Źle mnie pan zrozumiał: nic się jeszcze nie stało. - Przyłożył palec do nosa. - To daje do myślenia. Dowiedziałem się, że rodzina Carvalho jest biedna. Powie pan, że nie ma się w tym czego dopatrywać. To prawda, choć wcale nie widać tu zbyt wielu szlachciców, którzy siedzą na pieniądzech. Dziwne, bardzo dziwne! A mimo to są tacy nadęci! My, Anglicy, nie zachowujemy się w ten sposób. Mówię to bardzo cicho; proszę się nie obawiać, że ktoś niepowołany mnie słyszy. Radzę to wszystko dokładnie rozważyć. Co będzie, jeśli ta ciotka, nawiasem mówiąc, ma na imię Beatrice, jeżeli to pana interesuje, uplanowała sobie, że zawładnie jej majątkiem?

- To bardzo możliwe - przyznał sir Nicholas. - A poza tym może przekupić władze kościelne, żeby przyspieszyć udzielenie dyspensy.

- Ja też tak myślę. Ci księża! To, co się słyszy, w głowie się nie mieści!

- Dowiedziałeś się czegoś na temat Don Diega? - zapytał ze zniecierpliwieniem sir Nicholas.

- Nic istotnego. Wydaje mi się, że jest nikim. Ech, ci hiszpańscy kawalerowie! Nie ma żadnego porównania z młodymi Anglikami. Jest rozrzutny, ale tacy są wszyscy młodzi mężczyźni, więc to o niczym nie świadczy. Kręci się po mieście, jak to młodzieniec. Poza tym dowiedziałem się, że uchodzi za przystojnego, dobrze jeździ konno, wie, jak należy posługiwać się bronią i w ogóle ma różne talenty. Jeśli pan powie, że to musi być jakiś pajac, nie zaprzeczę, bo też mi się tak wydaje. Nie powinniśmy sobie zawracać nim głowy.

- Być może będziemy jednak musieli - rzekł sir Nicholas. - Co jeszcze? Czy jego ojciec żyje?

- Oczywiście, panie, ale tu też bym powiedział, że to człowiek bez znaczenia. O ile dobrze zrozumiałem naszego gospodarza, który kiedy sobie wypije, staje się bardzo gadatliwy

- to nawet zaskakujące u takiego sztywniaka

- Carvalho jest pod pantoflem żony. - Rozłożył ręce. - Właśnie! Podobno ta kobieta dziwnie się zachowuje. Pewnie wkrótce dowiemy się czegoś więcej na ten temat. Mają posiadłość gdzieś na północ od Burgos, ale teraz cała czwórka przebywa w domu w Madrycie. Znalazłem ich dom przy Plaza de Oriente. Kiedy pan spał, trochę pokręciłem się po mieście. Muszę przyznać, że jest tu parę ładnych budynków i całe mnóstwo papieskich kościołów, aż robi się niedobrze. Nietrudno jest znaleźć dom rodziny Carvalho. Z tyłu jest mur obrośnięty winoroślą, pewnie otacza ogród. Myślę, że będziemy mogli zrobić z tego użytek. A poza tym w tym tygodniu odbędzie się tam bal z okazji urodzin Diega. Dużo się o tym mówi, bo ci Hiszpanie chyba niezbyt często wydają przyjęcia. Przybędzie mnóstwo osób.

- W takim razie ja też tam muszę być - rzekł Beauvallet, podrywając się z łóżka. - Tylko jak mam zawrzeć znajomość z tą rodziną?

- Proszę pójść na Mentidero - poradził Joshua. - Słyszałem, że to ulubione miejsce spacerów dworzan. Może je pan porównać z naszym Duke Humphrey's Walk, oczywiście na niekorzyść tego pierwszego!

- Niezła myśl - uznał Beauvallet, wciągając pończochy. - Być może spotkam tam przyjaciela poznanego poprzedniego wieczoru.

Mentidero okazało się promenadą, ciągnącą się wzdłuż muru kościoła San Felipe el Real, znajdującego się u wejścia na Calle

Mayor. Przychodzili tam dworzanie, by wymienić plotki, omówić najnowsze skandale, zaprezentować nowy krój ubrań lub sposób wiązania podwiązek. Na dole stało kilka budek, w których można było kupić haftowane rękawiczki dla damy, podwójną kokardkę jako symbol miłości albo broszkę z kutego srebra. Po drugiej stronie Calle Mayor znajdował się pałac Onate. Przed nim, na wyboistym chodniku, malarze wystawiali obrazy w nadziei, że spodobają się one dworzanom. Środkowa część ulicy rozszerzała się w placyk, na którym gromadzili się nosiciele wody; było tam tłoczno i hałaśliwie. Dookoła rozsiadły się sklepy i gdzieś tam kawiarnie, w których można było spotkać się z przyjacielami.

Na Mentidero Beauvallet spostrzegł dżentelmena z Andaluzji, który wydawał się zachwycony tym, że ponownie spotyka francuskiego kawalera. Sir Nicholas przyłączył się do niego. Spacerowali w górę i w dół, poruszając różne tematy. W końcu Beauvallet przedstawił swą prośbę. Skoro nie mógł już spotkać się z Don Manuelem, chciałby poznać jego czcigodnego szwagra. Nie wiedział jednak, jak osiągnąć cel, jako że nie znał nikogo z rodziny Carvalho.

Problem został rozwiązany niezwykle łatwo. Don Juan de Aranda nawet jeszcze tego ranka mógł bez trudu przedstawić kawalera Don Diegowi de Carvalho, który jak zwykle o tej porze przechadzał się po Mentidero. Przed chwilą minęli go, pogrążonego w rozmowie z de Larą i młodym Vasquezem.

Wobec tego zawrócili.

- Słyszałem, że Don Diego to bardzo dobrze ułożony kawaler - zaczął ostrożnie Beauvallet. - To prawda, że jest jedynakiem?

- Prawda, senior. - Don Juan powiedział to z pewnym zniecierpliwieniem, jakby nie darzył Don Diega nadmiernym szacunkiem. Po chwili wskazał kogoś ruchem głowy i dodał: - A oto i Don Diego, ten niższy.

Młodzieniec przechadzał się niespiesznie, rozmawiając z towarzyszem. Miał bardzo ciemne, kręcone włosy i brwi sięgające nasady nosa oraz pełne, pięknie wykrojone wargi. W lewym uchu nosił kolczyk, był bardzo obficie uperfumowany piżmem i obracał w palcach różę. Na głowę założył fantazyjnie przekrzywioną aksamitną czapkę z piórkiem, szyję otaczała mu szeroka kreza ozdobiona koronką; krótka pelerynka była podszyta różowym jedwabiem.

Sir Nicholas uważnie przyjrzał się Don Diegowi. Potem mówił, że od razu zaswędziała go noga, jednak przybrał pogodny wyraz twarzy, a gdy Don Juan dokonał prezentacji, wykonał należny ukłon.

Don Diego odwzajemnił pozdrowienie, a kiedy się wyprostował, uważnie popatrzył na Beauvalleta jasnoniebieskimi oczami. Można było odnieść wrażenie, że mężczyźni mierzą się wzrokiem; najprawdopodobniej obaj równocześnie poczuli do siebie niechęć i starali się to ukryć.

- Kawaler podróżuje po naszym kraju dla przyjemności - wyjaśnił Don Juan. - Chcielibyśmy okazać mu prawdziwą hiszpańską gościnność, żeby zawiózł stąd do Paryża jak najmiłsze wspomnienia.

Don Diego uśmiechnął się uprzejmie.

- Mam nadzieję, że kawalerowi spodoba się nasz kraj. Jednak przybył tu w złym momencie; sezon dobiega końca, wszyscy myślimy już o powrocie na wieś, gdy tylko dwór przeniesie się do Valladolid. - Popatrzył na Beauvalleta. - Szkoda, że nie przyjechał pan miesiąc temu, senor. Odbywały się tu wtedy walki byków, które pewnie by pana zainteresowały; słyszałem, że nie ma ich we Francji. Poza tym mieliśmy tu też auto da fe. Zebrało się mnóstwo ludzi. - Zamyślił się, po czym dodał: - Można było zemdleć z gorąca i od zapachu pospólstwa.

- Naprawdę? - powiedział Beauvallet z odcieniem pogardy, nad którą nie potrafił zapanować. - Widzę, że wiele straciłem.

- To prawda. Obawiam się, że nieprędko znów będziemy mieli takie atrakcje - odpowiedział z żalem w głosie Don Diego i znów uważnie przyjrzał się Beauvalletowi. - Szkoda, że nie byłem wczoraj u de Losy, gdzie, jak mi powiedziano, miałbym sposobność pana spotkać. - Skłonił się.

- Moja strata, senor - pośpieszył z zapewnieniem sir Nicholas. - Szukałem Don Manuela de Rady, znanego mi ze słyszenia, ale dowiedziałem się, że nie żyje.

- Niestety, to prawda - rzekł Don Diego. Beauvallet odniósł wrażenie, że nie był to żal płynący z głębi serca.

- Chciałbym mieć zaszczyt odwiedzenia pańskiego ojca, senor.

- Mój ojciec będzie czuł się zaszczycony, senor. Na jak długo zamierza pan zatrzymać się w Madrycie?

- Myślę, że zabawię tu parę tygodni. Nie chcę pana teraz zatrzymywać. - Sir Nicholas cofnął się, uchylił czapki i skłonił się. - Mam nadzieję, że jeszcze pana spotkam, senor.

- Będzie mi bardzo miło - odparł Don Diego.

Po tych słowach rozstali się. Sir Nicholas odszukał swego opiekuna, Don Diaza de Losę i bez trudu otrzymał od niego list polecający do Don Rodrigueza de Carvalho.

- Wszystko doskonale się układa - powiedział do siebie, wracając do gospody „Pod Wschodzącym Słońcem”. - Wystarczy jak na jeden dzień. Cierpliwości, Nick!

Rano udał się do domu rodziny Carvalho i miał szczęście zastać Don Rodrigueza. Niestety, nie spełniły się jego nadzieje na spotkanie Dominiki. Nie zobaczył jej nawet przelotnie, chociaż wpatrywał się w wychodzące na patio okna, gdy szedł tamtędy za lokajem.

Został wprowadzony do ciemnej biblioteki, z której okien było widać otoczony murem ogród, zauważony przez Joshuę. W pomieszczeniu znajdowały się niezliczone tomy oprawne w wytłaczaną skórę, były tam też krzesła z drzewa orzechowego z rzeźbionymi zawijasami, katalońska skrzynia z płaskimi kolumnkami z przodu i po bokach oraz podnózek - drabinka przy oknie.

Po chwili nadszedł Don Rodriguez, trzymając w ręku odpieczętowany list de Losy. Był szczupłym mężczyzną w średnim wieku, z oczami osadzonymi, zdaniem Beauvalleta, zbyt blisko nosa, by mogły budzić zaufanie. Usta były wykrojone podobnie jak u syna, jednak ich rysunek zdradzał słabość charakteru i niepewność.

Przyjął „kawalera” bardzo uprzejmie i wypowiedział odpowiednią liczbę stosownych w takich okolicznościach słów na temat śmierci szwagra. Głośno wzdychał, kręcił głową i spuszczał wzrok, uporczywie krążąc wokół problemu niekorzystnego klimatu Indii Zachodnich.

Beauvalleta zaczynała już niecierpliwie ta nużąca wymiana nic nieznaczących uwag, gdy wtem usłyszeli chrzęst czyichś kroków na wysypanej żwirem ścieżce. Za oknem pojawił się cień, zaszeleściły spódnice.

Sir Nicholas odwrócił się szybko, lecz stojącą w progu kobietą nie była Dominica. Mieli przed sobą tęgą, mocno zbudowaną jejmość, ubraną w haftowaną purpurową suknię. Głowę kobiety zdobiła

niezwykle wymyślna fryzura, szeroka krynolina ledwie zmieściła się w drzwiach, a kreza sięgała wysoko za głowę. Dama z pewnością uchodziła za piękność, dopóki nie zmężniała wraz z upływającymi latami. Uśmiechała się nieznacznie; w jej oczach o kształcie migdałów pod znużonymi powiekami kryło się pobłażliwe rozbawienie. Można było odnieść wrażenie, że ironicznie spogląda na otaczający świat i uznaje go za godny pożałowania. Poruszała się powoli jak ktoś, kto nigdy się nie śpieszy, a pomimo monstrualnej krynoliny prezentowała niezaprzeczalny, acz ospały wdzięk.

- O, kawalerze! To moja małżonka, Dona Beatrice - powiedział Don Rodriguez. Wymówił jej imię z lekkim przydechem, jakby oniemiały z podziwu. - Moja najdroższa, pozwól, że przedstawię cię szlachetnie urodzonemu cudzoziemcowi, kawalerowi de Guise.

Ironiczne spojrzenie spoczęło na sir Nicholasie, uśmiech się pogłębił. Dona Beatrice wyciągnęła omdlewającą dłoń i z niejakim zadowoleniem patrzyła, jak Beauvallet się nad nią pochyla.

- Francuz - powiedziała. - Zawsze lubiłam Francuzów. Co pan tutaj robi, kawalerze?

- Po prostu dobrze się bawię, senora. Można było odnieść wrażenie, że uniesienie

brwi sprawia jej mnóstwo wysiłku.

- Dobrze się pan bawi w Madrycie? - zapytała. Usiadła w fotelu i zaczęła się powoli wachlować. - Ja mam wrażenie, że jest bardzo męczący.

- Naprawdę mi się tu podoba, senora - odpowiedział Beauvallet.

- Jest pan młody - stwierdziła, jakby chcąc go usprawiedliwić. - A poza tym jest pan Francuzem. Ech, wy, Francuzi, macie tyle wigoru! Tyle entuzjazmu!

- W Madrycie jest mnóstwo rzeczy, które wywołują mój entuzjazm - rzekł uprzejmie sir Nicholas.

- Ach! Ale kiedy będzie pan w moim wieku, zrozumie pan, że na tym świecie nie ma niczego, czym warto by się entuzjasmować.

- Mam nadzieję, że zachowam złudzenia.

- Lepiej nie mieć żadnych złudzeń - upierała się dama.

Don Rodriguez, z zatroskaniem krzątający się koło żony, uśmiechnął się z żartobliwą przyganą. Odczuwał potrzebę nieustannego łagodzenia wymowy jej słów i usprawiedliwiania dziwactw z pomocą niespokojnego, przepraszającego uśmiechu.

- Porozmawiajmy w pańskim ojczystym języku, kawalerze. Słabo się w nim porozumiewam, ale to taki elegancki język - mówiła nienaganną francuszczyzną.

- Kochanie, kawaler chciał spotkać się z twoim świętej pamięci bratem. Poruszyliśmy smutny temat jego śmierci.

Odpowiedziała, nie zadając sobie trudu, by spojrzeć na męża.

- Dlaczego smutny? Przecież musimy mieć nadzieję, że znalazł wytchnienie. Znał pan mojego brata, kawalerze?

- Nie, ale znałem jego przyjaciela i liczyłem na to, że w związku z tym uda mi się poznać i pani brata.

- Z pewnością nie uznałby go pan za człowieka zabawnego - powiedziała Dona Beatrice. - Ja to co innego.

Sir Nicholas skłonił się.

- Nie wątpię w to - powiedział z przekonaniem.

- Chciałabym, żeby przyjął pan zaproszenie na bal, który wydaję w piątek wieczorem - oznajmiła. - Będzie bardzo nudno i pomyślałam, że mógłby mnie pan rozweselić. Sądzę, że powinien pan poznać mojego syna. - Westchnęła i zwróciła się do Don Rodrigueza. - Senior, Don Diego gdzieś tu musi być. Proszę, poślij po niego.

- Miałem już przyjemność być mu przedstawionym. Spotkałem go wczoraj na Mentidero.

- O, w takim razie nie będzie chciał go pan znów widzieć - oceniła, jakby okazując zrozumienie. - Nie musisz po niego posyłać, senior.

Sir Nicholas przygryzł wargę.

- Wprost przeciwnie, będę zaszczycony.

Na chwilę uniosła powieki. Pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział spojrzenia tak zimnego, przenikliwego i zarazem łagodnego.

- Senior, poślij po Don Diega - poprosiła z westchnieniem.

Po niedługim czasie zjawił się Don Diego, pachnący piżmem. Zachowywał się nienagannie w stosunku do sir Nicholasa. Kiedy prowadzili rozmowę, matka osunęła się na oparcie fotela i przyglądała się im z uśmiechem.

- Spotkasz jeszcze kawalera na balu, synu - powiedziała w pewnej chwili. - Och, mój drogi kawalerze, ależ jestem nieuważna! Nie wyjaśniłam panu, że jest to bal z okazji urodzin mego syna. Zapomniałam których, ale bez wątpienia sam to panu powie.

- Myślę, że to nie interesuje kawalera - odpowiedział z irytacją Don Diego.

- Mam nadzieję, że będę miał szczęście poznać pani bratanicę, senora - rzeki Beauvallet. - A może jeszcze nie pokazuje się publicznie?

Don Diego popatrzył na niego wrogo; Dona Beatrice nie przestawała się wachlować.

- Będzie na balu - odpowiedziała spokojnie. Beauvallet ze zdumieniem zauważył, że ojciec i syn popatrzyli na nią ostro, lecz Dona Beatrice wcale się tym nie przejęła. Wstał, żeby się pożegnać, ucałował jej dłoń i został odprowadzony do wyjścia. Kiedy za Beauvalletem zamknęły się drzwi, Don Diego nieznacznie wzruszył ramionami i rzucił się do okna.

- Dlaczego zaprosiłaś go na piątek? - zapytał. - Tak bardzo ci się spodobał? Kroczy po ulicach tak, jakby kupił cały Madryt.

- Pomyślałam, że będę miała miłą rozrywkę. Jest bardzo przystojny i ma ujmujący sposób bycia. Poza tym bawi mnie to, że nie dorastasz mu do pięt, mój synu.

Don Rodriguez, mimo wszystko, uznał za stosowane zaprotestować.

- Najdroższa, jak możesz tak mówić! Zuch chłopak z naszego Diega, to najdzielniejszy kawaler w Madrycie. Spójrz tylko na jego maniery, jego postawę...

- Są nienaganne, senior. Tyle że zawsze jest taki sam.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o co ci chodzi, sen ora - powiedział z gorzkim uśmiechem Don Diego.

Podniosła się z fotela.

- Jak mógłbyś mieć? Powinieneś być częścią obrazu, Diego; obrazu namalowanego delikatną, miękką kreską. Myślę, że tamten kawaler nie potrafiłby wytrzymać tam nieruchomo ani przez chwilę. - Wyszła z pokoju, chichocząc.

Ojciec i syn popatrzyli na siebie.

- Twoja matka ma... nieco osobliwe poczucie humoru - powiedział słabym głosem Don Rodriguez.

- Moja matka, senior - rzekł cierpko Don Diego - uwielbia sprawiać wrażenie tajemniczej. Powiedziała, że Dominica weźmie udział w przyjęciu, ale czy to prawda? - Otworzył pudełko z

kandyzowanymi owocami i włożył jedną kostkę do ust. - Jeśli się na to zgodzi, będzie to pierwszy raz.

- Zostaw to swojej matce. To bardzo niezwykła kobieta.

- Podobnie jak moja kuzynka, która jest bardzo uparta - zauważył Don Diego. Oblizął palce i zamknął pudełko. - I zimna jak lód - dodał zniecierpliwiony. - Jędzowata i zarozumiała. Potrzebuje silnej ręki. - Weź pod uwagę, że Don Manuel umarł niedawno i nie czas jeszcze, żeby myślała teraz o weselu - próbował usprawiedliwić ją Don Rodriguez. - Powinieneś postępować bardzo delikatnie.

- A niby jak postępuję? - Don Diego zaśmiał się szyderczo. - Kiedy ją błagam, staje się jeszcze bardziej nieprzystępna, a każdy caballero w Madrycie chciałby spróbować szczęścia. W końcu, jeśli to dłużej potrwa, ucieknie z innym. Albo jej wuj de Tobar włączy się do gry i spróbuje ją wydać za tego przerośniętego głupca Miguela. Tak, przecież wspomniała coś o tym, że zamierza do niego napisać! Przebiegła lisica!

Don Rodriguez usiłował protestować.

- Nie sędzę, nie sędzę. Myślę, że po prostu nie chce jeszcze wychodzić za mąż, a twoja matka dobrze jej pilnuje. Zapewne też nie za bardzo umiesz z nią postępować.

- Wezmę się za nią ostrzej, jeśli nadal będzie mi nieprzychylna - postanowił Don Diego, a oczy błysnęły mu złowrogo.

Don Rodriguez odwrócił wzrok.

- Zostaw to swojej matce - poradził cicho. - Za wcześnie na desperackie ruchy.

Nietrudno było jednak zrozumieć przyczyny złego humoru Don Diega. Miał bardzo piękną kuzynkę, dziedziczkę wielkiej fortuny, którą niebiosy zesłały mu na żonę. Tymczasem w dziewczynie siedziało jakieś лихо, które kazało jej lekceważyć jego zaloty. Nigdy wcześniej nie przytrafiło mu się coś podobnego. Z początku nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje, potem poczuł się urażony.

Tymczasem Dominica miała poważny powód, by przeciwstawiać się życzeniom rodziny, chociaż oczywiście nikt się go nie domyślał. Jak kobieta, która omdlewała z rozkoszy w ramionach Beauvalleta, mogła brać pod uwagę Diega?

Od tamtych szalonych dni na morzu wiele zdarzyło się w jej życiu. Choć nie brakowało jej odwagi, stała się ostrożna. Ojciec zmarł wkrótce po powrocie do kraju, zostawiając ją pod opieką swojej

siostry Beatrice. Ciotka, wiedząc, że dziewczyna jest bogata i posiada duże majątki na południu Hiszpanii, uznała ją za doskonałą partię. Dominica została chętnie przygarnięta przez ciotkę, ale nie wiedziała, co o niej myśleć.

Nie mogła zarzucić ciotce braku uprzejmości, jednak wyczuwała w jej sposobie bycia nutę nieszczerości. Już po kilku dniach mieszkania w domu Carvalhów odkryła, że stryj, a nawet kuzyn, są marionetkami w ręku Beatrice. Ciarki przechodziły ją na myśl o tym, że ona także miałaby stać się kukiełką. Dominica, od wielu lat przyzwyczajana do tego, że jest panią siebie, nie potrafiła spokojnie znieść myśli o podporządkowaniu się czyjejś woli, nie podobały jej się także surowe reguły, których musiały przestrzegać szlachetnie urodzone Hiszpanki. Nie kryła swej silnej woli i krnąbrności i gotowa była stawić czoło złości i pretensjom. Nic podobnego jednak nie miało miejsca; Dona Beatrice ani razu nie dała jej odczuć, że jest urażona. Leniwie mrugała powiekami, nie przestając się uśmiechać.

- Jesteś urocza, moje dziecko, cudowna! Takie zachowanie bardzo do ciebie pasuje - mówiła.

Zbita z tropu Dominica wyjąkała:

- Co do mnie pasuje, ciociu?

Dona Beatrice kilka razy poruszyła wachlarzem.

- Ten przejaw temperamentu, moja droga. Marnujesz siły, to wszystko na próżno. Zaprezentuj te ogniste spojrzenia mojemu biednemu synowi; jestem już za stara i zbyt leniwa, żeby zrobiły na mnie wrażenie.

Dominica, znając plany rodziny względem siebie, postanowiła wyjaśnić sytuację.

- Senora, jeżeli przeznaczasz mnie na żonę dla kuzyna, to jestem ci winna szczerść. Nie wyjdę za niego, proszę, poniechaj tych planów.

- To chyba oczywiste, że przeznaczam cię na żonę dla mego syna - odpowiedziała spokojnie ciotka. - Moja droga, proszę, usiądź. Bardzo mnie męczysz.

- Domyślałam się tego! - zawołała z oburzeniem Dominica.

- Nietrudno było się tego domyślić - odparła Dona Beatrice - ale nie mówmy jeszcze o ślubie.

Trzeba zachować przyzwoitość. Często zastanawiam się nad tym, po co robimy tyle zamieszania wokół śmierci, ale tak już jest na tym świecie, a ja nigdy nie przeciwstawiam się tradycji.

- Senora... ale ja nie dość lubię kuzyna! Ciotce nawet nie drgnęła powieka.

- Moja kochana, nie przypuszczałam, że możesz go naprawdę polubić. Sama uważam, że jest żaloszny, a przecież go urodziłam. Nie popełniaj błędu, myląc miłość z małżeństwem. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Wolę myśleć, że ma, ciociu. Nie mogłabym wyjść za mąż za kogoś, kogo bym nie kochała.

Ciotka ziewnęła za wachlarzem, wciąż pogodna i niezmiernie cierpliwa.

- Pozwól, że ci coś poradzę, moja droga. Pozbądź się takich myśli. Należy wychodzić za mąż z rozsądku, a kochać się według uznania. Zapewniam cię, te rzeczy same układają się po ślubie. Jako panna musisz być skromna, poważna. To wszystko się zmienia, kiedy już zapewni się sobie wygodną pozycję w małżeństwie.

Dominica aż podskoczyła.

- W takim razie radzisz mi poślubić kuzyna, senora, po to, żebym mogła potem spokojnie znaleźć sobie kochanka? - zapytała tyleż zszokowana, co rozbawiona.

- Oczywiście, moje dziecko, jeśli takie będzie twoje życzenie. Tylko błagam o dyskrecję. Skandale są takie niesmaczne i nie ma sensu się narażać... Wystarczy tylko ostrożność w tej delikatnej kwestii. Możesz wziąć ze mnie przykład.

Dominica w osłupieniu popatrzyła na ciotkę.

- Ciociu!

- O co ci znów chodzi? - zdziwiła się Dona Beatrice, unosząc brwi. - Chyba nie przypuszczałaś, że wyszłam za twojego wuja z miłości?

Dominica poczuła się nagle bardzo młoda i niedoświadczona.

- Nie wiem, senora, ale jestem pewna, że nie zamierzam wyjść za kuzyna. Jest... jest... krótko mówiąc, senora, nie zależy mi na nim.

Ciotka popatrzyła na bratanicę z pobłażliwym rozbawieniem, co Dominice wydało się irytujące, i nie odezwała się ani słowem.

Mimo wszystko sprawa nie poszła w zapomnienie. Zaloty Don Diega przybrały na sile; był głuchy na odmowy tak jak jego matka na

racjonalne argumenty. A Dominica nosiła przy sobie sygnet Beauvalleta i wciąż odtrącała Diega.

Czasami, gdy zostawała sama, patrzyła na pierścień, przypominając sobie okoliczności, w których go otrzymała, i wypowiedziane wtedy słowa. Uwierzyła w nie pod wpływem silnej osobowości sir Nicholasa. Nawet teraz, kiedy wspominała Beauvalleta i oczami wyobraźni widziała jego roześmianą twarz, charakterystycznie odchyłoną głowę, wciąż brała tamte słowa poważnie. Nie mogło to jednak trwać. Wtedy, na pełnym morzu, wszystko wydawało jej się możliwe; tutaj, w ponurej Hiszpanii, było zupełnie inaczej. Tylko sygnet uzmysławiał jej, że wszystko wydarzyło się naprawdę. Jeśli nawet w sercu wciąż żyła nadzieja, rozum jej przeczył. Dominica wiedziała, że przyjazd Beauvalleta jest niemożliwy.

Zapewne już o niej zapomniał; może nawet w tej chwili flirtował z jakąś angielską damą, tak jak wcześniej z Dominica. Chociaż... zapewnił ją, że na pewno przyjedzie, i chyba nie żartował.

Zastanawiała się, co powiedziałyby na to wszystko ciotka, gdyby знаła choć połowę prawdy. Każdy, kto poznałby tę historię, byłby przerażony, jednak trudno było wyobrazić sobie Donę Beatrice tak poruszoną. Być może wyśmiałyby ów romans. Skoro miała w swoim czasie wielu kochanków, mogłaby nawet współczuć bratanicy; było jednak pewne, że ta krótka miłosna sielanka nie stanowiłaby, jej zdaniem, żadnej przeszkody do zawarcia małżeństwa z Diegiem.

Dominica od początku była zdecydowana ukryć ten fragment swej przeszłości przed ciotką. Okazywała podziwu godną obojętność, wspominając Beauvalleta, by nie wzbudzać podejrzeń. Powiedziała, że opowieści o jego nadludzkich mocach są przesadzone, że to całkiem zwyczajny człowiek. Powodem tej powściągliwości była nie tylko ostrożność, nie sądziła przecież, że jeszcze kiedyś spotka sir Nicholasa. Po prostu nie zamierzała zwierzać się ciotce. Dona Beatrice była jak ślimak, pozostawiający za sobą kleistą truciznę.

Czego tknęła, zostało zbrukane. Należało udawać gąskę; wtedy ciotka zbywała wszystkie przewiny protekcyjnym uśmiechem.

Na początku ciotka zaszokowała bratanicę przede wszystkim w kwestii religijności. Kiedy okazało się, że Dominica zbyt rzadko uczęszcza na mszę, Dona Beatrice wytknęła jej to zaniedbanie, prosząc, by odtąd regularnie bywała w kościele.

Dominica, nie namyślając się wiele, nie w pełni zdając sobie sprawę z tego, co robi, a być może uśmiechnięta spokojnym tonem ciotki, wyraziła swe śmiałe opinie, inspirowane duchem reformacji. Reakcja Beatrice zaskoczyła ją wtedy i przeraziła.

- Zgadzam się z tobą, moja droga - odparła ciotka - lecz nie należy obnosić się z tymi poglądami. W duchu możesz sobie być heretyczką, ale błagam, nie pozwól się tego domyślić ojcu Pedrowi. Jedno nieostrożnie wypowiedziane słowo może mieć bardzo nieprzyjemne następstwa. Proszę cię, abyś zmieniła swój stosunek do katolickich obrzędów.

Takie słowa padły z ust pobożnej katoliczki! Dominica spodziewała się nagany, potępienia, przygotowała się na najgorsze, tymczasem spokojnie doradzono jej hipokryzję. Uznała to za przejaw potwornego zepsucia. Popatrzyła z oburzeniem na Donę Beatrice, jednak okazała jej posłuszeństwo.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy Dominica po raz pierwszy usłyszała o planowanym balu z okazji urodzin Diega, oznajmiła, że nie weźmie w nim udziału ze względu na żałobę. Podejrzewała, że ten bal miał stanowić dla niej pokusę do wyjścia z izolacji. Być może został nawet zaplanowany jako wstęp do zaręczyn. W żadnym wypadku nie mogła być na nim obecna.

Jej decyzja wywołała westchnienie ciotki Beatrice.

- Moja droga, poczynasz sobie bardzo śmiało - uzalała się. - W Hiszpanii dziewczęta nie mówią, czego chcą, a czego nie chcą, tym, którzy mają nad nimi władzę. Bądź tak łaskawa i zgódź się bez strojenia fochów.

- Chyba nie uważasz, senora, za przyzwoite, żebym tańczyła tak wcześniej po śmierci ojca?

- Uważam, że nieprzyzwoite jest to, byś siedziała pogrążona w czarnych myślach w swoim pokoju - odparła Dona Beatrice. - Zamówimy dla ciebie nową suknię. Możesz mi wierzyć, że nic tak nie poprawia humoru, jak nowa ładna suknia. Uważam, że jeszcze za wcześniej na kolorowy strój. Ale prosta biała suknia z aksamitu będzie bardzo odpowiednia.

- Nie zamierzam być obecna na balu - powtórzyła Dominica.

- Albo z białej tafty - zastanawiała się głośno Dona Beatrice. - Musimy to jeszcze rozważyć.

- Ciociu!

- Co, moje dziecko? Och, wciąż chcesz mi się przeciwstawiać? To bardzo nieładnie z twojej strony. Zrób mi grzeczność, przyjdź ten jeden raz. I nie mówmy już więcej na ten temat.

- Przykro mi, że uważasz, iż brak mi rozsądku, senora - rzekła sztywno Dominica. - Jeśli posłucham cię teraz, będziesz uważała, że będę ci posłuszna także... w innych sprawach.

- Jeśli chodzi o małżeństwo, tak. - Ciotka kiwnęła głową. - To nie podlega dyskusji, moja droga. Niezależnie od tego, czy przyjdiesz na bal, czy nie, zamierzam wydać cię za mąż. Chyba nie sądzisz, że opieka nad bratanicą sprawia wielką przyjemność komuś tak leniwemu, jak ja.

- W takim razie znajdź mi innego kandydata! - zawołała Dominica, a jej oczy rozbłysły gniewem.

Dona Beatrice sięgnęła po wachlarz.

- Myślałam, że jesteś mądrzejsza - powiedziała. - Jaką możemy mieć korzyść z innego kandydata?

Dominica surowo popatrzyła na ciotkę swymi orzechowymi oczami.

- Jednym słowem, ciociu, dybiesz na mój majątek! Nareszcie wszystko jest jasne!

- Oczywiście, moje dziecko. A czego się spodziewałaś? - odpowiedziała Dona Beatrice, ani trochę nie wyprowadzona z równowagi. - Znajdujemy się w godnym ubolewania, niezwykle ciężkim położeniu, a ty spadłaś nam jak z nieba.

Dominica rozejrzała się po wystawnie urządzonej pokój.

- Trudno domyślić się twojego ubóstwa na pierwszy rzut oka, senora.

- Oczywiście, że nie - odparła Dona Beatrice. - Staramy się dbać o pozory. Pokaż mi dzisiaj mężczyznę, który nie miałby kłopotów finansowych mimo pozorów bogactwa.

- Uważam - powiedziała dobitnie Dominica - że Hiszpania jest wstrętnym krajem, a tutejsi ludzie są zepsuci do szpiku kości!

- Tak, są bardzo zepsuci - przyznała Dona Beatrice. - Nadszedł czas rozluźnienia obyczajów. Pamiętam, że kiedy byłam młodą dziewczyną, hiszpańska dama stanowiła wzór cnót. Teraz wszystko bardzo się zmieniło i jest o wiele zabawniej. Myślę nawet, że staliśmy się obiektem drwin i szyderstw.

- Zastanawiam się, senora, czy to ci przeszkadza.

- To, że się z nas śmieją? A cóż to szkodzi? Jeśli chodzi o zepsucie, to co byś powiedziała na to, że król trzyma naszych grandów z dala od polityki, żeby tracili znaczenie? - Wzruszyła ramionami. - A ja wszystkiemu przyglądam się z uśmiechem na ustach.

- Na to wygląda - zgodziła się Dominica. - Jednak gotowa jesteś zrezygnować z biernej obserwacji, żeby zająć się ohydny spiskiem, mającym na celu wydanie mnie za żonę za kuzyna. Oświadczam, że za niego nie wyjdę. Nigdy w życiu! Przekonasz się, senora, że nie rzucam słów na wiatr.

- Nie wątpię w to, moja droga. Jesteś uroczą dziewczyną i masz swój... rozumek. Lecz gdy spróbujesz zmierzyć swoje siły z moimi, przegrasz.

- Zobaczysz, senora, że jednak to ja wygram... Ciotka wstała.

- Będę cię darzyć najwyższym uznaniem, moja droga. Tak... myślę, że jednak lepsza będzie suknia z aksamitu, a do niej perły. Nie musisz się o nic martwić, wszystkim się zajmę.

W końcu Dominica uległa, bynajmniej nie z poczucia obowiązku. Opieka ciotki, tej spokojnej, uśmiechniętej kobiety, autentycznie ją przerażała. Domyślała się, że ciotce tak zależy na jej obecności na balu, gdyż chce rozwiać podejrzenia niektórych osób, że rodzina Carvalho trzyma Dominicę w domu wbrew jej woli. Pomyślała o swoim wuju Miguelu de Tobar, ojcu dwóch synów, który również mógł planować, że wyswata ją z którymś z nich. Obaj kandydaci byli dla niej nie do zaakceptowania, jednak zaczęła się zastanawiać, czy nie warto byłoby posłużyć się Tobarem przeciwko Carvalhom. Przystąpiła do obmyślania planu. Bała się ciotki Beatrice, jednak na myśl o walce z tą kobietą czuła przyjemne podniecenie. Przyłożywszy palec do warg, zastanawiała się nad swym losem, wyobrażając sobie różne rozwiązania. Trzeba wyjść z ukrycia. Dla dobra sprawy powinna dobrze się rozejrzeć i znaleźć wybawcę. Tobar posłuży jej do wzbudzenia chwilowego niepokoju w rodzinie Carvalho. Miała od niego pilnie strzeżone listy, z których jasno wynikało, że może na niego liczyć.

Postanowiła skończyć z samotnością i ponurymi rozmyślaniami. Wstała i lekko potrząsnęła głową, jakby chcąc wyrwać się z krępujących ją więzów. Postanowiła, że pójdzie na bal, ale nie będzie tańczyć. Włoży na siebie to, co przygotuje ciotka, i będzie odgrywać męczennicę.

Jednak przymierzanie aksamitnej sukni z podwójnymi kokardkami i koronką nie mogło nie zainteresować młodej damy. Gdy krawcy zabrali się do pracy, Dominica zapomniała o męczeństwie i poczuła się pewniej. Z ożywieniem rozmawiała o linii dekoltu, rodzaju jedwabiu na spódnice, poprosiła, by kreza była ozdobiona kryształkami.

Nękała krawców i wysyłała nową służącą (Maria wyszła za mąż za dobrze zapowiadającego się młodego stajennego), starszą kobietę, milczącą i z wiecznie kwaśną miną, na poszukiwanie koniecznie takiej, a nie innej koronki.

Kiedy nadszedł dzień balu, Dominica była w głębi duszy zadowolona, że weźmie w nim udział. Nie mogła przecież płakać w nieskończoność, a prawdę mówiąc, miała już serdecznie dość

odosobnienia. Podobała jej się nowa suknia; perły prezentowały się doskonale na jej smukłej szyi, była też zadowolona z ułożenia włosów, okrytych srebrzystą siatką. Martwiła się tylko, że policzki są nieco zbyt blade, jednak postanowiła nie korzystać z różu ciotki. Niech plotkarze zobaczą jej bladość i wyciągną z niej dowolne wnioski. Nie zamierzała też brać na bal ładnego wachlarza z różowymi piórami, który otrzymała wraz z wyrazami uszanowania, od kuzyna.

- A to... - powiedziała wyniośle - ten wachlarz, który w ogóle mi się nie podoba, możesz sobie wziąć, Carmelito. Nie chcę go.

- Seniorita, to przecież wachlarz od Don Diega - przypomniała jej stara sługa.

- Naprawdę? - Dominica uniosła wachlarz i przyjrzała mu się z obu stron. - Nie podoba mi się. Jeśli chcesz, możesz go wziąć albo dać siostrzenicy. - Odrzuciła wachlarz zdecydowanym i ruchem.

Niebawem zeszła na dół w swej śnieżnobiałej sukni. Przybrała poważną minę. Zastała ciotkę w ogromnym holu, w towarzystwie Don Rodrigueza.

Don Rodriguez z pewnym ociąganiem ujął dłoń Dominiki i przytrzymał. Nie czuł się swobodnie w obecności bratanicy żony, która patrzyła mu prosto w twarz, wprawiając go w zakłopotanie. Uważała go za nieudacznika i wcale tego nie kryła. Skoro miał być czarnym charakterem, niechby choć śmiało odgrywał swą rolę i nadrabiał miną. Niegodziwiec, który mimo wszystko zachowałby jakieś ludzkie cechy, denerwowałby ją o wiele mniej niż człowiek, który został łajdakiem wbrew swej łagodnej naturze.

Don Rodriguez obdarzył ją komplementem i dodał, że jest szczerze zadowolony, widząc ją pośród ludzi, w dodatku tak piękną.

Dona Beatrice, wyglądająca niezwykle imponująco w jasnozielonej sukni z różowym haftem, z ozdobnym przybraniem głowy, krytycznie przyjrzała się podopiecznej.

- Owszem, prezentujesz się bardzo dobrze - pochwaliła. - Coś mi się wydaje, że będziemy tu mieli serenady pod oknem.

Trudno było zachować obojętność wobec takich pochlebstw. Dominica wykonała rewerans i stwierdziła, że jest zadowolona z tego, iż udało jej się sprawić przyjemność ciotki.

Po chwili nieśmiały uśmiech zamarł jej na ustach. Do holu wszedł z sali balowej Don Diego i natychmiast skłonił się wytwornie.

Dominica popatrzyła na niego z oburzeniem. Celowo czy nie, choć ona była pewna, że wszystko zostało zaplanowane, był ubrany na białe, by wyglądać podobnie jak ona. Włożył perłowe weneckie pończochy, wyszywane blad różową nicią i odpowiednio dobrany, ozdobiony haftem wams. Spodnie miały naszytą z ozdobnej taśmy z otokiem ze srebra; przetykana srebrem kreza była tak wielka, że wyglądała jak talerz, przez który młodzieniec wystawił głowę. U boku miał rapier z wysadzaną klejnotami rękojeścią, z ucha zwisał mu rubin, w rękę trzymał białą różę.

Dominica zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów i cicho prychnęła. Za sobą usłyszała miękki śmiech ciotki.

- Jaki piękny caballero - powiedziała Dona Beatrice. - Gdzież, ach, gdzież można znaleźć ładniejszego?

Don Diego postanowił zignorować te wyrazy uznania. Podeszedł do Dominiki z uśmiechem, , którego nienawidziła z całej duszy, i ucałował jej dłoń.

- Najpiękniejsza kuzynko! Witam cię! Czy ten bal odbywa się na moją cześć? Nie, myślę, że na twoją, o najpiękniejsza damo w Hiszpanii. - Puścił jej rękę i podał różę. - Biała róża dla ciebie, urocza kuzynko.

- Nie mam serca cię jej pozbawiać, kuzynie.

Stanął bliżej.

- Wystarczy, że mi ją oddasz po zakończeniu balu. Będę ją wtedy nosił na sercu. A teraz pozwól, że przypnę ją do twej sukni. Różę powinny kwitnąć razem.

Odsunęła się.

- Zachowaj różę, kuzynie. Niepotrzebnie mnie drażnisz.

Zniżył głos.

- Wciąż tak okrutna. Wciąż zimna jak lód. Jak możesz, o ty, przez którą płoną serca.

- Bóg ześle deszcz, który je ugasi - powiedziała, stając u boku ciotki.

Trwała tam przez ponad godzinę, w czasie której anonsowano przybywających gości. Nie знаła nikogo i była wszystkim przedstawiana. W dodatku musiała znosić obecność Diega, którego miała po drugiej stronie. To wyglądało tak, jakbyśmy już byli zaręczeni, pomyślała i starała się nawet nie spojrzeć w stronę kuzyna.

W holu zrobiło się tłoczno, a niektórzy zaczęli już tańczyć w sali balowej. Dominica bezwiednie przytupywała do taktu. Zauważywszy to, Diego przysunął się niebezpiecznie blisko.

- Czy mogę mieć nadzieję, że poprowadzę cię do tańca, droga kuzynko? - zapytał cicho.

- Mam nadzieję, że się nie ośmielisz - odparła szybko. - Dzisiaj nie tańczę. - Dała mu gestem znak, by się odsunął. - Proszę, poszukaj jakiejś innej damy do tańca - dodała.

Ponad melodią rebeków i szmerem rozmów gości zgromadzonych w holu rozległ się głos ochmistrza. Przy drzwiach zapanowało poruszenie.

- Kawaler de Guise! - zawołał ochmistrz, wprowadzając spóźnionego gościa.

Dominica popatrzyła w stronę drzwi, zastanawiając się, kim może być ten Francuz. Skupieni w gromadkę mężczyźni rozstąpili się, by nowo przybyły mógł przejść. Usłyszała szybkie, zdecydowane kroki. To nie był żaden Francuz, lecz sir Nicholas Beauvallet, który wcześniej w ten sam sposób przemierzał pokład statku.

Dominica omal nie upuściła wachlarza, zabrakło jej tchu. Gapiała się przed siebie najpierw blada, potem czerwona, a przez płataninę myśli w jej głowie przebijało się: Przyjechał! Przyjechał! Przyjechał!

Przeszedł przez hol pełnym gracji, trochę nonszalanckim krokiem. Wyglądał wspaniale w jedwabiach i aksamitach, z niewielką krezą noszoną jak zawsze ciasno przy szyi. Trzymając dłoń na rękoności miesza, patrzył wprost na Dominicę. W jego oczach nie było strachu, zauważyła w nich jedynie żartobliwe wyzwanie, jakby chciał jej powiedzieć: „A nie mówiłem, że przyjadę?”. Była pod wrażeniem jego odwagi. Co za człowiek! Śmiały, wesoły kochanek!

Był już blisko, kłaniał się ciotce.

- A więc przyszedł pan, kawalerze - powitała go Dona Beatrice, podając dłoń. - Mam nadzieję, że sobie porozmawiamy, ale to troszkę później. Pozwoli pan, że przedstawię mu bratanicę, Donę Dominicę de Rada y Sylwę. Tego dżentelmena, moja droga, przyniosły do Hiszpanii dobre wiatry. Kawaler de Guise.

Dominica, wciąż nie mogąc uwierzyć własnym oczom, podała dłoń, na której sir Nicholas zacisnął długie palce. Wiedziała, że na nią patrzy. Ośmieliła się zerknąć na jego czarne włosy, gdy pochylił się do pocałunku; nie odzywała się w obawie, że głos ją zdradzi.

Złożył na jej dłoni prawdziwy pocałunek; z pewnością nie było to grzecznościowe muśnięcie wargami. Wyprostował się.

- Senorita, jestem zauroczony - powiedział. - Dona Beatrice się myli, nie przyniosły mi tu dobre wiatry. Jakiś czas temu postanowiłem, że odbędę podróż do Hiszpanii.

Opuściła wzrok, czując, że się rumieni.

- Naprawdę, senor? - zapytała słabym głosem.

- Cóż za dziwne postanowienie! - odezwała się Dona Beatrice. - Co takiego spodziewał się tu pan zastać?

Dominica zauważyła, że lekko zmrużył oczy. Z uśmiechem zwrócił się do gospodyni.

- Och, przyjechałem tu na poszukiwania, senora - odparł. Zdał sobie sprawę z obecności Don Diega, stojącego po drugiej ręce Dominiki. - Miło znów pana spotkać, senor! Najlepsze życzenia urodzinowe. - Rozbawienie w jego oczach było jeszcze wyraźniejsze. - Wygląda pan jak pan młody, senor! Zupełnie jak pan młody!

Don Diego zeszywniał, jednak po chwili zastanowienia postanowił zlekceważyć tę nazbyt swobodną uwagę.

- Nie podoba się panu mój strój, kawalerze? - zapytał kpiąco.

- Wprost przeciwnie - odrzekł wesoło sir Nicholas. - Przypomina mi o moim bliskim ślubie.

Dominica, która wachlowała się powoli, znieruchomiała. Dlaczego sir Nicholas tak igra z ogniem? Jest szalony, cudownie szalony!

- Gratuluję panu - powiedział Don Diego. - Pozwoli pan, że znajdę mu partnerkę do kuranta.

Sir Nicholas zwrócił się do Dominiki.

- Pragnąłbym zatańczyć z Doną Dominica - oznajmił.

Don Diego odpowiedział, zanim Dominica zdołała się odezwać.

- Kuzynka nie tańczy, senor.

- Bardzo nierozsądnie! - wtrąciła się Dona Beatrice, odwracając głowę. - Pozwól kawalerowi się poprowadzić, moja droga. Nikt nie tańczy tak dobrze, jak Francuzi.

- Jeśli zechcesz zatańczyć, kuzynko, pozwól, że to ja cię poproszę - rzekł Don Diego.

- Byłem pierwszy, Don Diego - oznajmił sir Nicholas.

Don Diego rzucił mu wściekłe spojrzenie i postąpił o krok, jakby chcąc wyrwać dłoń Dominiki z jego dłoni. Róża upadła na podłogę.

- Kuzynko, mam nadzieję, że nie zatańczysz!
- Upadł panu kwiat - zwrócił mu uwagę sir Nicholas.

Don Diego odwrócił się z wykrzywioną twarzą, zapominając o obowiązkach względem gościa. Sir Nicholas z rozbawieniem przyjął te objawy złego humoru. Wciąż trzymał Dominicę za rękę, jednak uniósł brwi, jakby pytając: „Chcesz się kłócić, senor? Powiedz tylko słówko”.

Dona Beatrice postanowiła znaleźć wyjście z niezręcznej sytuacji.

- Posłuchaj mojej rady, moja droga, i zatańcz z kawalerem. Postanowienia podejmuje się po to, by je łamać.

Don Diego zdołał się już opanować. Skłonił się.

- Widzę, że mam mniej szczęścia niż kawaler, kuzynko. W takim razie poproszę cię do tańca później.

- Jak sobie życzysz, kuzynie. - Dominica popatrzyła na Beauvalleta, lecz zaraz spuściła wzrok i udała się posłusznie do sali balowej.

- Boże, urodziłam głupca! - Dona Beatrice westchnęła. - Niezbyt dobrze sobie radzisz, mój biedny synu.

- Zachowała się tak, żeby zrobić mi na złość! - powiedział z przejęciem.

- Jeśli to prawda, to dobrze wróży. Kiedy mężczyzna taki jak nasz kawaler prosi o coś, rzadko która kobieta mu odmawia. On sięga po to, czego pragnie.

- Nie znoszę go! - nie wytrzymał Don Diego. - Mój rapier marzy o tym, żeby skosztować jego krwi!

Dona Beatrice uśmiechnęła się.

- Obawiam się, że kawaler też nieźle włada bronią - zauważyła. - Nie sądzę... uważam, że nie powinieneś wyzywać go na pojedynek.

Don Diego stał zasepiony.

- Można by pomyśleć, że chciałaś, żeby Dominica z nim zatańczyła - uzalił się.

- Ależ to prawda - odpowiedziała jego matka z niewzruszonym spokojem. - Dziewczyna zobaczyła przystojnego mężczyznę, który w jednym uśmiechu ma więcej wdzięku niż wszyscy zgromadzeni tu panowie razem wzięci. Miała ochotę na złamanie postanowienia, zachęciłam ją więc do tańca. Gdybym wstawiła się za tobą, w ogóle by nie zatańczyła. Teraz możesz być pewien, że ci nie odmówi; musi być konsekwentna.

Dominica nie miała okazji do zamienienia choćby paru zdań z sir Nicholasem w sali balowej. Bała się, że rozmowa mogłaby go zdradzić; przy pierwszych krokach patrzyła tylko wymownie na jego twarz. Kiedy na chwilę zbliżyli się do siebie w tańcu, szepnęła:

- Przyjechałeś. Że też nie zbrakło ci odwagi.

- A nie dałem ci słowa, mój ty niedowiarku? Rozdzielili się. Potem inna para była zbyt blisko, by mogli powiedzieć sobie coś więcej. Muzyka zamilkła; sir Nicholas skłonił się, a Don Diego władczo ujął Dominicę za łokieć.

Kolejna godzina minęła jej w nastroju bezsilnej wściekłości. Don Diego nie odstępował jej na krok; mogła jedynie spoglądać w stronę Beauvalleta przez tłum gości i marzyć o spotkaniu sam na sam. Wydawało się, że nie będzie ku temu okazji, jednak w pewnej chwili ktoś przywołał kuzyna. Dominica szybko się rozejrzała, zobaczyła ciotkę w drugim końcu sali i wycofała się za korpulentną wdowę. Potem przemknęła wzdłuż ściany do miejsca, w którym ciężkie zasłony odgradzały salę od niewielkiego przedpokoju. Wiedząc, że Beauvallet śledził jej ruchy, weszła do salki i czekała, wstrzymując oddech.

Zasłony poruszyły się; stanął przed nią. Podbiegła do niego, wyciągając ku niemu ręce; łzy popłynęły jej z oczu.

- Boże, jak wspaniale jest cię znów widzieć - wyszeptała. - Nie sądziłam, że to możliwe.

Chwycił ją za ręce i przytulił do piersi.

- Cii, moja najdroższa. To niebezpieczne. - Mówił szybkim, zdecydowanym tonem, mimo że nie podniósł głosu. - Muszę z tobą porozmawiać na osobności. Jaki masz widok z okien pokoju?

- Na ogród. Ach, Nicholas, jak ja cię pragnęłam!

- Moja kochana! - Przycisnął ją do siebie. - Czy służąca śpi z tobą?

- Nie, jestem sama. - Popatrzyła na niego pytająco.

- Postaw lampę w oknie, kiedy uznasz, że wszyscy już śpią. To będzie dla mnie znak. Ufasz mi?

- Przecież wiesz. Mogę ufać tylko tobie. Co zrobisz?

- Wejdę do twojego pokoju przez okno - odparł i uśmiechnął się na widok jej zdumienia. - A czyje okna wychodzą na tę stronę?

- Mojej służącej... gabinetu kuzyna... innych służących.

- To dobrze. - Ucałował jej dłonie. - Czekaj na mnie. Cierpliwości, ptaszyno.

Puścił ją i się cofnął. Odchylił zasłonę i już go nie było.

Reszta wieczoru minęła jej w oszołomieniu. Cały czas myślała o Beauvallecie, jednak nie zbliżył się już do niej ani razu. Kuzyn znów zaprosił ją do tańca, a kiedy odmówiła, stanął przy niej, szepcząc czułe słówka.

- Kim był ten Francuz? - zapytała. - Czy to jakiś człowiek ambasadora?

- De Guise? Nie, moja droga kuzynko. To jakiś nierób w podróży. Wydaje mu się, że zadaje szyku za granicą. Mam nadzieję, że wkrótce stąd wyjedzie. Nie chciałem go zapraszać na ten bal. To fanfaron.

- Nie lubisz go, kuzynie? - zapytała, uciekając wzrokiem w bok. Wzruszył ramionami.

- Arogancki Francuz! Wydaje mu się, że może grać ludziom na nosie! Oczywiście, że go nie lubię, kuzynko.

W jej oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- Mam nadzieję, że nie zagra ci na nosie - powiedziała spokojnie.

- Będę miał dla niego tylko jedną odpowiedź, Dominico. - Dotknął ozdobnej rękojeści rapiera. - Ale wtedy wesoły kawaler nie wróci do Francji.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dominica miała wrażenie, że minęły całe wieki, nim wreszcie w domu zapadła cisza i pogasły światła. Odesłała senną służącą zaraz po powrocie z balu. Carmelita, której ze zmęczenia oczy same się zamykały, nie protestowała. Ochoczo poszła do łóżka. Dominica poprosiła ją tylko przedtem o rozsznurowanie sukni i schowanie klejnotów. Potem włożyła luźny szlafrok i dołożyła drew do ognia. Niestety, ciotka przyszła powiedzieć jej dobranoc i zabawiła u niej dłuższą chwilę, by porozmawiać o balu. Dona Beatrice była niezmiernie zadowolona, że ma już przyjęcie za sobą; tak jak się spodziewała, było bardzo nudne i jedynie kawaler de Guise nieco je ożywił. Dominica, niezwykle czujna, stłumiła ziewnięcie i przyznała, że kawaler był całkiem sympatyczny.

- Tylko nie strać dla niego głowy, moja droga - leniwie napomniała ją ciotka. - Francuzi są bardzo niestali, a poza tym kawaler jest już zaręczony.

- Tak mówił - przyznała Dominica, a nie mogąc powstrzymać się od złośliwości, dodała:

- Z tego wynika, że kuzyn nie musi być o niego zazdrosny, senora.

- Diego jest w tobie tak zakochany, że nie może znieść widoku mężczyzny, który zbyt długo ci się przygląda - powiedziała z przekąsem Dona Beatrice.

- A może jest zakochany w moich pieniądzach?

- zapytała z jadowitą słodyczą Dominica.

- To również, moja droga. Wszystkim nam zależy na twoim majątku. - Nic nie było w stanie zmącić spokoju ciotki Beatrice. Wstała z krzesła i poklepała bratanicę po policzku. - Dość już tego samotnego wysiadania w pokoju, moje dziecko. Zacznesz się pokazywać publicznie. Poza tym pamiętaj, że niedługo wyjedziemy z tego męczącego miasta w spokojniejsze miejsce.

Dominica utkwiała wzrok w podłogę i niczego nie można było z niego wyczytać. Po słowach ciotki zabrakło jej tchu.

- Dobrze, senora - odpowiedziała pokornie, starając się ukryć zaskoczenie. - Naprawdę wkrótce wyjedziemy z Madrytu?

- Tak, moja droga. Pojedziemy na północ do Vasconosy. Mam nadzieję, że na wsi Diego spodoba ci się bardziej niż w mieście.

Dominica drgnęła.

- Nie sędzę, senora.

- Tak? Ale możesz się postarać. - Dona Beatrice powoli wyszła z pokoju, a po pewnym czasie w oddali zamknęły się drzwi.

Dominica usiadła przy kominku i czekała. Słyszała, jak służąca ciotki mija jej drzwi w drodze do schodów, prowadzących do pokoi służących, piętro wyżej. Don Rodriguez, idący z dołu, życzył dobrej nocy synowi i poszedł do swego pokoju. Jak na złość Don Diego udał się do gabinetu i siedział tam całe wieki. Wreszcie i on przeszedł korytarzem do sypialni. Dominica słyszała, jak szorstkim tonem zwrócił się do garderobianego, po czym trzasnął drzwiami. Na chwilę zapadła cisza, lecz zaraz potem te same drzwi otworzyły się i zamknęły; kamerdyner w końcu przygotował Diega do snu.

Kroki mężczyzny ucichły i w domu zapanowała cisza. Dominica wciąż jednak czekała, odliczając minuty. Po pewnym czasie podeszła do drzwi i otworzyła je bezszelestnie. Było ciemno. Przyciskając szlafrok, by nie zdradził jej szelest tkaniny, przeszła krótkim korytarzem do przedpokoju na górze. Smuga światła pod drzwiami dowodziła, że Don Diego jeszcze nie śpi. Dominica zamarła w bezruchu, oparta o ścianę. Po kilku minutach światło zgasło. Wróciła do swego pokoju, dołożyła drew do ognia i poprawiła fryzurę przed lustrem. Uznawszy, że Don Diego na pewno już zasnął, znów wyszła na korytarz, tym razem pod drzwi służącej. Usłyszała chrapanie. Carmelita ma twardy sen. Dominica przemknęła korytarzem w samych pończochach, dotarła do holu, a tam jak duch podeszła kolejno pod troje drzwi, nasłuchując. Musiała mieć absolutną pewność, że cały dom pogrążony jest we śnie, nim da sygnał Beauvalletowi. Gdyby został przyłapany, czekałaby go pewna śmierć.

Jej uszu nie doszedł żaden dźwięk; wróciła więc do swego pokoju, bezszelestnie zamknęła drzwi i powoli przekreśliła klucz w zamku. Ciszę przerwało cichutkie szczęknięcie. Znieruchomiła, ciężko dysząc, z uchem przyłożonym do drzwi. Nikt się nie poruszył; w domu słychać było jedynie chrobotanie jakiejś myszy o boazerię w korytarzu na dole.

Podeszła do okna i rozsunała ciężkie zasłony. Trzymając lampkę w rękę, wyszła na niewielki półokrągły balkon.

Ogród w dole był skąpany w świetle księżyca; drzewa rzucały atramentowe cienie. Wyłoniła się spomiędzy nich męska sylwetka; Beauvallet przeszedł przez ogród i uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

Stanął pod balkonem, musiała się wychylić, by go zobaczyć. Nie miała pojęcia, jak uda mu się wspiąć, była jednak pewna, że tego dokona.

Kosztowało go to niewiele wysiłku. Oparciem dla stóp stały się kraty, na których wiała się pnąca róża. Poruszając się szybko i bezszelestnie, zaparł się o żelazną rynnę, zmierzył wzrokiem odległość i rzucił się w przód.

Dominica bezwiednie wyciągnęła rękę, chcąc mu pomóc, jednak sam zręcznie chwycił się balkonu i przełożył nogę przez poręcz. Po chwili stał obok Dominiki.

Nie odezwali się ani słowem. Sir Nicholas otoczył ją ramieniem w pasie i poprowadził do pokoju; drugą rękę położył jej na ustach. Odstawiła lampę na stół; Beauvallet zamknął okno i zaciągnął zasłony.

Odwrócił się, popatrzył na nią, po czym szeroko rozłożył ramiona. Dominica natychmiast znalazła się w jego objęciach.

- Moje szczęście! Moja gołąbeczka! Była jedynie w stanie powtarzać:

- Przyjechałeś! Przyjechałeś! To ty, naprawdę ty!

- Przecież dałem ci słowo.

- Jak mogłam być czegokolwiek pewna? Jak mogłam myśleć, że ośmielisz się... nawet ty? Och, querida, dlaczego przyjechałeś? Przecież śmierć wyziera tu z każdego kąta!

- Rozegrałem już wiele partii ze śmiercią, kochanie, i gra zawsze toczyła się po mojej myśli. Zaufaj mi.

- Jesteś szalony - wyszeptwała. - Szalony Nicholas.

Pocałował ją. Przez chwilę rozkoszowała się tym, że znajduje się w jego objęciach, jednak zaraz potem westchnęła i powiedziała:

- To szaleństwo! Przywiodłam cię tu na śmierć!

- Nic podobnego. Przyjechałem tu z własnej i nieprzymuszonej woli, tak jak ci obiecałem... po to, żeby uczynić cię Angielką. - Zauważył, że spojrzała na niego uważnie. - Co ty na to, kochanie? Pojedziesz z Szalonym Nicholasem?

Starła się ukryć twarz na jego torsie.

- To niemożliwe. Dobrze to rozumiesz. Bóg jeden wie, jak się tu dostałeś, ale musisz szybko odejść. Nigdy nie uda ci się uciec ze mną. Będę ci ciężarem.

- Proszę o jasną odpowiedź, najdroższa. Pojedziesz ze mną?

- Jestem taka nieszczęśliwa - powiedziała tylko, użalając się nad sobą.

- Obiecuję, że to się wkrótce skończy. - Odsunął ją na odległość wyciągniętych ramion. - Zaufasz mi ponownie? Złożysz swoje życie w moje ręce?

Popatrzyła mu w oczy, zatroskana i pełna wątpliwości. Porwał ją przecież i przekonał do siebie tak, że przeżywała miłość jak z bajki. Tęskniła za nim i nieustannie przywoływała jego obraz w marzeniach, jednak teraz, gdy przemawiał do niej prosto z serca, przejęty, zdała sobie sprawę, co oznacza poddanie się jego woli. Był cudzoziemcem, Anglikiem, i jeśli przystanie na jego warunki, znajdzie się z dala od Hiszpanii, w obcym kraju, wśród obcych ludzi. Kochała Beauvalleta, jednak, prawdę mówiąc, prawie go nie знаła. Na myśl o przyszłości zawładnął ją dziewczęcy strach; rumieniec zabarwił policzki. Sir Nicholas czekał na odpowiedź, przyglądając się Dominice badawczo, pełen napięcia.

- Nicholas... nie rozumiesz... - Głos jej się załamał. - Jestem bardzo samotna. Nie wiem...

- Wszystko rozumiem - odrzekł bez zastanowienia. - Kocham cię. Zaufaj mi.

Chwyciła jego dłoń.

- Będiesz dla mnie dobry? - zapytała cicho. Uśmiechnął się.

- Nigdy cię nie uderzę - obiecał.

Na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

- Proszę, nie żartuj sobie, nie śmieję się ze mnie. Uniósł jej dłoń do warg i ucałował.

- Na moją duszę - powiedział. - Mam tylko jedno pragnienie: chcę się tobą zaopiekować.

Wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia.

- To przecież niemożliwe.

- Wciąż masz wątpliwości? - rzekł tonem żartobliwej przygany. - Czego się lękasz, moje zajęcze serduszko?

- Tego, że będę odpowiedzialna za twoją śmierć. Jak mogłabym się tego nie bać?

- O nic się nie martw. - Uśmiechnął się. - Ja wszystkim pokieruję. Miej tylko więcej zaufania do mnie, mój niedowiarku.

- Nie jestem niedowiarkiem! - zaprotestowała, uśmiechając się jednak do wspomnień.

Położył jej dłoń na ramieniu.

- Kochasz mnie? - zapytał, usiłując wyczytać odpowiedź z jej oczu.

- Nie wiesz, że tak jest... niedowiarku? Pocałował ją. Przytulając ją do siebie, zapytał wesoło:

- Więc mam zrobić z ciebie Angielkę mimo wszystko, ptaszyno? Kiwnęła głową.

- Tylko mnie stąd zabierz - poprosiła. - Zabierz mnie stąd. Dokądkolwiek.

Przez chwilę mocno tulił ją w ramionach, z twarzą tuż przy jej twarzy. Potem ją puścił, podprowadził do kominka i posadził na krześle. Poruszył tłący się bal butem; drewno rozpadło się, buchając ogniem.

- Czy oni chcą cię wydać za tego ślicznego kuzyna? - zapytał.

- Nienawidzę go! - powiedziała z przekonaniem. - Mówiłam ciotce, że nigdy, przenigdy za niego nie wyjdę, ale ona... Nicholas, ty jej nie znasz. Uśmiecha się i kiwa głową, przyznaje mi rację, ale w gruncie rzeczy jest jak skała. Ona mnie przeraża! Jest taka cicha, spokojna, a mam wrażenie, że mnie prześladowuje. Boję się, naprawdę się boję!

- Nie trzeba się lękać - zapewnił ją z przekonaniem. - Pamiętaj, że jestem blisko, i nie trać ducha. Teraz tylko należy się zastanowić, jak cię stąd uprowadzić.

- Jak tu przyjechałeś? - zapytała. - „Venture” wpłynął do tego portu rybackiego?

- Nie, normalnie przejechałem granicę, z listami do króla Filipa - odpowiedział.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Jesteś czarodziejem? Jak to możliwe?

- To bardzo proste. Miałem trochę szczęścia. Los postawił na mojej drodze posłańca do króla, byłem zmuszony go zabić i przybyłem tu zamiast niego. Dojechanie z tobą do wybrzeża będzie naprawdę wyczynem nie lada. To wiele mil stąd, a przecież natychmiast zaczniesz się pościg. Niedobrze, niedobrze.

Wyprostowała się na krześle.

- Posłuchaj, Nicholas. Niedługo opuścimy Madryt... Nie wiem dokładnie kiedy, ale wkrótce. Dona Beatrice powiedziała mi o tym dziś wieczorem. Ma nadzieję, że na wsi będę bardziej łaskawa dla

Diega. Pojedziemy na północ, do Vasconosy, niedaleko Burgos. Nie wiem kiedy, ale Dona Beatrice chce, żeby to się stało jak najszybciej.

- Niech więc to stanie się jak najszybciej! Co ją wstrzymuje?

- Myślę, że Diego. Nie zależy jej wprawdzie na jego obecności, ale jaki sens ma wywożenie mnie na wieś, jeśli nie będzie go w pobliżu? A on wciąż ma jakieś sprawy w Madrycie i nie chce stąd wyjechać.

- Niech лихо porwie tego koguta! - zaklął Beauvallet. - Na północ od Burgos? To się dobrze składa.

Popatrzyła na niego z nadzieją.

- To dzień drogi od wybrzeża, ale będę tam pilnie strzeżona. Myślisz, że ci się uda, Nicholas?

- Oczywiście, kochanie. O nic się nie bój. „Venture” będzie w pobliżu tego portu, o którym wiesz, i jeśli szczęście nam dopisze, bezpiecznie dotrzemy na pokład. - Podeszedł do okna i ostrożnie uchylił story. - Zaczyna świtać, dziecinko. Muszę iść. - Podeszedł do niej i wziął ją za rękę. - Zostaw wszystko mnie, znajdę jakieś wyjście, skarbie. Pozwól mi tylko na siebie spojrzeć i zamień ze mną słówko od czasu do czasu. Na wszelki wypadek mówię ci, że zatrzymałem się w gospodzie „Pod Wschodzącym Słońcem”. Jest ze mną Joshua, który zawsze może przekazać wiadomość. Wypatrywałem ciebie u różnych ludzi, ale nigdzie cię nie spotkałem. Tak się tutaj zaszyłaś, kochanie.

- Nigdzie nie bywałam, ale ten okres mam już za sobą. W poniedziałek idę z ciotką do Don Alonsa de Alepero. Będiesz tam?

- Postaram się. Poza tym myślę, że niedługo znów mnie tu zobaczysz. Twoja ciotka chyba mnie polubiła. - Skłonił się i ucałował jej dłoń. - A teraz do widzenia, kochanie. Niczego się nie bój.

- Boję się tylko o ciebie - rzekła.

- Zaczynaj się smucić, kiedy usłyszysz o mojej śmierci, ale nie wcześniej. - Przytulił ją. - Trzymaj Diega na dystans, dziewczyno - powiedział, mrużąc oko - bo może mnie coś podkusić i wyciągnę broń.

- Musisz być rozsądny - napomniała go. - Obiecuj mi, że powściągniesz gniew. On już cię nienawidzi; omal nie przyznał się do tego.

- Niech Bóg ma w swej opiece tego szczeniaka.

- Sir Nicholas westchnął. - Mam pocić się ze strachu przed tym fircykiem? Jeszcze się spotkamy. Bezbłędnie wyczuwam, kiedy ktoś ma ochotę na walkę. On aż się do niej pali. - Ucałował jej wargi.

- Ostatni pocałunek na dobranoc.

Odwzajemniła pocałunek i przytuliła się jeszcze raz.

- Musisz już iść, naprawdę musisz. Kocham cię.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wesoły kawaler de Guise stał się sławny w Madrycie. I nic dziwnego, skoro było to częścią jego planu. Nie zamierzał się ukrywać, czaić. Miał doskonałe nazwisko, dzięki opiece Losy mógł bywać tam, gdzie tylko mu się zamarzyło, i często z tego korzystał. Wkrótce nie było już chyba w Madrycie nikogo, kto nie słyszałby o kawalerze, a niewielu takich, którzy go nie spotkali. Nie dostał jednak dotychczas żadnej wiadomości z dworu. Filip musiał zastanowić się nad odpowiedzią, podjąć decyzję, przespać się z nią, a potem zostawić do ponownego rozważenia. Ci, którzy chcieli ponaglić katolickiego króla, byli bliscy rozpacz. Filip nie czynił niczego bez uprzedniego starannego namysłu, nie zdając sobie sprawy, jak jest powolny. Pracował sumiennie i wytrwale, a rozważę i ostrożność poczytywał za swe atuty.

Powolność króla była sir Nicholasowi na rękę, gdyż i tak nie mógł przedsięwziąć żadnych kroków, dopóki Dominica przebywała w Madrycie. Jeśli jednak oczekiwanie na odpowiedź przedłuży się ponad miarę, hiszpański monarcha będzie musiał poszukać sobie innego posłańca z listem do Gwizjuszów. Sir Nicholas byłby wprawdzie bardzo zadowolony, otrzymując odpowiedź, gdyż list z pewnością by go zainteresował. Walsingham również bardzo by się ucieszył, jednak sir Nicholas nie zamierzał wyświadczać przysługi sekretarzowi stanu kosztem własnych planów. Walsingham i tak otrzyma bardzo interesujące informacje w zaszyfrowanym liście, którego kopia znajdowała się u Beauvalleta. List dotyczył Marii Stuart, która była obecnie więziona w Anglii. Omawiano w nim plany dotyczące jej przyszłości, opracowane przez króla Filipa i księcia de Guise'a. Ciekawe sprawy! Sekretarzowi stanu włosy zjeżą się na głowie, to pewne.

Poza tym sir Nicholas chętnie uczestniczył w przyjęciach, by gromadzić informacje, które mogły zainteresować nie tylko Walsinghama, ale także sir Francisa Drake'a i lorda admirała, Howarda of Effingham. W Kadyksie budowano flotę; sir Nicholas notował w pamięci liczne dane na temat wielkości i wytrzymałości wielkich galeonów, a nawet myślał o tym, by pojechać na południe i przekonać się o wszystkim na własne oczy.

Jego zachowanie doprowadzało Joshuę Dimmocka do rozpacz. Służący trząsł się ze strachu i bezustannie użalał nad sobą. Miał po

temu powody, jako że nikt tak dobrze jak on nie wiedział, że Beauvallet jeszcze nigdy dotąd nie był tak nieostrożny.

- Panie - zapytał kiedyś - czy naprawdę nikt niczego nie podejrzewa?

- Owszem, podejrzewa mnie francuski ambasador - odparł sir Nicholas. - Podesłał swojego człowieka, żeby wziął mnie na spytki... Wydawało mu się, że robi to bardzo sprytnie.

- A niech to! Jeszcze tego brakowało! I co pan powiedział?

- Bądź spokojny, udzieliłem mu wyczerpujących odpowiedzi.

Tylko tyle udało się Joshui wyciągnąć z sir Nicholasa.

W poniedziałek wieczorem Dominica wybrała się na przyjęcie do domu rodziny Alepere przy Calle Mayor. Kiedy sir Nicholasowi udało się w końcu wydostać ze szponów jej ciotki, podszedł, odgonił nadskakującego jej caballero i zaczął jawnie okazywać swe względy.

Don Diego, czujnie obserwujący tę scenę z pewnej odległości, natychmiast wkroczył do akcji, jednak niewiele wskórał.

- O, mój dobry przyjaciel! - powitał go wesoło sir Nicholas. - Przybywa pan w samą porę, senor. Dona Beatrice pytała o pana. Nie będziemy pana zatrzymywać.

- Moja matka, senor? - zapytał z niedowierzaniem Don Diego.

- Pańska matka, drogi przyjacielu. Wiem, że nie chce pan nas opuszczać, i być może powinno mi to pochlebiać, ale wiem, że naprawdę żał panu pozostawiać tę oto czarującą damę. - Skłonił się Dominice.

- Nie przypuszczam, by moja matka istotnie mogła mnie pilnie potrzebować, senor - odezwał się lodowatym tonem Don Diego.

- Jestem pewien, że pan się nie docenia - odrzekł sir Nicholas.

Don Diego rzucił mu wściekle spojrzenie, nie udało mu się jednak znaleźć pretekstu do pozostania w towarzystwie.

- Jestem panu niezmiernie zobowiązany, kawalerze - powiedział z jadowitą ironią w głosie. - Staram się nie zapominać, że jest pan gościem w Hiszpanii. - To wieloznaczne stwierdzenie zaniepokoiło Dominicę. Popatrzyła znacząco na sir Nicholasa.

Spoglądał wyczekująco, uniósłszy brwi. Don Diego napotkał jego spojrzenie, po czym dwornie skłonił się i odszedł. Rozumieli się doskonale, a choć nie mogli sobie pozwolić na szczerość, wszystko można było wyczytać z wyrazu ich twarzy.

- To szaleństwo - wyszeptała Dominica. - Po co go denerwujesz? Czemu to ma służyć?

Sir Nicholas odprowadzał Diega wzrokiem.

- Jestem pewien, że nie wyjadę z Hiszpanii, zanim nie skrzyżuję broni z tym fanfaronem - zauważył.

- Senor Nicholas, mam wrażenie, że dopóki cię nie spotkałam, nie wiedziałam, co to strach. Dlaczego ty to wszystko robisz?

Popatrzył na nią.

- Boisz się o mnie? Spokojnie, dziecinko, nie ma takiej potrzeby.

- Kuisz los! - upierała się. Roześmiał się bez cienia skruchy.

- Wolę to niż ucieczkę przed życiem, najśłodsza. Jakie masz dla mnie wieści?

Posmutniała.

- Niezbyt dobre, senor. Król opóźnia wyjazd do Valladolid i w związku z tym wuj musi być obecny w Madrycie. Sądzę, że znalazłam sposób na przyspieszenie wyjazdu.

Wydawał się rozbawiony.

- Ciekaw jestem bardzo, co zaplanowałaś, spiskowcu.

- Tylko nie śmiej się ze mnie... rabusiu - odgryzła się. - Don Miguel de Tobar przyjeżdża do Madrytu. To mój wuj. Jestem pewna, że marzy mu się moje małżeństwo z jego synem Miguelem. - Pokiwała głową i ściągnęła usta.

- Ależ ty masz powodzenie! Chyba naprawdę tylko rabuś może cię zdobyć.

- Możliwe, senor. Myślę, że moja zacna ciotka nie będzie rada przyjazdowi Don Miguela. To człowiek wpływowy, cieszący się uznaniem króla. Mógłby nawet otrzymać zgodę na zabranie mnie od rodziny Carvalho i zostanie moim opiekunem. Przypuszczam, senor Nicholasie, że jeśli dam do zrozumienia, że istnieje taka możliwość, ochoczo wyślą mnie do Vasconosy, bylebym znalazła się jak najdalej od Don Miguela. I tam oczywiście zechcą wydać mnie za męża, ale mam nadzieję, że wtedy będziesz już przy mnie.

- Możesz być tego pewna. Wprowadź w życie plan, najdroższa, ale bądź bardzo ostrożna, bo twoja ciotka jest sprytna.

W jej oczach pojawiły się figlarne iskierki.

- Posłużę się twoimi słowami, panie piracie... zaufaj mi.

Don Diego zdziwił się i zirytował, gdy się dowiedział, że matka nie przypomina sobie, by go szukała. Wydawała się rozbawiona, usłyszawszy, w jaki sposób kawaler pozbył się jej syna.

- A to łotr! - zachichotała.

- Moja kuzynka, która podobno nie chce słyszeć o ślubie - poskarżył się Don Diego - bardzo chętnie nadstawia ucha na słodkie słówka, które szepce ten francuski łajdak. Wyobrażasz sobie coś podobnego?

- Wcale mnie to nie dziwi - zauważyła Dona Beatrice. - Ani przez chwilę nie wątpiałam, że jest bardzo zręczny. Gdybyś miał choć odrobinę jego temperamentu, dawno już uczyniłbyś znaczące postępy.

Don Diego postanowił zrobić wielki krok naprzód już następnego dnia, w podniosłych, żarliwych słowach ofiarowując Dominice swą rękę i serce. Dostrzegła w tym szansę i postanowiła natychmiast ją wykorzystać. Zaproponowała, by Don Diego skierował rękę i serce gdzie indziej; w efekcie tym bardziej zapalczywie ją błagał, nawet chciał ją pocałować. Wyrwawszy się z jego objęć, wpadła w gniew i pobięła odszukać ciotkę.

Dona Beatrice, ujrawszy przed sobą Płonące Oburzenie we wdzięcznej postaci, zamruwała z wrażenia.

- Senora! - wybuchnęła Dominica, ciężko dysząc. - Jestem zmuszona poskarżyć się na kuzyna! Myślałam, że dobrze mnie zrozumiałaś, kiedy powiedziałam, że nie chcę za niego wyjść za mąż, a tymczasem on dzisiaj poprosił mnie o rękę... a nawet chce czegoś więcej! Tak! - krzychała, miotając oczami gniewne błyski.

- Twój syn, senora, ośmielił się mnie tknąć! Wydaje mu się, że może mnie obłapiać jak dziewczkę kuchenną! Mnie! To nie do zniesienia, a w każdym razie ja nie zamierzam tego znosić. Tak nie należy ze mną postępować. Musisz wiedzieć, senora, a razem z tobą twój syn, że nie wolno mnie tak traktować, nie mnie! A jeśli tego nie rozumiecie, to usłysz o tym mój wuj z Tobar. Ja, Rada y Sylva, mam znosić niechciane pocałunki, obmierzłe karesy, prostackie obłapianki?! O, nie, senora, nie! - Gwałtownie zaczerpnęła tchu. Była zaczerwieniona, a ręce zacisnęła w pięści.

Dona Beatrice odłożyła tomik poezji, lecz nie przestała się wachlować. Uważnie przyjrzała się bratanicy spod ciężkich powiek.

- Widzę, że jesteś bardzo rozogniona - podsumowała. - Ale po co tyle hałasu? Jeśli nie podobają ci się pocałunki Diega, radzę: wyjdź za

niego jak najprędzej, bo jak go znam, szybko przestanie dopominać się czegoś, co będzie miał na wyciągnięcie ręki.

Dominica aż zatrzęsała się z oburzenia.

- Takie słowa mnie obrażają! To podłość! Powinnaś się wstydzić, senora! Dobrze, że mój wuj przyjeżdża do Madrytu. Myślisz, że spodobają mu się twoje plany dotyczące mojej osoby?

- Sądzę, że nie - odparła cierpliwie Dona Beatrice. - Uważam, że ma własne plany wobec ciebie, moja droga, ale możesz mi wierzyć, że różnią się od moich tylko imieniem przyszłego męża.

- Senora, możesz być pewna, że żaden mąż nie będzie mi tak wstrętny, jak twój syn! - oznajmiła Dominica.

- Nie widziałas jeszcze młodego Miguela de Tobar - uprzytomniła jej ciotka. - Uważam, że wprawdzie Diego nie może się równać z kawalerem de Guise'em, moja droga, ale jest dużo przystojniejszy od Miguela.

- Znów ten kawaler de Guise! - wykrzyknęła Dominica. - Co on mnie obchodzi? Proszę mnie nie zbywać, senora!. Chcę uzyskać wyraźną odpowiedź: czy gotowa jesteś szukać innej żony dla swojego syna?

- Myślałam, że lepiej się rozumiemy. - Dona Beatrice westchnęła. - Oczywiście, że nie.

- W takim razie o wszystkim dowie się mój wuj, senora. Zmuszasz mnie do tego. Jeśli sądzi, że jestem zadowolona z tego, iż rodzina Carvalho ma wobec mnie określone plany, dowie się, że sprawa przedstawia się zgoła odmiennie.

Dona Beatrice, nie przestając się wachlować, uśmiechnęła się szerzej.

- To bardzo nierozsądne z twojej strony, że mnie ostrzegasz, moja droga - orzekła. - Nie powinnaś dawać się ponosić emocjom. Pokazujesz mi, jak zamierzasz się bronić. To śmieszne. Obawiam się, że nigdy ze mną nie wygrasz. Gdybyś potrafiła powściągnąć gniew, mogłabyś w tajemnicy przede mną wprowadzić swój plan w życie i, nie przeczę, pokrzyżować mi szyki. Wtedy zyskałabyś mój szacunek.

- Uniosła tomik poezji i odnalazła ostatnio czytaną stronę. - Bądź spokojna, już ja zadbam o to, żeby nie było cię w Madrycie, kiedy przyjedzie tu Tobar.

Dominica zdawała sobie sprawę, że ciotka wciąż uważnie jej się przygląda. Trudno było się domyślić, co Dona Beatrice może

podejrzewać i jakie pułapki może zastawić. Dominica pochyliła głowę, przygryzła wargę i przycisnęła dłoń do piersi, jakby pod wpływem zdenerwowania. Była zadowolona, że rozpoczęła się otwarta walka z ciotką; odegrała swą rolę nawet lepiej, niż planowała.

- Ciociu! - Udawała, że szuka słów, składała i rozkładała dłonie. Uniosła oczy ku górze i odchyliła głowę. - I tak znajdę jakiś sposób, żeby się dowiedział, jak mnie wykorzystujesz! - zawołała. - Możesz sobie robić, co chcesz, senora, ale nie zmusisz mnie do poślubienia Diega! - Uznała, że to wystarczy. Okazała już wystarczająco wiele dziecięcej krnąbrności, by uspić czujność ciotki. Obróciła się na pięcie i wybiegła.

Dona Beatrice powróciła do lektury. Kilka godzin później, w czasie kolacji, odezwała się do męża spokojnym, leniwym głosem, patrząc z lekkim rozbawieniem na Dominicę.

- Senor, te madryckie upały są nie do wytrzymania. Jestem bardzo zmęczona.

Don Rodriguez natychmiast okazał troskę i zaczął się zastanawiać, jak może pomóc żonie. Przerwała mu.

- Mam na to najlepszą radę. Pojadę do Vasconosy przed tobą. - Urwała i przysunęła sobie talerz ze słodyczami. - Dzisiaj jest wtorek - powiedziała. - Myślę, że mogłabym wyruszyć za tydzień.

Don Diego popatrzył na nią ostro; Dominica spuściła wzrok. Ledwie wyczuwalny szyderczy ton ciotki świadczył o tym, że upewniła się co do terminu przyjazdu Tobara do Madrytu. Dominica żałowała, że wuj nie zjawi się wcześniej, jako że każdy dzień pobytu sir Nicholasa w Madrycie zwiększał niebezpieczeństwo. Wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki są tutaj. Często ogarniał ją strach; obawiała się, że lada chwila usłyszy, że został schwytany. Kiedy się spotykali i widziała jego beztroską minę, serce podchodziło jej do gardła. Kobieta, którą kochał Szalony Nicholas, płaciła wysoką cenę za tę miłość.

Tego wieczoru odwiedził Donę Beatrice. Byli umówieni; wcześniej pożyczyła mu romans i teraz przyszedł, by go oddać i porozmawiać z nią po francusku.

Dominica pomyślała, że jego zuchwałość przechodzi wszelkie granice. Cofnęła się w stronę okna i popatrzyła na niego surowo, gdy obdarzył ją komplementem. Ta sytuacja była dla niej wielkim

wyzwaniem. Zachowywała się jak urażona dziewczica, lecz spojrzeniami pełnymi wyrzutu ganiła jego nieostrożność.

Zastanawiała się, jak mu powiedzieć o tym, że w przyszłym tygodniu wyjeżdża z Madrytu. Szukała sposobu wyrażenia tego tak, by nie budzić podejrzeń, kiedy niespodziewanie wyręczyła ją ciotka.

Otrzymałszy istotną wiadomość, sir Nicholas niedługo potem zaczął zbierać się do wyjścia. Wcześniej między nim a Doną Beatrice toczyła się swoista gra. Dominica musiała przygryzać wargę, by powstrzymać się od śmiechu. Sir Nicholas potrafił rozbawić ciotkę, szeptał śmiało komplementy, których słuchała nader chętnie i jasno dawał obserwującej go Dominice do zrozumienia, że doskonale umie postępować z kobietami. Jednak nawet gdy z oddaniem całował dużą białą dłoń Beatrice, popatrzył z udawaną skruchą na Dominicę, jakby w proteście przeciwko jej naburmuszonej minie.

Potem podszedł do niej, by się pożegnać; bojąc się, że lada chwila może powiedzieć albo zrobić coś szalonego, dygnęła sztywno i, nie patrząc na niego, podała mu rękę. Potrzymał ją przez chwilę, nie całując od razu.

- Ależ zimna! - powiedział żartobliwie. Usiłowała cofnąć dłoń; miała ochotę palnąć go w ucho.

- Drogi kawalerze, udało się panu zaszokować moją bratanicę - powiedziała z rozbawieniem Dona Beatrice. - Nie jest przyzwyczajona do francuskiej śmiałości. Tu, w Hiszpanii, nie jesteśmy tacy odważni.

- Naprawdę ją zaszokowałem? Tak, że nawet na mnie nie spojrzy i nie uśmiechnie się?

Dominica podniosła wzrok, lecz się nie uśmiechnęła. Zobaczywszy jego roześmiane spojrzenie, znów opuściła powieki.

- Obawiam się, że jest na mnie zła - stwierdził ze smutkiem sir Nicholas. - Niestety. Myślę, że gdyby miała pod ręką, powiedzmy, sztylet, byłoby już po mnie.

- Lubi pan żartować, senor. Pochylił się i ucałował jej palce.

- Seniorita, składam serce u pani stóp.

- Kawalerze, kawalerze, ależ jest pan zmienny! - skarciła go żartobliwie Dona Beatrice. - Jeszcze przed chwilą pozwalał mi pan wierzyć, że pańskie serce leży u moich stóp.

Dominice w końcu udało się cofnąć rękę. Sir Nicholas zwrócił się do Beatrice.

- Ach, senora - rzekł - ależ jest pani surowa. Ja mam wiele serc.

Roześmiała się.

- Protestuję, to nieładnie! Zastanawiam się, czy wśród tak wielu jest choć jedno prawdziwe? Ech, Francuzi!

- Tylko jedno - rzekł potulnie sir Nicholas. Uniosła brwi, chcąc kontynuować żarty.

- Ooo! A komuż to oddał pan to jedyne serce?

- Mojej narzeczonej, senora - odpowiedział sir Nicholas. - Ma też wszystkie pozostałe.

Wzruszyła ramionami.

- To bardzo szlachetne, senor, ale zastanawiam się, co pan powie... dajmy na to, za rok?

Dominica odwróciła się i popatrzyła na ogród za oknem.

- Traktuję to tak poważnie, że jestem pewien, iż za rok powiem to samo. Jednak wciąż znajdzie się coś, co gotów będę złożyć u pani stóp. To mój szczerzy podziw, senora. - Po tych słowach wyszedł. W samą porę, pomyślała Dominica.

Ciotka zaczęła mówić o wyjeździe do Vasconosy.

Był jednak jeszcze jeden człowiek, który wybierał się w tę stronę, o czym nie miała pojęcia. Po powrocie do gospody „Pod Wschodzącym Słońcem” sir Nicholas przejrzał mapy i starannie opracował trasę. Obserwujący go Joshua Dimmock nabrał otuchy i powiedział w przestrzeń, być może do peleryny, którą właśnie składał, że im szybciej wyruszą w podróż, tym lepiej.

- Mimo wszystko - ciągnął, otrzepując kurz z pończoch, muszę sobie zadać pytanie, co będzie, jeśli „Venture” nie przyplynie? Tak, w tym sęk. - z westchnieniem popatrzył na zamyślonego pana. - Możemy sobie nanosić punkty na mapę i zastanawiać się nad etapami podróży, ale twierdzę, a warto zapamiętać moje słowa, że wcale nie możemy być pewni szczęśliwego końca. Wolałbym siedzieć sobie teraz spokojnie w domu. Nie musi mnie pan przekonywać, że dotrzemy do tego przemytniczego portu. Ośmielam się twierdzić, że dojedziemy tam pomimo tych wszystkich Hiszpanów. Ale co będzie, jeśli nie zastaniemy tam naszego statku? Będziemy zgubieni. Resztę naszych dni spędzimy w Hiszpanii, a możemy być pewni, że nie będzie ich wiele! Wszystko zależy od „Venture”, i to od „Venture”, płynącego bez pana! Cała ta sprawa jest bardzo wątpliwa.

Beauvallet spojrzał na sługę.

- Cicho tam, marudo! Co ci się znów nie podoba?

- To, panie, że nie ma pan jak się przekonać, iż „Venture” przybędzie tam, gdzie trzeba.

- Uważasz, że załoga mnie nie posłucha?

- Nie, nie, nikt tu nie wątpi w dobrą wolę pana Dangerfielda, ale on nie jest sir Nicholasem Beauvalletem i może mu się nie udać.

- Nie skrzecz! Bez przerwy masz jakieś zastrzeżenia i wszędzie wietrzysz niebezpieczeństwo. Diccon jest bardzo rozsądny i otrzymał moje wyraźne rozkazy. Nie boję się, że coś może się nie udać. Jak moi ludzie mogliby mnie zawieść w potrzebie?

- To wszystko prawda, ale jeśli pan się tego nie boi, to właściwie czego się pan boi?

- Prawdę mówiąc - odpowiedział Beauvallet - nie podoba mi się francuski ambasador.

- A mnie nie podoba się ten pajac, kuzyn pańskiej damy. Dobrze wiem, kiedy mężczyzna jest w nastroju do walki, i niech mnie licho, jeśli on nie szuka okazji do zwady.

- W takim razie niech Bóg ma go w swojej opiece - rzekł Beauvallet, pochylając się nad mapą. - Moja dama w przyszły wtorek wyjeżdża do Vasconosy. Chciałbym czuwać nad nią w czasie tej podróży.

- A potem, panie?

- Na litość boską, człowieku, skąd mam wiedzieć, skoro nie widziałem tego miejsca? Porwiemy ją i pojedziemy na wybrzeże. Zapytaj mnie o szczegóły, kiedy zorientuję się w sytuacji.

- Obawiam się jakiegoś nieszczęścia - powiedział ze smutkiem Joshua. - To wszystko przebiega zbyt gładko jak na pana.

Beauvallet złożył mapę. Joshua tylko parę razy widział u niego taki rozmarzony wyraz twarzy.

- A bój się sobie do woli - rzekł sir Nicholas. -

I niech się dzieje, co chce. Mówię ci tylko, że dojadę do Vasconosy i uprowadzę moją panią, zanim prześpi tam dwie noce.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Don Diego, towarzyszący swym rodzicom i kuzynce na przyjęciu w domu Don Luisa de Noveli, przypuszczał, że Dominica pójdzie tam tylko po to, by spotkać się z kawalerem de Guise. Matka, która miała serdecznie dość tych podejrzeń, starała się je bagatelizować.

- Mój drogi Diego - powiedziała przed wyjściem z domu. - Niewłaściwie interpretujesz fakty. Kawaler szokuje Dominikę, nie ma tu mowy o fascynacji. Uważam, że dużo groźniejszy jest przyjazd Tobara.

- Wtedy będziemy już w Vasconosie - odparł syn - i zapewne uda nam się sfinalizować małżeństwo, zanim Tobar będzie mógł przystąpić do działania. Nie wykluczałbym jednak tego, że Dominica będzie chciała uciec z tym przebiegłym Francuzem choćby po to, żeby zrobić nam na złość. Wierz mi, senora, wczoraj u de Chinchona spędził pół wieczoru przy niej, zabiegając o jej względy.

- Doskonale odgrywasz rolę zazdrosnego kochanka - wyraziła uznanie matka. - Nigdy bym cię nie posądzała o to, że będziesz potrafił kogoś nienawidzić tak jak tego pozeracza serc niewieścich. Muszę przyznać, że to mnie bawi.

Nie można było żywić wątpliwości co do tego, że młody Carvalho szczerze nie znosi kawalera de Guise'a i nie stara się tego ukryć. Być może nie był w stanie już dłużej znosić kpiącego spojrzenia niebieskich oczu. Don Diego uważał się za wspaniałego caballero, a Beauvallet wyraźnie nie podzielał jego poglądu. Zbyt często patrzył na niego z lekceważącym skrzywieniem ust; śmiał się bez powodu. Zachowywał się tak, jakby na jedno jego skinienie cały świat był gotów paść mu do stóp. Kpiące spojrzenie wydawało się mówić: „Chcesz ze mną walczyć? Jestem gotowy”. Przechadzał się po mieście dziarskim, sprężystym krokiem, czując się jak u siebie w domu, a cała jego postawa i wysoko uniesiona głowa wyrażały arogancję. Don Diego miał wielką ochotę upuścić trochę tej błękitnej krwi.

Jego podejrzania potwierdziły się, gdy zobaczył kawalera na przyjęciu. Ponieważ matka nie zamierzała przejmować się domysłami, on postanowił nie spuszczać Dominiki z oka i nie odstępował jej na krok przez cały wieczór. Znosiła to nadzwyczaj cierpliwie, mając nadzieję, że Beauvallet do niej nie podejdzie. Obawiając się jednak, że może to zrobić z czystej przekory, posłała mu ostrzegawcze

spojrzenie. Skrzywił się wymownie, jednak odniosła wrażenie, że postanowił zastosować się do jej niemych napomnień. Poprzedniego wieczoru wyraziła oburzenie z powodu jego zachowania w domu Carvalhów. Uzmysłowała mu, że jego zuchwałość stanowi ciężką próbę dla jej nerwów; w odpowiedzi ucałował jej dłoń i przyznał, że był wobec niej okrutny. Dona Dominica zdawała sobie sprawę, że ukochany jest niezwykle uparty, a w dodatku czerpie dziwną przyjemność z kuszenia opatrności, teraz jednak wszystko wskazywało na to, że jej uwagi odniosły skutek, gdyż nie narzucił się ze swą obecnością. Widziała, że jest w doskonałym humorze. Nie potrafiła oprzeć się pokusie; co chwila zerknęła w jego stronę, obawiając się nieszczęścia.

Miała złe przeczucia; być może sprawiła to męcząca obecność kuzyna i świadomość, że on również przygląda się kawalerowi, nie kryjąc niechęci. Starła się uwolnić od jego towarzystwa, jednak uparcie tkwił na posterunku, najwyraźniej podejrzewając ją o to, że wolałaby mieć u boku de Guise'a. W końcu wybawiła ją ciotka, przedstawiając poważną młodą damę, która podobno marzyła o tym, by poznać kobietę porwaną przez sławnego pirata.

Sir Nicholas znajdował się na tyle blisko, że musiał słyszeć pytania zadawane przez dziewczynę na jego temat. Dominica udzielała zwięzłych odpowiedzi, bojąc się, że lada chwila sir Nicholas może wtrącić jakąś dowcipną uwagę. Kątem oka dostrzegła uśmiech na jego twarzy po tym, jak zapewniła przejętą słuchaczkę, że nie została brutalnie wykorzystana przez złego pirata. Zyskała wtedy pewność, że jej ukochany wszystko słyszy.

- Och, seniorita, to prawdziwy cud! - entuzjasmowała się młoda dama. - Proszę mi powiedzieć, czy to naprawdę taki straszny człowiek?

- Prawdę mówiąc, senora, nie ma o czym mówić - odpowiedziała z lekkim zniecierpliwieniem Dominica. - Jest całkiem przeciętny. Nie zauważyłam w nim niczego szczególnego.

- Słyszałam - kontynuowała jej rozmówczyni, lekko rozczarowana - że jest bardzo przystojny, a poza tym słynie z odwagi.

- Moim zdaniem, jest całkiem przeciętny - powtórzyła Dominica. - Myślę, że w Hiszpanii zrobiono z niego jakiegoś półboga.

Sir Nicholas odwrócił się w jej stronę. Dominica zobaczyła, że znacząco uniósł lewą brew. Co za człowiek! Doprawdy mógłby

zachować spokój! Czy naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że nie jest to odpowiedni czas na posyłanie jej wesołych spojrzeń?

Dama, nieco zbity z tropu, zaczęła coś mówić o Santiago i zadała kolejne pytania. W końcu z pomocą Dominice przyszedł Don Rodriguez, który położył jej rękę na ramieniu i uśmiechnął się do niej, jak to zwykle on, przeprasza ją.

- Jest tu ktoś, moje dziecko, kogo z pewnością będziesz rada spotkać. Ostatnio był w Santiago. Myślę, że go znasz. - Tajemniczo zniżył głos.

- Niestety, jest w tej chwili w kiepskim humorze, ale z pewnością to zrozumiesz - dodał, prowadząc ją przez salę. - Stracił okręt... Zresztą pewnie o tym wiesz, bo to wszystko zdarzyło się przed twoim powrotem do kraju. - Zmierzał w stronę skupionej przy drzwiach grupki, nieświadom tego, co przeżywa Dominica, ogarnięta falą złych przeczuć.

- Można mu tylko współczuć, a tymczasem postawiono mu wiele zarzutów. Wypadł z łask dworu, bardzo więc uważaj na słowa.

Przeszył ją lodowaty dreszcz.

- Kto to? - zapytała głosem pozbawionym emocji.

- Nie powiedziałem ci tego jeszcze? Don Maxia de Perinat, moje dziecko. To ten, który ścigał El Beauvalleta i przegrał. Powiedział mi, że zna ciebie i twojego biednego ojca. - Zakaszła, po czym dodał: - Błagam, ani słówkiem nie wspominaj o tej tragedii.

Perinat! W Hiszpanii, w tym domu! Perinat, którego ostatnio widziała z obłędem w oczach, jękającego się, zionącego nienawiścią do angielskiego diabła, śmiejącego się głośno nawet w ogniu walki. Powinna teraz za wszelką cenę przekazać tę wiadomość Beauvalletowi, nakazać mu natychmiastowe opuszczenie przyjęcia, zanim zdarzy się nieszczęście i znajdzie się w sytuacji bez wyjścia. Bezwiednie odwróciła się, by wypatrzeć go w tłumie, jednak dostrzegła tylko tył jego głowy i szerokie ramiona. Po chwili zdała sobie sprawę, że Perinat pochyła się nad jej dłonią i składa kondolencje z powodu śmierci ojca.

Opanowując się z trudem, zmusiła się do odpowiedzi. Podjęła rozmowę, chcąc za wszelką cenę utrzymać go z dala od sir Nicholasa, który, nieświadom chmur zbierających się nad jego głową, doskonale bawił się w drugim końcu sali. Nie za bardzo zdawała sobie sprawę z wypowiedzianych słów, skupiona na obmyśleniu sposobu ostrzeżenia

Beauvalleta. Stała przed Perinatem, żywiąc nadzieję, że zdoła ochronić ukochanego przed zdemaskowaniem. Po raz pierwszy w życiu ucieszyła się na widok nadchodzącego kuzyna. Natychmiast przedstawiła go Perinatowi, licząc, że podejmą rozmowę, a ona będzie mogła dzięki temu podejść do sir Nicholasa.

Don Diego skłonił się, a Perinat uprzejmie powitał syna starego przyjaciela. Nagle, w ciszy, która na chwilę zapadła na sali, rozległ się wyraźny, rozbawiony głos Beauvalleta. Tym razem zwiastował burzę.

Perinat podskoczył i urwał w pół zdania.

- Madre de Dios, znam ten głos! Co za czort?! - zawołał.

Dominica zaczęła coś paplać, jednak rozmówca nie zwracał już na nią uwagi. Postąpiwszy krok naprzód, patrzył na profil Beauvalleta, nie wierząc własnym oczom.

Sir Nicholas rozmawiał z przyjacielem z Andaluzji. Odrętwiała z przerażenia Dominica zobaczyła charakterystyczne odrzucenie głowy w tył, usłyszała wesoły śmiech, którego nie sposób było zapomnieć.

- Ach! - To westchnienie wyrwało się z ust Don Maxii, który mocno chwycił rękojeść broni. - Sangre de Dios, czyżbym odszedł od zmysłów? Czy ja śnię? El Beauvallet!

Niemal wykrzyknął to imię. Sir Nicholas odwrócił się instynktownie, ale w tym nie było jeszcze nic dziwnego. Wszyscy obecni popatrzyli w stronę, z której dobiegło ich nazwisko znienawidzonego wroga.

Dominica zauważyła, że Beauvallet dostrzegł grupkę przy drzwiach. Zobaczył Perinata, gapiącego się nań ze zbielełą twarzą, jednak nie dał niczego po sobie poznać.

Don Rodriguez był oszołomiony, podobnie jak wszyscy, jednak pierwszy odzyskał mowę.

- Co ty mówisz, Perinat? Oszalałeś? Kto...?

- To on! Beauvallet... Beauvallet we własnej osobie! Ja ci to mówię! Sangre de Dios, dobrze go znam! Na miłość boską, nigdy nie zapomnę tej twarzy, tego śmiechu! O, psie! O, łajdaku! Nareszcie, nareszcie!

Salę obiegły szepty:

- El Beauvallet! El Beauvallet!

Perinat wycelował drżącą dłoń prosto w sir Nicholasa. Zdumieni goście wbili w niego wzrok, a stojący najbliżej Beauvalleta natychmiast się odsunęli; niejeden mężczyzna sięgnął po broń.

Jedynie sir Nicholas stał nieporuszony, z brwiami uniesionymi w wyrazie zdziwienia.

- Ale przecież... to jest kawaler de Guise! - rzekł ktoś pełnym zdumienia głosem. - Skąd wzięłby się Beauvallet w Hiszpanii?

- Mówię, że to on! Ja, Maxia de Perinat, który z nim walczyłem!
- Słowa wartką strugą płynęły z jego ust. - Trzymajcie go! Nie pozwólcie mu uciec! Przysięgam na wszystkie świętości, że to El Beauvallet!

- Nieszczęścia pomieszały mu rozum - powiedział cicho Andaluzyjczyk.

Dominica postąpiła o krok.

- Co też pan mówi, Don Maxio? To nie jest Beauvallet - odezwała się nienaturalnie spokojnym głosem. - Przecież bym go poznała. Ten mężczyzna to nie on.

Don Diego chwycił ją za nadgarstek.

- O, podła, nareszcie wszystko rozumiem! - zawołał ze złością. - Ten dumny kawaler to El Beauvallet, twój kochanek!

Na sali rozległ się szmer podnieconych głosów. Ktoś podszedł do drzwi, jakby chcąc odciąć drogę do wyjścia. Nagle rozległ się donośny głos Beauvalleta.

- Na Boga, pan mi pochlebia - powiedział. Nawet w tej strasznej chwili Dominica wyłowiła w jego głosie nutę rozbawienia. Podziwiała jego spokój i żelazne nerwy. - Bierze mnie pan za El Beauvalleta, senior?

- Nędzny psie, przecież to ty! Ośmielasz się jeszcze patrzeć mi w twarz i twierdzić, że to nieprawda?

- Coś pana opętało, senior, albo za dużo pan wypił. Gdybym był Beauvalletem, to co bym tu robił?

- Wierzę panu! - Don Diego stanął u boku Perinata. - Nasz kawaler de Guise ma drugie oblicze. Wiem, co chciałeś osiągnąć, piracie. Zamierzałeś uprowadzić moją kuzynkę. Teraz nareszcie wszystko widzę jasno. Polegniesz z mojej ręki! - Wyciągnął rapier z pochwy i rzucił się wprzód.

Rozległ się świst stali; światło załśniło w błyszczącym ostrzu. Beauvallet wyciągnął swój miecz od Sahagoma z Toledo. Cios Diega został odparowany. Beauvallet przypadł plecami do ściany i znalazł się twarzą w twarz z napastnikiem.

- No i co, panowie? Czekam na was. Czy jest tu ktoś, kto stanie u boku Don Diega? Skoro jestem Beauvalletem, to chętnie się z wami zabawię.

- Cofnij się, on jest mój! - zawołał Perinat, odpychając Diega. - Skrzyżuj swój miecz z moim jeszcze raz, piracie! Pamiętasz ten śliski pokład pod twoimi stopami? Pamiętasz, psie? - Chwycił sztylet i podszedł do Beauvalleta z bronią w obu rękach.

- Powstrzymajcie tego szaleńca - rzekł sir Nicholas - bo przypadkowo mogę zrobić mu krzywdę. No, no, senor! Spokojnie, proszę się opanować!

- Zauważywszy Diega, zbliżającego się z boku, zwrócił się w jego stronę, nie przestając czujnie obserwować Perinata.

Noveli, gospodarz przyjęcia, wyrwał się ze stanu odrętwienia; rzucił się w przód z obnażoną bronią.

- Jest was więcej? - zawołał sir Nicholas. - Dzielni panowie! Widzę, że mam godnych przeciwników!

- Spokój! - zawołał ostro Noveli. - Oszalałeś, Perinat? Opanuj się, młody kawalerze! Spokój, mówię! Chcecie urządzić jatkę w moim domu?! Wstydzcie się!

- Schwytajcie go - wydyszał Perinat - Mówię wam, łapcie go. Zamierzacie puścić go wolno, głupcy?! To El Beauvallet!

Beauvallet stał lekko oparty o miecz i śmiał się, jakby cała sytuacja szczerze go bawiła.

- Spokojnie, panie siwobrody, wciąż tu jestem.

- On się z was śmieje! Patrzcie, jak sobie drwi! - krzyczał Perinat, nie panując nad sobą.

- Przekonajcie się, że mam rację! Zawołajcie straż! Straż! Diego schował rapier.

- Wyjaśnimy tę sprawę do końca. Hej tam! Zawołać straż! Noveli szybko odwrócił się w jego stronę.

- Wydaje pan rozkazy w moim domu, Don Diego? Jednak większość podchwyciła wołanie Diega.

- Tak, najlepiej będzie wezwać straż. Rzeczywiście trzeba to wyjaśnić, Noveli. Jeśli Perinat się myli, kawaler zostanie przeproszony. Ale jeśli mówi prawdę... Straż!

Noveli niepewnie popatrzył na Beauvalleta. Musiał pełnić obowiązki gospodarza, a jednocześnie miały nim podejrzania. Wokół sir Nicholasa zgromadziła się grupa mężczyzn, śledzących

uważnie każdy jego ruch w obawie, że rzuci się do ucieczki. Beauvallet, trzymając miecz w dłoniach, roześmiał się.

- Na pana miejscu zawołałbym straż, señor - powiedział.

- Kawalerze, zechce pan wybaczyć tę nieuprzejmość - odpowiedział przygaszony Noveli.

- Z całego serca wybaczam - odparł żartobliwym tonem Beauvallet. Zerknął na przerażoną Dominicę; chwycił się za brodę i na moment przyłożył palec do warg. Zobaczywszy, jak ukochana pochyła głowę, wiedział, że zrozumiała.

Ktoś wybiegł wreszcie, by zawołać strażników. Sir Nicholas z rozbawieniem popatrzył na potężną grupę, odgradzającą go od drzwi.

- Uważacie, że ten Beauvallet to desperat, panowie...

Perinat opuścił broń. Zdołał już nieco ochłonać. Mówił teraz spokojnie, choć z wielką goryczą.

- Rzeczywiście musisz być desperatem, skoro ośmieliłeś się przyjechać do Hiszpanii. Zakpiłeś sobie ze mnie i z wszystkich tu obecnych, ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

- Może być pan pewien, señor, że to ja będę śmiał się ostatni - powiedział Nicholas. - Utrzymuje pan, że jestem Beauvalletem, ale jest tu osoba, która twierdzi coś przeciwnego, a wydaje się, że dobrze wie, co mówi.

- Ona wie! - zawołał Don Diego, ignorując ostrzegawcze spojrzenie matki. - Nie zwiedzisz nas, psie!

- Dość już - wtrącił się Noveli. - Tę sprawę wyjaśni kto inny, nie pan, Don Diego. Proszę się natychmiast uspokoić. Jeśli wyrządzamy panu krzywdę, kawalerze, mam nadzieję, że będzie pan tak dobry, że tylko nas wyśmieje.

- Może być pan tego pewien, señor - odrzekł sir Nicholas. - Wszyscy będziemy się śmiać. - Znów rzucił przelotne spojrzenie na Dominicę. - Niech nikt się nie martwi. Nie wątpię, że ta sprawa będzie miała szczęśliwe zakończenie. - Przy drzwiach zapanowało poruszenie; dało się słyszeć brzęk ostróg. - O, straż! Rzeczywiście musicie uważać Beauvalleta za niebezpiecznego człowieka.

A niech mnie, widzę chyba z tuzin kastylijskich gwardzistów!

Został otoczony. Porucznik, z twarzą wyrażającą bezbrzeżne zdziwienie, skłonił się sztywno.

- Señor, przykro mi, ale muszę poprosić o pańską broń. - Została mu podana rękojeścią do przodu. - Będzie pan łaskaw pójść z nami.

- Z największą przyjemnością, panie poruczniku - rzekł Beauvallet. Popatrzył na Andaluzyjczyka. - Don Juanie, wygląda na to, że będziemy musieli zrezygnować z zaplanowanej na jutro partyjki trucos, być może też nie uda mi się odbyć innych zaplanowanych spotkań, za co przepraszam. Jednak z pewnością dotrzymam zobowiązań przewidzianych w późniejszych terminach. Senor, proszę prowadzić!

Wyszedł w otoczeniu straży, jednak jego słowa wciąż odbijały się echem w głowie Dominiki. „Z pewnością dotrzymam zobowiązań...” Wcale nie była tego pewna.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Joshua Dimmock, przechadzający się w cieniu pod domem Novelich, widział na tyle dużo, że chwycił za sztylet. Ręka go świerzbiła, by zrobić z niego użytek.

- Spokojnie, spokojnie - sam się zmitygował. - Jeden człowiek na wolności jest lepszy niż dwóch w więzieniu.

Miał zwyczaj kręcić się w pobliżu domów, które odwiedzał sir Nicholas. Jego pan wyśmiewał to, jednak Joshua wiedział swoje.

- Wolę szukać kłopotów - twierdził. - Nie chcę, żeby mnie o nich powiadamiano.

Wszystko wskazywało na to, że jego podejrzenia nie były bezzasadne. Mężczyzna, który wybiegł z domu, by wezwać straż z koszar, nawet nie wiedział, jak bliski był śmierci. Długi, ostry sztylet czekał już w gotowości; Joshua, domyśliwszy się z dochodzących z domu odgłosów, co mogło się tam wydarzyć, odgadł także zamiary biegnącego mężczyzny. Mógł bez trudu dźgnąć go w szyję tuż przy ramieniu, lecz co by z tego przyszło? Uniósł sztylet, instynktownie wyciągnięty z pochwy, lecz zaraz się rozmyślił. W żaden sposób nie pomogłoby to sir Nicholasowi.

Pomyślał, że być może za szybko wyciągnął wnioski; cofnął się w cień i czekał. Widział nadchodzących strażników, minęli go w takiej odległości, że mógłby dotknąć jednego z nich. Weszli do domu, a po niedługim czasie wyszli, prowadząc sir Nicholasa.

- Oj, dobrze się domyśliłem - mruknął Joshua. - Ale co teraz? - Zauważył, że sir Nicholas żwawo kroczy pomiędzy strażnikami, usłyszał, jak śmiejąc się, mówi coś do porucznika. - Drwi sobie ze śmierci! - przeraził się Joshua. - Straceniec! Nie chce spojrzeć w twarz przeznaczeniu i uzmysłowić sobie, co go czeka. Ech, nie ma co snuć czczych rozważań. - Zmusił się do opanowania. - Weź się w garść! Nie ma czasu na rozpacz. - Popatrzył w stronę otwartych drzwi domu, obok których stali dwaj lokaje, rozprawiając o czymś z ożywieniem. - Widzę już, jaki ma być mój pierwszy krok. Trzeba posłuchać tych tutaj. - Wszedł z cienia i żwawym krokiem podszedł w stronę domu Novelich. - Co tam się dzieje? - zapytał. - Straż w waszym domu? Kto to był? Dziwne rzeczy!

- Jego wścibstwo sprawiło, że otrzymał odpowiedź.

- Madre de Dios! - zawołał jeden z lokajów.

- Podobno to był ten pirat, El Beauvallet.

- Jezu miłosierny! - Joshua cofnął się i szybko przeżegnał. - Ten elegancki mężczyzna? Żartujesz sobie ze mnie? Jak to możliwe?

Lokaj bezradnie pokręcił głową, odpowiedział jego kolega.

- Jest tu admirał Perinat, zachowuje się jak wściekły pies. - Wskazał kciukiem za ramię. - To on krzyczał na kawalera.

W ten sposób Joshua dowiedział się wszystkiego. Lokaje weszli do domu, przypominając sobie o obowiązkach; Joshua szybko oddalił się w kierunku gospody.

Zdażył, jeszcze nie dotarli tu gwardziści, by przetrząsnąć bagaże jego pana. Wszedł tylnym wejściem, zaczekał, aż dziewczyna kuchenna odwróci się tyłem i przez nikogo niezauważony przemknął na piętro.

Działał w wielkim pośpiechu: wamsy, pończochy, buty, koszule wylatywały z szafy i ze skrzyni pod oknem; część została bezładnie spakowana w tłumok, reszta została rzucona na podłogę.

- Teraz odgrywamy nieuczciwego sługę - dodawał sobie otuchy Joshua. - Co to znaczy mieć głowę na karku. - Znalazł kasetkę sir Nicholasa i otworzył ją, podważając wieko sztyletem. - O, tutaj. Weźmiemy pieniądze i parę papierów, które mogą nam się przydać. Zostawimy kasetkę, żeby wszyscy się dowiedzieli o naszym złodziejstwie. A to co? - Rozpostarł glejt kawalera de Guise'a. - Myślę, Joshuo, że to powinno zostać znalezione, bo sądzę, że nie będziemy już tego dłużej potrzebować, a to może pomóc sir Nicholasowi. Niech myślą, że szukaliśmy tego na próżno. - Rozejrzawszy się, wybrał leżący na podłodze kaftan. - Myślę, że kieszeń będzie dobra. Leż tam, a ja mam nadzieję, że cię znajdą. - Wsunął glejt do kieszeni i powiesił kaftan w szafie. - Tak, szukaliśmy go, ale nie znaleźliśmy. Mimo wszystko może ci się jeszcze przydać, panie. Spokojnie, Joshuo! Wszystko będzie dobrze. Teraz trzeba uprzątnąć te stroje. - Wziął tyle ubrań sir Nicholasa, ile był w stanie udźwignąć, klejnoty schował za pazuchę, spakował też parę swoich rzeczy. Wciąż nie było słyhać strażników, idących po bagaże Beauvalleta. Joshua wyjrzał przez okno, przez chwilę nasłuchiwał, lecz do jego uszu dobiegł tylko głos barmana z dołu. W tej sytuacji cofnął się, by dokończyć dzieła. Dwa tobołki stały już spakowane na podłodze, w izbie panował trudny do opisanego bałagan, jednak Joshui Dimmockowi wciąż było mało. Postanowił stworzyć wrażenie jeszcze większego chaosu i trzeba przyznać, że całkiem dobrze mu to wyszło. Zamknął na klucz opróżnioną skrzynię, po czym wyłamał zamek.

Wrzucił do środka stary wams, parę pończoch i but do konnej jazdy. - Tak to się odbywa! Niegodziwy służący rabuje kufer swego pana! Panie, powinienes przeżyć choćby po to, żeby móc podziękować Bogu za takiego sługę. - Przystanąwszy, przyjrzał się swemu dziełu. - Prawdziwy groch z kapustą, jak pragnę zdrowia! Co jeszcze? Broń! - Klepnął się dłonią w czoło i rzucił się do szafy w ścianie, by wydobyć broń. Z czeluści wyłoniło się ostrze, które wyszło spod ręki Ferrary; delikatne, giętkie, z prostymi elementami poprzecznymi rękojeści i dwoma wgłębieniami w kształcie muszli na kostki dłoni.

- „Tnę nie na żarty!” - zacytował Joshua. - Gwarantuję, że to prawda!

W gospodzie panowała cisza, był już późny wieczór. Joshua mógł wymknąć się niepostrzeżenie, jednak celowo wpadł na parterze na sennego barmana. Drgnął, udając przerażenie i zaklął po francusku.

Wcisnął dukata w dłoń barmana.

- Nie widzisz mnie - powiedział. - No?

- Widzę cię bardzo wyraźnie - odpowiedział barman, rozdziawiając usta.

- Nieprawda. Słuchaj! - Chwycił barmana za ucho i wyszeptał: - Podobno przymknęli mojego pana. Teraz rozumiesz? Pewnie go szybko wypuszczą, ale mnie już tu nie będzie. - Łypnął chytrze.

- W Pikardii jest małe gospodarstwo i ładna dziewczucha... ale muszą być i pieniądze. - Poklepał się po sakiewkach u pasa; naprawdę się zataczał pod ich ciężarem. - Nie chcę, żeby uciekła mi taka okazja!

Barman najwyraźniej był zakłopotany. Uchylił głowę, uwalniając ucho z uścisku.

- Co się dzieje? Twój pan został zamknięty?

- Coś gadają o tym, że to El Beauvallet. Ho, ho, ale historia! To na pewno jego wrogowie coś takiego wymyślili, bo przecież cała Francja zna go jako Gwizjusza. Ale to nie moja sprawa. Jadę do granicy i nie będę płakać za złym panem!

Barman odprowadził go wzrokiem, oszołomiony. Kręcił głową, nie rozumiawszy nic z tej dziwnej gadaniny. Ziewnął, zastanawiając się, która jest godzina. Joshua zdążył się już oddalić na znaczną odległość, a barman wciąż rozmyślał nad dziwnymi sprawami tego świata.

Była też inna osoba bardzo przejęta schwyтaniem Beauvalleta. Ona również miała swoją rolę do odegrania, z czego dobrze zdawała

sobie sprawę. Przyjęcie w domu Novelich szybko się skończyło, jednak wcześniej wielu gości zgromadziło się wokół Dominiki, by usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Zrozpaczona, musiała jednak zrobić wszystko, co tylko mogła, by pomóc ukochanemu. Przywołała całą swą odwagę. Zaczęła się wachlować i zmusiła się do uśmiechu, wyrażającego niedowierzenie.

- Panowie. Nie mam nic do dodania. Jeśli ten mężczyzna to Beauvallet, to musiał bardzo się zmienić od czasu, kiedy ostatnio go widziałam. Ma podobną karnację, ale co do reszty... Madre de Dios, gdybyście panowie znali tego pirata i słyszeli, jak okropnie mówi po hiszpańsku! - Zaśmiała się cichutko i odwróciła się w stronę ciotki, która właśnie do niej podeszła. - Senora, twój biedny kawaler przeżywa teraz ciężkie chwile. - Zniżyła głos. - Perinat... - Popatrzyła na ciotkę znacząco i dotknęła czoła. - Od czasu, kiedy stracił okręt, ma obsesję na ten temat. - Ze smutkiem pokiwała głową.

Don Diego miał ochotę coś powiedzieć, lecz uprzedziła go Dona Beatrice.

- Od dawna nie przeżyłam tylu emocji - oznajmiła. - Chcę iść spać. Myślę, że rano dowiemy się czegoś więcej na ten temat. Chodź, moja droga. Wrócisz z nami, Don Diego?

- Niebawem się zjawię, senora, ale nie czekaj na mnie.

Dona Beatrice podeszła do gospodyni wieczoru, by się z nią pożegnać. Dominica wykonała uprzejme dygnięcie.

Wiedziała, że teraz czeka ją prawdziwa bitwa, dużo trudniejsza od niedawnej potyczki. W drodze do domu Don Rodriguez wreszcie mógł się nagadać do woli. Dona Beatrice osunęła się na poduszki i mu nie przerywała. Pokrzykiwał więc, dziwił się, snuł rozmaite przypuszczenia, a Dominica od czasu do czasu wtrącała jakieś słówko.

Kiedy dojechali, Dona Beatrice udała się z bratanicą na piętro i weszła za nią do pokoju. Dominica w duchu przygotowywała się do bitwy.

Dona Beatrice usiadła w fotelu przy oknie.

- A więc to tak - powiedziała z cynicznym uśmieszkiem. - A to ci się trafił śmiały kochanek. Jaka ja byłam ślepa. Chyba się starzeję. - Pokiwała głową z ubolewaniem.

- Senora, ty też powtarzasz te bzdury! - Dominica udała niemiłe zaskoczenie.

- Nie myl dwóch różnych rzeczy, moje dziecko - odpowiedziała spokojnie Dona Beatrice. - Życzę mu wszystkiego najlepszego. Ależ Diego był dzisiaj w bojowym nastroju! Niejednego strach obleciał. Powinnaś krzyknąć: odwagi, El Beauvallet! Cóż, myślę, że trzeba cię będzie jak najszybciej wywieźć na wieś. - Uśmiechnęła się. - Swoją drogą, to bardzo piękny romans, moje dziecko. Szkoda, że nic z niego nie wyniknie.

Dominica przyłożyła dłonie do skroni.

- Aż mi się kręci w głowie od tego, co mówisz! - pożałowała się. - Ja miałabym kochać pirata? Senora, aż strach pomyśleć, co jeszcze możesz mi przypisać!

Dona Beatrice pokiwała głową.

- Świetnie grasz swoją rolę, moja droga, ale nie musisz już być taka ostrożna. Wcale nie chcę, żeby twój bohater zginął. Nic podobnego, mogę cię o tym zapewnić. Darzę szacunkiem odważnych ludzi. Zastanawiam się, jakim cudem wszedł w posiadanie dokumentów. Na pewno kryje się za tym ciekawa historia. Niestety, pewnie jej nie usłyszę. - Westchnęła. - Ale ty, moje dziecko... Tak, musisz jak najszybciej stąd wyjechać.

- Dlaczego? - Dominica zamrugła powiekami. - Czy grozi mi niebezpieczeństwo dlatego, że twój nieszczęsny syn oskarża mnie o to, że moim ukochanym jest jakiś pirat?

- To było nierozsądne z jego strony - przyznała ciotka. - Nie zastanowił się nad tym, co mówi. A to może wystarczyć, żeby jutro zapukali tu wysłannicy inkwizycji. I to jest właśnie powód, moja droga, dla którego powinnaś stąd wyjechać i szybko wyjść za mąż. Wtedy nikt nie będzie mógł oskarżyć cię o herezję. Bez wątpienia, o ile jego papiery są w porządku, a myślę, że już o to zadbał, El Beauvallet zostanie wypuszczony na wolność. I pomyśleć, że człowiek, który ryzykował życie, żeby wjechać do Hiszpanii, mógł cię porwać tuż sprzed mojego nosa. Cóż, moje dziecko, chylę przed nim czoło, jeśli to mu się uda, ale nie zamierzam ułatwiać mu zadania.

- Skoro jego papiery są w porządku - zauważyła Dominica - i okaże się, że jest człowiekiem, za którego się podaje, to czego mamy się obawiać?

- Widzę, że nie brak ci rozsądku. Teraz dostrzegam to, czego, przyznaję, nie widziałam wcześniej. - Wygładziła ciężkie jedwabne spódnice. Wciąż uśmiechała się i doskonale panowała nad sobą. - Taki

przystojny mężczyzna... aż dziwne, że został piratem. O nic cię nie winię, moja droga. Dzielnie sobie radziłaś na pokładzie tego okrętu, nieprawdaż? To bardzo ciekawe. Pewnie trochę pocierpisz, ale to minie, a będziesz miała świadomość, że przeżyłaś romans, jaki rzadko zdarza się kobietom na tym smutnym świecie. Koniecznie musimy wyjechać z Madrytu.

- Jak sobie życzysz, senora, tyle że nie wiem, skąd ten pośpiech.

Dona Beatrice uniosła wachlarz.

- Podam ci jeden powód, który zapewne uznasz za wystarczający, moje dziecko. Jeśli tu zostaniemy, możesz być przesłuchana. A tego sobie nie życzę.

- Bardzo chętnie poddam się przesłuchaniu, ciociu. Ale mogę powiedzieć tylko to, co już powiedziałam.

- Król Filip i inkwizycja mają niezbyt przyjemne metody pozyskiwania informacji. Dość już mamy kłopotów i bez podejrzeń o to, że jesteś heretyczką. - Wstała i wolnym krokiem ruszyła do drzwi. - Spokojnie wydamy cię za mąż i wymyślimy jakąś bajeczkę na twój temat. Moje dziecko, oddasz swojemu dzielnemu kochankowi najlepszą przysługę, jeśli podsuniesz jakieś kłamstwo tym, którzy podejrzewają ciebie i jego.

Atak został ponowiony następnego dnia przez Don Diega, który z trudem powściągał gniew.

Nalegał na małżeństwo, dawał do zrozumienia, że jeśli Dominica zgodzi się natychmiast go poślubić, ojciec może wstawić się za El Beauvalletem na dworze.

Była to żałosna taktyka; w odpowiedzi Dominica tylko wydeła wargi. Dobrze wiedziała, że jeśli prawdziwa tożsamość Beauvalleta zostanie ustalona, nikt i nic go nie obroni. Upomni się o niego inkwizycja. Don Diego nie musiał jej mówić, że ukochany spłonie na stosie. Wiedziała to, zdawała sobie sprawę z tych wszystkich potworności, a jednak niełatwo było ją przestraszyć. Rozpacz dodała jej odwagi i bystrości. Nie wahała się, nie bladła z wrażenia, wciąż mimo przeciwności losu, potrafiła się śmiać.

- To bardzo miłe z twojej strony, kuzynie! - powiedziała drwiąco.

- No cóż, gdyby ten nieszczęsny dżentelmen naprawdę był Beauvalletem i moim ukochanym, bez wątpienia skorzystałabym z twojej oferty. - Ileż w tym było jadu! Patrzyła, jak Don Diego czerwieni się i przygryza wargę. Dygnęła. - Nie interesuję się

kawalerem de Guise'em, kuzynie, i wątpię, żeby przyszedł mi z pomocą.

Chwycił ją za rękę i potrząsnął.

- Myślisz, że mnie nabierzesz? Że nie wiem, kim jest ten człowiek? Zobaczysz go na stosie!

Uśmiechnęła się pogardliwie.

- Tak? Sądzę, że wkrótce okaże się, iż to ty, kuzynie, wystawiłeś się na pośmiewisko. Puść mnie. Niczego nie osiągniesz w ten sposób.

Zostawił ją i udał się do matki. Był zdenerwowany, obgryzał paznokcie; chciał, by Dominica natychmiast została wysłana na wieś.

Dona Beatrice popatrzyła na niego spokojnie. Wydawała się lekko rozbawiona jego rozgorączkowaniem i natychmiast wskazała przyczynę.

- Można by pomyśleć, mój drogi Diego, że boisz się tego Anglika.

- Nie boję się nikogo, senora, ale ten diabeł... - Przeżegnał się. - To są jakieś czary! Nie rozmawiałaś z Perinatem. Powiedział mi, że ten Anglik jest w zмовie z diabłem! Czy w innym razie przyjechałby do Hiszpanii albo zatopił tyle naszych okrętów? Wiemy, że szatan ucieka się do tajemnych sztuczek, a ten człowiek jest jego wysłannikiem.

- Czary? - powtórzyła Dona Beatrice, wzruszając ramionami. - Zastanawiam się, czy pomogą mu. wydostać się z więzienia.

- Żartujesz sobie, senora. Nie dostrzegasz powagi sytuacji. Dopóki ten człowiek żyje, a kuzynka jest panną, nie zaznamy spokoju! Poza tym w każdej chwili mogą go uwolnić. Pomyślałaś o tym? Perinat nie cieszy się zaufaniem; jego słowo może nie wystarczyć, jeśli ten zły duch ma odpowiednie dokumenty. Może znów będzie między nami, a ty siedzisz sobie i się śmiejesz!

- Nigdy jeszcze tak mi się nie chciało śmiać - odpowiedziała. - Ależ ty się zadreczasz, mój synu! A jak wspaniale się ożywiłeś! Mam dług wdzięczności wobec tego pirata. Przecież byłeś o krok od rzucenia mu rękawicy.

- I wciąż mam na to ochotę! - rzekł ostro. - Nie obawiaj się, senora, gdybyśmy uzbrojeni stanęli naprzeciwko siebie, dobrze bym wiedział, co robić. Boję się tylko jego diabelskich sztuczek. Niewiele można poradzić na czary. To potworny grzech! Śmiertelne niebezpieczeństwo! - Znów się przeżegnał.

- Myślisz, że uniesie ci Dominicę w chmurze dymu? - zapytała. - Jesteś śmieszny, Don Diego.

- Być może, być może. Łatwo ci tu siedzieć i wszystko traktować z pogardą, senora, ale nie miałaś do czynienia z tym człowiekiem.

- Bardzo miło sobie pogawędziliśmy. To śmiałek, zuchwalec, a ja zawsze miałam słabość do takich mężczyzn. Poza tym - kontynuowała, nie przestając rytmicznie się wachlować - podoba mi się jego wesołe usposobienie. To jednak bardzo ciekawy człowiek. Będzie mi szczerze żal, jeśli usłyszę, że nie wyjdzie na wolność.

- Będzie ci żal! - wybuchnął Don Diego. - Och, senora, a może byś tak zaprowadziła do niego kuzynkę i powiedziała: „Niech Bóg cię błogosławi, piracie, weź moją bratanicę?”

- Głupiec z ciebie, skoro tak mówisz - odpowiedziała, nie tracąc opanowania. - Jestem jego wrogiem tak samo jak ty, ale mam ten dar, mój synu, że potrafię żywić szacunek dla nieprzyjaciół. Możesz sobie wymyślać jakie tylko chcesz banialuki na temat czarów, w ogóle mnie to nie interesuje. Jestem pewna, że ten człowiek wyśmiałby cię, gdyby mógł to usłyszeć.

- O, właśnie, senora! - uczepił się jej słów. - Może mi powiesz, że to nie szatan prowokuje go do tego śmiechu? Że normalny człowiek śmieje się jak ten czart w obliczu śmierci albo kiedy widzi wokół siebie poległych? Perinat mógłby ci niejedno opowiedzieć.

- Jestem pewna, że mógłby - zgodziła się Dona Beatrice. - Mam jednak nadzieję, że nie będę musiała go słuchać. Jestem pewna, że to, co ty i tobie podobni nazywają czarami, to po prostu odwaga. Przypisujecie Anglikowi tajemne moce? Zatopi galeon, powiecie: czary! Przyjedzie do Hiszpanii dla romansu, zawołacie: czary! Splądruje miasto: czary, czary, czary! Powiem ci, co o tym myślę, a nie jestem taka głupia. On jest Anglikiem i jak każdy Anglik jest trochę szalony; jest zakochany, dlatego jest nieostrożny. Jeśli się śmieje, to dlatego, że jest człowiekiem, który będzie się śmiać, choćby miał za to zapłacić życiem. Oto i cała jego magia. - Ziewnęła. - Wydaje mi się, że będzie się śmiał, idąc na stos, a obawiam się, że to go czeka. Męczysz mnie, Don Diego. Zaczynam tracić cierpliwość, widząc, że urodziłam takiego głupca.

- Niech ci będzie, senora! - powiedział ze złością. - Mów sobie, co chcesz! Ale czy zabierzesz moją kuzynkę na wieś?

- Oczywiście - odpowiedziała.

- Natychmiast, senora, jak najszybciej! Na chwilę uniosła powieki.

- Wyjadę z Madrytu do Vasconosy we wtorek, tak jak to ustaliliśmy, mój synu.

- To nierozsądne! - zawołał i nerwowo okrążył pokój.

Dona Beatrice wygodnie usadowiła się na leżance.

- Tak uważasz? - zapytała łagodnie. - Coś mi się wydaje, że patrzę na wszystko przytomniej. Cały Madryt wie, że wyjeżdżam do Vasconosy we wtorek. Co ludzie powiedzą, jeśli wyruszę zbyt nagle? Istnieje tylko jeden powód, dla którego mogę przyspieszyć wyjazd... pojawienie się Tobara. Błagam, daj już temu spokój. Dlaczego nie pomyślisz o tym, żeby mnie oszczędzić i nie pójdziesz dręczyć ojca? - Zamknęła oczy, jakby miała ochotę się zdrzemnąć.

Opanowawszy się, Don Diego zastanowił się nad słowami matki i przyznał niechętnie:

- Nie pomyślałem o tym.

- Oczywiście - rzekła, nie zadając sobie trudu, by otworzyć oczy.

- Obawiam się, że myślenie nie jest twoją najmocniejszą stroną. Chciałabym, żebyś zostawił mnie samą, niepotrzebnie mnie niepokoisz w czasie sjesty.

- Obyś nie musiała niepokoić się z poważniejszych powodów niż moja obecność, senora! - zawołał. - Uśmiechasz się tylko szyderczo i uważasz, że jesteś najmądrzejsza na świecie. Zamierzam ostrzec ojca, że jeśli ten czort ucieknie z więzienia, będzie musiał posłać za nim ludzi aż do Vasconosy!

- Dobrze - zgodziła się Dona Beatrice. - Idź go ostrzec, idź jak najprędzej.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Następnego ranka po niezwykłym aresztowaniu sekretarz ośmielił się przeszkodzić królowi Filipowi w modlitwie, przynosząc zdumiewające wiadomości. Zapominając o tym, w jakim miejscu się znajduje, jednym tchem przekazał informację o tym, że El Beauvallet przebywa w areszcie. Król Filip zachował się tak, jakby tego nie słyszał, i ani na chwilę nie przerwał modlitwy.

Sekretarz oblał się szkarłatnym rumieńcem i cofnął się o kilka kroków. Król spokojnie dokończył modlitwę i majestatycznie przeszedł do gabinetu.

Usiadł tam za biurkiem, oparł nękane podagrą stopy na wyściełanym aksamitem podnóżku i zaczął rozmyślać nad jakimś dokumentem. Po dłuższym czasie starannie napisał coś na marginesie, odłożył pióro i spojrzał na sekretarza.

- Mówiłeś coś - odezwał się, składając przed sobą ręce.

Vasquez, który wciąż jeszcze nie zdołał ochłonąć, wziął głęboki oddech, po czym śmiało przekazał złe wiadomości.

- Wasza Wysokość, El Beauvallet został schwytany wczoraj wieczorem w domu Novelich!

Filip zastanawiał się przez chwilę.

- To niemożliwe - rzekł w końcu. - Wyjaśnij mi to dokładnie.

Z ust sekretarza popłynęła opowieść. Choć Vasquez starannie dobierał słowa, wymowa faktów była uderzająca. Admirał Perinat twierdził, że kawaler de Guise to nikt inny, jak tylko sam El Beauvallet, okrutny pirat. Kawaler został aresztowany, a w przedpokoju zgromadzili się ludzie, proszący o audiencję u Jego Wysokości.

Filip zamrugał powiekami, lecz poza tym był nieporuszony.

- Kawaler de Guise - powiedział wolno - miał wszystkie niezbędne dokumenty - obwieścił dobitnie i spokojnie popatrzył na Vasqueza. - Przyznał się? - zapytał.

- Nie, Wasza Wysokość. Wydaje mi się... Wiem, że poprosił o wstawiennictwo francuskiego ambasadora. Jednak Don Maxia de Perinat...

Filip popatrzył na swoje splecione dłonie.

- Perinat to nieudacznik - rzekł. - Już raz srodze nas zawiódł i teraz znów może przysporzyć kłopotu. Cała ta opowieść jest pozbawiona sensu. Chciałbym zobaczyć się z de Lauviniere'em.

Francuski ambasador wszedł po chwili spokojnym krokiem i skłonił się królowi. Sprawiał wrażenie lekko strapionego, jednak nie śpieszył się z przystąpieniem do sprawy. Przekazał wyrazy uszanowania i zaczął rozmowę na neutralny temat. W końcu Filip powiedział:

- Przybył tu pan w pilnej sprawie, senor. Proszę mnie z nią zapoznać.

Ambasador ponownie się skłonił.

- Przyszedłem w związku z aresztowaniem kawalera de Guise'a - rzekł i urwał, jakby nie wiedział, co dalej powiedzieć.

Filip wykonał nieznaczny ruch ręką.

- Proszę się nie denerwować, senor. Domyślam się, że jest pan w kłopotcie. Może mi pan zaufać.

Po tych słowach zachęty de Lauviniere, dobrze znający króla, pochylił głowę i uśmiechnął się z lekką ironią, która na szczęście pozostała niezauważona.

- Wasza Wysokość, kawaler, jako poddany francuskiej Korony, poprosił mnie o ochronę - powiedział bez ogródek. - Istotnie znalazłem się w nie lada kłopotcie. Wiem, że został aresztowany w związku z podejrzeniami o to, że jest sir Nicholasem Beauvalletem, angielskim korsarzem. Przyznaję, że z początku po prostu się roześmiałem, gdyż uznałem ten zarzut za absurdalny.

Filip obserwował ambasadora znad złączonych palców.

- Proszę kontynuować, senor.

- Oczywiście kawaler wszystkiemu zaprzecza. Ma odpowiednie dokumenty. Nie znajduję żadnego potwierdzenia zarzutów poza słowami Don Maxii de Perinata. Spotkałem się z Don Maxią, Wasza Wysokość, i muszę pokornie wyznać, że chociaż sprawia wrażenie przekonanego o swej racji, nie mogę uznać jego oskarżenia za wystarczające do podjęcia dalszego postępowania przeciwko kawalerowi de Guise'owi. Co więcej, pewna dama, którą Beauvallet porwał kilka miesięcy temu, zdecydowanie zaprzecza, że jest to ten człowiek.

- Spodziewałem się, że to niemożliwe, senor, by El Beauvallet był w Hiszpanii - podsumował spokojnie Filip. - Zapewne przyszedł pan tutaj prosić o uwolnienie kawalera.

Ambasador zawahał się.

- Wasza Wysokość - rzekł - to bardzo dziwna, trudna sprawa. Nie chciałbym działać pochopnie.

- Może być pan spokojny, senor, że nie uczynimy żadnego kroku, zanim wszystkiego dokładnie nie rozważymy - uspokoił go Filip. - Czy rozpoznał pan kawalera?

Ambasador znów się zawahał.

- Nie jestem w stanie tego zrobić. Nie znam zbyt dobrze członków rodu Gwizjuszów i nigdy nie spotkałem tego człowieka. Ponieważ coś jednak wiem na temat tej rodziny, od pierwszej chwili podejrzewałem, że ten mężczyzna może nie być tym, za kogo się podaje. Wydaje mi się, że kawaler de Guise powinien być młodszy, nie widzę też, by był podobny do któregokolwiek ze znanych mi Gwizjuszów.

Filip zastanowił się nad jego słowami.

- To może się zdarzyć, senor - powiedział.

- Oczywiście, Wasza Wysokość. Zaraz po pierwszym spotkaniu napisałem do Francji, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Muszę poczekać na odpowiedź, zanim będę w stanie ustalić, czy ten mężczyzna to kawaler de Guise. Przyszedłem tu dzisiaj, żeby pokornie prosić Waszą Wysokość o wstrzymanie się z decyzją na parę tygodni, dopóki nie otrzymam odpowiedzi na list.

Filip wolno pokiwał głową.

- Nie zrobimy żadnego nieroztropnego kroku - powtórzył i dodał:
- Musimy to wszystko przemyśleć. Powiadomimy pana o naszej decyzji, senor. Może pan być pewien, że wcale nie mamy ochoty występować przeciwko poddanemu naszego kuzyna z Francji.

- Chciałbym podziękować Waszej Wysokości za łaskawość - rzekł de Lauviniere, pochylając się nad ręką króla. Wyprowadzony z komnaty, szybko minął przedpokój. Perinat próbował go zatrzymać, dopytując się o rezultat rozmowy, jednak de Lauviniere udzielił wymijającej odpowiedzi i wyszedł.

Król nie życzył sobie spotkania z Don Maxią de Perinatem.

- Nie musimy słuchać Don Maxii - oznajmił lodowatym tonem. - Później poprosimy go o złożenie zeznań przed alkaadem. Teraz udzielimy audiencji Don Cristobalowi de Porres.

Don Cristobal, dowódca Gwardii Kastylijskiej, komendant koszar, w których osadzono Beauvalleta, pokornie czekał w przedpokoju. Był to około czterdziestoletni poważny mężczyzna,

wysoki i czarnowłosa, o wąskich ustach, częściowo skrytych pod czarnym wąsem. Miał spiczastą bródkę. Szybko wszedł do komnaty, zatrzymał się tuż przy drzwiach i nisko się uklonił.

- Wasza Wysokość!

- Posłaliśmy po pana, senior, żeby zapytać o pańskiego więźnia. Nie rozumiem, dlaczego wezwano do niego członków gwardii.

- Wasza Wysokość, dom Novelich znajduje się tuż obok koszar - odpowiedział Porres. - Przybiegł tam jakiś mężczyzna, wołając, że El Beauvallet został schwytany, i mój porucznik, Cruza, zadziałał trochę zbyt impulsywnie. Postanowiłem zatrzymać kawalera w areszcie do czasu, aż Jego Wysokość wyrazi swą wolę.

Filip sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego, jednak dłuższą chwilę milczał, patrząc przed siebie w zamyśleniu. W końcu przeniósł wzrok na Porresa.

- Należy przeszukać jego bagaże - powiedział.

- Proszę trzymać kawalera pod nadzorem, Don Cristobalu, dopóki nie zdecydujemy co dalej. Jeśli podróżuje ze służącym - zrobił pauzę - dobrze będzie przesłuchać i tego człowieka.

- Wasza Wysokość...

Filip czekał.

- Wasza Wysokość, uznaliśmy za stosowne wcześniej rano posłać do gospody, w której zatrzymał się kawaler. Nie wiem, czy postąpiliśmy zgodnie z wolą Jego Wysokości, ale po rozważeniu sytuacji... mając na względzie wyjątkowy charakter sprawy... obawialiśmy się, że...

- Do rzeczy, senior.

- Krótko mówiąc, Wasza Wysokość, idąc za radą Don Maxii de Perinata, zarządziłem przeszukanie osobistego mienia kawalera de Guise'a i poleciłem zatrzymać sługę, uznając, że Wasza Wysokość nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Postąpił pan pochopnie - ocenił Filip. - Takich działań nie podejmuje się bez zasięgnięcia mądrej rady. Proszę kontynuować.

- Proszę Waszą Wysokość o wybaczenie, jeśli nie miałem racji. Kiedy moi ludzie dotarli do gospody, zastali tam przedmioty osobistego użytku kawalera porzucane po pokoju, a skrzynię i kasetę otwarte i puste. Zniknęły pieniądze, klejnoty, miecz Ferrary, najlepsze ubrania... jednym słowem, Wasza Wysokość, wszystko wskazywało na kradzież popełnioną przez sługę, który zbiegł.

- Który zbiegł - powtórzył król. - Proszę dalej, senor.

- Uznaliśmy to za bardzo podejrzanę, Wasza Wysokość, ale przesłuchano barmana, który przyznał się, że poprzedniej nocy rozmawiał z tym służącym, gdy ten szykował się do ucieczki. Barman zeznał, że sługa był bardzo wesoły, paplał coś o łucie szczęścia i mówił, że aresztowanie jego pana to dobra wiadomość i że zamierza skorzystać z okazji.

- To możliwe, bardzo możliwe - orzekł Filip - ale równie dobrze może to być podstęp, Don Cristobalu. Co powiedział kawaler?

Don Cristobal uśmiechnął się ze smutkiem.

- Wasza Wysokość, kawaler... bardzo gwałtownie dał upust złości i... Wasza Wysokość, żąda... bardzo zdecydowanie... by za wszelką cenę odnaleźć sługę. Chce, żebyśmy ścigali go do granicy, jako że przez niego kawaler został bez środków do życia. Szczególnie zdenerwowała go utrata miecza. Miotał się i koniecznie chciał się dowiedzieć, czy służący uciekł z tą bronią, a kiedy powiedziano mu, że jej nie odnaleziono, wpadł w szal. Poza tym zapytał, czy zniknęły również jego dokumenty, i wydawało mi się, a obserwowałem go bardzo uważnie, iż poczuł wielką ulgę, dowiedziawszy się, że są bezpieczne.

- Sługa zostawił dokumenty? - zapytał Filip.

- Zostały znalezione w wewnętrznej kieszeni kaftana. Sądzę, że złodziej przeoczył je w pośpiechu. Na podłodze leżał portfel z jakimiś dziwnymi rachunkami, ale nie było w nim nic więcej. Bielizna kawalera była w wielkim nieładzie, tak jakby sługa czegoś szukał. Znaleźliśmy też wiele innych części garderoby.

- Proszę je zanieść kawalerowi - powiedział Filip. - To delikatna sprawa, senor, wymagająca starannej oceny.

Z tyłu cicho otworzyły się drzwi. Mężczyzna, który wszedł do komnaty z przyległego pokoju, miał na sobie sutannę. Filip rozchylił wąskie wargi w uśmiechu, ukazując żółte, spiczaste zęby.

- Przychodzisz w samą porę, ojciec.

Ksiądz bezszelestnie zmierzał w stronę okna, jednak usłyszawszy słowa Filipa, podszedł do jego fotela. Ojciec Allen, Anglik, jezuita, zawsze starał się być blisko króla.

- Wasza Wysokość mnie potrzebuje?

- Być może będziesz mi potrzebny, ojciec - odparł ostrożnie Filip.
- W areszcie przebywa pewien mężczyzna, którego podejrzewa się o to, że jest piratem, El Beauvalletem.

- Słyszałem o tym, Wasza Wysokość, od ojca Luisa.

- Znasz tego Beauvalleta, ojciec? - zapytał bez ogródek Filip.

- Przykro mi, Wasza Wysokość, ale nie. Znałem z widzenia jego ojca, ale o synu tylko słyszałem.

- Wielka szkoda. - Uśmiech na twarzy Filipa zgasł. Przez chwilę wpatrywał się w przeciwległą ścianę. - Nie mam pojęcia, co El Beauvallet mógłby robić w Hiszpanii - rzekł z zastanowieniem. Odpowiedź nadeszła ze strony Porresa.

- To bardzo dziwna historia, Wasza Wysokość, wprost niewiarygodna. Podobno... tak twierdzi kuzyn tej damy, El Beauvallet przyjechał do Hiszpanii, żeby uprowadzić Donę Dominicę de Rada y Sylwę.

Filip popatrzył na niego z niepokojem. Takie szaleństwa nie mieściły się w głowie jego katolickiej mości.

Ojciec Allen przemówił cicho zza królewskiego fotela.

- Beauvallet nie musiał w tym celu przyjeżdżać do Hiszpanii.

Filip pokiwał głową.

- To prawda. To żałosna historyjka - ocenił. - Poza tym taki człowiek jak El Beauvallet nie mógłby wjechać do Hiszpanii.

- Gdyby tylko o to chodziło, Wasza Wysokość - ojciec Allen wzruszył ramionami - znalazłby sposób na pokonanie trudności, oczywiście przy założeniu, że nie brak mu odwagi.

Od tylnych drzwi odezwał się nowy głos.

- Człowiek będący w zмовie z siłami ciemności mógł to zrobić.

- Do komnaty cicho wszedł zakonnik ze zgromadzenia ojców dominikanów. Jego twarz była częściowo osłonięta kapturem, jednak doskonale było widać błyszczące oczy. Podszedł. - Wiele myślałem na ten temat, Wasza Wysokość. - Ciężko westchnął. - Kto może przewidzieć, do czego jest zdolny taki człowiek?

Przez twarz ojca Allena przemknął pogardliwy uśmiezek, jednak jezuita się nie odezwał.

- Wystarczy tylko pomyśleć, Wasza Wysokość, z jak odrażającą misją mógł tu przybyć - tłumaczył ojciec Luis ściszym głosem.

Filip popatrzył na niego, zaskoczony.

- Jaka to może być misja? - zapytał.

- Czy możemy mieć pewność, że El Beauvallet nie zamierza pozbawić życia Waszej Wysokości? - Ojciec Luis złożył ręce i utkwiał wzrok w twarzy Filipa.

Król przesunął jakiś dokument na biurku. Zastanowiwszy się nad słowami dominikanina, znalazł słaby punkt w jego rozumowaniu.

- Gdyby miał taki zamiar, ojciec Luisie, próbowałby mnie zabić, kiedy przyjmowałem go w tym pokoju w twojej obecności - rzekł.

- Wasza Wysokość, kto wie, jakimi sposobami może posłużyć się szatan?

Don Cristobal postanowił wtrącić się do rozmowy.

- Nie sędzę, żeby ten człowiek miał taki plan, Wasza Wysokość. Z tego, co widzę, i co o nim wiem, raczej bym uwierzył w wersję Don Diega.

Król Filip nie miał jednak najmniejszego zamiaru w nią wierzyć. Jego praktyczny umysł odrzucał możliwość podobnie niekonwencjonalnych, nieracjonalnych zachowań.

- Możemy to sprawdzić. - Zastanowił się. - Powinna wystarczyć zwykła msza.

Don Cristobal zakaszłał. Król spojrział na niego apatycznie.

- Chciał pan coś powiedzieć, senior?

- Wasza Wysokość, kawaler sam zasugerował taką możliwość.

Filip popatrzył na jezuitę.

- To bardzo sprytne z jego strony - rzekł bez zastanowienia ojciec Allen. - Wasza Wysokość powinien wiedzieć, że jeszcze nie tak dawno rodzina Beauvalletów wyznawała prawdziwą wiarę. Jestem niemal pewny, że ten człowiek bez trudu przejdzie tę próbę.

- Inkwizycja stosuje próby, które są znacznie trudniejsze do przejścia. Pomyślmy o duszy tego człowieka, Wasza Wysokość. Niech zostanie oddany nieskończonemu miłosierdziu Kościoła - nalegał ojciec Luis.

Filip położył rękę na blacie biurka.

- Heretyk każdej nacji, ojciec Luisie, należy do Kościoła. Nie jestem tak niegodnym synem Chrystusa, żeby wykluczać heretyka z Kościoła, niezależnie od tego, czy tym heretykiem jest sławny korsarz, czy spokojny mieszczanin - rzekł surowo. - Jako wróg Hiszpanii, El Beauvallet powinien być sądzony przez sąd świecki, jednak muszę też myśleć o jego duszy, którą trzeba ocalić za wszelką cenę. Kościół pragnie go przyjąć.

- Wasza Wysokość jest wiernym synem Kościoła - stwierdził ojciec Allen. - Wszyscy o rym wiemy. Pokornie sugeruję, Wasza Wysokość, żeby zaraz potem oskarżyć go o herezję.

Zapanowało krótkie milczenie. Don Cristobal cierpliwie stał przy zasłonie przy drzwiach. Król przymknął powieki, pogrążony w rozmyślaniach, podobny do sytego sępa. Nawet ojciec Allen nie byłby w stanie się domyślić, co dzieje się w udręczonej głowie Filipa.

- Dotychczas nie padły podejrzenia o herezję - oświadczył w końcu monarcha. - Musimy też pamiętać, ojcze, że mamy do czynienia z poddanym francuskiego władcy.

Ojciec Allen skłonił głowę. Wszystko było już jasne. Filip nie chciał narażać się francuskiemu królowi w tak błahej sprawie, nie życzył też sobie, by wyszły na jaw jego konszachty z Gwizjuszami. Nie chciał ryzykować, że kawaler de Guise ujawni prawdę o tych tajemnych układach. Ojciec Allen dobrze zdawał sobie z tego sprawę.

Nie tak przemyślny jak jezuita ojciec Luis, owładnięty obsesją, nie odczytywał równie dobrze zamysłów króla, nie rozumiałby też jego obaw. Jego wiara była prosta i płonęła jak ogień; nigdy nie wzięłyby pod uwagę ziemskich uwarunkowań.

- Inkwizycja się o niego dopomina - powiedział. - Być może jest jeszcze czas, żeby uratować jego duszę z mrocznych ostępów, w których się znalazła.

Król nie słuchał go zbyt uważnie.

- Pośpiech nic nam nie da - oznajmił. - Ojcze Luisie, zakładasz, że ten mężczyzna to El Beauvallet. Tymczasem nie możemy być tego pewni. Wysłuchałem tu wielu nieprawdopodobnych historii, które wcale mnie nie przekonują.

- Inkwizycja, Wasza Wysokość, stoi ponad wszystkim i jest nieskończenie sprawiedliwa - przekonywał żarliwie ojciec Luis. - Nie wyciąga pochopnych wniosków, a człowiek pełen bożej bojaźni nie ma się czego obawiać. Jeśli ten mężczyzna istotnie jest kawalerem de Guise'em, nie powinien sprzeciwiać się powołaniu go przed trybunał, który ma zbadać jego wiarę.

Filip wysłuchał go w milczeniu.

- To prawda - przyznał po chwili namysłu. - Syn Kościoła nie powinien bać się takiego sprawdzianu wiary. - Zasepił się. Dobrze wiedział, że w czasie przesłuchań może wyjść na jaw wiele rzeczy, które niekoniecznie powinny ujrzeć światło dzienne. Jego katolicka

mość był świadom, że oto ma do czynienia z kolejnym przypadkiem, potwierdzającym jego zasadę, że niczego nie uda się osiągnąć bez dojrzałej refleksji. Odegnął wątpliwości i powtórzył wcześniejsze słowa. - Niczego nie osiągniemy, zbytnio się śpiesząc. Jeśli okaże się, że ten mężczyzna nie jest kawalerem de Guise'em, będę wiedział, jak mam postąpić. Do czasu, kiedy uzyskam dowody od de Lauviniere'a, kawaler ma być trzymany pod strażą. - Zwrócił się do Porresa. - Pan będzie za to odpowiedzialny, senior. Proszę traktować kawalera z należnym szacunkiem, ale mieć go pod kontrolą. - Znów sposepniał. - Musi być traktowany z szacunkiem - powtórzył. - Powinien zrozumieć nasze trudne położenie. Nie możemy pozwolić sobie na złe traktowanie.

Don Cristobal był zakłopotany.

- Bardzo przepraszam Waszą Wysokość, czy to oznacza, że ma pozostać więźniem, czy też zostać uwolniony?

Filipowi wyraźnie nie spodobała się ta zuchwałość. Zmarszczył czoło. Ojciec Allen pośpieszył z dobrą radą.

- Wasza Wysokość, jeśli ten człowiek to Beauvallet, to żadne środki ostrożności nie mogą być uznane za nadmierne.

- To prawda - rzekł król. - Musimy mieć na względzie bezpieczeństwo naszego królestwa. Senior, czy ma pan jakieś odpowiednie pomieszczenie? Takie, z którego nie można uciec? Nie mam na myśli cel więziennych.

- Tak, Wasza Wysokość, właśnie w tej chwili człowiek ten przebywa w takim pomieszczeniu, czekając na to, aż Wasza Wysokość wyrazi swą wolę.

- Nie ma potrzeby upokarzać kogoś, kto może okazać się niewinny - uznał Filip. - Wystarczy dobry zamek i straż. Proszę tego dopilnować, senior. Czynię pana odpowiedzialnym za bezpieczeństwo i odpowiednie traktowanie kawalera. Proszę go obserwować i donosić nam o każdym zachowaniu, które mogłoby zwiastować chęć ucieczki.

Don Cristobal skłonił się.

- Wypełnię polecenia Waszej Wysokości co do joty - zapewnił i wyszedł z komnaty.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Z alkazaru nie nadeszło żadne wezwanie na przesłuchanie dla Dominiki. Don Rodriguez, niespokojnie czekający na rozwój wypadków, przyniósł wiadomość, że kawaler pozostanie w areszcie do czasu nadejścia informacji z Francji. Dowiedział się też, że król nie wspomniał ani słowem o Dominice oraz że Don Miguel de Tobar wyruszył do Madrytu wcześniej, niż się spodziewano, i ma pojawić się w mieście już za parę dni.

Dona Beatrice została zmuszona do działania wbrew swojej woli. Wzdychając nad podłością tego świata, twierdziła, że przygotowania do podróży bardzo ją męczą, ale skoro na Dominice nie ciąży żadne podejrzenia, nie widzi powodu, by bratanica nie miała wyjechać z Madrytu już w sobotę.

Dominica słuchała tych wieści z rosnącym przerażeniem. Trudno byłoby powiedzieć, jakie nadzieje wiązała z pobytem w Madrycie, jednak myśl o podróży na północ, do miejscowości odległej o tak wiele mil od stolicy, wpędzała ją w rozpacz. Pozostanie w Madrycie i tak zdałoby się na nic Beauvalletowi. Jak jednak mogła wyjechać, wiedząc, że ukochany jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie?

Nie odezwała się ani słowem, pochyliła głowę i starała się przybrać obojętny wyraz twarzy. Stan jej ducha był jednak zupełnie odmienny. Nieustannie myślała o tym, że podczas gdy ona będzie podróżować na północ, coś złego może przydarzyć się Beauvalletowi. Zdażyła się nasłuchać o ludziach, którzy wpadli w szpony inkwizycji i wszelki słuch o nich zaginął. Przepęlniona strachem, modliła się w duchu o wybawienie dla Beauvalleta. Jej własny los przestał ją obchodzić. Obojętnie przyjmowała wyraz satysfakcji na twarzy kuzyna, co, jak mogła się domyślić, nie wróżyło nic dobrego, jednak przestało mieć to dla niej znaczenie. Jeśli Beauvallet umrze, Carvalhowie mogą z nią robić, co im się tylko spodoba.

Don Diego wyjechał z Madrytu dzień przed matką i kuzynką. Zanim to nastąpiło, Dominica obojętnie wysłuchała wiadomości o jego planach, jednak matka zapytała:

- Nie będziesz nam towarzyszył?

Odpowiedział, że wyjedzie wcześniej, żeby przygotować wszystko na ich przybycie do Vasconosy. Twierdził, że strażnicy Carvalhów potrafią zapewnić bezpieczeństwo kobietom w podróży.

Dona Beatrice przyjrzała mu się spod zmrużonych powiek, jakby coś podejrzewając, jednak powiedziała tylko:

- Nie jesteś zbyt szarmancki, mój synu.

Jego wyjazd był pilnie obserwowany przez człowieka, o którego istnieniu Diego nie miał pojęcia. Joshua, pragnący za wszelką cenę porozumieć się z Dominicą, krążył w okolicach domu Carvalhów. Zobaczył więc Don Diega, wyruszającego w piątek w podróż w towarzystwie kamerdynera i dwóch lokajów, z jucznymi końmi. Natychmiast wywęszył podstęp. Oparł się o rozprażoną słońcem ścianę i zaczął czyścić zęby, jednak pilnie nadstawiał ucha, a jego oczy taksowały wszystko spod szerokiego ronda kapelusza. Ze słów lokaja, który przytracał juki, dowiedział się, jaki jest cel podróży. Ale nawet gdyby tego nie usłyszał, i tak nie miał żadnych wątpliwości.

Patrzył, jak Don Diego wskakuje na konia i chwytą wodze; słyszał, jak napomina lokajów, by jechali szybko, i odprowadził go wzrokiem. Natychmiast wyciągnął wnioski.

- Tak, jedź jak najszybciej, łajdaku! - powiedział pod adresem Don Diega. - Nie zwlekaj, bo będziesz miał na karku Szalonego Nicka, ani przez chwilę nie powinieneś w to wątpić. Ty pajacu, ty ośle! Amatorze cudzych słodyczy, wstrętny łotrze! Człowiekowi lżej się robi na sercu, kiedy obetnie takiemu nos. Będę musiał to w swoim czasie zaproponować mojemu panu. - Westchnął. - Panie, myślę, że powinieneś jak najszybciej uciec z aresztu, bo coś mi tu brzydko pachnie. Gdybym tak mógł porozmawiać z twoją damą i dowiedzieć się, co planuje jej rodzina... Skaranie boskie z tymi kobietami!

Godzina cierpliwego wałęsania się pod domem opłaciła się. Dominica pokazała się w końcu w towarzystwie służącej, udając się, jak przypuszczał Joshua, do pobliskiego kościoła na mszę. Przechodząc obok Joshui, popatrzyła na niego, jednak go nie rozpoznała. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż w eleganckim, gładko ogolonym mężczyźnie, którego zobaczyła, niewiele zostało z pyszałkowatego samochwały. Miał na sobie żółtawy płaszcz, jaki nosili ubodzy urzędnicy; zniknęły potężne wąsiska i broda, którą sir Nicholas nazywał wiatrowskazem, a także dumny krok. Potulny człowieczek, trzymając się na bezpieczny dystans, podreptał za damą do kościoła.

Dominica usiadła w pustej ławce z tyłu. Joshua zaczął, aż stara Carmelita pochyli się nad paciorkami różańca, bez reszty skupiona na

modlitwie, po czym usiadł w ławce i zaczął pomału przysuwać się w stronę damy.

Patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczami. Wyczuwszy jego obecność, odwróciła głowę. Sprawiała wrażenie niezadowolonej z towarzystwa; domyślił się tego z gniewnych błysków w jej oczach. Popatrzył na nią, przyłożył palec do warg i pokazał, by się do niego przysunęła.

Zeszywniała, a jej wzrok powinien go zbić z tropu. Nie wiedział, co począć. Nie chciał się do niej jeszcze bardziej zbliżyć w obawie, że może to wyrwać służącą ze stanu modlitewnego skupienia albo że Dominica zmieni miejsce. Popatrzył na nią błagalnie, lecz w odpowiedzi jedynie się odwróciła. Szybko się rozejrzał, a zauważywszy, że nieliczni wierni są pogrążeni w modlitwie, pochylił głowę i wyszeptał:

- Milady, nie przejmuj się!

Natychmiast na nią spojrział. Musiała go usłyszeć, gdyż przyglądała mu się uważnie. Znów dał jej znak, by się przysunęła. Upuściła książeczkę do nabożeństwa, pochyliła się, by ją podnieść, i przemieściła się tak, że znalazła się blisko Joshui.

Udając, że odmawia różaniec, powiedział:

- Milady, pani mnie zna. Jestem Joshua Dimmock, tylko zgoliłem brodę. Po co mi ona. Najważniejsza jest ostrożność.

Popatrzyła na niego, napotykając bystre spojrzenie szarych oczu. Nareszcie go rozpoznała. Pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

- Co wiesz?

- Aresztowany. Odwagi, seniorita! Jestem tutaj, żeby się dowiedzieć, co rodzina planuje względem pani osoby. Wyjeżdża pani we wtorek?

- W sobotę - wyszeptała. - Jutro. To on cię tu przysłał? Udało ci się z nim porozmawiać?

- Nie, ale bądź dobrej myśli, milady, i nie trać ducha. Niedługo będzie na wolności.

Westchnęła przeciągle.

- Zginie przeze mnie.

Joshua także się tego bał.

Było widać, powiedział później, że mimo wszystko nie do końca zdawała sobie sprawę, że przyjechałem tam z jej powodu. Mniejsza o to.

Pomimo swego przekonania, nie mógł pozwolić na to, by Dominica myślała, że ponosi winę za tę eskapadę. Z pewnością nie życzyłby sobie tego sir Nicholas. Szept zabrzmiał jednak surowo:

- Musi pani wiedzieć, seniorita, że mój pan kieruje się wyłącznie własnymi chęciami. Proszę się o nic nie obwiniać. Wiem już o pani planach, pozostaje mi jeszcze rozmowa z sir Nicholasem.

Popatrzyła na niego.

- To takie proste? Możesz to zrobić?

- To wcale nie będzie proste - odparł po ważnie Joshua - ale z pewnością to uczynię. Proszę zaufać mnie i mojemu panu i być dobre myśli. Nic więcej. To niebezpieczna misja. - Wycofał się wzdłuż ławki, a Dominica udała, że się modli.

Pocieszyła ją rozmowa z Joshua. Wydawał się pewny tego, co mówi. Nie wiedziała, że brzmiąc w głosie przekonanie wcale nie odzwierciedla jego prawdziwych odczuć. Wciąż dręczyły ją przeróżne wątpliwości, jednak wstąpiła w nią nadzieja. Skoro Joshua, który tak dobrze zna Beauvalleta, jest pełen optymizmu, ona również może spodziewać się szczęśliwego zakończenia.

Joshua nie był o tym tak przekonany, jak się mogło wydawać, jednak chociaż uważał się za człowieka bojaźliwego, okazał się niezwykle opanowany. Mieszkał teraz w nędznej karczmie w podłej części miasta. Gdyby mógł zobaczyć się ze swym panem, żałowałby tylko jednego - utraty wspaniałych wąsów.

- Niestety! - mówił do siebie ponuro. - Ja, który byłem, a w każdym razie uważałem się, za przystojnego mężczyznę, wyglądam teraz jak jakiś zabiedzony skryba. - Splunął do rynsztoka. - To tyle. Nie ma co opłakiwać utraconych wąsów, zostały bardzo przyzwoicie pogrzebane. Lepiej znoszę utratę brody, ale wąsy to co innego, to znacznie poważniejsza sprawa. Dodawały mi pewności siebie, nosiłem je z fasonem. Przekłete ogolone usta! Można tak gadać w nieskończoność. Nie będę już narzekać. - Przemawiając tak do siebie, włókł się w stronę karczmy, w której mieszkał. - Teraz muszę się zastanowić co dalej. Wyjdiesz z tej twierdzy, panie? Musimy chyba przyznać, że to niemożliwe. - Wypiął pierś i ruszył przed siebie dumnym krokiem. - Ha! Niemożliwe? Nie znamy tego słowa. Może znajdziemy jakiś sposób, żeby wywieść hiszpańskich pyszałków w pole! - Zwolnił kroku. - Przyznaję, jestem bardzo bojaźliwy, jeśli chodzi o takie sprawy. Możecie powiedzieć, iż przecież dał mi słowo,

że ucieknie, jeśli zostanie schwytany. No ale może trochę się przechwalał... odrobinę. - Nieznacznie pokręcił głową. - Panie, gdybym znał sposób... Myślę, że coś wymyślę. Muszę siedzieć cicho, tak jak mnie o to prosiłeś, i mieć oko na wszystko. Gdybym robił zbyt wiele, mogłoby to przeszkodzić w twoich ukrytych planach. Odwagi, Joshuo!

Zaczął się zastanawiać nad wyjazdem Dominiki. Wyczuwał w tym podstęp, jeżył się i wymachiwał pięścią na myśl o Don Diegu.

- Zapamiętaj sobie, jeszcze wygarbujemy ci skórę, patałachu! Sir Nicholasie, mam nadzieję, że pokaże pan swoim strażnikom, na co pana stać, bo cała ta sprawa bardzo mi się nie podoba. Zastanówmy się. Jak długo może potrwać jazda powozem do Vasconosy? Drogi są w fatalnym stanie. To prawda, lecz dawno już nie padał deszcz i nie będzie błota, w którym grzęzną powozy. Myślę, że będą zmieniać konie na każdym postoju. Liczymy, że przy szybkiej jeździe podróż potrwa jakieś dziesięć dni. A ile może zająć pędzącym na łeb, na szyję, tak jak my? Ech, to zupełnie inna kwestia.

Przyśpieszył kroku.

- Pozostaje jeszcze sprawa koni. Muszę zabrać się do roboty i dowiedzieć, gdzie można kupić konie. Fatalnie się składa, że musiałem zostawić tę wspaniałą klacz sir Nicholasa. A co będzie, jeśli się Nicholas pojawi się niespodziewanie, na co mam wielką nadzieję? Jakie będą jego pierwsze słowa? Konia, Joshuo! Tak, tak. A co my wtedy odpowiemy? Muszę jak najszybciej kupić konie, żeby czekały w gotowości. Co to znaczy mieć głowę na karku! Panie, gdybym wiedział, gdzie jesteś i jak cię tam traktują.

Joshua z pewnością poczułby wielką ulgę, gdyby wiedział, że sir Nicholas ma bardzo porządne lokum i jest traktowany z wielkim szacunkiem.

Don Cristobal odwiedzał go codziennie i starał się być niezwykle uprzejmy. Sir Nicholas usłyszał od niego, że posłano do Francji człowieka z zadaniem zebrania jak najwięcej informacji o kawalerze de Guisie. Sir Nicholas potraktował te wieści lekko i roześmiał się. Wszystko wskazywało na to, że sieć wokół niego gęstnieje.

Don Cristobal odczytał wybuch wesołości jako wyraz pogardy i w ogóle go to nie zastanowiło. Znajdując się w trudnym położeniu, dbał przede wszystkim o to, by w przypadku uniewinnienia kawaler nie miał podstaw do oskarżeń o złe traktowanie.

Prowadząc z Nicholasem długie rozmowy, zyskiwał coraz większą pewność, że Perinat popełnił fatalną pomyłkę. Don Cristobalowi nie mieściło się w głowie, by człowiek, któremu grozi wielkie niebezpieczeństwo, zachowywał się tak beztrosko, a nawet pozwalał sobie na żarty. Oczywiście brał pod uwagę, że, być może, ma przed sobą El Beauvalleta. Któregoś razu pozwolił sobie nawet wyrazić nadzieję, że wszystko ułoży się pomyślnie dla kawalera, i napomknął, że sprawą zainteresowała się inkwizycja. Obserwował przy tym uważnie swego rozmówcę.

Niczego tym nie osiągnął. Kawaler uniósł brwi w wyrazie szczerzego zdumienia i uśmiechnął się.

- Mój Boże! - udał przerażenie. - Ja też mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Było aż nadto oczywiste, że nie dopuszcza innej możliwości. Don Cristobal uznał, że więzień pomyślnie przeszedł kolejną próbę.

Wkrótce potem kawaler poprosił, aby pozwolono mu zażyć odrobinę ruchu. Don Cristobal uznał to za pragnienie całkiem naturalne i dopilnował, by prośba została spełniona. Beauvallet mógł więc odtąd codziennie przechadzać się po dziedzińcu przez godzinę w towarzystwie dwóch strażników.

Za prośbą kryło się jednak coś więcej niż sama chęć rozruszania kości. Sir Nicholas został doprowadzony do koszar nocą i nie miał sposobności rozejrzeć się po terenie. Spacerowały mu zorientować się w układzie budynku, co było niezbędne dla kogoś, kto cały czas obmyślał plan ucieczki.

Wiedział już, że pomieszczenie, w którym przebywa, znajduje się na pierwszym piętrze, a okna wychodzą na cichą uliczkę z gładkim murem po drugiej stronie. Nie poświęcił jednak temu zbyt wiele namysłu. Nawet gdyby udało mu się wyrwać kraty z okna, pokój znajdował się zbyt wysoko nad ziemią, żeby można było ryzykować skok. Nie tędy wiodła droga ewentualnej ucieczki.

Kierując się w towarzystwie strażników na dziedziniec, zobaczył, że drzwi jego celi wychodzą na kamienny krużganek z arkadami, otaczający wewnętrzny dziedziniec. Korytarz ciągnął się przez wszystkie cztery boki kwadratu. Sir Nicholas zauważył spiralne schody po lewej stronie, biegnące od ściany, przy której korytarz załamywał się pod kątem prostym, ku południowej części budynku.

Strażnicy poprowadzili Beauvalleta innymi schodami, znacznie dalej, przy północnym krużganku. Sir Nicholas ocenił długość korytarza na od dziewięćdziesięciu do stu stóp. Po północnej stronie znajdowała się szeroka, najwyraźniej główna klatka schodowa budynku, prowadząca od łukowato sklepionej bramy do kwater żołnierzy.

Strażnicy i sir Nicholas skorzystali z tych właśnie schodów, po czym wyszli na skąpany w ostrym słońcu dziedziniec. Północna brama, przy której zawsze stali wartownicy, prowadziła na ulicę. Z jednej strony sklepienia przejścia znajdowały się znane już sir Nicholasowi schody, po drugiej zauważył zamknięte drzwi.

Wolno przechadzał się po dziedzińcu. Spostrzegł, że budynek ma jeszcze jedno piętro, jednak zamiast arkadowych łuków były tam okna rozmieszczone mniej więcej co osiem stóp na wszystkich ścianach budynku, a pod każdym z nich znajdował się niewielki półokrągły balkonik, typowy dla hiszpańskiego budownictwa. Nad drugim piętrzem był już tylko dach i kominy.

Sir Nicholas przechadzał się w towarzystwie strażników, rozmawiając z nimi przyjaźnie, jak miał to w zwyczaju. Z początku byli zdziwieni i pełni podejrzeń, pod gładką powierzchownością widząc w nim angielskiego korsarza, jednak szybko zmienili o nim zdanie.

W końcu doszli do wniosku, że ten miły dżentelmen został niesłusznie aresztowany. Nie zdradzał najmniejszej chęci ucieczki, był wesoły i grzeczny. Chętnie z nim rozmawiali, nie dopatrując się niczego złego w jego pytaniach. Bardzo interesował się Gwardią Kastylijską; przeżył zaskoczenie, słysząc, ilu gwardzistów zgromadzono w tym miejscu. Rozejrzał się dookoła z uznaniem.

- Pewnie bez trudu zmieściłaby się tu jeszcze! setka. Imponujący budynek!

- Senior, gdyby zaszła taka potrzeba, zmieściłoby się dużo więcej - odezwał się na to strażnik. - Na górze są puste pomieszczenia. - Wskazał drugie piętro ruchem głowy.

Drugi strażnik podał tę opinię w wątpliwość.

- Nie ma znów aż tak wiele miejsca dla żołnierzy - rzekł. - Pamiętajmy, że są tu też stajnie i pomieszczenia magazynowe. Te koszary nie są aż tak wielkie, jak by się mogło wydawać, senior. Sam

arsenał zajmuje ogromną powierzchnię i oczywiście nikt tam nie mieszka, a na parterze jest jeszcze wartownia.

- Z pewnością moglibyście pomieścić ze stu ludzi w jednym skrzydle - upierał się sir Nicholas. - A cztery strony... prawda, zapomniałem o bramie. W takim razie trzy strony na kwatery, i to wszystko tylko dla stu ludzi.

- Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę kwaterę komendanta - powiedział strażnik.

- No tak - odezwał się spokojnie sir Nicholas. - Zapomniałem, że komendant tu mieszka. - Stropił się. - Dziwię się, że może tu wytrzymać. Moim zdaniem, to straszne miejsce.

- Cóż, senior - usłyszał. - Może pan być spokojny, komendant żyje sobie całkiem nieźle, ma piękny ogród i kilka ładnych pokoi.

Sir Nicholas zmienił temat. Teraz pozostawało mu już tylko ustalenie, gdzie znajduje się kwatery komendanta i ogród. Zaczął narzekać na palące słońce; spacer wkrótce dobiegł końca. Kiedy Don Cristobal odwiedził aresztowanego nieco później i zapytał o spacer, sir Nicholas podziękował mu za troskę, dodał jednak, że będzie musiał ograniczyć się do przechadzek po kruzganku.

- Słońce zbyt mocno praży, senior. Ech! Chciałbym, żeby wysłannik monsieur de Lauviniere'a się pośpieszył. - Uśmiechnął się, widząc, że Don Cristobal się spieszy. - Proszę się tak nie zamartwiać, senior. Zadowolę się spacerami po korytarzu, a poza tym mój pobyt w areszcie nie będzie przecież trwał w nieskończoność.

- Kawalerze, nie chciałbym... Słońce istotnie, jest bardzo mocne. Myślę, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby codziennie spacerował pan w moim ogrodzie. Zajmę się tą sprawą.

- To zbyt uprzejme z pańskiej strony, senior! Nic mi się nie stanie, jeśli ograniczę się do korytarza. Nie chciałbym naruszać pańskiej prywatności.

- Niczego pan nie naruszy, senior. Proszę uznać sprawę za załatwioną. Odpowiadam za pańskie dobre samopoczucie i jestem pewien, że Jego Wysokość życzy sobie, by w obecnej sytuacji zapewnić panu jak największy komfort. Czy jest coś, w czym jeszcze mogę okazać się przydatny?

Beauvallet udał, że się zastanawia. Wyciągnął z kieszeni kilka monet i przyjrzał się im ze smutkiem.

- Proszę zakuć w kajdany mojego sługę, senior który mnie okradł, a będę pańskim wiecznym dłużnikiem. Sądzę, że te pieniądze wystarczą, żeby dokonać paru sprawunków. Prosiłbym, senior, o jakąś książkę, żeby czas szybciej mi płynął. Nie wiem, czy wolno mi pisać do przyjaciół?

Don Cristobal zawahał się.

- Pozwolę panu, chociaż niezbyt chętnie. Niestety, będę zmuszony przeczytać wszystkie listy które zechce pan stąd wysłać.

- Nie mam nic przeciwko temu - zapewnił go sir Nicholas.

- W takim razie każę panu dostarczyć atrament i papier - obiecał Don Cristobal i wyszedł.

Następnego ranka Beauvallet został zaprowadzony do kwatery komendanta schodami, którymi szedł poprzedniego dnia. Przeszli przez drzwi, które już wcześniej zauważył w bramie. Prowadziły do dużego holu, urządzonego bardzo bogato, draperiami z kosztownych tkanin i intarsjowanymi włoskimi krzesłami. Były tu drzwi prowadzące do otoczonego murem ogrodu, ocienionego dorodnymi drzewami.

Sir Nicholas doszedł do wniosku, że po drugiej stronie budynku znajduje się ulica. Mur był wysoki, jednak były w nim występy i kraty na rośliny pnące. Dysponując sznurem, mógłby szybko wspiąć się na mur. Nie było żadnego innego wejścia do ogrodu.

Beauvallet przyjrzał się zewnętrznej ścianie budynku. Nie dostrzegł krat w oknach, a mur porastały gęste pnącza wistarii. Człowiek, któremu udałooby się dostać do któregoś z pokoi na piętrze po tej stronie domostwa, mógłby zejść po murze, trzymając się wistarii, jeśli nie oderwałaby się od muru.

Sir Nicholas uznał, że szansa jest niewielka. Po powrocie do celi usiadł przy oknie, by napisać niewinny list do przyjaciela z Andaluzji.

Kawaler zawsze siadywał przy oknie i bardzo często wyglądał na ulicę. Strażnikom nie wydało się to podejrzane. Wprawdzie niewiele można było zobaczyć przez to okno, jednak biedny więzień nie miał nic innego do roboty, przynajmniej dopóki komendant nie przysłał mu kilku książek, ale nawet wtedy nie był przecież w stanie czytać cały dzień bez przerwy.

Patrząc na ulicę w dole, sir Nicholas nie od razu rozpoznał swego zawadiackiego sługę w schludnie ogolonym, skromnie ubranym mężczyźnie, wolno przechadzającym się po drugiej stronie uliczki.

Jego uwagę przyciągnęły jednak z pozoru obojętne spojrzenia, które ów człowiek o wyglądzie urzędnika rzucał w stronę koszar. Sir Nicholas uniósł brwi.

Joshua, który znajdował się teraz pod oknem, znów spojrział w górę. Nie można było mieć żadnych wątpliwości. Twarz Beauvalleta rozpogodziła się; uniósł rękę, co natychmiast zauważył wierny sługa.

Służący obejrzał się, lecz w pobliżu nie było nikogo. Przystanął i uśmiechnął się. Sir Nicholas przesunął ręką po brodzie i podkręcił wąsa. Mięśnie mu drżały od powstrzymywanego śmiechu, w końcu uśmiechnął się kącikiem ust.

- Ho - mruknął cicho Joshua. - Proszę, jak mnie traktuje. Tak, mój panie, stało się. Nie czas na żarty. To nam nic nie da. Dzięki Bogu, że pan żyje i jest, jak się wydaje, w dobrym humorze. No i co długo jeszcze będę oglądał ten pański drwiący uśmieszek? - Potrząsnął głową. - Jest pan niepoprawny. Muszę panu przekazać parę wiadomości. Ale jak to zrobić?

Zauważywszy wyłaniającego się zza rogu mężczyznę, pochylił się, udając, że zamierza wyjąć kamyk z buta. Potem odszedł, by powrócić dopiero wtedy, gdy przechodzień zniknął z pola widzenia. Nie mógł krzyczeć do sir Nicholasa. Przechyliwszy głowę, przemyślał sprawę i w końcu, stojąc pod oknem Beauvalleta w pustej uliczce, zaczął odgrywać pantomimę dla swego pana. Przedstawił drobne kroczyki Diega, wachającego nieistniejący kwiatek, i dwornie się ukłonił. Sir Nicholas uśmiechnął się i pokiwał głową. Potem Joshua udał, że wskakuje na konia i odjeżdża galopem.

Na koniec popatrzył w górę. Sir Nicholas zmarszczył czoło, nakreślił w powietrzu wielką literę V i uniósł brew. Joshua szybko pokiwał głową i wykonał serię gestów, mających ponaglić Beauvalleta.

Nietrudno było się domyślić, że sir Nicholas mniej więcej zrozumiał, o co chodziło Joshui. Dał mu znak, by odszedł, a potem zaczął krążyć po celi.

Jeśli Dominica wyjechała już do Vasconosy z Don Diegiem, jak wynikało to z odegranej przez Joshuę scenki, czekały ich nie lada kłopoty. Sir Nicholas chciał pozostać w więzieniu do czwartku, a nawet trochę dłużej, bo niczego by nie osiągnął, uciekając, podczas gdy Dominica wciąż przebywała w Madrycie. Wprost przeciwnie, mógłby przekreślić swoje szanse. Po ucieczce z więzienia musiał jak

najszybciej wydostać się z Hiszpanii. Nie miałyby wtedy czasu na czekanie na to, co zrobi Dominica. Jednak nowe okoliczności wszystko zmieniły. Usiadł na brzegu łóżka i zaczął w zamyśleniu skręcać koniec bródki.

Strzeż się Beauvalleta, kiedy widzisz go w takim stanie! - powiedziała Joshua Dimmock. Jednak członkowie Gwardii Kastyljskiej aż tak dobrze nie znali sir Nicholasa.

Tymczasem snuł on plany, coraz bardziej przemyślnie i śmiało. Gdyby mu się nie powiodło, zostałby skazany jako El Beauvallet. Dobrze wiedział, co by go wtedy czekało. Wzruszył ramionami.

W głowie układał plan, który wydał mu się tak desperacki, że się uśmiechnął.

- Do dzieła, Nick! - powiedział sam do siebie. - „Nie przejmuj się!” jeszcze raz będzie twoim hasłem. Jeszcze nigdy nie przegraliśmy. Żal mi tylko tych gwardzistów.

Oznaczało to, że sir Nicholas uznał już strażników, stojących po drzwiach celi za martwych.

Podszedł do stołu i napisał trzy linijki listu do Joshui.

„Bądź gotowy jutro rano. Weź sznur i stań pod murem po drugiej stronie budynku. Kiedy usłyszysz mój gwizd, przerzuć sznur i mocno trzymaj”.

Potem zwinął list w rulonik i wsunął za pazuchę. Następnego ranka Joshua znów przechadzał się ulicą. Z okna Beauvalleta wyfrunął kawałek papieru. Joshua natychmiast go podniósł.

Tym razem wracał do obozu z lekkim sercem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Od pierwszego dnia pobytu w areszcie sir Nicholasowi usługiwało dwóch strażników. Choć z upływem czasu ich obecność przerodziła się w formalność, trzymali się jednak pierwotnych ustaleń. Sir Nicholas skwitował to gorzkim uśmiechem. Rzeczywiście musiano uważać go za szaleńca, skoro pod jego drzwiami zawsze stali gwardziści, a żaden uzbrojony strażnik nie ośmielił się przynieść mu posiłku w pojedynkę. Takie zachowanie było w pełni zrozumiałe, jednak sir Nicholas żywił nadzieję, że udało mu się uspić czujność nadzorców. Jeśli ucieczka miała się powieść, w jego pokoju powinien znajdować się tylko jeden mężczyzna. Wszystko od tego zależało; gdyby nie udało mu się doprowadzić do takiej sytuacji, z całą pewnością czekały go tortury i śmierć na stosie.

Starannie wybrał czas akcji, wiedząc, że może ufać Joshui. Każdego wieczoru o zmierzchu z kuchni komendanta przynoszono sir Nicholasowi kolację. Starano się zadowolić wybrednego aresztanta, bo Beauvallet wciąż dysponował odpowiednią sumą na zachętę. Kucharz otrzymał dwa dukaty wraz z komplementami, uznał więc kawalera za dżentelmena i posyłał mu coraz wymyślniejsze smakołyki.

W dniu, na który sir Nicholas zaplanował ucieczkę, dwaj strażnicy przybyli do celi trochę później niż zwykle. Jeden z nich, starszy rangą, miał klucz do pokoju i po wejściu zawsze pedantycznie zamykał drzwi od środka, a potem nie wypuszczał klucza z ręki, podczas gdy jego towarzysz nakrywał do stołu i zapalał świece.

Sir Nicholas korzystał w celi z fotela z wysokim oparciem, jednak tym razem nie siedział w nim, gdy do celi weszli dwaj żołnierze. Stał przy oknie, oparty o ścianę i pogwizdywał pod nosem wesołą melodyjkę.

- Myślałem, że umrę z głodu - powiedział. Podeszedł do stołu, przysiadł na poręczy fotela i zaczął niedbale machać nogą.

Starszy rangą uśmiechnął się przeproszająco.

- Proszę się nie denerwować, senior. Po prostu kucharzowi nie udało się jedno danie... To znaczy pomywaczka, która miała mieszać w garnku, trochę je przypaliła, i trzeba było wszystko gotować od nowa.

Drugi strażnik był zajęty rozkładaniem obrusa na stole. Sir Nicholas wciągnął smakowity zapach w nozdrza.

- Pachnie bardzo apetycznie - stwierdził. - Skosztujmy tej specjalności szefa kuchni.

Strażnik położył na stole sztucce i postawił butelkę wina obok kielicha, tuż przy łokciu Beauvalleta, po czym uniósł błyszczącą pokrywę.

- Cudowny zapach! - pochwalił sir Nicholas, dalej siedząc na poręczy fotela, bokiem do stołu. - Proszę przekazać kucharzowi wyrazy uznania. - Sięgnął po wino. Żołnierz zdjął pojemniki z solą i pieprzem z tacy i postawił na stole. Sir Nicholas nalał sobie pełen kielich i uniósł go ze śmiechem. - Przekażcie też kucharzowi, że piję jego zdrowie! - powiedział. Jednak ledwie skosztował wina, natychmiast je odstawił i skrzywił się. - Drodzy przyjaciele! - zawołał. - A co to jest! Chcecie mnie otruć? Co mi tu przynieśliście?

Żołnierze wpatrywali się w niego, zaskoczeni.

- Madre de Dios, señor, nikt nie chce pana otruć - zapewnił jeden ze strażników, przerażony.

Sir Nicholas uśmiechnął się.

- Tylko sobie żartowałem, ale rzeczywiście przynieśliście mi bardzo podłe wino. Dajcie mi drugą butelkę. Zabierzcie to.

Starszy rangą groźnie popatrzył na podwładnego.

- Pacanie! Weź tę butelkę! Przyniosłeś panu zepsute wino! Bardzo przepraszam, señor. To jakaś pomyłka. Kielich, głupcze! Zabierz kielich i przynieś czysty. - Dał protestującemu koledze znak, by natychmiast wyszedł z celi.

- To pan wybrał wino - mruknął nieszczęśnik.

- Ty pomyliłeś butelki - powiedział szybko przełożony. - Zmykaj stąd! Chcesz, żeby kolacja ostygła?

- Pan ma klucz - zauważył podwładny. - To nie ja pomyliłem butelki. To pan...

- Na miłość boską, idźże już! - krzyknął strażnik więzienny, odwołując się do swego autorytetu. Przekręcił klucz w zamku, wypchnął kolegę z celi, a następnie zatrzęsł drzwi i ponownie starannie je zamknął.

Sir Nicholas opuścił powieki, żeby ukryć błysk radości w oczach. Odchodzący żołnierz nie zabrał klucza.

- Proszę przełożyć na talerz tę wspaniałą potrawę - rzekł sir Nicholas.

- Oczywiście, senor. - Strażnik uniósł pokrywę i niczego nie podejrzewając, podszedł do stołu.

Sir Nicholas przestał kołysać stopą, mocno oparł ją o podłogę. Żołnierz pochylił się nad stołem.

Ledwie zdążył puścić pokrywę, sir Nicholas rzucił się na niego zwinnie i bezszelestnie niczym pantera. Zanim żołnierz zdołał się zorientować, co się dzieje, para mocnych rąk chwyciła go za gardło, pozbawiając tchu, po czym został uniesiony i rzucony na łóżko. Kolano sir Nicholasa zasłaniało sztylet strażnika tak, że nie był w stanie go wyciągnąć. Nie mógł też krzyczeć; łzy bezsilności popłynęły mu po twarzy, gdy palce więźnia bezlitośnie zaciskały się na jego szyi. Wybałuszone oczy patrzyły prosto na sir Nicholasa: ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, były jasnoniebieskie oczy i ponury uśmiech na wargach Beauvalleta.

Sir Nicholas puścił zsiniałą szyję. Podszedł do stołu, chwycił serwetkę i sprawnie zawiązał ją wokół ust strażnika, po czym wyciągnął sztylet z pochwy i podniósł klucz z podłogi. Trzymając sztylet w prawej ręce, szybko podszedł do drzwi i otworzył zamek.

Na zewnątrz stał wartownik oparty o halabardę. Musiał instynktownie wyczuć niebezpieczeństwo, gdyż ledwie otworzyły się drzwi, szybko odwrócił głowę, by zobaczyć, kto wyszedł. Zdołał wydać okrzyk przerażenia, a Beauvallet zaklął szpetnie. Wbił sztylet w szyję mężczyzny, tuż przy ramieniu. Wartownik zwałił się na ziemię.

Przeraźliwy krzyk mógł jednak zniweczyć wszystkie plany. Rozległo się czyjeś wołanie w odpowiedzi, a od strony klatki schodowej nadbiegał jakiś mężczyzna.

Sir Nicholas wyszarpnął sztylet i popędził ku południowej stronie budynku. Zamierzał dostać się do kwatery komendanta, jednak w obecnej sytuacji, gdy wszczęto alarm i gwardziści ruszyli w pościg, stało się to niemożliwe. Wbiegłszy na spiralne schody, dotarł do korytarza podobnego do znajdującego się poniżej. Nie było tam jednak arkad, lecz tylko nisze okienne z ciężkimi zasłonami, wychodzące na dziedziniec w dole. U szczytu schodów wisiał kaganek, dający słabe światło, drugi znajdował się w środku korytarza po lewej stronie.

Z dołu dochodziły odgłosy szybkich kroków, krzyki i szczęk pik. Sir Nicholas szybko spojrział dookoła i zauważył potężną dębową

skrzynię przy ścianie. Natychmiast rzucił się w jej stronę, uniósł ją i pchnął. Skrzynia zwała się w stronę nadbiegających mężczyzn i zatarasowała przejście u załomu schodów. Rozległy się przekleństwa, gorączkowe okrzyki i szczęk broni. Biegący z przodu wpadł w ramiona towarzysza, który straciwszy równowagę, upadł i dotkliwie się potłukł.

Sir Nicholas roześmiał się, widząc, że skrzynia zaklinowała się mocno na zakręcie schodów. Nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić. Przypuszczał, że znalazł się w pułapce, jednak cieszyła go sama możliwość działania. Uśmiech nie schodził więc z jego warg.

Usłyszał kroki i głosy nadbiegających główną klatką schodową po drugiej stronie czworokąta. Znieruchomiał, chcąc się zorientować, z której strony nadciągnie druga grupa. Gwardziści okrążyli róg wschodniego korytarza, w którym się znajdował; kilku żołnierzy ruszyło naprzód z wymierzonymi w niego halabardami. Uskoczył w lewo i zbiegł południową klatką schodową, kierując się w stronę kwatery komendanta, znajdującej się po zachodniej stronie.

Dobiegając do załomu korytarza, rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu drogi ucieczki. Z przeciwka, zachodnim korytarzem, pędzili żołnierze. Wszystko wskazywało na to, że znalazł się w pułapce.

Jeszcze chwila, a grupa z tyłu wyłoni się zza zakrętu i zobaczy zbiega. Sir Nicholas wsunął się do niszy przy ostatnim oknie i zasunął ciężką kotarę.

Jak najciszej wyszedł na balkonik i popatrzył na dziedziniec w dole. Było zbyt ciemno, by rozróżnić kształty, słyszał jednak podniesione głosy. To żołnierze już się tam zbrali.

Zatknął sztylet za pas, sprawdził wytrzymałość żelaznej poręczy i usiłował wypatrzeć pierwszy balkon po zachodniej stronie. Widział go jedynie w zarysie. Szybko ocenił odległość i stanął na poręczy, opierając się o ścianę. Sądząc po odgłosach, mężczyźni biegnący zachodnim korytarzem dotarli do załomu. Sir Nicholas zmusił się do opanowania i skoczył jak nurek, z głową naprzód, ku następnemu balkonowi. Chwyciwszy się poręczy, przez chwilę wisiał w powietrzu, ciężko dysząc, a potem, wyężdżając siły, podciągnął się na rękach. Przełożywszy nogę przez balustradę, wszedł przez okno do wnętrza.

Znalazł się w pustym przejściu. Korytarzem, w którym był przed chwilą, pędzili żołnierze; za chwilę powinni zderzyć się z grupą

nadbiegającą z przeciwka. Znów będą gadać o czarach, pomyślał z satysfakcją sir Nicholas. Każda z tych zbliżających się do siebie grup była pewna, że schwyta uciekiniera. Wkrótce żołnierze mieli się przekonać, że Beauvallet zasłużył na swą reputację i po prostu rozplątał się w powietrzu. Ucałował palce w drwiącym geście pożegnania z gwardzistami i spróbował otworzyć drzwi pierwszego pokoju, który napotkał na swej drodze.

Drzwi ustąpiły, nie były zamknięte na klucz. Znalazł się w pustej, skromnie umeblowanej sypialni, z małym kagankiem płonącym na kominku. Pomyślał, że to pokój jakiejś służącej. Cicho zamknął za sobą drzwi i podszedł do okna. Było otwarte i wychodziło na ogród. Sir Nicholas przełożył nogę przez parapet, szukając oparcia. Otarł się nogą o pnącza wistarii; wymacał gałąź, przełożył drugą nogę, chwycił gęste listowie i zaczął się ześlizgiwać na balkonik poniżej, na pierwszym piętrze. Wistaria oderwała się od muru, lecz udało mu się bezpiecznie dotrzeć po pnączach do balustrady. Wtem rozległ się okrzyk, który sprawił, że sir Nicholas szybko przykucnął na balkonie.

Drzwi prowadzące z holu do ogrodu były otwarte, ciemności rozpraszał płomień pochodni, a ktoś powiedział wyraźnie:

- Wy dwaj trzymajcie tu straż na wypadek, gdyby próbował uciec tędy.

Sir Nicholas bez chwili wahania wszedł do wnętrza przez otwarte okno.

Zasłony były lekko rozsunięte, w środku płonęło jasne światło. Ukryty za kotarą, ostrożnie zajrzał do pokoju. Pomieszczenie było puste, sir Nicholas wszedł i zaciągnął zasłony.

- Boże! - mruknął. - Gdzie ja jestem?

Stał w dużej sypialni, pełnej ciężkich mebli, wśród których królowało wielkie łóże z czterema kolumnami i aksamitnymi kotarami. Była tam też zdobiona intarsją skrzynia, stół, krzesła i szafa przy ścianie. Na wprost okna znajdowały się drzwi. Kiedy sir Nicholas szedł w ich stronę, usłyszał czyjeś kroki, a potem jakaś ręka spoczęła na klamce. Szybko cofnął się w stronę łóża i wsunął za ciężką kotarę.

Drzwi otworzyły się, ktoś szybko wszedł do środka, zbliżył się do stołu i wyciągnął szufladę. Rozległ się szelest papieru. Lekko uchylwszy kotarę, sir Nicholas zobaczył stojącego tyłem mężczyznę, w pośpiechu przerzucającego dokumenty w szufladzie. Miał na sobie

pelerynę i duży kapelusz ze zwisającym piórem. Poły peleryny były uniesione przez rapier u boku.

Cał po calu, cicho jak kot, sir Nicholas przekradł się w stronę mężczyzny. Jakaś deska zaskrzypiała mu pod nogami; mężczyzna w pelerynie gwałtownie się odwrócił, napotykając na swej drodze pięść Beauvalleta. Cicho osunął się na podłogę, a sir Nicholas zobaczył, że ogłuszył samego Don Cristobala de Porresa, dowódcę gwardii.

- Przepraszam, mój szlachetny komendancie - powiedział sir Nicholas, beztrąsko przechodząc nad rozciągniętym na podłodze Porresem ku drzwiom. Zamknął je, rzucił szybkie spojrzenie na bezwładnego komendanta i podszedł do łoża. Nie spuszczać Don Cristobala z oka, pociął sztyletem brokatową kapeł na pasy i przyklęknął przy nieruchomej postaci.

- Naprawdę bardzo mi przykro, biedny przyjacielu - mruknął, wpychając pas tkaniny w otwarte usta Don Cristobala. Drugim pasem obwiązał mu twarz, by prymitywny knebel nie wypadł z ust. Potem rozpiął pelerynę przy szyi komendanta; ukazał się błyszczący Order Złotego Runa. Sir Nicholas oderwał go i cichutko zachichotał. - Drogi przyjacielu - rzekł - to bardzo mi się przyda. Nie powinieneś mieć mi tego za złe. - Założył order na swą szyję, odpiął pendent, który podtrzymywał rapier komendanta, i mocno związał ręce i nogi nieszczęśnika. Przy ostatnim węźle de Porres poruszył się i otworzył oczy. Jeszcze oszołomiony, zobaczył nad sobą Beauvalleta i w tym momencie natychmiast odzyskał przytomność.

- Wiem, wiem - powiedział sir Nicholas. - Przepraszam za to, senor, ale musi pan przyznać, że nie mam innego wyjścia. - Oczy mu rozbłyły. - To niegodziwe, zważywszy na pańską uprzejmość, Don Cristobalu, nie chciałbym, żeby pan myślał, że El Beauvallet jest niewdzięcznikiem. - Zobaczywszy konsternację na twarzy komendanta, roześmiał się. - Tak, senor, ma pan przed sobą El Beauvalleta. - Mówiąc to, zapinał na sobie pas na rapier. - Senor, muszę pana schować. Proszę przyjąć moją broń w zamian za pańską. Będzie mógł pan potem mówić, zgodnie z prawdą, że jest jedynym człowiekiem, który wziął coś od Nicka Beauvalleta wbrew jego woli. A teraz bardzo proszę, senor. - Otworzył szafę i wepchnął do niej Don Cristobala, po czym zamknął drzwi. Podniósł pelerynę, zapiął ją na ramieniu i ułożył fałdy. Koronkowa chustka do nosa i długa laska komendanta leżały na podłodze; sir Nicholas podniósł je, włożył

kapelusz i nasunął go głęboko na oczy. Podziękował losowi za to, że ma brodę i wąsy, przypominające zarost de Porresa, i podszedł do drzwi. Gdy położył dłoń na klamce, rozległo się pukanie, a męski głos zawołał:

- Señor, powóz czeka!

W samą porę, pomyślał sir Nicholas. Da Bóg, może mi się powiedzie. Mam szczęście, że światło pada z tyłu. Naprzód, El Beauvallecie!

Otworzył drzwi i spokojnie wyszedł na korytarz.

W progu stał służący; sir Nicholas nie widział rysów jego twarzy w mdłym świetle i miał nadzieję, że sam również jest skryty w mroku. Zamknął za sobą drzwi i dał słudze znak, by szedł przodem. Mężczyzna skłonił się i spełnił prośbę.

Przeszli korytarzem ku schodom. Służący odsunął się, by nieprawdziwy komendant mógł przejść. Sir Nicholas bez pośpiechu zstąpił ze schodów i przeszedł przez hol na parterze.

Frontowe drzwi zostały otwarte przez lokaja, który zdziwił się na widok swego pana najwyraźniej nieprzejmującego się sytuacją. Ośmielił się zabrać głos.

- Señor... porucznik właśnie poszedł po pana do biblioteki. Chyba pan nie słyszał, señor... więzień zbiegł!

Sir Nicholas uniósł chustkę do ust i zaniósł się kaszlem. Starając się naśladować głos komendanta, odezwał się pośród tłumionego kaszlu:

- Został schwytany. Wydałem sierżantowi ściśle polecenia.

Mówiąc to, minął lokaja. Zdawał sobie sprawę, że mężczyzna jest zaskoczony, a być może nawet coś podejrzewa, jednak nie miał ani chwili do stracenia. Powóz z piórami na dachu i zasłonkami na oknach czekał w gotowości. Wsiadł do środka.

- Jestem spóźniony. Jedź szybko. Stangret był bardzo przejęty.

- Señor, więzień...

- Więzień jest pod strażą! - rzucił sir Nicholas. - Jedź!

Stangret chwycił lejce; końskie kopyta zastukały o bruk, powóz wolno ruszył pod łukiem bramy w stronę otwartych wrót.

Lokaj biegł za powozem.

- Señor, porucznik...

- Do diabła z porucznikiem! - krzyknął sir Nicholas. - Jedź!
Powóz wytoczył się z bramy i skręcił na ulicę.

Porucznik Cruza wybiegł z budynku, gdy powóz skręcał za rogiem.

- Komendancie! - krzyknął. Lokaj podrapał się w głowę.

- Senor, komendant nie chciał czekać. Bardzo się śpieszył i zachowywał się jakoś dziwnie.

- Komendant nie chciał czekać? - Cruza niczego nie rozumiał.

Z budynku rozległy się wołania:

- Zatrzymać go! Zatrzymać! Komendant jest tutaj, związany i zakneblowany! Zatrzymać tego człowieka!

- Sangre de Dios, uciekł! - krzyknął porucznik i wybiegł za bramę. - Co tchu za tym powozem! - zawołał przy wartowni. - Tam jest więzień! Ruszajcie!

Jednak gdy dwaj pędzący ile sił w nogach żołnierze dopadli do wolno jadącego powozu, okazało się, że w środku nie ma nikogo. El Beauvallet zniknął.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Stojący pod murem, otaczającym ogród komendanta, Joshua, czekał, ukryty w cieniu. W jednej ręce, pod płaszczem, trzymał sznur, drugą opierał na rękojeści sztyletu, by w razie potrzeby szybko wyciągnąć broń. Od czasu do czasu przenikał go dreszcz, podskakiwał nerwowo przy najmniejszym szeleście, a w pewnej chwili nie na żarty przestraszył go czarny kot, który wybrał się na polowanie. Opanowawszy się, Joshua pogroził pięścią oddalającemu się chyłkiem zwierzęciu.

- Ty szelmo. Skradasz się, żeby mnie przestraszyć. Ciesz się, że muszę być cicho, bo skończyłbyś na ostrzu noża. - Kot zniknął za murem. - Proszę, jaki jesteś zwinny. Na pewno masz brzydkie zamiary - powiedział z goryczą Joshua. - Byłbym znacznie bardziej zadowolony, gdyby człowiek mógł tak łatwo przedostać się przez ten mur. - Znów nadstawił ucha, jednak słyszał tylko szelest lekkiego wiatru w gałęziach drzew. - Uda mu się? - zastanawiał się na głos Joshua. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, ale przyznaję, że uspokoję się dopiero wtedy, gdy zobaczę cię obok siebie, mój panie. A co to?

Dobiegły go jakieś krzyki, jednak nie był w stanie wyłowić poszczególnych słów. Trzasnęły drzwi, usłyszał chrzęst żwiru pod ciężkimi butami, dźwięk odkładanej halabardy i szmer głosów.

Zdjęło go przerażenie. Zastanawiał się, czy aby nie powinien opuścić posterunku, by zorientować się w sytuacji. Jeśli nawet sir Nicholasowi udało się uciec z celi, z pewnością nie przedostanie się przez ten mur, skoro w ogrodzie są ludzie. Jak miał go ostrzec? Nerwowo splótł ręce.

- Mój Boże, wszystko na nic! Teraz już nie mam wątpliwości, że uciekłeś, panie, ale dlaczego nie dość szybko? Dlaczego? Zaraz wpadniesz w pułapkę. To niepodobne do Szalonego Nicka, by dać się tak wyprzedzić. Co za pech! Jesteś osaczony. - Rozejrzał się dookoła. - Jak mam cię ostrzec? Myśl, Joshuo, myśl. Szkoda, że nie jestem dzikim kotem, bo przeskoczyłbym przez ten mur. - Joshua popatrzył na ogrodzenie i z rezygnacją pokręcił głową. - Mogę tylko czekać. Ale jeśli uciekł, to co by tu robił? Zamierza napaść tych tam w ogrodzie? Bez broni stanie przeciwko nie wiadomo ilu ludziom z pikami? A ja tu tkwię bezczynnie i nie mam odwagi, by coś zrobić!

Stał nieruchomo, nasłuchując, pocąc się, obawiając się, że lada chwila dobiegną go z ogrodu krzyki, świadczące o tym, że schwytano pana, a na ulicy pojawi się jakiś przechodzień lub, co gorsza, żołnierz gwardii.

Nagle zeszywniał i wpatrzył się w ciemność. Ktoś nadchodził szybkim krokiem. Joshua ruszył przed siebie, jakby miał coś do załatwienia w mieście.

Kroki zbliżały się, ktoś go doganiał. Joshua dotknął rękojęści sztyletu, nie przerywając marszu. Jeśli był to strażnik, to szedł po własną śmierć.

Joshua został dogoniony, poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Natychmiast odwrócił się z wyciągniętym sztyletem. Ktoś chwycił go mocno za rękę.

- Mam zginąć z twojej ręki? Naucz się rozpoznawać swego pana
- wysyczał sir Nicholas.

Joshua omal nie osunął się na ziemię.

- Mój pan. Cały i zdrowy - wyszeptał w uniesieniu.

- Oczywiście, że jestem cały i zdrowy, ośle. Schowaj nóż. Potrzebuję konia.

- A nie mówiłem? - Joshua cmoknął z zadowoleniem. - Przewidziałem, o co poprosi mój pan. Konia, Joshuo. Konie są niedaleko stąd, osiodłane i gotowe do drogi.

- Ozłocę cię. Prowadź. Na pewno zaraz ruszy pościg, musimy szybko stąd zmykać. - Zaśmiał się cichutko. - Piękna robota! Gdzie jest moja dama?

- Wyjechała przed czterema dniami, a ten pętać dzień wcześniej.
- Joshua szybko prowadził sir Nicholasa przez zaułek. - Rozmawiałem z tą szlachetną osobą i powiedziałem, żeby była dobrej myśli. Widziałem, jak wyjeżdżała z Madrytu ze starszą damą, podśluchałem, że nie zamierzają tracić czasu na długie postoje. Ależ się nałaziłem po mieście! Jak udało się panu wydostać z tej twierdzy?

Usłyszawszy krótką opowieść, zatarł rękę.

- A więc to tak. No, nareszcie wiedzą, na co nas stać, jeśli mieli jeszcze jakieś wątpliwości. Uważam, że musimy się nad wszystkim zastanowić. Co mogą zrobić po ucieczce więźnia?

- Popędzić do granicy i obstawić porty - odparł sir Nicholas.

- To prawda, ale przecież my też zamierzamy jechać do Burgos prowadzącą do granicy drogą. - Pokręcił głową. - Wciąż pełno

przeszkód. Mimo wszystko nie możemy tracić ducha. Mamy nad nimi przewagę, a poza tym nie będą nas szukać w Vasconosie. Proszę chwilę poczekać. Nie ma potrzeby się pokazywać. - Przystanął na rogu ulicy. - Przyprawdę konie.

Powrócił z dwoma rasowymi dzianetami. Konie miały lekkie pakunki przytroczone do siodła.

- Buty! - zakomenderował sir Nicholas. - Masz mój miecz?

- Może pan być spokojny - powiedział chełpliwie Joshua, odpinając toból. - Pańskie buty są tutaj. Pomyślałem o wszystkim. Nie jestem z tych, którym nieszczęście odbiera rozum. - Wyjął parę butów do konnej jazdy, a te, które zdjął sir Nicholas, włożył do sakwy.

Szybko wciągnął panu buty i przypiął ostrogi. Sir Nicholas lekko wskoczył na siodło.

- W drogę, Joshuo! - Roześmiał się, oczy mu rozbłysły. - Pędźmy na złamanie karku! - dodał i ścisnął konia piętami.

Dwaj żołnierze przybiegli z powrotem do koszar i stanęli przed rozgorączkowanym Cruzą.

- Uciekł, senior! - wydyszeli.

- Głupcy! Barany! Był w powozie!

- Zniknął, senior. Cruza aż się zatoczył.

- Matko Boska, czary! - Pobiegł do komendanta. Don Cristobal, uwolniony z więzów, czekał na niego, już opanowany. Powitał go pytającym uniesieniem brwi.

- Senior, kiedy strażnicy dogonili powóz, jego w nim nie było! To czary, diabelska sprawka!

Don Cristobal uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Powiedz lepiej, że zostaliśmy wystrychnięci na dudka - powiedział kwaśno. - Spodziewałeś się, że będzie czekał na nas w powozie? Zwolnij wartownika!

Cruza wydał rozkaz sierżantowi, stojącemu obok z wytrzeszczonymi oczami.

- Senior, to naprawdę był Beauvallet? Don Cristobal rozcierał obolałe nadgarstki.

- Uczynił mi ten zaszczyt, że usłyszałem to z jego własnych ust - odparł. - Podszedł do stołu i zanurzył pióro w kałamarzu. - Proszę dostarczyć to pismo Don Luisowi de Ferosie. Ma rozkazać żołnierzom przeszukanie miasta. Więzień nie mógł uciec daleko.

Cruza zmarszczył czoło.

- Senor, czy on nie będzie zmierzał do granicy? Don Cristobal osuszył list piaskiem i przeczytał.

Dopiero po złożeniu kartki i opatrzeniu listu pieczęcią, odrzekł spokojnie:

- Do tego będzie mu potrzebny koń, Cruza, a wiemy, że nie ma pieniędzy. - Podał list porucznikowi i zwrócił się do kamerdynera:

- Kapelusz i peleryna, Juan. Kamerdyner szybko się oddalił. Cruza ośmielił się zadać kolejne pytanie.

- Senor, dokąd pan się wybiera?

- Do alkazaru - odpowiedział komendant. - Muszę poznać wolę Jego Wysokości.

Z początku odmówiono mu widzenia z królem, który przebywał w prywatnej komnacie i nie chciał nikogo widzieć. Jednak słówko szepnięte do ucha królewskiego sługi zrobiło swoje. Uprzywilejowany służący szybko się oddalił i wkrótce Don Cristobal mógł stanąć przed obliczem monarchy.

Filip został powiadomiony o tym, co się stało, jednak przyjął Don Cristobala który zgiął się w pokłonie aż do ziemi z właściwym sobie spokojem. Popatrzył na komendanta apatycznym wzrokiem.

- Wasza Wysokość - Don Cristobal postanowił zwięźle przedstawić sprawę - muszę poinformować Waszą Wysokość, że więzień zbiegł.

Filip splótł dłonie.

- Mówi mi pan bardzo dziwne rzeczy, Don Cristobalu.

Komendant zaczerwienił się.

- Nie wiem, co mam powiedzieć, Wasza Wysokość. Sam jestem przytłoczony tym wszystkim.

- Proszę się opanować. Kiedy więzień uciekł?

- Niecałą godzinę temu, Wasza Wysokość. Obezwładnił strażnika, który przyniósł mu kolację, zabił wartownika pod celą, nie wiadomo, jakim sposobem wymknął się dwóm grupom żołnierzy, którzy myśleli, że go otoczyli, i równie tajemniczo dotarł do mojej sypialni. Kiedy tam wszedłem, nie wiedząc o tym, co się dzieje, zostałem zaskoczony, Wasza Wysokość. - Bezwiednie potarł dłonią siniak na podbródku. - Więzień powalił mnie jednym ciosem na podłogę, zanim zdałem sobie sprawę z jego obecności, a kiedy doszedłem do siebie, byłem już zakneblowany i związany. Więzień włożył moją pelerynę i kapelusz, mój Order Złotego Runa, zabrał mi

broń, i w tym przebraniu, Wasza Wysokość, zszedł do powozu, którym miałem udać się do przyjaciela. Mój porucznik, podejrzewając podstęp, kazał ścigać powóz, jednak gdy żołnierze go dopędzili, okazało się, że więzień zniknął.

Zapadła cisza. Filip opuścił powieki, być może kryjąc w ten sposób gniew i rozgoryczenie. Chciał poznać szczegóły sprawy.

- Wydaje się, że w ten sposób potwierdziły się przypuszczenia, że to jednak El Beauvallet - rzekł ponuro.

- Wasza Wysokość, więzień sam zuchwale się do tego przyznał w mojej obecności. Zabierając mi broń, Wasza Wysokość, powiedział, że w zamian mogę zatrzymać jego broń i potem chwalić się, że jestem jedynym człowiekiem, który wziął coś od El Beauvalleta wbrew jego woli.

Zapadła kolejna chwila milczenia.

- Musi zostać ujęty - zdecydował król, uderzając w srebrny dzwonek na biurku.

- Pamiętając o tym, Wasza Wysokość, że Beauvallet nie ma pieniędzy na kupno konia, i w związku z tym ukrywa się gdzieś w Madrycie, natychmiast wydałem rozkaz Fermosie, by przeszukał miasto.

Filip pochylił głowę.

- Postąpił pan słusznie, senior.

Do komnaty wszedł mężczyzna, stanął przy królu i zaczął uważnie przysłuchiwać się rozmowie. Filip zabrał się za pisanie listu. Pióro wolno przesuwano się po papierze. Nie podnosząc wzroku, powiedział:

- Musimy liczyć się z tym, że człowiek jego pokroju może nie zawahać się przed kradzieżą konia. Trzeba posłać gońca do granicy.

Z tego, co wiedział o Beauvallecie, Don Cristobal wnioskuje, że istotnie nie zawaha się on ani przez moment.

- Pokornie proponuję, Wasza Wysokość, żeby posłać gońca również do portów, a zwłaszcza do Vigo i Santander.

- Gońcy zostaną bezzwłocznie wysłani - oznajmił chłodno Filip - do wszystkich portów z rozkazami do alkadów, by zatrzymali tego człowieka. Nie powinniśmy zapominać, Don Cristobalu, że ten Beauvallet jest w zмовie z siłami nieczystymi.

Chociaż Don Cristobal miał własne poglądy na temat czarów Beauvalleta, nisko skłonił głowę.

Ojciec Allen, stojący do tej pory w milczeniu przy oknie, postąpił parę kroków.

- Wasza Wysokość zapomniał, że jest jeszcze służący.

Królewski umysł nie pracował zbyt szybko, jednak monarcha nigdy o niczym nie zapominał.

- Służący uciekł, ojczyźnie - rzekł stanowczo. Ojciec Allen pokłonił się.

- W każdym razie uwierzyliśmy w to, Wasza Wysokość.

Filip musiał to rozważyć. Na jego twarzy pojawił się wyraz poirytowania.

- Nie sądzę, żeby to była trafna uwaga - powiedział i dał znak sekretarzowi, by pisał pod jego dyktando.

W końcu rozmaite listy i odezwy były gotowe; gońców wysłano do granicy i do wszystkich większych portów. Jak Hiszpania długa i szeroka, wszędzie miało być wiadomo, że sławny angielski korsarz wy dostał się na wolność. Filip odchylił się na oparcie fotela z uśmiechem zadowolenia na wąskich wargach.

- Wpadnie w naszą sieć - odezwał się z niespodziewanym ożywieniem. - Schwytny go.

Byli jednak tacy, którzy nie podzielali optymizmu króla. Kiedy Perinat dowiedział się o wszystkim następnego dnia po ucieczce, nie krył przerażenia i przepowiadał oniemiałym słuchaczom, że dojdzie do nieszczęścia.

- Jak można było dopuścić do tego, żeby wyśliznął się nam z rąk! - wściekał się. - Powinien być zakuty w kajdany! Nie wolno było spuścić go z oka! Co o nim wiecie? Nic! A ja wiem wszystko, znam go dobrze! Mówiłem, ale nikt mnie nie słuchał. Wcielony diabeł, szatan! Znowu udało mu się wymknąć!

Noveli przerwał ten potok wymowy.

- Nie uda mu się uciec. Nikt nie będzie mógł wypłynąć z naszych portów. Granice zostaną zamknięte, zanim zdoła tam dotrzeć, a nawet gdyby jakimś cudem mu się to udało, to nie zapominajmy, że nie ma żadnych dokumentów.

Perinat uniósł palec.

- Możecie zamknąć porty i granice, a on ominie nasze posterunki i będzie się z nas śmiał, tak jak zawsze. Mieliście go w ręku i pozwoliliście mu zbiec. - Omiótł zgromadzonych gniewnym wzrokiem. - Porty! Granice! Zapomnieliście, w jakim celu przyjechał

do Hiszpanii? Nie słyszeliście prawdy z ust Carvalha? Gdzie jest Dona Dominica de Rada y Sylva?

- W drodze do Vasconosy - powiedział ktoś - ale...

- W takim razie król powinien posłać tam ludzi - upierał się Perinat. - A mimo to może już być za późno. Ten łotr uciekł, zapamiętajcie moje słowa!

Do grupy dołączył mężczyzna o niespokojnym wzroku, nerwowo zaciskający palce. Don Rodriguez de Carvalho, na którego wiadomość spadła jak grom z jasnego nieba, był w opłakanym stanie. Podzielając powszechny strach przed Beauvalletem, nie wiedział, co począć. Obawiał się o życie syna, o bezpieczeństwo Dominiki i wołał nie zdradzać kierunku, w którym mógł udać się Beauvallet, bojąc się, że Dominica i jej majątkiem zajmie się inkwizycja. Przyszedł teraz, przejęty lękiem, by dowiedzieć się, co mówi się o ucieczce sir Nicholasa, i usłyszał ostatnie słowa Perinata.

Ten natychmiast na niego naskoczył.

- Przybywasz w samą porę, Carvalho! Powiedz mi, czy uważasz, że ten pirat pojedzie za bratanicą twojej żony?

Don Rodriguez sprawiał wrażenie przerażonego.

- N - nie sądzę... - wyjąkał. - Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Zdecydowanie zaprzeczają, by to był on. Może się mylimy... Co Beauvallet miałby robić w Hiszpanii?

- Sam to powiedział - wtrącił Aranda. - Tego wieczoru, kiedy spotkałem go po raz pierwszy, ośmielił się wymówić własne nazwisko. Pamiętasz, Losa? Mówił, że gdyby był Beauvalletem i stał otoczony wrogami, to też by się śmiał. Szczyt bezczelności! Co za zuchwałość! Aż trudno w to uwierzyć.

Perinat, którego zajmowało tylko jedno, lekceważąco zbył ten temat.

- Traciecie tylko czas. Król powinien zostać o tym bezzwłocznie powiadomiony. To ty, Carvalho, powinienes go ostrzec.

Don Rodriguez zawahał się. Wiedział już, że nie ma wyjścia.

- Skoro uważacie to za zasadne, panowie... Ale nie zgadzam się z wami. Nie sądzę, by Dona Dominica mogła go zaakceptować. Jest wprawdzie uparta, ale nie mogła przecież zapomnieć... Krótko mówiąc, panowie, jeśli El Beauvallet jej szuka, czyni to wbrew jej woli.

- Wbrew woli, skoro twierdziła, że go nie zna?! - wybuchnął Perinat. - Dziewczyna po prostu się w nim zakochała!

Losa uniósł palec, by uciszyć Perinata.

- Myślę, że król powinien się dowiedzieć, że Dona Dominica de Rada jest w drodze do Vasconosy, a El Beauvallet może podążać za nią - rzekł.

- Dobrze, dobrze... Skoro uważacie, że wypada o tym powiadomić Jego Wysokość... - powiedział strapiony Don Rodriguez.

Udał się do króla, u którego zastał Don Cristobala de Porresa, zawiadamiającego monarchę o tym, że El Beauvallet nie został odnaleziony w Madrycie. Don Rodriguez przedstawił swoją sprawę najlepiej, jak umiał, dodając przy tym, że nie wierzy w tę wersję wydarzeń.

Król Filip zastanowił się nad jego słowami.

- Skoro sprawy tak się przedstawiają, nasuwają się poważne wątpliwości co do wiarygodności Dony Dominiki. To musi zostać zbadane. Dlaczego nie doniesiono mi, że Dona Dominica wyjechała z Madrytu?

Don Rodriguez pośpiesznie zapewnił, że przybył z tą wiadomością zaraz po tym, jak usłyszał o ucieczce El Beauvalleta.

Nastąpiła długa chwila namysłu. Filip powoli, metodycznie układał tę wiadomość w głowie, a kiedy skończył, zwrócił się do Porresa, który zastanawiał się, jakie działania powinien teraz podjąć.

- Powierzmy to zadanie panu, senior - oznajmił. Don Cristobal skłonił się.

- Dziękuję Waszej Wysokości. Natychmiast wyślę grupę żołnierzy na północ. Proszę o pozwolenie odejścia, Wasza Wysokość.

Filip dał mu znak, by wyszedł; komendant ucałował jego dłoń, spokojnie udał się do drzwi, lecz zaraz za progiem gwałtownie przyspieszył.

Grupa gwardzistów została wysłana w drogę w ciągu niespełna pół godziny z rozkazem dotarcia za wszelką cenę do Vasconosy przed El Beauvalletem. Mieli często zmieniać konie, a na wypadek gdyby na jakimś postoju zabrakło wierzchowców, zostali uprawnieni do zażądania ich w imieniu Jego Wysokości. Cruza aż się palił do tego, by schwytać człowieka, który tak łatwo prześliznął mu się przez palce. Z satysfakcją przyjął wiadomość, że został dowódcą grupy. Zaklinał się, że przywiezie korsarza z powrotem w kajdanach. Cruza i jego

ludzie mieli pędzić na północ na złamanie karku z bardzo nielicznymi przerwami na odpoczynek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Okazały powóz, którym Dominica podróżowała z Madrytu na północ, jechał z największą prędkością, jaką mógł osiągnąć. Był zaprzężony w cztery konie, zmieniane na każdym postoju. Nawet Dona Beatrice ruszała się wyjątkowo zwawo jak na osobę, która zazwyczaj snuła się ospale po domu.

Powóz miał dach przystrojony piórami, a w oknach wisiały skórzane rolety, które można było ustawiać według upodobania. Dla wygody pasażerów w środku znajdowały się miękkie siedzenia wyściełane czerwonym aksamitem. Mocna konstrukcja powozu została zawieszona na solidnych skórzanych pasach, co zwiększało komfort jazdy. Było w nim dość miejsca dla dwóch dam, a także ich służących oraz licznych pakunków i toreb. Za powozem jechali lokaje, prowadząc juczne konie; po bokach strażnicy Carvalhów, ubrani w liberie.

Orszak prezentował się bardzo strojnie, jadąc przez kraj. Dominica, przyglądająca się temu wszystkiemu apatycznym wzrokiem, pomyślała, że jeśli ciotka obawiała się tego, iż zostaną wyprzedzeni przez Beauvalleta, to rzeczywiście udało jej się dobrze zabezpieczyć przed ewentualnym atakiem z jego strony.

Zmiany koni zostały wcześniej zapowiedziane. Ekwipaż zaprzęgano zawsze w najmocniejsze flamandy; silne zwierzęta szybko posuwały się naprzód, pokonując kolejne mile.

Droga była pełna wybojów i głębokich kolein, spalona słońcem na twardą skorupę; wiodła przez równiny i góry, przed którymi podwajano liczbę koni. Zatrzymywali się na noc w gospodach, codziennie podróżowali, dopóki nie było za ciemno, by jechać dalej, a ruszali w dalszą drogę z samego rana. Kiedy Dominica zapytała o przyczynę takiego pośpiechu, ciotka uśmiechnęła się i powiedziała:

- Skoro już zdecydowałam się podjąć tak niewygodną podróż, moja droga, nie zamierzam przedłużyć jej w nieskończoność.

Dona Beatrice umiała sobie podróż złośliwymi uwagami na temat Beauvalleta, który został w Madrycie. Wprawdzie starała się wyrażać jak najogólniej ze względu na obecność służących, jednak Dominica nie miała najmniejszych wątpliwości co do charakteru jej wypowiedzi.

Podskakując na swym siedzeniu niemal bez przerwy, gdyż co chwila trafiali na jakąś koleinę, starała się nie pozostać ciotce dłużna.

Odpowiadała bez zajknięcia, nasycając słowa ironią. Dona Beatrice cichutko chichotała i szczypała Dominicę w policzek, i nie obrażała się.

Domicę bardzo już męczyła ta gra w kotka i myszkę. Marząc o wolności, poprosiła o pozwolenie na konną jazdę. Powiedziała, że siedzenie w trzęsącym się powozie bardzo ją znużyło. Jeśli ciotka wyrazi zgodę, mogłaby następnego dnia przynajmniej przez dwie godziny jechać na osiodłanym koniu.

- Ależ jesteś niecierpliwa, moja droga! - ofuknęła ją ciotka. - Ale proszę bardzo, rób, co chcesz. Młoda krew się burzy? Nie wiem tylko, czy to wypada.

- Nikt mnie nie będzie widział, ciociu, a poza tym nie jestem przyzwyczajona do ścisku - odrzekła Dominica.

- No dobrze - zgodziła się Dona Beatrice i zapadła w sen.

Rano wszystko odbyło się zgodnie z prośbą Dominiki. Zeszła na dół w stroju do konnej jazdy, gotowa bronić przyznanych jej praw. Nie było jednak takiej potrzeby. Dona Beatrice wyraziła tylko żal z powodu wcześniejszego wyjazdu Diega i poprosiła stajennego, by towarzyszył młodej damie.

Dominica była w niewesołym nastroju, jednak możliwość zażycia odrobiny ruchu trochę ją ożywiła. Po powrocie do Hiszpanii miała niewiele okazji do konnej jazdy. Z rozrzewnieniem wspominała długie galopady w Santiago i towarzyszące jej tam poczucie wolności. Dobrze jeździła konno, nie bała się szybkiej jazdy, poprosiła więc stajennego, by się z nią ścigał. W końcu zwolniła, zarumieniona i wychłostana wiatrem, dała odpocząć koniowi i wróciła galopem ku powozowi. Ciotka powitała ją kpiącym uśmiechem.

- Prawdziwa z ciebie Diana, moja droga. Chciałaś mi uciec?

Dominica, zadowolona i odprężona, wsunęła zbłąkany kosmyk włosów pod siatkę.

- Nie, senora. Zresztą, cóż by to dało? - odpowiedziała szczerze.

Wróciła do powozu, jednak od tej pory zawsze przygotowywano dla niej konia.

Z dala od ciotki miała możliwość oddania się niewesołym rozmyśleniom. Nawet optymizm Joshui nie był w stanie stłumić jej obaw. Czuła się jak zdrajczyni, uciekająca od będącego w potrzebie Beauvalleta, chociaż Joshua najwyraźniej uważał, że powinna jechać do Vasconosy. Poza tym cóż by jej dało pozostanie w Madrycie,

nawet jeśli miałyby taką możliwość? Gdyby chciano ją przesłuchać, zrobiłaby wszystko, by pomóc Beauvalletowi, jednak nikt jej nie wezwał. Jeżeli byłaby mężczyzną, walczyłaby w jego obronie innymi sposobami. Oczy jej rozbliły na tę myśl, mocniej zacisnęła dłoń na szpicrucie.

Oczami wyobraźni widziała, jak sir Nicholas pędzi naprzód, spinając konia ostrogami w pościgu za luksusowym powozem, wyjmując broń, porywa ją i triumfalnie odjeżdża, śmiejąc się w głos. Pozostawało jej jednak tylko otarcie łez; ukochany był w areszcie i nigdy już po nią nie przyjedzie.

Dziesiątego dnia dotarli do ostatniego postoju przed Vasconosą. Lokaje narzekali na pośpiech.

- Można by pomyśleć, że jedzie za nami sam diabeł.

Musieli przedostać się przez strumień; powóz zjechał ze zbocza, rozchlapując płytką wodę. Koń Dominiki stanął, zbliżył się do strumienia, po czym się cofnął, jednak zmusiła go do przejścia, wspięła się na przeciwległy brzeg, odjechała kawałek i postanowiła zaczekać na powóz. Mieli trochę kłopotów z przeprawą; koła ugrzęzły w błocie i przez dłuższy czas zwierzęta na próżno wyteżały siły. Mężczyźni otoczyli powóz, próbowali go pchać, gestykulowali, kłócili się. W końcu postanowiono zaprzęgnąć dodatkowe dwa konie.

Od strony północy, gdzieś za Dominicą, rozległ się tętent kopyt. Odwróciwszy głowę, zobaczyła szybko zbliżającą się grupę zamaskowanych jeźdźców. Natychmiast wszczęła alarm, krzyknęła, zawróciła konia do brzegu, przy którym powóz wciąż tkwił w strumieniu.

- Bandyci! - zawołała. - Zamaskowani jeźdźcy! Na koń!

Mężczyźni zostawili powóz. Dwaj strażnicy natychmiast wskoczyli na konie, stangret wyciągnął muszkiet.

Dona Beatrice oparła się o poduszki siedzenia.

- Powiedziałaś „bandyci”, moja droga? Nie wierzę. To niemożliwe.

- Zamaskowani mężczyźni, senora. Nie wiem, czy to bandyci, ale nie podobali mi się.

Dona Beatrice popatrzyła na służących i ziewnęła.

- Nawet jeśli to bandyci, mamy tylu strażników, że już oni napędzą im strachu. O nic się nie bój.

- Wcale się nie boję - odparła dumnie Dominica.

Mężczyźni w pelerynach i maskach z muślinu wjechali na wzniesienie. Rozległ się krzyk, mignęła broń; bandyci zjeżdżali ze skarpy.

Dominica myślała, że ma przed sobą sześciu mężczyzn, jednak nie była już niczego pewna w zamieszaniu, jakie zapanowało po chwili. Jej serce biło mocno; w walce, która się wywiązała, było coś podejrzanego. Rozległy się strzały z pistoletów i szczęk broni, ale nikt nie został ranny.

Dona Beatrice przestała się wachlować. Zmrużyła oczy, a jej umysł zaczął szybko pracować. Wyprostowała się i oparłszy się ręką o ściankę powozu, przyglądała się dziwnej walce.

- Zadaję sobie pytanie - odezwała się spokojnie - dlaczego ci mężczyźni wcale nie zachowują się jak bandyci.

Dwóch zamaskowanych jeźdźców zbliżyło się do powozu; czyjaś ręka chwyciła za uzdę konia Dominiki. Smagnęła tę zamaskowaną twarz szpicrutą. Twardy rzemień przeciął maskę, spod której ukazał się nieogolony podbródek, mięsisty nos i szybko rozchodząca się pręga po uderzeniu. Szpicruta została wyrwana z rąk Dominiki. Krzyknęła do strażników:

- Do mnie! Do mnie, tchórze!

Stali jednak potulnie, z opuszczonymi ramionami, jak po przegranej bitwie, choć nie było wśród nich żadnego, który odniósłby obrażenia.

Dominica spięła konia ostrogami i mocno uderzyła rękę, trzymającą uzdę. Koń rzucił się do przodu, jednak porywacz zdołał szarpnąć wodze.

- Pomóżcie mi! - krzyknęła z rozpaczą. Dona Beatrice uniosła się z siedzenia, jakby

zamierzając wysiąść z powozu, jednak po chwili usiadła, wpatrzona w zamaskowanego jeźdźcę, pozostającego na uboczu. Widziała, jak odwraca głowę, by wydać rozkaz. Nie słyszała głosu, jednak wcale nie musiała go słyszeć. Kobieta zawsze rozpozna swego syna.

Sięgnęła po wachlarz i w zamyśleniu spojrzała na bratanicę, zmuszaną do wjechania na stromy brzeg. Była zdziwiona, że Diego zdecydował się uciec do tak niegodnego czynu. Nieznacznie wzruszyła ramionami. Może powinna położyć temu kres? Nie miała wątpliwości, że jedno jej słowo podziałałoby trzeźwiąco na syna, lecz

czy powinna się wtrącać? Uważała, że przesadził, jednak po chwili namysłu uznała, że trudno było wymyślić inny sposób zmuszenia bratanicy do posłuszeństwa.

Lekko uniosła ramiona w geście rezygnacji. Niech Don Diego postępuje wedle swej woli; kobiety lubią mężczyzn, którzy pokazują im, kto tu rządzi. Popatrzyła na zawodzącą służącą.

- Cicho bądź - ofuknęła ją. - Nikt nas nie atakuje i nic nie osiągniesz swymi lamentami.

Stara Carmelita wskazała drżącym palcem Dominicę.

- Senora, oni uprowadzają senioritę!

- Nie jestem ślepa - odpowiedziała Dona Beatrice - ale nie mogę nic zrobić. Na litość boską, opanuj się.

Zamaskowani jeźdźcy otoczyli Dominicę; po chwili wjechali na wzniesienie i zniknęli z pola widzenia.

Jeden ze strażników, wypchnięty przez swych towarzyszy, zbliżył się do powozu i wymamrotał coś niezrozumiałego.

- Mam nadzieję, że wiecie, co robicie - zwróciła się do niego ostro Dona Beatrice. - Nie myślcie, że jestem ociężała umysłowo. Co Don Diego wam za to obiecał?

Mężczyzna był wyraźnie zbity z tropu, przestępował z nogi na nogę, jąkał coś w odpowiedzi.

- Jesteś głupcem - rzekła Dona Beatrice, powracając do wachlowania. Ruchem wachlarza przywołała stangreta. - Gdzie mój syn zabiera Donę Dominicę?

- Senora... ja... nie wiem - odpowiedział stangret.

- Radzę ci mówić prawdę - poleciła. Stangret popatrzył na nią i pomyślał, że Dona

Beatrice ma prawo wiedzieć o wszystkim.

- Do domku myśliwskiego, senora.

- Aha! - rzekła. - Kto tam jest?

- Tylko Luis, kamerdyner.

- Zaskakujesz mnie - powiedziała. - A teraz przyłóż się do wyciągania powozu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jeźdźcy otaczali Dominicę. Walka nie miała sensu, tym bardziej że ktoś nieustannie ciągnął jej konia za uzdę. Chciała ściągnąć wodze, lecz zostały wyrwane z jej rąk. Smagnięcie w zad sprawiło, że przerażony koń rzucił się w przód. Dominica wychyliła się z siodła i uderzyła mężczyznę, który go prowadził. Roześmiał się tylko i kazał jej siedzieć spokojnie.

Szlochała w bezsilnej wściekłości, była jednak gotowa raczej zsunąć się z siodła, niż dać się tak haniebnie uprowadzić.

- Kim jesteście? - wydyszała. - Czego ode mnie chcecie? Odpowiedz mi!

Nikt się nie odezwał. Popatrzyła na zamaskowane twarze, jednak nic jej to nie dało. Spojrzała przed siebie, by zapamiętać drogę; zorientowała się, że zjechali z głównego traktu i wspinają się na łagodny pagórek w stronę lasu.

Musieli zwolnić, na drodze były kamienie, a gałęzie drzew zwisały nisko nad ich głowami. Wyboista ścieżka prowadziła przez las. Dominica upewniła się, że jadą na północ, w stronę Vasconosy.

Jeden z mężczyzn podjechał do Dominiki. Zobaczyła dłoń w eleganckiej rękawiczce, trzymającą wodze, i poczuła słodki zapach piżma. Ogarnęła ją zimna furia, która na chwilę odjęła jej mowę. Szukała słów, uznawała za niewłaściwe te, które przychodziły jej do głowy, aż w końcu odezwała się z pogardą:

- Możesz zdjąć maskę, mój bohaterski kuzynie. Już wszystko wiem.

Roześmiał się i zdjął maskę.

- Najpiękniejsza kuzynko, co za miłe spotkanie - powiedział i skłonił się.

- Senior, wkrótce zmienisz zdanie - odparła przez zaciśnięte zęby.

- Mylisz się, moja urocza kuzynko - rzekł i znów się roześmiał.

Ściągnęła wargi i przez pewien czas jechali w milczeniu. Potem Diego pochylił się i przejął wodze jej konia od swego towarzysza.

- Pozwól, że będę cię eskortował, moja miła.

- Nie mam wyboru, senior.

- Zmusiłaś mnie do tego, Dominico - powiedział cicho Don Diego.

Nienawidziła go teraz z całego serca. Próbował usprawiedliwić swoją podłość!

- Matko Najświętsza! - wykrzyknęła. - To są twoje przeprosiny, kuzynie?!

- Moja miłość do ciebie - odparł, lecz zaraz się zaczerwienił, usłyszawszy jej pogardliwy ton.

- Osobliwa miłość.

- Nietolerująca przeszkód. Rozpaczliwie cię pragnę. Nie powinnaś źle o mnie myśleć.

- W ogóle o tobie nie myślę. Ty się nie liczysz. Ściągnął brwi.

- Pokażę ci, że jest inaczej, Dominico. Ziewnęła.

- Gardzisz mną - rzekł - ale mimo to cię kocham. Upokarzałaś mnie, raniłaś mnie słowami i zimnymi spojrzeniami, lecz zdobyłem cię przemocą. Teraz poznasz, co to twarda ręka.

Obrzuciła go złym spojrzeniem, wydeła wargi.

- Twarda ręka! Może twoja? - Trzepnęła go rękawiczką. - Mój Boże, pokazałabym ci rękę, która dałaby ci nauczkę!

Zaczerwienił się.

- Zdradziłaś się, Dominico. Czyżby Beauvallet był taki silny? Jakoś nie ustrzegł się przed aresztowaniem i nie obroni przed spaleniem na stosie.

Popatrzyła na niego wzgardliwie.

- Bredzisz. Jesteś żaloszny. Na sam twój widok robi mi się niedobrze.

- Wkrótce zaśpiewasz inaczej.

- Chyba że zostanę uwolniona od twojej obecności. Wtedy istotnie będę bardzo szczęśliwa.

Zaśmiała się szyderczo.

- Kto cię uwolni, seniorita? Twój wspaniały Beauvallet, gnijący w więzieniu? Zobaczysz, jeszcze ci się znudzi czekanie na niego.

- Nie wątpię, że kawaler de Guise chętnie by mi pomógł po wyjściu na wolność.

- Jesteś sprytna - powiedział - ale przejrzałem twoją tajemnicę tego wieczoru, kiedy go aresztowano. Czemu upierasz się przy udawaniu?

Wzruszyła ramionami.

- Możesz sobie mieć różne poglądy, kuzynie, ale nie widzę powodu, dla których miałabym je podzielać. - Popatrzyła na niego. - Przypuszczam, że to porwanie to pomysł ciotki?

- Droga kuzynko, oddaj honory temu, komu się należą. Sam to wszystko zaplanowałem.

- Zdumiewasz mnie, senior. Nie sądziłam, że stać cię na tak śmiały czyn.

- Nie jestem aż tak pozbawiony życia, jak ci się może zdawać - zapewnił ją. - Skoro cieszyło cię towarzystwo korsarza, zapewne spodoba ci się i to porwanie.

- Może by mi się podobało, gdyby porywaczem okazał się inny mężczyzna.

Szarpnął się.

- Niczego nie osiągniesz taką gadaniną, droga kuzynko.

Jechali w milczeniu znaną Dominice leśną ścieżką. Wcześniej kilkakrotnie przyjeżdżała do starego domku myśliwskiego, należącego do majątku Vasconosa. Uznała za obraźliwe, że Diego uprowadza ją do domu odległego o niecałe pięć mil od miejsca, w którym będzie przebywać ciotka. Poczerwieniała ze złości.

Zatrzymali się przed drzwiami. Diego pomógł jej zsiąść z konia. Rozejrzawszy się, zobaczyła, że jeźdźcy zniknęli i pozostał tylko jeden mężczyzna, który zajął się końmi. Hańba! Domyśliła się, że jeźdźcami byli służący zatrudnieni w majątku; wyobrażała sobie, ile uśmiezków i domyślnych spojrzeń wysłali pod jej adresem. Ogarnęła ją wściekłość, nie zostawiając miejsca na strach.

Diego, który nie odstępował jej na krok, zauważył, że Dominica przytupuje ze złości.

- Najdroższa kuzynko, jesteś niezwykle piękna, kiedy się złościysz - powiedział. - Przygotowałem dla ciebie pokój na górze. Żałuję, że nie mam służącej, która mogłaby ci pomóc, ani ubrania na zmianę. Wystarczy, że powiesz, czego ci potrzeba, a Luis to dostarczy.

- Jesteś niezwykle troskliwy - zauważyła z przekąsem. - Nie zamierzam zabawić tu długo. Chciałabym wiedzieć, jakie są twoje plany.

Kamerdyner dyskretnie oddalił się do kuchni. Dominica została w holu sam na sam z kuzynem.

- Planuję małżeństwo. Myślę, że dobrze o tym wiesz.

- Tak wyglądają zaloty w Hiszpanii, senior? Podszedł do niej.

- To jedyny sposób na taką uparciuchę jak ty, Dominico.

- Czeka cię rozczarowanie, senior. To nie jest dobry sposób na zyskanie mojej przychylności.

Uśmiechnął się.

- Jesteś zmęczona po podróży i po wszystkich przejściach. Chodź, malutka, zawrzyjmy rozejm, i pozwól, że zaprowadzę cię do twojego pokoju. Porozmawiamy, kiedy trochę odpoczniesz.

Zignorowała jego wyciągniętą dłoń i ruszyła ku schodom. Zrozumiała, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo; będzie musiała zrobić wszystko, by go uniknąć. Spróbuje uciec. Dona Beatrice mogła biernie wszystkiemu przyglądać się i pozwalać synowi na wiele, jednak Dominica była przekonana, że ciotka nie włączy się w tę podłą grę. Gdyby udało jej się dotrzeć do ciotki, byłaby względnie bezpieczna.

Wkrótce jednak okazało się, że ten mglisty plan ma niewielkie szanse powodzenia. Don Diego, wprowadziwszy Dominicę do pokoju, którego okna wychodziły na niewielki ogród, zabrał klucz.

- Wybacz tę nieuprzejmość, droga kuzynko, ale muszę cię zamknąć. Przyjdę po ciebie za godzinę, w porze kolacji.

Nie była w stanie mówić. Gwałtownie obróciła się na pięcie.

Drzwi zostały zamknięte; klucz zazgrzytał w zamku.

Stała nieruchomo, dopóki słyszała skrzypienie schodów pod butami Diega. Potem szybko podeszła do okna, otworzyła je i wyjrzała na zewnątrz. Było nieokradowane, bo nie było potrzeby zakładania krat dwadzieścia stóp nad ziemią. Ściany domu nie porastało żadne pnącze; nie było nawet rynny. Skok z okna mógł grozić nawet śmiercią. Wstrząśnięta, ciężko dysząc, Dominica zacisnęła palce na parapecie, aż zbieleły jej paznokcie. W pełni uświadomiła sobie, że złoszczenie się nie ma sensu. Tędy nie ucieknie.

Odwróciła się od okna i rozejrzała po pokoju. Przy jednej ze ścian ustawiono wielkie łoże, osłonięte kotarami z czerwonego adamaszku; na pozostałych ścianach wisiały arras; była też skrzynia, krzesło, podnóżek, stół z rzeźbionymi nogami i lustro nad drugą skrzynią, na której stała miednica i srebrny dzban.

W lustrze zobaczyła zdenerwowaną młodą kobietę ze zburzoną fryzurą, w zakurczonym, wymiętym stroju do konnej jazdy. Nalała wody do miski i powoli umyła twarz i ręce. Mydło miało przyjemny, delikatny zapach, obok leżał ręcznik. Wycierając ręce i spoglądając na swoje odbicie w zwierciadle, pogrążyła się w rozmyślaniach.

Godzinę później Diego zabębnił palcami w drzwi pokoju. Lodowatym tonem pozwoliła mu wejść. Siedziała przy oknie, z rękami złożonymi na kolanach; istne uosobienie kobiecej rezygnacji. Znał ją jednak zbyt dobrze, by przypuszczać, że się poddała. Nie musiał widzieć stalowych błysków w jej oczach, by mieć pewność, że szykuje się do walki. Ukłonił się.

- Droga kuzynko, kolacja gotowa. Czy mogę towarzyszyć ci na parter?

Natychmiast wstała i podeszła do drzwi; pozwoliła nawet, by wziął ją za rękę. W milczeniu zstąpili ze schodów i przeszli przez hol do małego salonu wyłożonego boazerią z drzewa morwowego. Rozkładany stół był nakryty do posiłku. Luis stał za jednym z krzeseł w pozie wyrażającej szacunek. Dominica usiadła, starając się za wszelką cenę zachować spokój. Zapadał mrok, kotary zostały zaciągnięte, na stole zapalono świece. Dominica zmagiała się z ogarniającym ją przerażeniem.

- Menu nie jest zbyt wykwintne, droga kuzynko. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Luis jest początkującym kucharzem.

Pochyliła głowę. Jedzenie było bardzo smaczne. Podejrzewała, że Don Diego pragnął jej w ten sposób zakomunikować, że w domu są tylko oni i Luis. Mógł sobie oszczędzić tej wiadomości, pomyślała.

Nalał wina do jej kielicha.

- Skosztujesz tego wina z Alicante, kuzynko? Szybko uniosła wzrok, zaskoczona. Te słowa zabrzmiały w jej uszach dziwnie znajomo, poruszyły czułą strunę w sercu. Patrzyła na Don Diega, jednak miała przed oczami roześmianą twarz o jasnoniebieskich oczach...

„Myśli pan, że pańska córka przyjmie wino z moich rąk?”

Przeniknął ją dreszcz. Na chwilę zamknęła oczy, jakby chcąc zatrzymać ten obraz. Gdy je otworzyła, scena z kajuty na „Venture” znów odeszła w przeszłość.

- Dziękuję, kuzynie - powiedziała cicho, spokojnie podnosząc kielich.

Jadła niewiele, piła jeszcze mniej i odpowiadała monosylabami zagadującemu ją Don Diegowi. Na stół wniesiono słodczyce i dojrzałe granaty z południa. Luis wycofał się; zostali sami.

Nieznacznie odsunęła krzesło od stołu i popatrzyła na Don Diega.

- Kuzynie, oczekuję wyjaśnień. Uniósł kielich w niemym toaście.

- Wszystko jest zawarte w dwóch krótkich słowach. Kocham cię.
- Masz dziwny sposób okazywania uczuć, senior. Śmiem przypuszczać, że kochasz raczej mój majątek.

Poczuł zakłopotanie.

- Liczą się dla mnie tylko twoje wdzięki, Dominico.
- Obawiam się, że chcesz mi się przypodobać, kuzynie.

Pochylił się i wyciągnął ku niej dłoń przez stół.

- Nie bawmy się w wymianę słów, Dominico. Uwierz mi, szaleję za tobą!

- Powiedziałabym raczej, że pomieszało ci się w głowie, senior.

- Możesz to tak nazwać, a to wszystko z miłości do ciebie. Błagam, pozwól mi coś powiedzieć! Krzywdzisz mnie, uważając, że chcę wejść w posiadanie twojego majątku. Nie przeczę, że to była moja pierwsza myśl. Wtedy cię nie znałem, jeszcze nie rzuciłaś na mnie uroku. Ożeniłbym się z tobą, nawet gdybyś była uboga. - Zauważywszy, że Dominica znów ma ochotę się wtrącić, szybko kontynuował: - Nie pozostało mi nic innego, jak tylko ten sposób. Wyszedłem naprzeciw swym pragnieniom, a to była najkrótsza droga do sukcesu. Nie powinnaś mieć mi tego za złe. Jesteś teraz na mnie zła; widzę, że twoje oczy płoną oburzeniem. Jeśli chwilę się nad tym zastanowisz, zrobi ci się mnie żal, zrozumiesz mój miłosny obłęd!

- Współczuję z powodu obłędu, senior, ale litość nie jest w stanie zmusić mnie do małżeństwa z tobą.

- Dominico! - Zamierzał chwycić jej rękę, jednak szybko ją cofnęła. - Nie chciałbym zostać zmuszony do użycia siły. Nauczysz się mnie kochać, nawet jeśli teraz mnie nienawidzisz. Przestań myśleć o tym angielskim korsarzu...

- Na miłość boską, senior, wciąż jeszcze wracasz do tej bajki?! - zawołała. - Chcesz, żeby wyczerpała się moja cierpliwość?

- Jest zgubiony - powiedział z naciskiem. - Nie ma ratunku dla takich jak on. Zapomnij o nim.

Popatrzyła na niego surowo.

- Kuzynie, gadasz bez sensu, ale gdyby kawaler de Guise był moim ukochanym, a zarazem Beauvalletem, pozostałabym mu wierna nawet po śmierci. A przecież to on sprawił, że otarłam się o śmierć.

Łypnęła na nią nieprzyjaźnie.

- Z twoich ust padają ciężkie słowa, kuzynko, lecz są rzeczy trudniejsze do zniesienia niż śmierć.

W końcu wojna została wypowiedziana. Dominica ochoczo podjęła walkę. Wszystko było lepsze od tych politowania godnych zalotów.

- Kuzynie - powiedziała, zaciskając dłoń na stole. - Nie jestem dojarką ani pomywaczką, żeby jakiś pożałowania godny panicz mnie gwałcił. Jeszcze raz ci powtarzam, że żadna siła nie zmusi mnie do wyjścia za ciebie za męża.

Z nonszalancją odchylił się na oparcie krzesła, nie przestając uważnie przyglądać się Dominice.

- Pomyśl o swojej reputacji, kuzynko - rzekł z fałszywą słodyczą w głosie.

- Nic mnie ona nie obchodzi.

- Rzeczywiście? - Uśmiechnął się. - To odważne, lecz nieprzemyślane słowa. Nie okazujesz mi dobroci i uprzejmości. Dlaczego w takim razie ja mam to czynić?

- Nie mam wątpliwości, że nie okażesz żadnych ciepłych uczuć - odparła. - Jeśli myślisz, że wymusisz na mnie zgodę na małżeństwo, uciekając się do przemocy, bardzo się mylisz. Chyba jeszcze mnie nie znasz.

Uniósł kielich do warg, upił łyk, po czym oparł rękę z kielichem na poręcz krzesła.

- Mogę zrujnować twoją reputację - oznajmił. - Jeśli wyjedziesz stąd bez ślubu, już nigdy nie będziesz mogła pokazać się w towarzystwie.

- Myślisz, senor, że gdybym musiała wybierać pomiędzy małżeństwem z kimś takim jak ty a klasztorem, nie wybrałabym klasztoru?

Najwidoczniej Don Diego nie przewidział takiego rozwiązania. Gwałtownie odstawił kielich i popatrzył na Dominicę spod zmrużonych powiek. Po chwili znów oparł łokieć o poręcz krzesła i roześmiał się.

- Pusta gadanina!

- Przekonasz się, senor, jeśli wystawisz mnie na próbę.

Dolał wina, lecz nie sięgnął po kielich.

- Myślisz, że nie wiem o twoich heretyckich poglądach? - usiłował wyprowadzić ją z równowagi.

Udało jej się zachować spokój.

- To wszystko przeszłość. Jestem prawą córką Kościoła i niczego nie zdołasz mi udowodnić. Kościół mnie przyjmie, podobnie jak mój majątek, możesz być tego pewien.

- Nie wiesz, co mówisz. - Wypił wino duszkiem. - Chcesz mnie tylko wypróbować.

- Żyjesz złudzeniami, kuzynie. Nie ma takich sposobów, do których nie zdecydowałabym się uciec, byle tylko udaremnić twe nieczne zamiary. Cóż takiego oferuje mi elegancki świat, żebym musiała się go kurczowo trzymać? Jestem sama pośród wrogów, którymi, niestety, okazaliście się ty i moja ciotka.

- Jest przecież jeszcze El Beauvallet - rzekł, przyglądając się jej uważnie w poszukiwaniu śladów rumieńca.

Uniosła oczy ku niebu, jednak odpowiedziała niezwykle spokojnie.

- Że też muszę znosić twoje dziwactwa... Gdyby kawaler de Guise był El Beauvalletem i moim ukochanym, cóż by mi teraz pozostało, jak nie klasztor?

Zaśmiał się szyderczo.

- Liczenie na to, że ten sławny korsarz wyrwie wszystkie kraty i rygle.

- To ty musiałeś chyba tak myśleć, kuzynie, skoro opuściłeś Madryt w takim pośpiechu - pozwoliła sobie na cierpką uwagę.

Uśmiechnął się.

- Uważasz, że jesteś bardzo dowcipna, seniorita? Chciałbym obchodzić się z tobą łagodnie, ale zmuszasz mnie do sięgania po ostrzejsze środki. Jesteś oszołomiona; nie wiesz nawet, w jak ciężkim znalazłaś się położeniu. Robi się późno, moja kuzynko, a w domu jest tylko Luis. Zapewniam cię, że nie usłyszy twojego wołania o pomoc.

Ogarnął ją strach, jednak nie dała tego po sobie poznać.

- Twoje żądze doprowadzą cię do zguby, kuzynie. Spróbuj tylko dać im upust, a utracisz mój majątek.

Zerwał się na nogi.

- Na litość boską, kobieto, jesteś bezwstydna! - wybuchnął. - Czy taka śmiałość jest modna w Nowym Świecie? Masz swój honor za nic? Wstydz się!

- Czyżbyś ty miał go w wielkim poważaniu? - zapytała pogardliwie. - Porwałeś mnie dzisiaj w trosce o mój honor?

Zaczął przechadzać się po pokoju. Odrzucił kopnięciem stojący mu na drodze stołek. Dominica siedziała nieruchomo, obserwując kuzyna w milczeniu. Poczula przypływ odwagi. Diego najwyraźniej był niezdecydowany. Wiedziała, że z ich dwojga to ona jest silniejsza; mogła go na pewien czas powstrzymać.

W jego głowie kłębiły się tysiące myśli; szybko popatrzył na Dominicę, mijając ją podczas nerwowej przechadzki. Siedziała na krześle wyprostowana, zdecydowana. Była zdenerwowana, jednak wszystko potoczyło się zbyt szybko, by jej dziewczęca wyobraźnia zdążyła pozbawić ją odwagi. Mgliście zdawał sobie z tego sprawę. Patrząc ponownie na jej dumnie uniesioną głowę i płonące ciemne oczy, bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak spełnia swą groźbę. Miał nad nią władzę, mógł ją zniewolić, jednak instynkt mówił mu, że kuzynka jest w zbyt buntowniczym nastroju, by skapitulować.

Był szczerze zdumiony jej postawą. Nie przewidział takiego obrotu sprawy; Dominica zaskoczyła go, tak że poczuł się zbity z tropu. Siedziała teraz jak nieustraszona, niewyciężona bogini.

Wciąż chodząc po pokoju, obgryzał paznokcie, jak czynił to zawsze, ilekroć czuł się zakłopotany. Znał się na kobietach, miał z wieloma do czynienia, jednak tej dziewczyny zupełnie nie rozumiał.

Po namyśle doszedł do wniosku, że jej bojowy nastrój nie potrwa długo. Nie była boginią, lecz zwykłą kobietą znajdującą się teraz w stanie oszołomienia, które wkrótce minie. Postanowił zaczekać w nadziei, że niepewność pozbawi ją odwagi.

Zatrzymał się przed Dominica.

- Zobaczmy, jak będziesz się czuła i co pomyślisz rano, kuzynko - rzekł. - Mam nadzieję, że wróci ci rozsądek. Jesteś przemęczona i nie będę teraz cię ponaglał, nie chcę też uciekać się do przemocy. Ale pamiętaj! Jeśli jutro wieczorem nie otrzymam od ciebie obietnicy, że za mnie wyjdiesz, nie będę już taki miły. Jeśli nie zechcesz połączyć się ze mną świętym węzłem małżeńskim w Kościele, będziesz moja i bez ślubu. Masz noc i dzień na decyzję, czy chcesz być moją żoną, czy metresą. Możesz być pewna, że zostaniesz jedną albo drugą. Przyrzekam ci to!

Opuściło ją napięcie. Zamknęła oczy, by Diego nie zobaczył w nich wyrazu ulgi. W ciągu nocy i dnia mogło jeszcze wiele się zdarzyć; wciąż tliła się w niej nadzieja.

Wstała.

- W takim razie chciałabym już udać się do swego pokoju, senor
- powiedziała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Ilekcroć Joshua wspominał potem tę szaleńczą jazdę przez Hiszpanię, z niedowierzaniem kręcił głową.

- Zapytacie mnie, jak tego dokonaliśmy? - mówił. - Odpowiem bardzo prosto: sam nie wiem jak. Bez kłopotu wyjechaliśmy z Madrytu, nikt nas nie zatrzymywał. Dlaczego zresztą ktoś miałby zatrzymywać? Mój pan nosił na szyi Order Złotego Runa, ładne, dobrze widoczne odznaczenie, jak mi się wydaje, mogące równać się szacownością z naszym Orderem Podwiązki. Daję wam słowo, że to robiło wrażenie na wszystkich. Jeśli ktoś o coś pytał, odpowiadaliśmy, że jesteśmy wysłannikami króla, i, jak się domyślacie, nie czekaliśmy na reakcję. Pierwszą noc jechaliśmy, nieściągając wodzy. Dziękowałem Jowiszowi, bardzo ważnej dla mnie planecie, że na niebie widać księżyc, bo inaczej bylibyśmy zgubieni. Minęliśmy jakieś miasteczko... pewnie go nie znacie, ja zresztą też nie... pojawiły się chmury i musieliśmy miotać się na oślep pomiędzy koleinami a kamieniami. Jeśli dobrze pamiętam, dwa razy zgubiliśmy drogę. Myślałem, że pokaleczę się o wiszące gałęzie drzew, potem grzęźliśmy w jakimś mokradle. „Nie trać ducha!” - zawołał sir Nicholas. Co za szalona wyprawa! Szukaliśmy drogi, co chwila się o coś potykając i wiedząc, że mamy za plecami chyba wszystkich mieszkańców Hiszpanii. „Spokojnie, spokojnie” - powtarzał sir Nicholas, ale wątpię, żeby tak myślał. Czyżby naprawdę się zgubił? - zadałem sobie pytanie. Nawet jeśli tak się stało, to co z tego? Wystarczyło po prostu jechać na północ.

- Wstał świt, zerwał się silny wiatr, który śmiało mógł złamać człowieka na pół. Chyba jeszcze nigdy tak się nie cieszyłem ze światła dziennego. Natrafiliśmy na drogę... pożałuj Boże, trudno było ją wypatrzeć w szczerym polu, i popędziliśmy. Konie ledwie żyły po tej jeździe. Mój wierzchowiec okulał. Dotarliśmy do następnego postoju, pokonując ostatni odcinek w żółwym tempie. Przejechaliśmy już wiele mil od Madrytu. Głowa mi opadała ze zmęczenia, w oczach miałem piach. Ale to się nie liczyło. „Jak się pan czuje?” - zapytałem. „Doskonale” - odparł sir Nicholas, jakbyśmy wrócili z polowania. Bo też i prawdę mówiąc braliśmy udział w polowaniu, tyle że sir Nicholas był zwierzyną. Nie przeczę, że on sam także polował i zapewne bardziej interesowała go jego zdobycz niż ścigająca go sfora. Ja też wolałem o tym nie myśleć, gdyż jestem z natury bojaźliwy, a

poza tym w gospodzie wysypała mi się sól, a trudno uznać takie zdarzenie za dobry omen. Mimo wszystko starałem się dzielnie trzymać, pamiętając o przepowiedni, która pozwalała mi przypuszczać, że nie skończę na szubienicy ani na stosie. Poza tym ktoś, kto brał udział w wyprawach sir Nicholasa, nie powinien pamiętać o strachu.

- Zatrzymaliśmy się właściwie tylko po to, żeby się posilić. Niektórzy przyglądali nam się podejrzliwie. Pamiętam mężczyznę o wyglądzie łasicy, który koniecznie chciał wywęszyć, co tam robimy. Nie udało mu się. Zjedliśmy szybki posiłek i w nogi, wciąż nie spaliśmy. Łapaliśmy coś do jedzenia, przepłukiwaliśmy gardła kielichem wina i znów ruszaliśmy. Pamiętam, że któregoś dnia jechałem na pięknym koniu, trudnym do prowadzenia, ale szybkim jak strzała. Sir Nicholas miał konia berberyjskiego, rącznie zwierzę, ale mój w tym samym czasie pokonywał dwukrotnie dłuższy dystans. Ale mniejsza o to. Pędziliśmy, nie dając odpoczynku sobie ani wierzchowcom. Tak to jest, jak się bierze udział w wyprawach sir Nicholasa. Jednak nie narzekam. „Niech Bóg ma pana w swej opiece!” - wołałem, odwracając się w siodle. „Zamierza pan tak jechać do końca świata?” Wtedy zatrzymaliśmy się na dłużej na następnym postoju.

„Wyprzedzamy ich znacznie” - orzekł mój pan, rozprostowując ramiona. „Idę spać”. Możecie mi wierzyć, klapnąłem tam, gdzie stałem, i tak zasnąłem.

- Wszystko jakoś się toczyło. Gdzieś tam nas skontrolowali, gdzie indziej mieliśmy małego pecha. Na przykład na jednym postoju nie było koni. Straciliśmy tam sześć godzin; bardzo dużo czasu, jeśli jest się ściganym. Jednak sir Nicholas znosił wszystko ze spokojem. Bałem się, ale jakoś szło. W końcu nie na darmo był panem na okręcie. Braliśmy najlepsze konie, sypiąc dukatami. Kto by nam odmówił? Gdyby ktoś nie sprzedał nam konia po dobroci, zostałby okradziony. Prawdę mówiąc, kiedy dawaliśmy to do zrozumienia, nie było kłopotu z kupnem. Jeśli ktoś pytał, po co nam te konie, mówiliśmy, że jesteśmy wysłannikami króla. Czy żądali dowodów? Machaliśmy im przed nosem złożonym kawałkiem papieru (był to spis koszul i innych ubrań oddanych do praczki, ale nikt o tym nie wiedział). To wystarczało. A jaki był cel naszej podróży? Cóż, uciekł niebezpieczny angielski korsarz, wcielony diabeł. Co to za korsarz?

Sam El Beauvallet! Ależ się wtedy robiło zamieszanie! Odjeżdżaliśmy, a ci głupcy wciąż o tym rozprawiali.

- Gdzieś na południe od Burgos przytrafił nam się prawdziwy pech. Nie było konia, który nie miałby obrzęku na pęcinnie albo dopiero co wyleczył się z kulawizny. Zatrzymaliśmy się na noc w zajeździe, bardzo hałaśliwym miejscu, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Już mieliśmy zacząć się rozbierać, ale jakoś nam zeszło. Nagle usłyszeliśmy tętent kopyt. Mój pan natychmiast stał się czujny. Przyniósł miecz, ja wyjąłem sztylet. Jakiś mężczyzna minął naszą gospodę, wznecając za sobą chmurę pyłu. Kiedy kurz opadł, jeźdźca nie było już widać, ale wcześniej zauważyłem, że miał wygląd żołnierza. Chwiał się w siodle; nic w tym dziwnego, skoro udało mu się nas wyprzedzić! Zważcie, że nie jechaliśmy w spacerowym tempie. Ale ten jeździec nie podążał naszym śladem. O ile się nie mylę, pędził do granicy. Mogliśmy stanąć na drodze i skrzywić się na jego widok; nie zwróciłby na to uwagi. Miał rozkaz dotrzeć do granicy i nakazać jej zamknięcie. Dlatego wydaje mi się, że mogliśmy ujawniać się po drodze i bylibyśmy nawet lepiej obsługiwani. Wieśniacy bali się mojego pana jak zarazy... ale wielcy panowie, z tego, co widziałem, też mieli przed nim potężnego stracha. - Udało nam się tam dojechać w siedem dni, a mogło być jeszcze lepiej, gdyby nie ten pech na południe od Burgos. Byłem zadowolony, kiedy w Burgos wreszcie zjechaliśmy z głównej drogi i udaliśmy się na północny zachód w stronę Vasconosy. To znaczyło, że zostawiliśmy za sobą pogoń, bo ci, którzy nie jechali do granicy, z pewnością kierowali się na wschód, do Santander. To była szalona podróż. Prawdziwy cud, że wyszliśmy z niej cało!

Cud czy nie cud, siódmego dnia o zmierzchu dojechali do Vasconosy. W wiosce stała gospoda, a oprócz niej były tam tylko nędzne chałupy i wielka rezydencja.

Joshua wykonał kawał dobrej roboty, podczas, gdy sir Nicholas mył się i zmieniał ubranie. Był zajęty przystrzyganiem bródki, kiedy sługa wszedł do pokoju, dumnie wypinając pierś.

- Dowiedzieliśmy się paru rzeczy, które powinny pana zadowolić. Do wielkiego domu, który widzieliśmy, przyjechała wczoraj wieczorem rodzina, ale nic więcej jeszcze o niej nie słyszano. Możemy bez trudu wejść na teren rezydencji, przez sam ogród prowadzi kilkanaście dróg, nie wystawiono straży z wyjątkiem

wartowników przy bramie i stajniach. Widać uważają, że nie ma się czego obawiać. Jak mogą tak myśleć, skoro depce im po piętach El Beauvallet?

- A co z naszą drogą ucieczki? - przerwał mu sir Nicholas, zaczesując bródkę w szpic. - Zorientowałeś się?

- Proszę się nie obawiać, że coś przeoczę. Czeka nas jeszcze krótka jazda na przełaj, przez wzgórza, a potem dojedziemy do całkiem przyzwoitej drogi, która poprowadzi nas aż do Villanovy. Może mnie pan zapytać, jak się tego wszystkiego dowiedziałem, nie zdradzając naszych zamiarów barmanowi? Bardzo prosto. Głośno narzekałem, że nie ma tu żadnej drogi. Na południu, powiedziałem, sytuacja jest dużo lepsza.

To sprawiło, że kogut zaczął pisać. „Ha! - powiedział - musisz wiedzieć, że jest droga, prowadząca do głównego traktu jakieś dziesięć mil na wschód od rezydencji i jeszcze druga, która wiedzie do Villanovy lasem, obok domku myśliwskiego”.

- Znaleźliśmy Villanovę na mapie - rzekł sir Nicholas. - Co to za domek myśliwski?

- Może być pan spokojny, że o to zapytałem. Nie musimy się nim interesować. To po prostu letnia rezydencja, w której bywa ten pajac, Diego. Myślę, że nieźle się tam zabawia. Domek znajduje się jakieś pięć mil stąd, a droga zaczyna się niecałe sto jardów od tej gospody. Sprawdziłem to. Wydaje mi się, że jeśli pan zamierza uprowadzić tę damę, to przygotuję konie i uwiążę je w lasku niedaleko rezydencji, żebyśmy mogli jak najszybciej ruszyć w drogę. - Zauważywszy, że sir Nicholas ma na sobie świeżą krezę, wyjął pałeczkę ze swego wamsa. - Pan pozwoli, że ułożymy fałdy tej krezy. Mam zdobyć trzeciego konia z damskim siodłem?

Sir Nicholas zastanowił się, patrząc w lustro.

- Wolę nie podejmować takiego ryzyka - odrzekł po chwili namysłu. - Nie chcemy, żeby zaczęto coś podejrzewać. Będę wiozł swoją panią przed sobą do Villanovy. - Popatrzył w okno, za którym zapadał zmrok. - Jest już wystarczająco ciemno, żeby zaczynać - rzekł. - Znajdziesz tę drogę w razie potrzeby?

- Dobrze wszystko zapamiętałem. - Joshua schował pałeczkę. - Chciałbym wiedzieć, jakie ma pan plany.

Sir Nicholas wstał z krzesła; oczy mu rozblęły.

- Sam chciałbym je znać, Joshuo - odpowiedział z rozbijającą szczerością.

Joshua z troską pokręcił głową.

- Tak nie można. Chce pan uprowadzić tę szlachetną damę jeszcze tej nocy, nie mając planu?

- Sam nie wiem, co może się wydarzyć. Opracowywałem wiele planów, ale poruszam się po omacku, mój drogi przyjacielu, i muszę zdać się na wyczucie. Może zabiorę ją dzisiaj, jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, a może jeszcze się wstrzymam. Na wszelki wypadek weźmy konie. Znajdź świeże konie i wymyśl na poczekaniu jakieś kłamstwo.

Joshua zmierzał do drzwi.

- Pozwolę sobie zauważyć, panie, że człowiek musi niezwykle szybko myśleć, żeby zorientować się we wszystkim, co pan mówi - powiedział na odchodnym.

Sir Nicholas nie pytał, jaką bajeczkę wymyślił Joshua, kiedy sługa powrócił dwadzieścia minut później. Trzymał dwa konie przy drzwiach gospody, a właściciel zajazdu sprawiał wrażenie zadowolonego. Sir Nicholas spiął pelerynę na ramieniu i ruszył.

Szybko dojechali do lasu, o którym mówił Joshua. Za drzewami znajdował się niski mur, kruszący się i porośnięty bluszczem, ogradzający ogród rezydencji. Można było przedostać się przez niego bez trudu. Konie zostały uwiązane wśród drzew, niecałe sto jardów od drogi. Sir Nicholas lekko przeskoczył przez mur, podpierając się ręką; Joshua wspiął się za nim.

Znaleźli się za żywopłotem z cisów przy brukowanej alejce. Przeszli przez jeden z otworów wyciętych w gąszczu i stanęli w pewnej odległości od domu, mającego w ciemności. W otwartym oknie na parterze paliło się światło, podobnie jak w jednym z okien na piętrze. Poza tym dom wydawał się pusty; niewykluczone również, że zamknięto okiennice.

- Zastawiam cię przy tym żywopłocie - wyszeptał sir Nicholas. - Idę się rozejrzeć. - Ruszył przez odsłoniętą część ogrodu, zanim Joshua zdążył zaprotestować; z gołą głową i dłonią opartą na rękojeści miecza.

Joshua widział, jak jego pan dochodzi do okna, a potem na dłuższy czas zniknął mu z oczu. Najprawdopodobniej sprawdzał, co

znajduje się za ciemnymi oknami. Joshua zadrżał i szczerzej otulił się peleryną.

Zza okiennic nie dobiegały żadne dźwięki, nie było też widać światła. Dom był pogrążony w niepokojącej ciszy. Może w tej jego części nikt nie mieszkał. Sir Nicholas doszedł do otwartego okna, przypadł do muru i ostrożnie zajrzał do wnętrza.

Pokój, a właściwie salonik, był niezwykle elegancko umeblowany. W fotelu, stojącym ukośnie do okna, siedziała Dona Beatrice de Carvalho, czytając oprawny w złoconą skórę tom.

Sir Nicholas przyglądał się jej przez chwilę, po czym zdał się na los, położył ręce na parapecie i bezszelestnie przełożył nogę.

Dona Beatrice, ziewająca nad książką, usłyszała cichy szelest i stuk. Odwróciwszy się w stronę okna, struchlała; książka wypadła jej z rąk.

- Serdecznie witam, senora - powiedział uprzejmie sir Nicholas, wchodząc do wnętrza.

Dona Beatrice zmusiła się do opanowania.

- Mój drogi kawaler - odparła, przeciągając samogłoski. - A może powinnam powiedzieć: mój drogi senor Beauvallet?

- Miała pani jakieś wątpliwości? - zapytał sir Nicholas, unosząc brew.

- Prawie żadnych. Jest pan niezwykle odważny, senor. Przyznaję, że pana lubię. Ale co pan tu robi?

- Szczerze mówiąc, senora, zamierzam uprowadzić pani bratanicę - wyjaśnił sir Nicholas. Podszedł do drzwi, otworzył je i rozejrzał się po korytarzu. Nie było tam nikogo. Zamknął drzwi i wrócił do pokoju. - Jeśli pani czarujący syn jest gdzieś w pobliżu, to chętnie skrzyżowałbym z nim ostrza - dodał.

Roześmiała się, szczerze rozbawiona.

- Jest pan uroczy - powiedziała. - Czy spodziewa się pan, że będę się temu biernie przyglądać?

Uśmiechnął się rozbrawiająco.

- Jeśli o to chodzi, senora, to obawiam się, że będę musiał panią potraktować dość obcesowo - rzekł. - Nie mam w zwyczaju walczyć z kobietami i nie chciałbym, żeby pani uznała mnie za brutala, ale związę panią i zaknebluję. - Uśmiechnął się szerzej. - Proszę się niczego nie obawiać, nie wyrządę pani krzywdy.

Była zupełnie spokojna.

- Matko Boska! Ależ z pana desperat! Co pana napadło, żeby wejść przez to okno, senor Beauvallet?

- Tylko ono było otwarte - odparł z prostotą.

- Mógł się pan natknąć na mojego syna, senor, a nie na mnie.

- Miałem taką nadzieję, ale nie dopisało mi szczęście.

- Owszem, senor, nie ma pan szczęścia - powiedziała.

- Naprawdę, senora? - W niebieskich oczach pojawiła się raptem czujność.

- Oj, obawiam się, że nie. Będzie musiał się pan zadowolić moim towarzystwem. Przyznaję, że nawet nie marzyłam o takich atrakcjach tego nudnego wieczoru. Jestem w domu sama ze służącymi.

- Zdumiewa mnie pani, senora - powiedział sir Nicholas, uprzejmie okazując zaskoczenie.

- Może pan przeszukać dom, jeśli to ma pana uspokoić - zachęcała. - Nie ma we mnie ani odrobiny przebiegłości. Nie uważa pan, że to zabawna sytuacja?

Sir Nicholas przysiadł na skraju stolika.

- Rzeczywiście, tego się nie spodziewałem - przyznał. - Zapewne zdaje sobie pani sprawę, że mój geniusz w pełni objawia się w nieoczekiwanych sytuacjach. Gdzie pani syn zabrał Donę Dominicę?

Była przygotowana na to pytanie.

- Senor, Diego udał się na poszukiwanie Doni Dominiki. Wczoraj, jakieś dziesięć mil stąd, nasz powóz został napadnięty przez bandytów, którzy uprowadzili moją bratanicę.

- „Bandyci” to dobre słowo na określenie jej porywaczy - zauważył ironicznie sir Nicholas. - Teraz już wiem, dlaczego pani jest taka wzburzona, senora. To musiało być dla pani przerażające. Ukochana bratanica została porwana przez bandytów! - Ton jego głosu gwałtownie się zmienił, Dona Beatrice zobaczyła, że oczy Beauvalleta miotają zimne błyski. - No, senora - zachęcił. - Proszę okazać odrobinę rozsądku. Dokąd ją zabrał?

- Gdyby to on ją uprowadził, z pewnością nie życzyłby sobie, bym udzielała panu informacji na ten temat.

Mózg sir Nicholasa pracował na pełnych obrotach.

- Myślę, że i tak wszystko mi już pani wyjawiała - oznajmił. - Jakies pięć mil stąd znajduje się domek myśliwski, nieprawdaż?

Przez twarz Beatrice przemknął cień panicznego strachu; a może było to tylko poirytowanie? Sir Nicholas czekał na ten znak jak jastrząb na swą ofiarę.

- Stokrotne dzięki, senora.

Wstał. W jego oczach nie było uśmiechu; iskrzyły się złością, a pięknie wykrojone wargi były zaciśnięte w gniewną kreskę.

- Widocznie wie pan więcej niż ja, senior. - Wzruszyła ramionami.

Patrzył na nią przez chwilę; roześmiała się i odwróciła wzrok.

- Jestem pewien - powiedział sir Nicholas - że będzie o jednego łotra mniej, jeśli rozprawię się z Don Diegiem de Carvalhem. A jeśli chodzi o panią, senora... - Urwał i nadstawił ucha. Słysząc było tętent zbliżających się koni. Szybko postąpił krok i jeszcze zanim Dona Beatrice zdołała się poruszyć, nakrył jej usta dłonią, a drugą chwycił za ramię. Przed domem dał się słyszeć stukot końskich kopyt. W tej samej chwili znad parapetu wyjrzała przerażona twarz Joshui.

Beauvallet pytająco uniósł brwi. - Ludzie króla! - wyszeptał Joshua. Sir Nicholas kiwnął głową.

- Szybko podrzyj swoją pelerynę. Ruszaj się żwawo! - Puścił ramię Beatrice de Carvalho i wyjął chustkę z rękawa wamsa, po czym bezceremonialnie wepchnął ją do ust kobiety. Wciąż nie czując lęku, zdolna do ironizowania, w pewien sposób podziwiała jego chłodne opanowanie. Pomyślała, że w niczym nie przypomina mężczyzny, który tak wesoło zabawiał ją w Madrycie. Miał okrucieństwo w oczach; tego, kto stanąłby mu teraz na drodze, czekała szybka śmierć.

Joshua wrzucił oddarte kawałki peleryny do pokoju. Zadrżał na całym ciele, słysząc głośnie pukanie do frontowych drzwi.

- Na litość boską, panie...!

Sir Nicholas nie odezwał się. Szybkimi, pewnymi ruchami zawiązał pas tkaniny dookoła zakneblowanych ust Beatrice de Carvalho. Drugim pasem unieruchomił jej ręce wzdłuż tułowia. Nie stawiała oporu; jej oczy błyszczały wesoło znad przepaski. Jeśli wysłannicy króla stali pod drzwiami, Beauvallet był zgubiony.

Rozległ się odgłos szybkich kroków w korytarzu; służący biegli do drzwi. Sir Nicholas pochylił się, zawiązał trzeci pas wokół szerokich spódnic damy, by spętać nogi.

- W imieniu króla! - W korytarzu rozległ się głos nieznoszący sprzeciwu; najwyraźniej drzwi stały już otworem.

Sir Nicholas uśmiechnął się ponuro.

- No, senora!. - powiedział i uniósł ją. Nie była lekka, jednak bez trudu doszedł do okna. Teraz nie było już wesołości w jej oczach; wydawała się przerażona. Nie spodziewała się takiego rozwiązania.

- Weź tę damę! - rozkazał sir Nicholas, podając Donę Beatrice Joshui.

- Co cię napadło, panie? - wyszeptał Joshua. - Odszedłeś od zmysłów? Wychodź stamtąd! Na miłość boską, szybciej!

- Już idę - odpowiedział sir Nicholas, zręcznie przeskakując parapet. Wziął zakładniczkę ze strudzonych ramion Joshui i przelożywszy ją sobie przez ramię, przeniósł pod mur ogrodu.

- Jesteśmy zgubieni! Zgubieni! - jęczał Joshua. - A w dodatku taszczy pan nie tę damę co trzeba. Co teraz z nami będzie, panie? Dokąd...?

- Do domku myśliwskiego - wycedził sir Nicholas przez zęby. - Zostawimy „nie tę damę co trzeba” w zaroślach. Nie sędzę, żeby natychmiast rzucono się jej na pomoc. - Położył Donę Beatrice na ogrodzeniu, wspiął się i uniósł ją znowu. Została zaniesiona w gąszcz drzew, do miejsca, gdzie czekały konie, i tam zostawiona. Sir Nicholas odwiązał konia od drzewa i chwycił go za uzdę. Na chwilę spojrzał na Donę Beatrice, która nie kryła wściekłości.

- Senora - powiedział - proszę nie narzekać na swą sytuację. Gdyby była pani mężczyzną, już by pani nie żyła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Odnaleźli prowadzącą przez las ścieżkę. Koń Beauvalleta, spięty ostrogami, rzucił się naprzód. Jadący obok swego pana Joshua, popatrzył z niepokojem w jego ponurą twarz.

- O co chodzi? - zapytał z lękiem.

- Don Diego od wczoraj trzyma moją panią w domku myśliwskim - odrzekł krótko sir Nicholas.

Joshua otworzył usta. Natychmiast zrozumiał, dlaczego w oczach sir Nicholasa zobaczył mordercze błyski. To była zła wiadomość; najgorsza, jakiej mogli się spodziewać. Natychmiast zapłonął oburzeniem.

- Ach, ty łotrze! Niegodziwcze! Poderżniemy ci gardło!

Pogalopowali trawiastą ścieżką. Po obu jej stronach wznosiły się wysokie drzewa, wyglądające w ciemności jak upiory.

- Dobrze się składa, że to niezła dróżka, nie mieliśmy czasu, żeby starannie opracować szlak - zauważył Joshua.

Sir Nicholas poderwał konia, by się nie potknął. Odwrócił głowę.

- Jesteśmy w opałach, mój Joshuo - powiedział, nieznacznie potrząsając mieczem.

- Pozwolę sobie wyrazić opinię, że nie ma w tym nic niezwykłego - stwierdził filozoficznie Joshua.

- Jak myślisz, ilu tam może być ludzi?

- Tylu, że sobie poradzimy - odpowiedział oschle Joshua. - Skoro zostawiliśmy tę tłustą damę z zakneblowaną twarzą w lasku... Po namyśle uznałem, że to słuszne wyjście... Mamy szansę na ucieczkę.

- Nie sądzę - odparł spokojnie sir Nicholas. - Wprawdzie mogą stracić trochę czasu na szukanie Beatrice de Carvalho, ale, jeśli dobrze odgadłem, co się stało, to służący z tego majątku wiedzą, gdzie jest Dona Dominica, i poślą tam gwardzistów.

Joshua zaniepokoił się.

- Mój panie, co się dzieje? Strach cię obleciał? Skoro tak, to naprawdę jesteśmy zgubieni.

Odpowiedzią był śmiech.

- Łajdaku, nie wiesz jeszcze, kiedy jestem w nastroju do walki?

- Oczywiście, że wiem - zapewnił Joshua. - Pozwolę sobie zauważyć, że w tej chwili jest pan naprawdę niebezpieczny. Polecają głowy, widzę poderżnięte gardła.

Jechali w ciszy, strzemię przy strzemieniu. Beauvallet odezwał się pierwszy.

- Pewnie będę musiał zmylić pogoń. Pojedziesz z moją panią północno - zachodnią drogą do Villanovy i tam będziesz na mnie czekał. Zrozumiałeś?

- Panie, chcesz, żebym cię opuścił? - zapytał Joshua, najwyraźniej urażony. - Coś podobnego! To nieładnie.

Zobaczył dobrze znany błysk w oku Beauvalleta.

- Oho! - powiedział cicho Sir Nicholas. - Kto tu rozkazuje, przyjacielu? Myślę, że zrobisz, jak mówię, bo popamiętasz!

- Ładne traktowanie, nie ma co - skwitował Joshua. - Proszę sobie folgować; nie przeczę, że to pan rządzi.

- Jeśli nas dogonią - kontynuował sir Nicholas, nie zwracając uwagi na aluzje dotyczące jego srogości - w co nie wątpię, pędź z moją panią ile sił do Villanovy i tam na mnie czekajcie. Zrozumiano?

- Tak, oczywiście. A jeśli pan nie przyjedzie?

- Ręczę ci, że przyjadę! - zapewnił Beauvallet. - Co, boisz się o mnie? W takim razie wiedz, że jeszcze nigdy dotąd nie miałem takiej ochoty zmierzyć się ze śmiercią.

- Bez trudu mogę w to uwierzyć i dodam, że wcale mnie to nie uspokaja - rzekł Joshua. Popatrzył przed siebie i zwolnił. - Musimy być cicho! Co to?

Przed nimi pojawił się dom, do którego prowadziła wychodząca na ścieżkę furka. W odległości około trzystu jardów za budynkiem znajdował się następny, niski. Joshua domyślił się, że to stajnie.

Sir Nicholas zsunął się z siodła i chwycił konia za uzdę.

- To musi być to miejsce. Idź za mną. - Poprowadził Joshuę w gęstwinę drzew. Mech tłumiał odgłos kopyt, okrążyli dom od tyłu. Szybko przywiązali konie do młodego drzewka. Sir Nicholas odpiął pendent i wyciągnął broń. - Nie chcę, żeby to mnie krępowało - powiedział, odkładając pochwę na ziemię. Przebiegł wzrokiem tylną ścianę, zauważając oświetlone okno na piętrze. - Jesteś tam, moja ptaszyno? - mruknął. - Wkrótce się zobaczymy. A teraz jestem do pańskiej dyspozycji, Don Diego de Carvalho!

Szybko obeszli dom, kierując się do wejścia. Joshua wyjął swój długi sztylet i bezszelestnie podążył za sir Nicholasem, który szedł pewnym krokiem, z mieczem w dłoni. Zapukał grawerowaną rękojeścią w drzwi.

- Boże, ależ my kusimy los! - wymamrotał Joshua, przerażony.

Usłyszeli czyjeś nieśpieszne kroki z wnętrza domu. Sir Nicholas znów natarczywie zapukał, a Joshua mocniej ścisnął rękojeść sztyletu.

Ktoś podszedł do drzwi, uchyliły się nieznacznie i wyjrzał przez nie kamerdyner, Luis.

- Kto tam? Czego chcecie?

Joshua przyłożył mu sztylet do gardła.

- Cicho, przyjacielu, ani mru - mru, bo będzie po tobie - ostrzegł szeptem.

Mężczyzna wybałuszył oczy, jego usta poruszyły się bezgłośnie.

- Zwiąż go - rzucił sir Nicholas, wchodząc do domu.

W kinkietach paliły się świece; po jednej stronie holu znajdowały się schody, z drugiej były drzwi, które teraz otworzyły się gwałtownie i wybiegł z nich Don Diego z rapierem w dłoni i przerażeniem na twarzy.

- Tu nie wolno wchodzić! - zawołał i nagle się cofnął. - Jezu! - wydyszał, zbladł i zaczął się trząść na całym ciele, tocząc dookoła dzikim wzrokiem. W drzwiach stał El Beauvallet, wysoki, dumnie wyprostowany, z charakterystycznym diabelskim uśmiechem na twarzy; mściciel, wysłannik piekieł.

Światło świecy zamigotało w ostrzu miecza Beauvalleta. Trzymając broń z obu końców, wygiął giętką stal w łuk. Oniemiały Don Diego zobaczył białe zęby obnażone w uśmiechu.

- Ktoś tu wszedł - powiedział sir Nicholas. Wkroczył do holu zdecydowanym krokiem; istne uosobienie grozy. - Mam zaszczyt przedstawić się panu, senor, w prawdziwym wcieleniu. - Stał pośrodku holu na szeroko rozstawionych nogach. - Jestem El Beauvallet, Don Diego, i przybyłem tu, żeby wyrównać nasze rachunki! - obwieścił donośnie, dumnie wysuwając brodę. Don Diego oparł się o ścianę.

- Czary! Czary! - wymamrotał, broń zadrżała mu w dłoni.

Wesoły śmiech wzleciał aż pod sufit.

- Naprawdę tak myślisz, łotrze? - Beauvallet puścił z jednej strony miecz i ostrze się wyprostowało. Potrząsnął bronią przed twarzą Diega. - Chodź, tchórzliwy psie! Chyba że mam nadzieję cię na ostrze tam, gdzie drżysz ze strachu? Wybieraj, byle szybko! Śmierć czeka jednego z nas, a jestem pewien, że nie mnie!

Dominica przyklęka przy zamkniętych drzwiach z twarzą przyciśniętą do szpary. Usłyszawszy dźwięczny śmiech, poczuła ogarniającą ją radość. Na chwilę znieruchomiła, po czym zerwała się na nogi i zaczęła walić pięściami w drzwi.

- Nicholas! Nicholas! Jestem tutaj, zamknięta! - krzyczała.

Usłyszał ją, uniósł głowę.

- Spokojnie, ptaszyno, bądź dzielna! - zawołał. - Zaraz po ciebie przyjdę!

Oparła się o drzwi, jednocześnie śmiejąc się i płacząc. Tak jak się spodziewała, przyjechał po nią i zdążył na czas.

Na parterze Don Diego ochłonął już po szoku. Na jego policzki powrócił kolor. Wyciągnął sztylet, po czym z uniesionym rapierem powoli ruszył w stronę Beauvalleta.

- Nędzny piracie! Pójdiesz do piekła jeszcze tej nocy!

- Za tobą, senor, za tobą! - rzucił beztrąsko sir Nicholas, odpierając mieczem ostrze rapiera. Rozległ się szczeł stali, Don Diego odskoczył w bok.

Sir Nicholas nie dał mu chwili wytchnienia. Najpierw okrążyli się, po czym nastąpiły ataki i zręczne parowanie ciosów; błyszczały podbijane ostrza; słycać było szczeł stali i szybki tupot.

Don Diego walczył zaciekle, z ustami wykrzywionymi w pogardliwym grymasie, ze ściągniętymi brwiami. W pewnej chwili wymierzył prosto w serce Beauvalleta, lecz cios został odparowany przez słynne ostrze Ferrary. Don Diego w ostatniej chwili złapał równowagę. Sir Nicholas zachował czujność; w jego oczach i na wargach czaił się uśmiezek; w ogniu walki zapomniał o bożym świecie. Nie przechwalał się, mówiąc bratu, że doskonale włada bronią. Diego uważał się za mistrza, jednak teraz czuł, że przeciwnik przewyższa go biegłością w sztuce walki. Miał niespożyte siły, uchylał się przed ciosami, które powinny sięgnąć celu. Ten wcielony diabeł, który śmiał się, wykonując ataki, był istotnie niepokonany. Diego kilka razy był o krok od śmierci. Musiał walczyć o życie, choć wcześniej myślał, że szybko rozprawi się z przeciwnikiem.

- Śmieć się, śmieć, psie! - dyszał, odbijając cios. - Zaraz będziesz się śmiał w piekle!

- Idź tam i uprzedź o moim nadejściu, senor! - zawołał wesoło sir Nicholas, przyspieszając akcję.

Walka stawała się coraz bardziej zacięta. Don Diego pomалу oddawał pole. Teraz usiłował już tylko powstrzymać ciosy przeciwnika i rozpaczliwie się cofał. Ostrze sięgnęło jego szyi, odskoczył, był zmuszony cofnąć się jeszcze dalej. Ciężko dysząc, zlany potem, walczył o każdy cal.

W oddali rozległ się galop.

- Kończ, panie! - zawołał Joshua.

Don Diego wykonał pchnięcie w stronę serca Beauvalleta.

- Wyjdiesz stąd... w kajdanach! - wydyszał. Ostrza na chwilę się zwały, po czym sir Nicholas natarł na rywala po raz ostatni.

- „Tnę nie na żarty!” - zacytował.

Broń Don Diega upadła na podłogę, on sam wyrzucił ręce w górę, z gardła wydobył się charkot. Po chwili głucho zwał się na podłogę, twarzą w dół.

Jeźdźcy się zbliżali. Sir Nicholas przyklęknął i odwrócił Don Diega. Czarne oczy szybko zachodziły mgłą, jednak wciąż można w nich było wyczytać nienawiść. Sir Nicholas wyjął klucz z kieszeni wamsa Don Diega i zerwał się na nogi.

Do holu wbiegł Joshua.

- Jesteśmy zgubieni! - zawołał. - To pułapka! Uwzięli się na nas!

- Biegnij za dom i czekaj pod oknem mojej pani! - polecił Beauvallet. - Kiedy ją opuszczę na dół, uciekajcie!

Joshua wybiegł. Sądząc po odgłosach, jeźdźcy musieli już być bardzo blisko. Sir Nicholas wbiegł na schody.

- Gdzie jesteś? - zawołał.

Krzyk Dominiki doprowadził go do właściwych drzwi. Przekręcił klucz, słysząc coraz wyraźniej dudnienie kopyt.

Drzwi ustąpiły, Dominica ze szlochaniem rzuciła mu się w objęcia.

- Jesteś cała i zdrowa? - zapytał szybko.

- Tak, tak! - odpowiedziała.

- Chwała Bogu! - Odsunął ją delikatnie i podszedł do łóżka. Szybko zdjął ciężką kapę i związał prześcieradła. - Gonią mnie. Musisz wyjść przez okno, ptaszyno. - Sprawdzał wytrzymałość węzła. Konie zostały już zmuszone do zatrzymania się przed domem. Sir Nicholas podszedł do okna. - Joshuo?

- Jestem gotowy, panie! - padła cicha odpowiedź.

Sir Nicholas odwrócił się.

- Chodź, kochanie! Zaufaj mi, będziesz bezpieczna.

Uniósł ją na parapet; przywarła do ukochanego. Na dole ktoś zaczął walić w drzwi.

- A ty? Co będzie z tobą?

- Nie bój się - odpowiedział spokojnym, pewnym głosem. - Owiń prześcieradło wokół dłoni i mocno trzymaj, o, tak. Dzielna dziewczyna! Jesteś gotowa?

Z całej siły trzymając się naprędce związanych prześcieradeł, Dominica pomалу opuściła się na tej osobliwej linii, aż w końcu wpadła w wyciągnięte ramiona Joshui. Postawił ją, chwycił za rękę i szybko poprowadził przez ogród do żywopłotu, odgradzającego posiadłość od lasu.

- Pst! Proszę nic nie mówić! - wyszeptał. - Proszę robić, co każę, i ani słowa!

Gwardziści wpadli do domu, potykając się o ciało Don Diega.

- Ten nikczemnik tu był! - zawołał Cruza. - Wciąż tu jest! Przeszukać dom!

Beauvallet szybko wyjął klucz z zamka i wsadził go od środka, po czym zamknął drzwi za swymi plecami, a Cruza wbiegł na schody.

- Witam, senor Cruza! - rzekł wesoło Beauvallet, wyciągając miecz i sztylet.

Cruza krzyknął:

- Do mnie! Do mnie!

Gwardziści zaczęli wbiegać na schody.

- Dużo was jest - stwierdził rozbawiony sir Nicholas.

- Poddaj się, senor - zawołał Cruza. - Mamy przewagę!

- Poddać się? - powtórzył z niedowierzaniem sir Nicholas, unosząc brwi. - Cruza, nie wiesz, kim jestem?

- Jesteś El Beauvallet, a ja przysiągłem, że cię pojmem. Jest nas sześciu, a ty jeden. Poddaj się!

- Nie trzeba było popełniać krzywoprzysięstwa, senor. Jestem El Beauvallet, więc siły są równe. Kto pierwszy spróbuje mnie pojmać? - Rozejrzał się, zastanawiając się, czy Joshua zdążył już wystarczająco daleko odjechać z Dominicą.

- Bezczelny psie! - rzucił Cruza, gotując broń do ataku. - Na niego, brać go żywcem! - rozkazał.

Sir Nicholas zatoczył koło mieczem. Roześmiał się i strząsnął kropelki potu z czoła.

- Niestety, Niestety, to na nic! No, no! Co, zadyszałeś się, przyjacielu? - Pierwszy gwardzista cofnął się z raną na przedramieniu. Sir Nicholas, trzymając rękę ze sztyletem z tyłu, próbował wymacać klamkę.

Toledańskie ostrze istotnie cięło nie na żarty. Cruza zatoczył się, gdy wbiło się w jego ramię, jednak po chwili odzyskał siły.

- Chcę go dostać żywego! - krzyknął.

Sir Nicholas odnalazł klamkę i szybko ją nacisnął. Drzwi ustąpiły; odskoczył w tył, nie zaprzestając walki, powalił jeszcze jednego gwardzistę, raniąc go w klatkę piersiową, i zatrzasnął drzwi.

Cruza natarł na nie, napierając z całej siły.

- Szybko, głupcy! - zawołał, słysząc zgrzyt klucza w zamku. - Dwaj do ogrodu, pod okno! A wy, wyważycie te drzwi! Rozwalić je!

Dwaj gwardziści zbiegli ze schodów i ruszyli na tył domu; pozostali natarli ramionami na drzwi.

Zamek ustąpił i drzwi stanęły otworem. Gwardziści wbiegli do środka.

Pokój był pusty. Przy oknie leżało przewrócone krzesło, okno kołysało się na zawiasach, zasłona była rozdarta na całej szerokości.

Mężczyźni towarzyszący Cruzie jak na komendę podeszli do okna, by wyjrzeć na zewnątrz. Sir Nicholas wysliznął się zza arrasu wiszącego przy drzwiach, machnął na do widzenia i bezszelestnie przemknął ku schodom.

Zbiegł na dół w paru susach, wpadł do holu i przeszedł nad ciałem Don Diega do wyjścia. Przez szparę w uchylonych drzwiach zobaczył gwardzistę, stojącego przy koniach. Szybko wybiegł z domu, ogłuszył go rękojęścią miecza, tak że mężczyzna osunął się na ziemię, zanim zdołał się zorientować, co się dzieje. Sir Nicholas złapał konia za uzdę, wskoczył na siodło i uniósł się w strzemionach.

- Chodźcie, psy! - zawołał. - Jedźcie za Beauvalletem, jeśli nie brak wam odwagi, i nie przejmujcie się! - Odwrócił się, gdy dwaj gwardziści wypadli zza domu, i pogalopował drogą, którą przyjechał, na wschód, ku granicy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Rączy gniadosz z przyciętym ogonem szybko reagował na ściskanie go piętami. Sir Nicholas poprowadził go ostro, słysząc za sobą krzyki i tętent koni, które spłoszyły się po napadzie na pilnującego ich gwardzistę. Przyśpieszył, po niedługim czasie w otaczającej ciszy rozlegał się tylko tętent kopyt.

Tam gdzie ścieżka łączyła się z główną drogą, zgromadzili się ludzie, rozglądając się ciekawie i nasłuchując. Wieść o przyjeździe królewskich gwardzistów i uciekinierze zdążyła już rozejść się po okolicy. Wśród stojących z rozdziawionymi ustami mieszkańców wsi byli też służący z majątku Carvalhów, trzymający kije. Migotały latarnie, jednak gdy na niebie pokazał się księżyc, można było je zgasić.

Domyśliwszy się, co go czeka, sir Nicholas popędził konia. Ludzie rzucili się w jego stronę, chcąc odciąć mu drogę; krzyczeli coś wniebogłosy. Gniadosz wpadł w sam środek grupy jak grom z jasnego nieba. Niektórzy szybko uciekli na widok potężnych kopyt, inni próbowali okładać kijami jeźdźca. Gniadosz stawał dęba i parskął, przerażony, szarpał się w bok, chcąc uniknąć ciosów. Bezlitośnie ścispany kolanami przez Beauvalleta, miotał się w tłumie wieśniaków, którzy pośpiesznie się cofali. Sir Nicholas zaczął wymachiwać mieczem. W końcu przedarł się przez tłum; chłopci rozproszyli się, wpadając na siebie, w pośpiechu schodząc z drogi wcielonemu diabłu. Sir Nicholas mógł rozluźnić dłoń, trzymającą wodze, gniadosz pogalopował na południe, w stronę drogi, prowadzącej na wschód do granicy.

Po drodze od czasu do czasu mijali mężczyźni, pragnących być świadkami pojmania niebezpiecznego korsarza; instynktownie odskakiwali, przepuszczając ponoszącego konia, który pędził prosto na nich. W ostatniej chwili w słabym świetle dostrzegali jeźdźca z mieczem w dłoni. Niektórzy czynili znak krzyża, inni krzyczeli z przerażenia, lecz nikomu nie udało się przeszkodzić Beauvalletowi.

W końcu sir Nicholas odnalazł drogę na wschód; uspokoił gniadosza i wjechał na trakt. Słyszał za sobą krzyki, świadczące o tym, że zapamiętano, dokąd się udał, i że wieśniacy kierują żołnierzy w jego stronę. Droga była równa, gdzieniegdzie porośnięta rzadką trawą. Po obu stronach rosły karłowate krzewy i nieliczne drzewa.

Za sobą wciąż słyszał stłumione odgłosy pogoni. Gnał naprzód, mila za milą, aż zjechał z traktu na rozległe pola i popędził dalej; miękka ziemia tłumiała odgłosy ucieczki. Koń lekko potrząsnął okazałym łbem i przyśpieszył, kiedy jeździec popuścił wodze.

Drzewa rosły teraz w coraz gęstszych skupiskach, były to głównie dęby. Na wprost majaczyła ciemna ściana lasu. Sir Nicholas wjechał w tę gęstą dąbrowę. Ulistnione gałęzie przesłaniały księżyc; tylko wąska ścieżka była oświetlona srebrzystą poświatą, sączącą się przez szczerzone gałęzie.

Sir Nicholas zatrzymał się, nadstawiając ucha. Z oddali dobiegał ledwie słyszalny odgłos jadących drogą koni.

Zeskoczył z siodła, przesunął dłonią po parującej szyi konia i poprowadził go w leśny mrok.

Koń był niespokojny, jednak sir Nicholasowi udało się go po chwili uspokoić delikatnym głaskaniem. Od tej pory gniadosz stał cicho, wyciągał szyję, a w końcu zainteresował się leżącymi na ziemi liśćmi.

Jak odgłos nachodzącej burzy zbliżał się tętent szaleńczo pędzących koni na drodze. Gniadosz uniósł łeb i zastrzygł uszami. Sir Nicholas uspokajającym gestem położył dłoń na aksamitnych nozdrzach zwierzęcia. Ścigający byli coraz bliżej; sir Nicholas ścisnął koniowi pysk, by powstrzymać nieuchronne rzenie.

Jeźdźcy przejechali tak blisko, że sir Nicholas słyszał ciężkie oddechy koni i skrzypienie popręgów przy siodłach. Mocno ścisnął pysk gniadosza, czekając, aż pędzący na złamanie karku żołnierze się oddalą. Po chwili nie było już ich słychać; podążali ku granicy i zapewne nieprędko mieli się zatrzymać, skupieni na swym celu.

Sir Nicholas puścił pysk konia i roześmiał się.

- Pędźcie sobie, głupcy! - zawołał. - Na końcu czeka was niemiła niespodzianka i chłodne przyjęcie. Tak trzymać!

Wyprowadził konia na drogę, wskoczył na siodło i pogalopował w stronę Vasconosy.

Dominica, siedząca na koniu przed Joshua, mocno przyciśnięta do łąku siodła, chciała coś powiedzieć, lecz służący nakrył jej usta dłonią. Stępa wjechał w las, kierując się na zachód.

Zorientowawszy się, że są bezpieczni, skręcił ku drodze, wjechał na nią w miejscu oddalonym o jakieś ćwierć mili od domku myśliwskiego i tam zmusił konia do galopu.

Dominica usiłowała spojrzeć w twarz Joshui.

- Zawracaj, słyszysz, co mówię? Zawracaj! Chcesz go zostawić? Ty tchórze! Jesteś podły! Zawracaj, błagam!

Joshua, targany niepokojem, niezadowolony z tego, że kazano mu uciec, nie okazał cierpliwości.

- Proszę się uspokoić, musimy dojechać do Villanovy.

Wychyliła się, by szarpnąć uzdę.

- Zostawiłeś go na pewną śmierć! Zawracaj! Ty podły, nikczemny tchórze!

- Ho, ho! Co za słowa! - zjeżył się Joshua. - W takim razie musi pani wiedzieć, że gdyby nie pani, byłbym teraz u boku sir Nicholasa i wolałbym tam być, ot co. Skaranie boskie z tymi kobietami! Myśli pani, że jadę z panią dla przyjemności? O nie, seniorita! Takie są rozkazy mojego pana. Co za dzień, że akurat tak rozporządził. Niech pani puści uzdę.

Nie posłuchała, starając się nakłonić Joshuę do zmiany decyzji.

- Nie chciałam cię obrazić, ale zawróć, Joshuo. Na miłość boską, pozwól mi zsiąść i wracaj. Gdzieś się schowam, zrobię, co każesz, bylebyś zawrócił i pomógł sir Nicholasowi.

- I skończył z rozbitą głową w podziękowaniu za moje starania. Mój pan potrafi być groźny, kiedy się go rozgniewa, seniorita. Nie ma mowy, żeby mu się przeciwstawić. Ci, którzy pływają z Roześmianym Nickiem, muszą ściśle stosować się do jego rozkazów zarówno w dobry, jak i w zły czas. Może pani być spokojna, mój pan zawsze starannie wszystko planuje.

Nie potrafiła się opanować. Słowa same płynęły jej z ust. Uciekła się do błagań, łagodnych perswazji, rozkazów i gróźb.

- Nie jestem warta tego, żeby umierał z mojego powodu - powtarzała.

- Cóż, wątpię, czy sir Nicholasowi spodobałoby się, gdybym się z panią zgodził - rzekł Joshua.

- W takim razie ugryzę się w język.

Bóg jeden wie, co powiedziałem, a czego nie powiedziałem w czasie tej jazdy, opowiadał potem. Być może wymieniliśmy jakieś ostrzejsze słowa z seniorita, ale nie żywię do niej urazy. Zresztą ona też nie miała mi tego za złe. Przypuszczam, że to niezwykle jak na kobietę.

Nie słyszeli za sobą odgłosów pogoni i Joshua pozwolił koniowi zwolnić do kłusa. Dominica nie odzywała się, w świetle księżyca było widać jej ściągniętą ze zmartwienia twarz. Joshua był w podobnym nastroju, jednak uznał, że powinien powiedzieć coś na pocieszenie.

- Proszę się nie denerwować, sir Nicholas dołączy do nas jeszcze tej nocy.

Popatrzyła na niego.

- Jak mógł w pojedynkę wygrać z tymi wszystkimi mężczyznami?

- Coś mi się wydaje, że wyprowadził ich w pole jakimś fortem - odpowiedział pewnym głosem Joshua. - Zapewne trudno było pani uwierzyć, że ucieknie z więzienia, senorita, a tymczasem udało mu się tego dokonać. Proszę być dobrej myśli.

- Zauważył smutek w oczach Dominiki. - Za pozwoleniem i z całym szacunkiem, uważam, że dama El Beauvalleta powinna się uśmiechać w takiej sytuacji. Uśmiechnęła się blado.

- Zapewne powinna - przyznała. - Widziałam go zaledwie przez chwilę.

- Cierpliwości. Ośmielam się twierdzić, że niedługo usłyszymy, jak nadjeżdża.

Dotarli do Villanovy o dziesiątej wieczorem i zatrzymali się w gospodzie.

- Znów trzeba kłamać - rzekł Joshua. - Proszę zdać się na mnie, milady. - Pomógł jej zsiąść z siodła i wszczął alarm. - Ej, tam! Pokój dla szlachetnej damy! Gospodarz!

Z oświetlonego baru wyszedł tęgi mężczyzna. Ze zdumieniem popatrzył na Dominicę. Zdała sobie sprawę, że musi wyglądać bardzo dziwnie, podróżując o tej porze bez peleryny, kaptura, a nawet bez konia.

- Dobry wieczór! - zawołał głośno Joshua. - Boże, co za dzień! Proszę natychmiast o pokój dla pani i kolację! Senor jedzie za nami.

Gospodarz uważnie przyjrzał się Dominice.

- Co się tu dzieje? - zapytał podejrzliwie. Dona Dominica postąpiła o krok; ona również była niezłą aktorką.

- Proszę o pokój, gospodarzu - powiedziała wyniośle. - Zamierza mnie pan trzymać na drodze?

Joshua wprowadził Dominicę do zajazdu.

- Bandyci! - rzucił przez ramię. - Napadło nas trzech mężczyzn, zastrzelili konia pani. Co za potworny dzień!

- Bandyci? Jezu! - Gospodarz przeżegnał się. - A co z senorem?

- O, mój pan popędził za tymi łotrami! - łgał Joshua. - Co, krzyknął, ma im to ująć płazem?! Łajdacy! Uciekli z naszymi jucznymi końmi, a mój pan ruszył w pościg, zostawiając szlachetną panią pod moją opieką. Ech, zawadiaka!

Dominica wtrącała się do rozmowy tonem osoby przyzwyczajonej do wydawania rozkazów.

- Najlepsza sypialnia, jak najszybciej, gospodarzu, i niech kolacja będzie gotowa na przyjazd Don Tomasa.

Ton jej głosu przyniósł oczekiwany skutek. Gospodarz uznał, że Dominica z pewnością jest szlachetnie urodzoną damą, i skłonił się. Nietrudno jednak było się domyślić, że coś podejrzewa.

No i bardzo dobrze! - opowiadał potem Joshua Dimmock. Pewnie się zdziwicie, ale wtedy zupełnie nie byłem w stanie wymyślić zgrabnego kłamstwa. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

Dona Dominica została zaprowadzona do całkiem sporego, przyzwoicie wyposażonego pokoju. Z ulgą usiadła w fotelu, a mając na uwadze obecność gospodarza, powiedziała z wyrzutem:

- To ty powinienes ruszyć w pogoń za bandytami, Pedro. - Uniosła ramię. - Don Tomas jest zbyt popędliwy. Żeby tak mnie odesłać, a samemu się narażać! - Udała, że dopiero teraz zauważyła zakłopotanego właściciela gospody. - Czego pan chce? - zapytała gniewnie.

Skłonił się i wyszedł, zapewniając ją, że przygotowuje kolację na przyjazd pana. Dwa dukaty wsunięte od niechcienia w dłoń przez Joshuę sprawiły, że gospodarz postanowił nie zastanawiać się nad sytuacją. Rzadko zdarzało mu się otrzymać w tej wiosce taką sumę i nie należało ryzykować jej utraty.

Joshua pokiwał głową i uniósł kciuk.

- Dobrze sobie radzimy - skwitował. - A teraz, seniorita, chciałbym, za pani pozwoleniem, przynieść torby podróżne. Przypuszczam, że sir Nicholas przyjedzie tu na swoim koniu, bo w jukach znajduje się większość jego ubrań, a już słyszę, jak rano prosi o czystą koszulę i krezę.

Był tak pewny przyjazdu Beauvalleta, że Dominica zaczęła w to wierzyć. Roześmiała się, patrząc na pogniecioną suknię do konnej jazdy.

- Czysta kreza dla sir Nicholasa. Powiedz lepiej, co ja powinnam począć, bo mam na sobie tylko to, w czym mnie widzisz.

Joshua pokręcił głową.

- Przyznaję, że to bardzo istotne pytanie. Powinniśmy wcześniej zająć się tą sprawą. Ale tak to jest, kiedy mój pan ma swoje humory. Chyba nie zgubi swego bagażu i pochwy na broń. Ale z nim nigdy nic nie wiadomo. „Nie przejmuj się!” Dobrze to znam! Ciągłe wpadamy w tarapaty i można uznać za cud, że wychodzimy z nich cało.

Zszedł po bagaże, zamierzał też dopatrzeć konia i zamówić posiłek dla Dominiki. Przyniesiono jej kolację do pokoju i nakryto do stołu na przyjazd Beauvalleta. Gospodarz niemal całkowicie wyzbył się wątpliwości co do podróżnych. Był przekonany, że przypadł mu zaszczyt goszczenia ważnych osobistości. Nie wiedział tylko, jaki jest cel ich podróży. Skłaniał się ku przypuszczeniom, że młodzi uciekają w celu zawarcia małżeństwa, choć do tej teorii nie pasowała trochę nieobecność pana. Jednak zachowanie Joshui przekonało karczmarza, że pod jego dach zawitała szlachetnie urodzona dama. Tylko jakiegoś wielmożę, pomyślał gospodarz, stać na tak doskonałego sługę. Joshua uparł się, by przygotowano kapłona na przyjazd pana. Zastanawiał się też głośno, czy karczmarz nie ma szlachetniejszego wina niż to, które podał. Jeśli tak, to niech bezzwłocznie uda się do piwnicy. Gdzie są słodycze? Czy jego pani ma jeść tylko kościstego kurczaka i ozór wołowy? Co za wstyd! Gospodarz powinien był wiedzieć, że nie wolno tak traktować szlachetnie urodzonych dam.

Joshua nie szczędził też cierpkich uwag Dominice, ostro ją napominając, kiedy nie chciała jeść. Popatrzyła na niego ogromnymi oczami, w których malował się strach.

- Nie przyjechał - powiedziała.

- Spokojnie, seniorita, przecież nie jest ptakiem i nie umie latać! - powiedział z irytacją Joshua.

- Jeśli udało mu się uciec, musiał najpierw zmylić tropy i z pewnością skierował się ku granicy. Nie mógł przecież jechać, mając na plecach gwardzistów, bo przecież pani nie potrafi pędzić tak szybko, jak my w takich okolicznościach.

- Potrafię jeździć bardzo dobrze, jeśli mi się na to pozwoli - zaprotestowała cicho Dominica.

Mijał czas. Kilku podpitych mężczyzn opuściło bar, zgaszono świece przy schodach, w zajeździe zapadła cisza. Joshua zamówił pokój dla swego pana, nakazał też napalić w kominku w pokoju Dominiki, mając nadzieję, że przyjemne trzaskanie drewna i blask ognia pocieszą ją lepiej niż słowa.

Siedziała przy kominku, starając się być dzielną. Od czasu do czasu rzucała niespokojne spojrzenia Joshui. Nie chciała, by zostawił ją samą, a już w żadnym razie nie zamierzała słuchać o położeniu się do łóżka. Oznajmiła, że Joshua może ją tyranizować w innych sprawach, ale nie zmusi jej do zaśnięcia, bo i tak nie zmruży oka, dopóki nie dowie się, że sir Nicholas jest bezpieczny.

- Pozwalam sobie zauważyć, seniorita, że jutro czeka panią ciężki dzień i powinna się pani choć trochę zdrzemnąć.

- Nie! - zawołała, unosząc głowę, i na tym stanęło.

Dochodziła już północ, kiedy usłyszeli zbliżającego się jeźdźcę. Joshua uniósł palec i dumnie wypiął pierś.

- No i co, seniorita? A nie mówiłem? Można ufać Beauvalletowi.

- Podszedł do okna i otworzył je szeroko.

Dominica zerwała się na nogi i nerwowo splótła ręce.

- To nie musi być on. To może być żołnierz, który mnie szuka. Nie mogę uwierzyć...

Koń zatrzymał się pod oknem.

- Ej, tam! - rozległ się dźwięczny głos Beauvalleta. Popatrzysz w górę, zauważył wychylonego z okna Joshuę. - Na miłość boską, Joshuo, co ty tam jeszcze robisz? Zejdź tu i mnie wpuść!

Dominica opadła na fotel, oniemiała. Czuła ogromną ulgę. Joshua pośpieszył do drzwi.

- No jasne, tak jak zawsze - narzekał. - Głośno, beztrąsco, nie zastanawiając się, kto może go słuchać. Ech, wariat!

Wyszedł. Dominica słyszała, jak zbiega ze schodów, odryglowuje drzwi i krzyczy w stronę rozspanego gospodarza, żeby wykonał wydane mu wcześniej polecenia. Potem na schodach rozległ się odgłos szybkich kroków i drzwi się otworzyły. Dominica znalazła się w ramionach ukochanego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Nazajutrz wstali o świcie i zaraz po śniadaniu, otrzymawszy świeże konie, ruszyli w długą drogę na północ.

Dominice wydawało się, że to wszystko dzieje się we śnie. Wydarzenia następowały po sobie tak szybko, że była wciąż oszołomiona. Obudziła się, słysząc pukanie Joshui do drzwi; przez chwilę miała wrażenie, że to, co miało miejsce poprzedniego dnia, było jedynie wytworem jej wyobraźni. Jednak rzeński głos Joshui, nakłaniający ją do wstania, uzmysłowił jej, że to wszystko prawda.

Śniadanie czekało na nią w niewielkiej jadalni przy barze. Był już tam sir Nicholas, schludny jak zazwyczaj. Poczula nagłe onieśmienie, nie była w stanie wydobyć słowa ze ściśniętego gardła, podała mu tylko dłoń do ucałowania.

- Senor Nicholas - powiedziała w końcu, starając się ukryć zakłopotanie - widzę, że masz czystą krezę, o której wspominał Joshua, domyślam się więc, że nie zgubiłeś bagaży.

Uniósł rękę.

- Na litość boską, niech ja więcej nie słyszę o bagażach! - zawołał z udanym przerażeniem. - Odkąd tu jestem, ten maruda o niczym innym mi nie mówi!

Popatrzyła na wyrażającą dezaprobatę twarz Joshui, który wyciągnął krzesło i zmierzył sir Nicholasa lodowatym spojrzeniem.

- Mój panie, łatwo jest sobie żartować, ale pozwolę sobie zauważyć, że to przechodzi wszelkie pojęcie, żeby tak łatwo zrezygnować z nowego wamsa z purpurowej tafty i pary pończoch haftowanych złotą nicią około kostek, że nie wspomnę już o srebrnych ozdobach i prawie nowych bufiastych spodniach. Co za marnotrawstwo.

- Cicho bądź, brzęcząca mucho! - uciał sir Nicholas, zajmując miejsce naprzeciw Dominiki. Oczy błyszczały mu radością. - Pomyślałem sobie, gołąbeczko, że nie siedzieliśmy razem przy stole od czasu twojego pobytu na „Venture”. - Uśmiechnął się. - Pamiętasz, jak nie chciałaś przyjąć kieliszka wina z moich rąk? - Uniósł butelkę i przyjrzał się jej. - Teraz też możesz nie zechcieć go przyjąć - zauważył. - Co to jest, Joshuo?

- Nie przeczę, że ledwie da się pić - przyznał ze smutkiem służący. - Wiem, że to bardzo podłe wino, ale co możemy na to poradzić?

Dominica odzyskała mowę. Postanowiła powiedzieć sir Nicholasowi o tym, co przyszło jej na myśl, kiedy Don Diego zaproponował jej wino z Alicante, a kiedy to zrobiła, minęło jej onieśmienie.

Konie były już osiodłane i gotowe do drogi. Postawiwszy stopę na dłoni Beauvalleta, Dominica zuchwale popatrzyła na Joshuę i powiedziała:

- Joshuo, teraz się przekonasz, czy potrafię szybko jeździć.

Tego dnia wykazała się hartem ducha, zapomniała o wszelkich obawach i wątpliwościach. Będąc z sir Nicholasem, nie bała się niczego. Wątpiła w to, że przyjedzie do Madrytu, a jednak tego dokonał; była pewna, że nie uda mu się wydostać z więzienia, tymczasem zbiegł; obawiała się, że nie przeżyje wczorajszego dnia, a tymczasem wrócił cały i zdrowy, a na dodatek jak zwykle w doskonałym nastroju. Nie powinna już nigdy wątpić w jego nadzwyczajne umiejętności wychodzenia cało z najgorszych opresji.

Wydawało się, że nareszcie nic im nie grozi. Wprawdzie Joshua ciągle czegoś nasłuchiwał, jednak sir Nicholas, jadący na czele przez górzysty teren, był wesoły i beztroski. Dominice udzielił się jego nastrój.

Długa podróż bardzo ją wyczerpała, jednak nie zamierzała uzalać się na brak sił. Trzymała się prosto w siodle, wyśmiewała fatalny stan dróg, zapewniała, że czuje się doskonale i nie ma ochoty na rozprostowanie kości. Gdy na chwilę zgubili drogę, Dominica uznała, że to nieodłączna część podróży, zresztą wkrótce Nicholas odnalazł szlak. Kiedy potem koń Dominiki potknął się na skalistym zboczu i omal nie zwałił się w przepaść, pomyślała, że nie będzie o tym długo rozprawiać, skoro nic się jej nie stało. Gdy słońce zaczęło palić nie do wytrzymania, stwierdziła, że jej to nie przeszkadza, bo jest przecież przyzwyczajona do życia w gorącym klimacie. Joshua nie krył podziwu.

- Za pozwoleniem - rzekł - uczynię uwagę, że seniorita radzi sobie jak Angielka.

- To ma być komplement - poinformował ją sir Nicholas, szczerze rozbawiony.

Kiwnęła głową i roześmiała się.

- Chyba wkrótce nią będę, senior, prawda? - zapytała i popatrzyła na niego, zarumieniona.

Nakrył jej dłoń swoją.

- Moja kochana!

Czasem musieli jechać na przełaj tam, gdzie zawodziły ich drogi i teren był skalisty, co oznaczało zwłokę w podróży. Tak więc wprowadzenie w czyn naprędce obmyślonego planu sir Nicholasa zajęło im sporo czasu. Cienie mocno się wydłużyły, kiedy nareszcie zobaczyli morze. Joshua zaczął się niepokoić. Podjechał do Beauvalleta. - Panie, nie zdążymy na czas - wyszeptał.

Dominica usłyszała ten szept.

- W takim razie się pośpieszmy - powiedziała. - Senor Nicholas koniecznie musi dziś stąd odpłynąć.

Beauvallet roześmiał się. Nawet Joshua się uśmiechnął, usłyszawszy te słowa, jednak zaraz spoważniał.

- Senorita ma rację - powiedział. - Przyjemnie jest wędrować sobie po Hiszpanii ze śpiewem na ustach, jak byśmy byli w Alreston, ale pozwalam sobie przypomnieć panu o tym, że jest ścigany.

- Och, gaduło - odrzekł wesoło sir Nicholas - gdybym mógł wybrać lepszą drogę, z pewnością bym to zrobił. Przecież nie mogłem pozwolić na to, żebyśmy połamali sobie nogi. Dojedziemy do naszego portu jeszcze tej nocy.

Udało im się to, chociaż dotarli tam później, niż planowali. Parę razy zgubili drogę w ciemności i znajdowali ją dopiero po dłuższych poszukiwaniach. Dominica chwiała się w siodle, podtrzymywana, gdy tylko było to możliwe, przez silne, niestrudzone ramię Beauvalleta, jednak gdy usłyszała Joshuę, miotającego przekleństwa pod adresem kamieni, potrafiła się cicho zaśmiać.

W końcu zobaczyli przed sobą światła portu; sir Nicholas wciągnął zapach w nozdrza.

- Czuję morze - powiedział. - Odwagi, ptaszyno!

Oparła głowę na jego ramieniu. Beauvallet dał Joshui znak, by do niego podjechał.

- Musimy teraz być bardzo ostrożni - ostrzegł. - Jeśli do portów dotarli już gońcy, w Santander będą dobrze wiedzieli, gdzie nas szukać.

Joshua zadrżał.

- Nie pomyślałem o tym! Będą pamiętali, że dopłynął pan tutaj.

- O, tak, nigdy tego nie zapomną - odezwała się sennym głosem Dominica. - Po tym, jak wysadziłeś nas na brzeg, spędziliśmy dzień z naczelnikiem Santander. Szkoda, że go nie słyszałeś.

Sir Nicholas wymownie popatrzył na Joshuę, który stłumił jęk i wzruszył ramionami.

- Pewnie czekają już na nas żołnierze. Powinienem był wiedzieć, że to jeszcze nie koniec naszych przygód. - Spojrzał na zachmurzone niebo. - Która godzina? Co możemy teraz zrobić? Pozostaje nam tylko wypatrywać okrętu. Będą na nas czekać w nieskończoność? Trudno się tego spodziewać. Zobaczą, że zbliża się świt, i odpłyną.

- Jaki świt, marudo? - ofuknął go sir Nicholas. - Jeśli jest już po jedenastej, możesz nazwać mnie głupcem.

- Obawiałbym się o własną skórę - odparł z godnością Joshua.

Trzymając się z dala od budynków portowych, ostrożnie wspięli się na wzniesienie, w stronę, skąd dochodził szum fal, obmywających kamienistą plażę. Było bardzo ciemno, a wokół mieli skały, kamienie i usypiska. Sir Nicholas zatrzymał konia i odwrócił się w stronę Joshui.

- Nie damy rady tędy przejechać. Lepiej uwiążmy konie i dalej pójdźmy.

Joshua kiwnął głową i zsunął się z siodła. Sir Nicholas stał już na ziemi i pomagał Dominice zsiąść z konia. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa; zachwiała się i kurczowo uczepliła ręki Beauvalleta. Chciał wziąć ją na ręce, lecz pokręciła głową.

- Wolę iść. Chcę trochę rozruszać kości.

Poszli przodem, Joshua podążał za nimi z latarnią, którą tego ranka kupił w Villanovie. Gdzieś w dole fale łagodnie rozbijały się o brzeg, ku któremu wiodło strome zbocze. Sir Nicholas zatrzymał się.

- Zapal latarnię, Joshuo - polecił cicho.

- Proszę zasłonić mnie peleryną.

Sir Nicholas zdjął pelerynę i otoczył nią Joshuę. Służący skrzesał hubkę, knot się zapalił.

Dominica była sztywna ze zmęczenia. Przysiadła na pierwszej z brzegu skale i patrzyła, jak Joshua osłania latarnię. Szum morza działał niczym kołysanka. Dominica zastanawiała się, czy gdzieś na północy, w aksamitnej ciemności, czeka „Venture”. Wydawało jej się to niemożliwe; odniosła wrażenie, że są sami na świecie. Być może w dole jacyś ludzie krzatali się przy swych domostwach, jednak dookoła niej panowała cisza, przerywana tylko szumem morskich fal.

Sir Nicholas patrzył przed siebie, starając się przeniknąć wzrokiem ciemność, niczego jednak nie dostrzegł. Tak czy owak, musiał dać umówiony znak. Wziąwszy od Joshui latarnię, uniósł ją wysoko nad głowę, szybko opuścił i zakrył, policzywszy przedtem do dwudziestu. Potem dwukrotnie powtórzył sygnał.

Czekali w milczeniu.

- O, nędznicy, chyba was tu nie ma - mruknął Joshua. - Panie Dangerfield, nie ufam panu.

Na północy trzykrotnie rozbrzysło światło. Z pokładu „Venture” odpowiedziano na sygnał.

- O, zuchy! - zmienił natychmiast zdanie Joshua. - Młody pan Dangerfield wart jest stu żołnierzy.

Sir Nicholas mocno chwycił go za nadgarstek.

- Cicho, człowieku! - syknął i podniósł głowę, nasłuchując.

Joshua znieruchomiał ze zgrozy. Od zachodu dobiegł ich czyjś głos, stłumiony przez szum morza.

- Boże, postawili straż! - wyszeptał sir Nicholas, wyciągając sztylet z pochwy.

Joshua schował głowę pod pelerynę i zdmuchnął płomień. Usłyszeli zbliżające się kroki. Sir Nicholas szybko, bezszelestnie wyszedł im naprzeciw.

Z ciemności wyłonił się mężczyzna z gotową do boju halabardą. Natknął się na Beauvalleta, zanim zdołał go wypatrzeć; z cichym jękiem osunął się na ziemię po celnym pchnięciu sztyletem. - Ładna robota - pochwalił cicho Joshua.

Uniósł swą broń, którą zdążył wyciągnąć, idąc za swym panem.

Jednak z oddali usłyszeli drugi krzyk. Towarzysz żołnierza odpowiadał na jego wcześniejsze wołanie.

Sir Nicholas stanął przy Dominice i wytarł sztylet.

- Jest ich więcej - stwierdził ponuro. - Wyrazy uznania dla naczelnika Santander. - Chwycił Dominicę. - Nie ruszaj się, kochanie - powiedział. - Na razie nie ma się czego bać. Schodzimy na plażę, Joshuo, tylko na miłość boską, bądź cicho!

To powiedziawszy, zanurzył się w ciemność. Joshua udał się za nim, mamrocząc pod nosem:

- Nie ma się czego bać, dobre sobie. Biada nam, biada! Co my zrobimy, jak cała zgraja się na nas rzuci? Przeklęte kamienie!

Byli już w połowie urwiska; omijali skały, ślizgali się na piargach. Ponad nimi ktoś wystrzelił z arkebuza w powietrze.

- Ha - wyszeptał Joshua - to może być sygnał dla pozostałych, zaraz tu będą. Ale ja i tak umrę w swoim łóżku. Odwagi, Joshuo. - Wyczuwając pod stopami stabilniejsze podłoże, przyśpieszył, by zrównać się z sir Nicholasem, niewidocznym w ciemności. Gdzieś wyżej słyhać było biegnących i nawołujących się żołnierzy. Również przy domostwach leżących po zachodniej stronie zapanowało poruszenie. Na górze rozbłysły światła latarni. Zbliżała się pogoń.

Dominica została postawiona na plaży tuż przy wodzie. Sir Nicholas wyciągnął miecz z pochwy, patrząc na zbliżające się światła, migocące coraz niżej na zboczu i pozwalające dostrzec sylwetki uzbrojonych mężczyzn.

Żołnierze gorączkowo się rozglądali. Beauvallet widział, jak przeszukują teren z przygotowanymi do ataku halabardami. Była ich zaledwie garstka, wystarczająca jednak, by pokonać dwóch Anglików. Od strony domostw wąską ścieżką nadchodzili inni strażnicy.

Joshua wszedł do wody, starając się wyłowić odgłos wiosel. Wróciwszy na brzeg, dotknął ramienia Beauvalleta.

- Chyba coś słyszę z prawej strony.

Sir Nicholas chwycił Dominicę za rękę i poszedł za sługą. Teraz plusk wiosel był już lepiej słyszalny; zresztą usłyszeli go nie tylko oni. Ktoś na plaży wydał komendę i kilku mężczyzn popędziło w stronę wody.

- Wiosłować mi tam, zwawiej, zwawiej - ponaglał jękliwie Joshua, podrygując w oczekiwaniu.

Żołnierze potykali się i ślizgali na kamieniach; od strony wody rozległ się donośny głos, bez wątpienia należący do Dangerfielda:

- Ciągnąć, lenie!

Zawtórował mu tubalny głos bosmana, naśladującego przewoźnika:

- Hej ho! Dopływamy!

Rozpoczął się ponury wyścig pomiędzy łodzią, nieustraszenie prującą wodę, a żołnierzami, którzy pędzili plażą, by odciąć drogę uciekinierom. Joshua stał w wodzie, starając się wypatrzeć łódź; sir Nicholas, odciągnąwszy Dominicę na bok, z mieczem w dłoni, skupiony, czekał na rozwój wypadków na lądzie.

Łódź musiała być już blisko, Joshua zobaczył, jak podpływa do brzegu. Pierwsi żołnierze zdążyli zmierzyć się z sir Nicholasem; jego miecz był czerwony od krwi. Marynarze wskoczyli do wody, brnąc w stronę brzegu, do krzyków Hiszpanów dołączyły angielskie przekleństwa. Żołnierze na plaży cofnęli się. Nie brakowało im odwagi, lecz nie mieli dowódcy i nie zamierzali stawiać czoła żadnym krwi wilkom morskim. Zawołali tylko do towarzyszy, żeby się pośpieszyli. Jednak zgromadzeni w domostwach nie byli jeszcze gotowi do boju, chociaż pędzili już z odsieczą.

- Ha, łotry! - zawołał Joshua. - W samą porę!

- Beauvallet we własnej osobie! - krzyknął bosman, dotarłszy do brzegu. - Jak się ma wasza generalska mość?

- Doskonale. - Sir Nicholas roześmiał się. Dangerfield stanął przy nim.

- Boże, udało się panu! - zawołał, chwytając rękę Beauvalleta.

Rozległ się szcęk broni.

- Ej, hiszpańscy papiści! - zawył ktoś. - Zobaczcie, co czeka tych, co ścigają naszego Nicka!

Odpowiedział mu drugi głos:

- Na nich! - Po czym marynarze wbiegli na ląd. Sir Nicholas ostudził ich zapędy.

- Wracać, łajdaki!

Mężczyźni zatrzymali się, wyraźnie niezadowoleni. Załoga „Venture” aż paliła się do boju, spędziwszy całe dwa tygodnie na beczynnym oczekiwaniu. Mieli teraz okazję wykazać się i dać nauczkę tym, którzy ośmielili się nękać ich kapitana.

- Mamy odpłynąć bez walki? - zapytał z wyrzutem bosman.

Sir Nicholas stanął wśród krnąbrnej załogi.

- Cofnąć się! Do łodzi! - Zagonił ich z powrotem. - Na miłość boską, każę was zakuć w kajdany, jeśli zaraz nie odpłyniemy! - zawołał wesoło.

Rozległy się śmiechy, załoga cofnęła się, schowano broń. Ktoś, stojący obok Dominiki, powiedział z uznaniem:

- Ho, ho! Generał znów jest z nami! Wsiedli do łodzi. Byli rozczarowani pokojowym zakończeniem, jednak nikt nie chciał przeciwstawić się kapitanowi. Cieszyła ich nawet niewdzięczność, jaką okazał wiernej załodze w zamian za ratunek. Dobrze było znów

widzieć Szalonego Nicka w doskonałej formie. Wzniesli radosny okrzyk.

Główna grupa żołnierzy pędziła plażą. Sir Nicholas wziął Dominicę na ręce i zaniósł do łodzi.

Na widok Dominiki załoga zaczęła wiwatować.

Wiele rąk wyciągnęło się, by wnieść damę do łodzi. Pierwszy chwycił ją Hick, któremu kiedyś wymierzyła siarczysty policzek. Stała niepewnie, z ręką opartą na czyimś ramieniu; drugą trzymała jakąś potężna dłoń.

Sir Nicholas wszedł do łodzi ostatni i pomachał ręką, żegnając Hiszpanię.

- Ruszamy! - zakomenderował i długie wiosła zanurzyły się w wodzie.

Odpływali; w końcu światła na brzegu zniknęły im z pola widzenia i umilkły ostatnie odgłosy, dobiegające z hiszpańskiego brzegu.

Dominica przykucnęła z tyłu, wsunęła rękę w dłoń Beauvalleta. Zacisnął palce i uniósł wzrok. Dostrzegła błysk jego białych zębów.

- Jesteś już bezpieczna, kochanie. Kiwnęła głową, wzdychając z zadowoleniem.

Siedzący u steru Dangerfield powiedział nieśmiało:

- Serdecznie witamy, seniorita. Uśmiechnęła się do niego, zbyt zmęczona, by coś powiedzieć. Łódź płynęła przez ciemne wody, aż wreszcie zobaczyli przed sobą oświetloną burtę „Venture” i usłyszeli podekscytowane głosy.

- Wszystko dobrze? Przywieźliście kapitana? - zapytał z niepokojem ochmistrz.

Załoga łodzi wydała radosny okrzyk, niezwykle gromki, zważywszy na zmęczenie. W odpowiedzi z pokładu wzniósł się triumfalny ryk.

Dominica została wniesiona po drabince sznurowej i pocałowana, gdy tylko znalazła się na pokładzie.

- Witaj, moja żono! - powiedział jej do ucha Beauvallet, stawiając ją na nogi.

Dookoła nich zgromadzili się marynarze, zadając niezliczone pytania i składając gratulacje. Niektórzy dziękowali niebiosom, inni powtarzali „A nie mówiłem?”, najwyraźniej kierując te słowa do tych,

którzy wątpili, że sir Nicholasowi znów uda się zagrać Hiszpanom na nosie.

Beauvallet, prowadząc Dominicę, przedzierał się przez tłum, po drodze śmiejąc się i żartując. W pewnej chwili Dominica stanęła przed niskim, schludnie ubranym mężczyzną, którego sir Nicholas poklepał po ramieniu.

- Wielkie dzięki, panie Capper! - powiedział. - Mam dla pana zajęcie, tak jak obiecałem.

- Sir Nicholasie... - schludny mężczyzna z zakłopotaniem zaciskał dłonie - uważam, że ta ucieczka to prawdziwy cud boski i znak dla hiszpańskich papistów... prawdziwy znak! Czym mogę panu służyć?

- Może pan udzielić mi ślubu, pastorze - powiedział sir Nicholas Beauvallet.

EPILOG

- I tak oto nam się udało - opowiadał Joshua Dimmock. - Powiecie, że to cud? Ho, ho, nie uważamy takich drobnostek za cuda w służbie u mojego pana. Przyznaję jednak, że był to nie lada wyczyn, uważam też, że odegrałem niepoślednią rolę w tej sprawie. Sir Nicholas sam przyznał, że wiele mi zawdzięcza; powiedziałbym, że to dość niezwykle jak na niego. Trochę porozmawialiśmy, kiedy następnego dnia pomagałem mu włożyć spodnie w jego kajucie. „Joshuo - powiedział - wiem, że jesteś łotrem i okropnym gadułą, ale jestem ci winien wdzięczność za pracę, którą wykonałeś dla mnie w tym miesiącu”. Jak się zapewne domyślacie, bardzo mi to pochlebiło, podobnie jak pierścień, który mi przy tym wręczył. Do dziś noszę go na palcu. To rzadki kamień, pochodzi z Indii.

- Ale do rzeczy. Powiedziawszy to i jeszcze więcej, bardzo podniósł mnie na duchu, a nawet trochę wbił w dumę... bo nie zwracałem uwagi na różne nieistotne słowa typu osioł i pacan, którymi mnie określał... po prostu ma taki styl... więc to powiedziawszy, uczynił mi zaszczyt poinformowania mnie, że tego ranka bierze ślub. Piękna sprawa, daję słowo! Cała załoga uśmiechała się i łypała chytrze, dopóki się z nimi nie rozmówiłem. To wystarczyło. Zaczęli się ze mną liczyć, w czym zresztą nie widzę nic dziwnego.

- Na ślubie był pan Dangerfield, ochmistrz, nasz medyk okrętowy i ja. Możecie być pewni, że zostałem zaproszony całkiem zasłużenie, bo nie wspominając o innych drobnych sprawach, pełniłem w tych dniach także funkcję służącej mojej pani. Bardzo odważna z niej dama, nie przeczę. Wzięła ślub w swojej sukni do konnej jazdy, bo nie miała innej. To był dziwny widok: panna młoda w tak nędznym stroju, a pan młody jak spod igły. Żałuję tylko tego wamsa z purpurowej tafty i nowych spodni. Ale mniejsza o to. Powiecie, że milczę jak grób na temat innej torby, którą zostawiłem w tym przemytniczym porcie. Zapewniam was, że sir Nicholas nieźle sobie używał na ten temat, ale znosiłem to z podziwu godną cierpliwością.

- Co dalej? Odbyło się wesele, załoga wprawiała się w doskonały nastrój. Szybko dopłynęliśmy do Plymouth, ale wątpię, żeby mój pan i pani interesowali się tym, w jakim dniu tam dotarliśmy. W Plymouth trochę się pokręciłem po mieście, kupiłem parę drobiazgów dla mojej

pani, co przyjęła z aprobatą, nazywając mnie doskonałą służącą, i zamówiłem konie i powóz. Pani przebywała na pokładzie, dopóki wszystko nie było gotowe. Powiedziała, że nie zamierza pokazywać się w Anglii w takim stanie. Jednak nie zauważyłem, by martwiła się utratą strojów. Wszystko obracała w żart. Muszę powiedzieć, że w czasie tej podróży stałem się jej oddanym sługą.

- Zajechaliśmy do Alreston z fasonem, pani w powozie, sir Nicholas obok na koniu, a ja nieco z tyłu. Pani cały czas miała odsunięte kotary, żeby podziwiać Anglię. Tak mówiła mojemu panu, niemniej uważam, że po prostu chciała na niego patrzeć. A on na nią, nie inaczej! Wyobrażacie sobie pewnie, ile zamieszania i radości spowodował nasz przyjazd do Alreston. Nie było nikogo, kto spodziewałby się ujrzeć sir Nicholasa żywego. Myślę, że zdążyli go już tam opłakać. Minęliśmy bramę i zajechaliśmy pod dom z pompą i paradą. Taki mamy styl. W okamgnieniu zostaliśmy otoczeni; chyba wszyscy wyszli nam na powitanie. Ośmielam się twierdzić, że jeszcze nigdy nie widziałem lorda Beauvalleta w tak radosnym nastroju, a trzeba pamiętać, że nie jest on człowiekiem, który, jak to się mówi, ma serce na dłoni. Nie skończył jeszcze ścisnąć i obejmować sir Nicholasa, kiedy mój pan odsunął go i powiedział, że chciałby mu przedstawić żonę. Lord rozdziawił usta! „Co?! - zawołał. „Udało ci się ją przywieźć, Nick?”

- Sir Nicholas pomógł mojej pani wysiąść z powozu. Zapewniam was, że był bardzo dumny, oczy mu błyszczały i uniósł podbródek z tą spiczastą bródką, którą wszyscy znamy. Miał po temu powody. Bo też moja pani to piękna sztuka, oczywiście mówię to z całym szacunkiem. Rumieniła się i mocno trzymała mojego pana za rękę. Czula, że wszyscy na nią patrzą, i pewnie bała się, że powitają ją chłodno. I wtedy odezwała się lady Beauvallet. „O mój Boże!” - zawołała, chwyciła moją panią w ramiona i zalała się łzami. Spytacie mnie dlaczego? Odpowiem wam, że nie rozumiem kobiet. Wprowadziła moją panią do domu i wtedy widziałem ich po raz ostatni przed kolacją.

- Lord Beauvallet zaprosił mnie potem do salonu. Miło było patrzeć na moją panią, ubraną w suknię lady Beauvallet, rozmawiającą łamaną angielszczyzną z lordem. Co chwila spoglądała na sir Nicholasa, żeby podpowiedział jej jakieś słówko. Lord Beauvallet odnosił się do mnie bardzo przyjaźnie, co rzadko mu się wcześniej

zdarzało. Później otrzymałem od niego wypchaną sakiewkę, ale wtedy po prostu mi podziękował, że bezpiecznie przywiozłem tu jego brata. Zapewne się domyślacie, że mój pan roześmiał się wtedy, ale moja pani obdarzyła mnie ślicznym uśmiechem i powiedziała, że lord ma powody, by mi dziękować.

Kiedy się nad tym zastanawiam, muszę przyznać, że istotnie tak jest. Wrodzona skromność nie pozwala mi myśleć o tym zbyt długo.

- Co jeszcze? Ano, już niewiele. Niedługo potem wyjechaliśmy do Londynu i sami się domyślcie, co powiedział sir Francis, kiedy usłyszał o naszych przygodach. Mówię o admirale Drake'u, zapewne o nim słyszeliście. Mój pan nie wyjawiał mi, o czym rozmawiał z sekretarzem stanu. Podobno Walsingham zatarł ręce z zadowolenia. Tak mnie zapewniono. Dwór przebywał wtedy w Nonesuch, i tam się udaliśmy. Zapewniam was, że Jej Wysokość aż zapałała z zachwytu na widok mojego pana całego i zdrowego i, jak słyszałem, bardzo się ucieszyła, kiedy złożył u jej stóp Order Złotego Runa, należący do Don Cristobala. Uznała to za wyborny żart. „Czy właśnie to Hiszpania ma najlepsze, łotrze?” - zapytała. Jej Wysokość potrafi być bardzo wesoła, kiedy jest w dobrym humorze. „Nie, pani” - odpowiedział na to mój pan i przyprowadził żonę. „Najlepsza jest moja żona, którą mam zaszczyt przedstawić jako nową poddaną Jej Wysokości”. Być może królowa Elżbieta nie była z tego zbyt zadowolona. Słyszałem, że nie lubi, kiedy przystojny mężczyzna się żeni. Tak czy owak nie mogła źle potraktować mojej pani. Podała jej rękę do ucałowania i poklepała wachlarzem po policzku. „Jak sobie pani z nim radzi?” - zapytała. „Zdażyła już pani zakuć w kajdany mego zuchwałego, szalonego Beauvalleta?” Potem nie miała już nic do powiedzenia mojej pani, ale pana zatrzymała na całą godzinę, wypytując go o to, jak mu się wiodło z nami w Hiszpanii.

- Moim zdaniem, sprawa zakończyła się lepiej, niż można było się spodziewać, zważywszy na wybuchowy temperament Jej Wysokości. Wkrótce potem wyjechaliśmy do Basing, gdzie właśnie mnie widzicie. Żyjemy sobie jak u Pana Boga za piecem, a jeśli ktoś z was powie, że bardzo zyskałem na znaczeniu, nie zaprzeczę. Nie mówię, że mój pan okazuje mi to na każdym kroku, ale ośmielam się twierdzić, że stałem się niezbędny dla niego i dla mojej pani. Trudno się temu dziwić! Nigdy nie znaleźliśmy już tak pięknych pończoch ze złotymi ozdobami na wysokości kostek, jak te, które zostały w

Vasconosie, i cały czas uważam pozbycie się ich za kolosalne marnotrawstwo. Ale taki już jest sir Nicholas.